

KREW FERÓW

GÓRKA

SMOKA

ADAM FABER



CÓRKA
SMOKA



KREW FERÓW

MIASTO SNÓW

DOM WIEDŹM

CÓRKA SMOKA



ADAM FABER

CÓRKA

SMOKA



Copyright © Adam Faber, 2022

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2022

Redaktor prowadzący: Łukasz Chmara

Marketing i promocja: Anna Fiałkowska, Aleksandra Kotlewska, Oliwia Żyłka

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Marta Akuszewska, Robert Narloch, Agata Polte

Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: FecitStudio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67054-75-1

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autora. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

WE NEED YA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@weneedya.pl

marketing@weneedya.pl

www.weneedya.pl

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kwiat rozbłysnął, zdrada przyszła z pałacu.

Hypnos ze strachem obserwował matkę miotającą gniewne spojrzenia na zgromadzone wokół fery. Te ze spuszczoneymi głowami czekały, aż skończy przesłuchanie.

Wyrd była wściekła i zraniona. Przypominała groźnego, wijącego się węża, pod którego barwnym ciałem płonie grunt.

– Wiem, że to któreś z was! – warknęła, z jej różdżki posypały się ametystowe iskry. – Nie ukryjcie swoich kłamstw!

Gdy jej spojrzenie padło na Hypnosa, ten nie miał wątpliwości, że matka i jego podejrzewa. Dawno już przestał wierzyć, że jest ukochanym synem władczyni Aislingen.

Gniew królowej był jednak w pełni zrozumiały. Nie minął nawet rok, odkąd z Komnaty Więźniów uciekli wszyscy wrogowie Miasta Snów. Torturowani we własnych umysłach przez czary ferów, zapewne nienawidzili ich jeszcze bardziej niż przed trafieniem do niewoli. Tylko sama Wyrd wiedziała, jak niebezpieczne były to istoty. Jakby tych problemów było mało, March Sky, dziewczyna ze świata ludzi, półferini, wykradła imię królowej – jej największy sekret.

W Ametystowym Pałacu na każdym kroku można było natknąć się na tajemnicę. Królowa utkała z nich pajęczynę, jednak teraz sama zaczęła poruszać się po niej z trudem. Zaglądała w umysły zgromadzonych ferów, obnażała ich dusze. Hypnos wiedział, jak się bronić, choć nie miał szans ukryć wszystkiego.

– Matko! – rozbrzmiał nagle czyjś głos.

Książę powiódł wzrokiem w stronę różowej ferini patrzącej na władczynię z oburzeniem.

– Więc nawet mnie nie ufasz? – Wyglądała, jakby Wyrd ją spoliczkowała.

– *Nikomu* – wycodziła królowa, a jej oczy, równie ametystowe co magia wypływająca z różdżki, zaślniły złowrogo. – Każde z was może donosić innym władczyniom, Społeczności, tej przeklętej Sky!

Leila wydała się dotknięta do żywego.

– Przez nią zginął Lei – rzuciła. – Jak możesz...

Ale Wyrd straciła nią zainteresowanie. Machnęła dłonią, by uciszyć córkę, i szybkim krokiem ruszyła w stronę tronu. Usadawiając się na nim, wyglądała jak nie ona. Hypnos zawsze postrzegał matkę jak figurę wyciosaną z kamienia. Nigdy nie okazywała uczuć. Teraz było inaczej. Zdjęta lękiem, zaczynała przypominać człowieka, to zaś dla każdego aislingeńskiego fera było niebezpieczne.

– Odejdźcie – rzuciła cicho, wpatrzona w symbole astrologiczne, którymi ozdobiona była podłoga pałacu.

Ty zostań – dodała w myślach do Hypnosa.

Głowę księcia zalały obawy. Pamiętał, kiedy matka ostatnio wydała mu ten sam rozkaz. Było to wtedy, gdy March Sky wyswobodziła się z uroku Strażnika Koszmarów. Wtedy Hypnos dostał zadanie, by zająć się dziewczyną. Miał rzucić na nią urok poplątania zmysłów, co się nie udało.

Później matka wydała mu kolejne polecenia. Kazała mu przenieść się do Finfolk, ludzkiego miasteczka, gdzie jeszcze raz spróbował wkupić się w łaski Sky. Przeniknął do Domu Wiedźm, wciąż pachnącego czarami Irmy i Cleto Malloway – czarownic, które jako jedne z nielicznych rzuciły wyzwanie aislingeńskim ferom. Ale i tym razem plan Wyrd się nie powiódł.

Hypnos robił wszystko, co poleciła mu matka, nawet gdy nie był do tego przekonany. Wiedział, że musi się poświęcić dla Miasta Snów. Siła krainy rodziła się w sercu królowej i to jej krew spajała tutejsze fery.

Wyrd wstała.

– Wiesz, dlaczego kazałam ci zostać? – zapytała.

Hypnos potrząsnął głową.

– *Ufam ci.*

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Jedynie rozchylił usta.

– Tak, ufam. – Zaśmiała się. – Przynajmniej bardziej niż pozostałym. Zrobiłeś wiele dla wspólnej sprawy i, jak sędzę, to właśnie ty najbardziej kochasz Miasto Snów.

– To prawda – odparł bez wahania. – Kocham.

Dla Aislingen był gotów poświęcić wszystko, nie dlatego, że tak go nauczono, ale dlatego, że właśnie tego pragnął.

– Zatem chodź. – Wyrd wyciągnęła ku niemu białą dłoń. – Chcę zdradzić ci sekret o tym, co tak bardzo kochasz. Coś, czego jeszcze nikt z was nie widział.

Hypnos musnął palce matki. Zawieszona na jej szyi srebrna kula zamigotała. Amulet był pieczęcią otwierającą wszystkie drzwi w Mieście Snów.

Przestrzeń zaczęła poruszać się jak niewyraźna wizja. Pałac rozplynął się, a oni wylądowali w morzu zielonej trawy. Poza nią nie było tu zupełnie nic. Jeśli Wyrd miała sekret do ukrycia, to miejsce było do tego idealne.

– Gdzie jesteśmy? – spytał książę.

– Tego nie mogę ci powiedzieć.

– Ale... nadal w Aislingen, tak?

– Zgadza się. Moja pieczęć nie przeniesie mnie nigdzie poza Miasto Snów. Chodź.

Skinęła na niego ręką, jednak uszli tylko kilka kroków, gdy przykucnęła i zaczęła odgarniać trawę. Ich oczom ukazała się okrągła pokrywa. Wyrzeźbiono na niej dwa uskrzydłone węże, splecione ze sobą jak w kaduceuszu. Ich grube ciała okalały coś, co przypominało błyskawicę.

– Co to jest? – Książę uniósł na matkę zdumione spojrzenie.

– Studnia Snów – oznajmiła Wyrd sennym głosem.

Pieszczotliwie przejechała dłonią po ciałach węży. Te zaczęły oddalać się od siebie, a w miejscu błyskawicy pokrywa pękła i powoli się otworzyła. Wewnątrz znajdowała się jedynie woda, tak ciemna, że nie było w stanie rozjaśnić jej słońce lśniące na ametystowym niebie Aislingen.

– To jedyna studnia w całym królestwie, która sięga aż do samego serca marzeń sennych – oświadczyła królowa. – I koszmarów – dodała z nabożną nutą.

Odwróciła wzrok od czarnej wody, by spojrzeć na syna.

– Musi być ukryta – powiedziała z naciskiem. – Gdyby woda się rozlała, nikt nie zdołałby powstrzymać snów, które przechowuje. Każdy, kto tu zajrzy, zetknie się albo z tym, czego się boi, albo z rzeczami, których pragnie. Tylko nieliczni znajdą tu to, co im potrzebne. Studnia to coś pomiędzy uwodzającym marzeniem a śmiercionośnym koszmarem. Nawet ja nie umiałabym poskromić jej mocy.

– Ale dlaczego mi o tym wszystkim...

Wyrd uniosła dłoń.

– Studnia skrywa też historię naszej krainy. Tę, której nie opisano w *Zwojach Krwawego Świtu* ani w żadnych innych świętych tekstach.

Zanurzyła dłoń i zaczęła kreślić na wodzie jakieś symbole. Te wzlatywały, tworząc przed oczami księcia obrazy. Najpierw zobaczył dwa skrzydlate węże. Jeden był błękitny, drugi miał kolor różowego świtu w Święto Ognia i Wody. Trzepotały smoczymi skrzydłami, odpychając się jeden od drugiego.

– Pewien król – zaczęła opowieść Wyrd – miał pięć córek. Mieszkał z nimi w zamku na wysokiej górze. Codziennie prosił jedną z księżniczek, by przyniosła mu w kryształowym pucharze czystą wodę z najgłębszej studni w królestwie.

Obrazy w kuli zmieniały się. Węże ustąpiły pałacowi stojącemu na ciągnącej się aż do chmur, czarnej górze. Potem w wizji ukazała się studnia, ta sama, przy której teraz siedzieli.

– Córki nigdy nie zawiodły oczekiwań ojca – ciągnęła Wyrd. – Zawsze dostarczały mu wodę, do czasu, aż pewnego dnia jedna z nich nie wróciła. Zaniepokojony król posłał następną, by sprawdziła, co stało się z jej siostrą, a gdy i ona nie wróciła, kazał pójść trzeciej. W zamku zostały tylko dwie córki. Władca zabronił im wychodzić, lecz jedna z nich uciekła nocą, by odnaleźć zagubione księżniczki.

W kuli ukazała się ludzka dziewczyna biegnąca wzdłuż czarnego zbocza.

– I tamta, czwarta córka, przepadła. Piątą córkę król uwięził w wieży. Nie chciał stracić i jej, bo to oznaczałoby nie tylko śmierć ostatniego dziecka, ale i dziedziczki tronu. Władca nie miał jednak pojęcia, że piąta księżniczka była biegła w magii. Podczas gdy pozostałe cztery władały którymś z żywiołów, tamta ostatnia, przez wszystkich uważana za niemagiczną, dysponowała niewidzialnymi mocami Taliesina. Łączyła w sobie wszystkie żywioły i była w stanie spajać to, co rozdzielone.

Przed oczami księcia znów wiły się dwa węże.

– Już zmierzając w stronę studni, piąta księżniczka słyszała dochodzący z podziemia ryk. Nim zajrzała do wody, otworzyła swe wewnętrzne oczy na wizję, te zaś ukazały jej walczące ze sobą węże. Dziewczyna zrozumiała, że to one porwały jej siostry i uwięziły je wewnątrz studni, w podziemnym królestwie, którym władały.

Węże kąsały się nawzajem i wściekle syczały.

– Księżniczka nie chciała walczyć z tymi istotami, bo wiedziała, że są święte. Szybko zauważyła też, że przyczyną ich walki były ogony, które zrosły się ze sobą, a każde ze zwierząt ciągnęło je w swoją stronę, powodując ból tego drugiego. Pozostałe księżniczki też to zauważyły. Każda z nich próbowała pomóc węzom wyswobodzić się z tego niewolniczego uścisku. Tym spowodowały jednak tylko ich większy ból. Dopiero ostatnia zrozumiała, co należy zrobić.

– Połączyć je – powiedział od razu Hypnos.

– Logiczne, prawda? – zaśmiała się Wyrd. – Przynajmniej dla nas. Ale one były ludźmi, a wiemy, że ludzie wolą walczyć i zabijać się nawzajem. Nie widzą mądrości w *połączeniu*, zwłaszcza w połączeniu tego rodzaju, który był potrzebny węzom: każdy z nich musiał ustąpić temu drugiemu. Tylko wtedy mogły znaleźć pokój.

– Ostatnia księżniczka od razu to zrozumiała – zauważył Hypnos – a była człowiekiem.

– Niektórzy ludzie są mądrzy – zbyła go władczyni. – To się zdarza. W każdym razie gdy księżniczka za pomocą magii porozumiała się z węzami i pomogła im żyć razem, te uwolniły jej siostry i od tamtego czasu nikomu już nie szkodziły.

Wizja rozpadła się na kawałki, a dymiące od energii magicznej fragmenty wpadły z powrotem do studni.

– Miasto Snów jest jak te dwa węże – wyjaśniła Wyrd. – Jeden z nich znajduje się tu, drugi w świecie ludzi. Pod moimi rządami można by zaprowadzić pokój, ale to, co utraciliśmy, musiałoby wrócić do Aislingen. Póki tak się nie stanie, węże będą ze sobą walczyć. Zjednoczyć może je tylko kobieta taka jak ta z opowieści, ostatnia córka. Córka połączonych węży.

Machnęła ręką, a studnia zaczęła się zamykać. Na jej środku znów pojawiła się błyskawica, wokół której oplotły się gadzie ciała. Teraz Hypnos widział końcówki ich ogonów związane w supeł.

Królowa odwróciła twarz ku niebu. Zdawało się, że czerpie ono kolor wprost z jej oczu.

– To koniec opowieści – dodała – ale początek prawdziwej historii i potężnej magii. Miastem Snów jest godzien rządzić tylko ktoś, kto może połączyć dwa królestwa w jedno. Jak dotąd byłam to tylko ja. A przynajmniej próbowałam...

Westchnęła.

– Wielu myśli, że nie chcę zrzec się tronu, ale to nieprawda – oznajmiła, wciąż przyglądając się niebu. Palcami wodziła po trawie.

– W rzeczywistości miałam już swoją następczynię, taką, która

potrafiłaby przywrócić pełną harmonię, ale za pomocą czarów została zwabiona do Finfolk i zgładzona przez ludzi.

Hypnos zmarszczył czoło.

– Nigdy mi o tym nie wspominałaś.

– Czekałam z tym, aż okażesz się godny – odparła, powoli przenosząc na niego wzrok. – Jest więcej rzeczy, o których powinieneś wiedzieć. Zaklęcia, które omotały moją córkę, zostały rzucone przez popleczników kogoś, kogo dawno już pokonałam i wygnałam stąd. To największy wróg Aislingen, piękna istota, która chciała zawładnąć Miastem Snów. Nie mogłam jej zgładzić, choć wierzę, że udało mi się poskromić jej magię na tyle, by już nam nie zagrażała.

– Mówisz o... moim ojcu? – spytał ksiązę.

Wyrd wstała i podała mu rękę.

– Tak. – Aislingeńskie słońce rozlało się po jej skrzydłach. – Poznałeś tę historię dlatego, że to ciebie chcę wyznaczyć na mojego następcę. Jeśli jednak masz zostać władcą, *musisz* znaleźć sposób na połączenie królestw, *musisz* pokonać wszystkich popleczników Wygnanego Króla, a przede wszystkim *musisz* zniszczyć March Sky.

Za każdym razem, gdy mówiła *musisz*, jej oczy niebezpiecznie lśniły.

– Czy przez wzgląd na to, że ani razu mnie nie oszukałeś, przysięgniesz nie spocząć, póki nie unicestwisz ciała March Sky i nie zniewolisz jej duszy i umysłu?

Hypnos miał wrażenie, jakby królowa sama zatapiała w nim umysł, odciskała w jego duszy piętno własnej. Wciąż trzymając jej dłoń, poczuł nagły przyływ odwagi i pewności siebie.

– Przysięgam – odparł.

ROZDZIAŁ DRUGI

– Tak, jeszcze jeden krok, pomogę ci – powiedziała dziewczyna, siląc się na uśmiech.

Emma Sky uczepliła się jej ręk, były dla niej jedyną podporą. Gdy wreszcie z pomocą córki ułożyła się do łóżka, jej kruche ciało zapadło się w miękkiej pościeli, przez co wyglądała, jakby jeszcze się skurczyła. A kurczyła się każdego dnia, codziennie po trochu znikwała.

– Chyba się prześpię – jęknęła i kilka sekund potem już oddychała spokojnie.

March utrzymywała na twarzy sztuczny uśmiech do czasu, aż upewniła się, że matka głęboko śpi. Potem po cichu wyszła z pokoju, z każdym krokiem czując, jak i z niej uchodzi życie. Nacisnęła na klamkę z wysiłkiem – najmniejsze rzeczy okazywały się coraz trudniejsze. A gdy zamknęła za sobą drzwi, oparła się o nie i osunęła na podłogę. Zakryła twarz dłońmi i zaszlochała.

Tak było codziennie, już od tygodnia. Jej matka, jeszcze kilka dni temu młoda, postarzała się o kilkadziesiąt lat dokładnie wtedy, gdy Finfolek wyzwoliło się spod klątwy władczyni Aislingen.

To była dziwna klątwa. Sięgała głęboko do ludzkich umysłów, wyciągając z nich to, co najgorsze. To ona doprowadziła do śmierci najlepszej przyjaciółki March, ale to również ona utrzymywała matkę dziewczyny przy życiu, a teraz, gdy czar prysnął, z Emmy Sky codziennie to życie ulatywało. Czasem March miała wrażenie, że widzi, jak tuż przed snem z ust matki wypływa obłoczek, po czym rozchodzi się w powietrzu. Bezsilna, próbowała go pochwycić, zapewnić matce jeszcze choć kilka kolejnych dni.

Najstraszniejsza była świadomość, że to ona była temu winna, przynajmniej po części. Zmusiła Wyrda do zdjęcia z matki klątwy, nie mając pojęcia, do czego to doprowadzi.

Łzy spływały jej do ust, słone, niemal gorzkie. Choć klątwa zniknęła z Finfolk, w głowie March pozostawała ciemność, jeszcze głębsza i straszniejsza od tej, którą czuła, gdy wszystko było zatopione w koszmarach.

– Nie zapytam, czy wszystko jest okay – usłyszała łagodny głos. – Zapytam tylko, czy chcesz porozmawiać.

Ove podszedł do niej tak cicho, że gdyby milczał, nie zorientowałyby się o jego obecności. Ciągle miał w sobie coś z kota, którym był przez ostatnie siedemdziesiąt lat. Teraz na powrót stał się mężczyzną, wysokim, łysiejącym, lecz ciągle z wyraźnie czarnymi włosami.

– Nie – odparła cicho.

Nawet gdyby chciała, nie umiała w tej chwili rozmawiać.

Ove nie odpowiedział, tylko usiadł obok niej i objął ją ramieniem. To było przyjemne uczucie. March nie znała swojego ojca, a czarownik był w tym wieku, że mógłby go zastąpić. Emanował opiekuńczą energią, której potrzebowała, choć długo nie zdawała sobie z tego sprawy.

Wiele się ostatnio nauczyła. Nie tyle o świecie, ile o samej sobie. Magia pozwoliła jej czasem wyjść z własnego ciała, dosłownie i w przenośni, i spojrzeć na siebie oczami kogoś innego. Dawniej walczyła z ludźmi, bywała wredna i – jasne – nadal się jej to zdarzało, ale dziś umiała już pracować nad tymi rzeczami, *chciała* je zmieniać. Tyle że okazywało się to zbyt trudne, gdy raz za razem spadało na nią coś nowego.

Siedzieli tak przez kilka chwil. March czuła, jak Ove wysyła jej uzdrawiającą energię. Nie narzucał się jej ciepłem swojej aury, pozwalał jej zdecydować, ile magii chce od niego przejąć. Wreszcie po długim, kojącym milczeniu znów się odezwał:

– Wiesz, że dziś przychodzą do nas ci ze Społeczności?

– Znowu? – jęknęła.

Powinna była o tym pamiętać. W ciągu ostatniego tygodnia ludzie ze Społeczności przychodzili do nich niemal codziennie, by rozmawiać na temat wydarzeń w Finfock. Nie lubiła tych wizyt. Zawsze były zbyt rzeczowe, jakby nikogo tak naprawdę nie obchodziło, co tu przeżywali.

– To chodźmy – westchnęła, ocierając to, co zostało po łzach, kilka słonych śladów. – Trzeba się przygotować.



Callen krzątał się już po kuchni w swoim najbardziej odłotowym wdzianku: fartuszkowi ozdobionym wizerunkami wiedźm na miotłach. Szykował się do wizyty.

March lubiła patrzeć, jak gotuje, choć wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że tak jest. Coś w jego ruchach ją uspokajało. Chłopak był prawdziwym właścicielem tego domu. Znał każde z jego sekretnych drzwi, prowadzących do innych światów, jak ryba w wodzie czuł się w świątyni na strychu, pamiętał wszystkie ochronne zaklęcia sióstr Malloway. Opiekował się domem, a dom opiekował się nim. Budynek miał swoją duszę, potrafił bez słów przemówić do mieszkańców. Patrząc na Callena, March czuła się tu tylko jak gość, choć mile widziany.

Nie zawsze była sprawiedliwa dla chłopaka. Najpierw miała mu za złe to, że pokazał jej magię. W zasadzie trudno było się temu dziwić, bo to ona stała się przyczyną jej największych problemów. Teraz jednak March rozumiała, że prawda była ważna, że liczyła się krew, o której często wspominał Callen – *ich* krew, ludzka, lecz wymieszana z krwią ferów. Ta magia należała się im obojgu.

– Bierzcie się do roboty – mruknął chłopak, stawiając na stole brytfannę pełną ciastek w kształcie półksiężyca. – Trzeba naparzyć herbaty i kawy.

– Już się robi! – zawołał Ove, przygotowując dwa czajniki, które próbowały uciec mu spod rąk.

Odkąd w Domu Wiedźm przebudziła się magia, March czuła się tu czasem jak księżniczka z Disneya, oczywiście z o wiele bardziej zwichniętym życiem i językiem nadającym się czasem do cenzury. Ale dom był magiczny w cudowny, baśniowy sposób. Odkurzacz sam czyścił podłogę i wyrywał się, kiedy chciało się go opróżnić, czajniki same rozlewały herbatę i podgrzewały ją, a piekarnik dziwnie skrzeczał, jeśli zapomniano się wyjąć ciasto.

Callen machnął ręką, sprawiając, że ciastka ułożyły się na paterze, która uczynnie zawisła w powietrzu. Odkąd służby czarownic przywróciły chłopakowi wcześniej zablokowaną magię, bez przerwy korzystał z czarów.

– Gotowe! – oznajmił Ove, stawiając dzbanki z herbatą i kawą na stole. Gdy wyszedł z kuchni, żeby zapalić na zewnątrz cygaro (było to przyzwyczajenie, które wróciło mu wraz z ludzką formą), Callen rzucił March przelotne spojrzenie.

– Jak twoja mama? – spytał.

– Bez zmian – przyznała posepnie.

– Może powinniśmy zwiększyć dawkę eliksiru?

Chłopak warzył dla Emmy miksturę, z pomocą której kupowali dla niej kolejne dni życia. Spowalniała starzenie i miała przywracać pamięć.

Spoglądali na siebie przez chwilę. Callen wydał się tym trochę speszony. March zresztą też. Wciąż pamiętała – i wiedziała, że nigdy już nie zapomni – jak go pocałowała. To było nagłe i sama nie rozumiała tego impulsu, ale tamtego wieczora, po długiej, wyczerpującej walce z ferami, nagle zapragnęła bliskości chłopaka. Zwyczajnie przylgnęła więc ustami do jego ust, przez moment czując się niezwykle... błogo? No, to był pierwszy taki pocałunek w jej życiu, więc... Ale jednocześnie zdawało jej się, że upokorzyła samą siebie, bo wykonała ten krok, nawet jeśli spontanicznie, a Callen chyba wcale nie chciał jej pocałować.

W zasadzie to nie była pewna, czego chciał, bo nie wracali do tematu. Mimo wszystko tamten pocałunek coś między nimi zmienił, nie na gorsze, ale też nie na lepsze, po prostu na inne, może trochę... dziwne?

Chociaż przez kolejne kilka chwil nie odzywali się do siebie, to milczenie wydawało się niezwykle *wypełnione*, więc gdy Ove wrócił, March miała wrażenie, jakby prysnął czar.

– Dobra, idę posprzątać salon – rzucił czarownik, chowając cygaro do ozdobionej runami cygarnicy. – Byle tylko odkurzacz znów nie próbował zdzielić mnie rurą po łbie. – Westchnął. – Czy on mi nigdy nie wybaczy tej sierści na dywanach? Rany, to nie moja wina, że liniałem.



Równo o pierwszej usłyszeli pukanie w wąskie, zielone drzwi znajdujące się w głębi salonu. To był ich stały portal i tylko wtedy przechodzili magiczni goście.

Jak zwykle w Domu Wiedźm zjawiała się Dorcas Cloyce z wydziału do spraw trudnych i przykrych (March nie miała pojęcia, na ile była to oficjalna nazwa, ale nie zdziwiłaby się, gdyby tak właśnie było – czarownice bywały... nietypowe). Tym razem nie towarzyszyli jej jednak zwykli funkcjonariusze, lecz dwie nowe osoby. Na ich widok otwierający drzwi Ove stanął jak wryty. Callen wysoko uniósł brwi i zatrzymał się w połowie drogi do portalu.

March przeniosła wzrok z niego na przybyłych. Choć widziała ich po raz pierwszy, w niej też goście wywołali dreszcz, może dlatego, że oboje byli niezwykle piękni: mężczyzna z jasną czupryną, niemal tak wysoki jak Ove, i czarnoskóra kobieta ze srebrnym diademem wplecionym w gęste, lśniące włosy. Oboje mieli na sobie idealnie skrojone ubrania: on stalowy surdut, a ona błękitną suknię. Rozejrzeli się po salonie, posyłając gospodarzom lekkie uśmiechy.

– Kalu i Brevda? – wyjąkał Ove.

– We własnej osobie – odparła wyraźnie rozbawiona kobieta, wchodząc głębiej do salonu. – Och, coś ciepłego! – ucieszyła się, gdy dzbanek wypełnił filiżanki pachnącą herbatą. Od razu usadowiła się w fotelu i odetchnęła.

– W Anglii też pada śnieg – dodał mężczyzna. Jego chłopięcy urok sprawił, że pod March ugięły się nogi.

Dorcas Cloyce zdjęła płaszcz z symbolem szkockiej Rady Wiedźm, jednorożcem ze smoczymi skrzydłami, i zajęła miejsce w drugim fotelu.

March, Callen i Ove szybko usiedli na sofie, pozostawiając mężczyźnie krzesło. Woleli siedzieć ściśnięci, ale razem. Dziewczyna doskonale wyczuwała napięcie przyjaciół. Uśmiechy, które posyłali im nowo przybyli goście, niby przyjazne, wydawały się mimo wszystko chłodne.

– Więc przyszliśmy, by... – zaczęła Cloyce, wyciągając zza pazuchy szarą teczkę.

– Och, Dorcas, po co od razu te formalności? – przerwała jej kobieta. – Myślę, że powinniśmy najpierw przedstawić się March Sky, by poznała wagę sytuacji.

Dziewczyna zmarszczyła czoło, wpatrując się w czarownicę.

– Jestem Amara Kalu – oznajmiła ta. – Koordynatorka Społeczności w Zjednoczonym Królestwie, a także przewodnicząca Rady Szkockich Wiedźm, a mój przyjaciel – wskazała na siedzącego na krześle czarownika – to Elimas Brevda, przewodniczący Rady Angielskiej.

Mężczyzna posłał jej swój onieśmielający uśmiech.

– Przychodzimy tutaj – dodał – bo sprawa frapuje całą Społeczność. Przykro mi, jeśli stawia cię to w niezręcznej sytuacji.

Niezręcznej, jasne. Ludzie, którzy mieli ją zupełnie gdzieś, teraz nagle się nią zainteresowali? *Niezręczne...* Świetny dobór słów.

Nie odpowiedziała.

– Postaramy się zrobić wszystko, byś czuła się swobodnie – zapewniła Kalu. – W ciągu ostatnich tygodni wnikliwie przyjrzelśmy się sprawie Finfolk, sięgnęliśmy głęboko do historii miasteczka, żeby zdobyć broń w walce z Wyrd.

Cloyce chrząknęła, ośmielając się przerwać.

– Właśnie – powiedziała, otwierając teczkę. – Mamy tu różne dokumenty, które...

Brevda szybko wpadł jej w słowo.

– Być może wiemy, jak przywrócić pamięć twojej matce – oznajmił, wbijając w March spojrzenie lśniących oczu. Zbił tym z tropu Cloyce i sprawił, że dziewczyna osłupiała. Przez dłuższy czas nie umiała odwrócić od czarownika wzroku.

– Dlaczego? – spytała wreszcie, co pewnie zabrzmiało trochę głupio. Ale to było ważne pytanie. Zastanawiała się, *dla czego* zaczął rozmowę w ten sposób. Zwykle urzędnicy Społeczności poruszali temat jej matki jako ostatni.

Zdumiony Brevda wymienił spojrzenia z Kalu.

– Nie rozumiem – odparł. – Chyba wiesz, że pamięć twojej matki odgrywa tu kluczową rolę?

– Tak, ja tylko... – wyjąkała. – Chodziło mi o to, że... Żle zadałam pytanie. Więc *jak* mam jej pomóc?

– Och, nie musisz tego robić sama – oznajmiła Kalu. – Pomożemy, na ile tylko będziemy w stanie, choć zapewne najważniejszą część zadania będziesz zmuszona wykonać sama... Cóż – westchnęła. – To magia. Pewnych zasad nie da się nagiąć... Ale do rzeczy.

Skinęła na Brevdę.

– Dorcas – powiedział ten. – Mogę cię prosić o mapę Finfolk?

Cloyce, nadal zmieszana, wyjęła z teczki poskładany papier i rozwinęła go. Dokument zajął pół stołu. Brevda wyjął z kieszeni surduta pióro i zaczął rysować po mapie.

– Wszyscy chyba znają dziwne historie narosłe wokół Finfolk – mówił. – Nawet nieprzynależący przekazują je sobie w tej czy innej formie, bo w końcu sami brali w nich udział. Nie jest też tajemnicą,

że rzeczy, które niemagiczni uznają za baśnie, my znamy jako fakty. Mianowicie chodzi o to, że aislingeńskie fery urządziły sobie tutaj coś w rodzaju bazy wypadowej do świata ludzi.

Oznaczał na mapie jakieś miejsca.

– Wyrd rości sobie prawa do tego miasteczka, nie do końca wiadomo dlaczego – ciągnął. – Być może chodzi o to, że tutejszy las był jednym z ostatnich miejsc magii w świecie ludzi i miał tak silne połączenia z Aislingen. Zapewne pamiętacie historię o tym, jak poskromiono fery. Zrobiło to pięć, powiedzmy sobie, *frakcji*. W ich skład wchodziły magowie, wiedźmy, kapłanki Jej Samej, duchy przodków i, jak już wspomniałem, nieprzynależący.

March pamiętała tę historię. Poznała ją po którejś lekcji z Isinbirem, ojcem Callena.

– Frakcje miały siedziby właśnie tutaj, w Finfolk. Nieprzynależący zajmowali obecny ratusz, ten na ulicy księcia Geralda, który to książę, swoją drogą, był pierwszym właścicielem finfolkskich ziem. Magowie przejęli budynek przerobiony potem na kościół przy Samotnym Wojowniku... Ta ulica wzięła nazwę od posągu postawionego na cześć jedyne go maga, który przeżył starcie z ferami. Dziś ze statuy pozostała jedynie podstawa...

Westchnął.

– Tak bywa... Ale idźmy dalej. Czarownice zbierały się właśnie w waszym domu. To znaczy, oczywiście stała tu wtedy niewielka chatka. Duchy przodków mieszkały zaś na cmentarzu. Dziś w jego miejscu stoi sierociniec.

Callen uniósł brwi.

– Nie miałem pojęcia...

– Mało osób o tym wie – zbył go Brevda.

– By przestraszyć fery – dodała Kalu – duchy łączyły się w jedną, przerażającą postać. Zresztą potem, gdy już pokonano Miasto Snów, trudno było je ujarzmić i czasem wciąż nawiedzały Finfolk. Echem tych czasów jest opowieść o Krwawej Mary z Finfolk.

– Kapłanki – przemówił znów Brevda, dalej zaznaczając punkty na mapie – ostatnia frakcja, zamieszkiwały Jaar, ale na czas walk spotykały się przy świętym źródle, dziś już prawie wyschłym. Teraz tamten teren jest całkiem zabudowany, jednak po kapłankach pozostała pamiątka, oczywiście taka, której znaczenia nikt by się nie domyślił.

– Fontanna Nidoszłej Prządki – uzupełniła Kalu, rozchylając usta w delikatnym uśmiechu. – Ona Sama jest czasem nazywana Wielką Prządką. W końcu *utkała* świat, a jej kapłanki są znane jako szwaczki najwyborniejszych szat w całym Jaarze. – Gładko przesunęła dłonią po własnej sukni. – Wszystko ma znaczenie, trzeba je tylko dostrzec.

March przeżyła w tej chwili rodzaj olśnienia. Nazwy ulic w Finfolk zawsze brzmiały dla niej kretyńsko lub bezsensownie. Spodziewała się, że każda mogła w rzeczywistości kryć w sobie jakąś historię, ale nie przypuszczała, że będą to opowieści tego rodzaju.

– Te kapłanki były ludźmi? – spytała March.

– Tak – odparła Kalu. – Głównie kobietami, choć, mimo nazwy, nie tylko.

Brevda zaczął łączyć wyrysowane punkty liniami, po czym wstał, by pokazać wszystkim swój rysunek. Tworzyły na mapie idealnie równy pentagram, którego wierzchołki stanowiły poszczególne siedziby walczących z ferami frakcji. Ten na szczycie mieścił się dokładnie w miejscu, gdzie Dom Wiedźm stykał się z pozostałościami finfolkiego lasu.

– Mówiłam? – Kalu puściła oczko do March. – Jeśli dobrze się patrzy, zobaczy się ukryte znaczenia.

– Frakcje – zaczął znów Brevda – stworzyły magiczną broń do walki z Aislingen. Nie wiemy, co to dokładnie było. Historia wspomina o „niewielkim przedmiocie o sile rażenia ognistego huraganu”. Broń została podzielona na pięć części, tak by żadna frakcja nie miała jej tylko dla siebie. Odłamki tego przedmiotu, czymkolwiek był, znajdują się w miejscach, które oznaczyłem na mapie. Trzeba je połączyć.

– Broń – przejęła opowieść Kalu – jest zdolna ujarzmić magię ferów. Jeśli raz pokonała Wyrd, zrobi to znowu.

– Czy to zadanie jest w ogóle wykonalne? – odezwał się Ove, po raz pierwszy od początku rozmowy. Marszczył czoło, nieufnie łypiąc na przedstawicieli Rady.

– March Sky zrobiła już wiele pozornie *niewykonalnych* rzeczy, prawda? – odparła Kalu, koncentrując całą uwagę na dziewczynie. – Dlaczego więc i tej nie miałyby się podjąć?

– Jak macie zamiar mi pomóc? – spytała March. Czuła, że przewodniczący chcą wpłynąć na jej decyzję emocjami, a jej zależało po prostu na konkretach.

– Cóż, zrobiliśmy tyle, ile możemy – oznajmił Brevda.

– Nie rozumiem. Opowiedzenie tej historii było wszystkim, co...

– *Magia* – wtrąciła szybko Kalu. – Przedmiot musi zadziałać *dla ciebie*, bo podejmując z tobą walkę, Wyrd związała cię ze sobą czymś w rodzaju magicznej unii. Moglibyśmy sami odnaleźć ten przedmiot, ale wtedy istnieje szansa, że wcale nie zadziała i zaprzepaścimy szanse na wygraną.

Brevda potaknął.

– Poza tym mamy własne zadania – oznajmił. – Również związane z Wyrd.

– Jakie zadania? – Ove nieufnie ściągnął brwi.

– Tajna misja – mruknął Brevda.

Cloyce znów chrząknęła.

– Społeczność ma do ciebie pytanie, March Sky – powiedziała. – Jak udało ci się pokonać Wyrd w Mieście Snów?

– Po prostu użyłam jej imienia.

Cloyce wstrzymała oddech; nawet nieskazitelne twarze Kalu i Brevdy przeszły dreszcz.

– Co rozumiesz poprzez *imię*? – spytał czarownik.

– Chodzi o jej tajemne imię – odparła March, wzruszając ramionami.

– Przepraszam bardzo, ale... – Cloyce wyglądała, jakby się dusiła.
– Jak je poznałaś?

– Zobaczyłam je w którymś śnie, w zasadzie nie pamiętałam go potem na jawie, bo miałam wtedy... pewne... trudne chwile.

Od razu przed oczami March stanęła Isel. Z poczuciem winy wypchnęła ten obraz ze świadomości. Nie mogła teraz się rozkleić.

– Podczas walki z Wyrd – dodała – imię mi się przypomniało. Nie wiem jak.

W rzeczywistości miała swoje podejrzenia na ten temat, tyle że nie chciała się nimi dzielić z gośćmi.

– Jak brzmi to imię? – spytał Brevda. Jego twarz stała się nagle tak poważna, jakby postarzał się o dziesięć lat.

– Nie mogę go zdradzić. Wyrd wymogła na mnie obietnicę, że nie użyję go przeciwko niej, a podzielenie się nim z wami byłoby chyba czymś w tym stylu...

Cloyce otworzyła usta ze zdumieniem.

– Chcesz powiedzieć, że znasz jej tajemne imię, ale nie wolno ci go użyć? Dlaczego zgodziłaś się złożyć tę obietnicę? Wiesz, że nie musiałaś tego robić?

– Nie wiedziałam tego wtedy – wycedziła March, czując narastającą złość. – Gdybyście wcześniej się ujawnili i mnie poinformowali, nie byłoby problemu.

Cloyce była oburzona. Jej towarzysze zachowali jednak spokój.

– Być może mogłabyś podać nam to imię – zaczął ostrożnie Brevda. – Są sposoby, by obejść magię Wyrd.

– Na ile bezpieczne? – rzucił Callen.

– Magia nigdy nie jest...

– Elimasie. – Kalu machnęła ręką. – Zostawmy na razie ten temat. Jeśli March Sky radziła sobie do tej pory, to nadal będzie sobie radzić.

Posłała dziewczynie uśmiech. Uderzyła dłońmi o kolana i wstała.

– Na nas pora. Mamy jeszcze kilka rzeczy do zrobienia.

March zastanawiała się, na ile ich „rzeczy do zrobienia” miały związek z nią. Zdezorientowana Cloyce pozbiierała swoje dokumenty do teczki, zostawiając na stole tylko mapę z pentagramem, i ruszyła za towarzyszami do portalu stałego.

– Niech zgadnę – westchnęła March, sięgając po filiżankę. – Kłopoty?

– Kłopoty – odparli jednocześnie Callen i Ove.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Źle zrobiłaś, że im powiedziałaś – zawyrokował Ove, wypuszczając z ust dym.

– Dzięki za pocieszenie – mruknęła March.

Wyszli na chwilę na zewnątrz, żeby wzburzony Ove mógł zapalić. Callen niedbale rysował butem kształty w śniegu, a March, która próbowała objąć całą trójkę ogrzewającą aurą, jak uczył ją Isinbir, raz po raz przerywała czar. Była za bardzo niespokojna, żeby go utrzymać.

– Kim oni właściwie są? – spytała. – Ta cała Kalu i Bre... Brendan?

– Brevda – poprawił ją Callen.

– Zareagowaliście na ich widok, jakbyście zobaczyli ducha – zauważyła. – Dlaczego?

– Dobre określenie – stwierdził Ove, odpalając kolejne cygaro. – *Duchy*. Jak na moje ta parka dawno powinna nie żyć. Bo widzisz, to właśnie oni mnie osądzili.

– Mnie też – dodał smętnie Callen. Przez jego bladą twarz przebiegł grymas niechęci.

– Zaraz... – March przenosiła wzrok z jednego na drugiego. – Jak to *oni*? Przecież to było... – Szybko policzyła, kiedy Ove został zamieniony w kota. – Czyli zajmowali swoje stanowiska już osiemdziesiąt lat temu? – zdumiała się.

– A nawet wcześniej, choć mieli od czasu do czasu kilka przerw... na tajne misje. – Czarownik się skrzywił. – Wiedźmia polityka. Jak przewodniczący Rad są w porządku, to robi się wszystko, by jak najdłużej ich utrzymać. No, zwłaszcza oni sami robią wszystko, żeby grzać stołki.

March się wzdrygnęła. Nie miała pojęcia, co oznaczało *w porządku*, jeśli chodziło o tę dwójkę. Ale miała w związku z tym sporo pytań.

– Wszystkie wiedźmy zachowują tak długo młodość? Oni chyba nie są... Hej, chyba nie są *nieśmiertelni*?!

Ove machnął ręką, strącając popiół z cygara na stojący na werandzie stół. Callen obrzucił go miażdżącym spojrzeniem – to on porozstawiał w ogrodzie meble i sam je czyścił.

– Sorry – rzucił czarownik, po czym zwrócił się do March. – Nie, nie są nieśmiertelni, nikt nie jest. Nie wiem, jakie mają metody na wieczną młodość, każdy ma jakieś inne, ale wiele czarownic z tego nie korzysta. To zbyt wymagające, poza tym wiedźmy rozumieją, że starość i śmierć to nie znowu takie najgorsze rzeczy.

March mogłaby przysiąc, że wyczuła nutę smutku w jego głosie.

Wszyscy obecni mieszkańcy Domu Wiedźm – ona, jej matka, Ove i Callen – byli obdarzeni młodością, jednak każdy w inny sposób. Wyjaśniła to Cloyce podczas swojej pierwszej wizyty i March musiała bardzo się wysilać, żeby to ogarnąć. Podsumowując, Ove jako gadający kot Piątek miał dziewięć żyć, które pozwalały mu w pewnym sensie cofać się w procesie starzenia, bo po każdej śmierci młodniał, aż wreszcie powrócił do formy z czasu przemiany; Callen nie starzał się, odbywając karę w sierocińcu; matka March przebywała w miejscu *pomiędzy*, specjalnej przestrzeni wytwarzanej przez biegłe w magii fery, a potem wróciła do świata ludzi, będąc w ciąży. Jedynie w przypadku tej ostatniej młodość zniknęła, bo tylko ona otrzymała ją wprost od fera.

– Jak myślicie? – zastanawiała się March. – Dlaczego oni się tu dziś zjawili? Co chcieli mi pokazać?

– Raczej co chcieli od ciebie uzyskać – odparł Ove, po czym zgasił ogień, zatapiając koniec cygara w śniegu. – Zabawne – mruknął, obracając cygarnicę w palcach. – Irma zawsze mnie wyganiała na zewnątrz, kiedy chciałem zapalić...

Zamyślił się na chwilę, a wreszcie machnął ręką.

– Dobra, chodźcie do domu. Przyjrzyjmy się tej mapie.



Pentagram miał dla wiedźm wielkie znaczenie. March nauczyła się o tym jako jednej z pierwszych rzeczy. Nie chodziło o żadne satanistyczne rytuały. Cztery wierzchołki oznaczały żywioły, a ten u szczytu symbolizował łączącego je wszystkie ducha. Przyglądając się rysunkowi na mapie, March, Callen i Ove nie zastanawiali się jednak nad mistycyzmem, ale próbowali dociec, dlaczego poszczególne miejsca strategiczne w Finfolk są rozłożone właśnie w taki sposób.

– Sierociniec znajduje się na zachodzie, tam, gdzie żywioł Wody – mówił chłopak. – *Krwawa Mary*... Może chodzi o połączenia z krwią?

– To miejsce miało należeć do duchów – przypomniał mu Ove. – Woda od zawsze łączyła się z zaświatami, krainą wieczności. Na przykład w mitologii greckiej zmarli płyną do Hadesu przez Styks, a czarownice mówią, że duchy odradzają się dzięki sile Księżyca, który rządzi też przypiływami i odpływami. Czyli umieszczenie tutaj cmentarza było logiczne.

– No dobra, ale dlaczego kapłanki wybrały sobie to miejsce przy wierzchołku Ziemi? – Callen wskazał lewy, dolny wierzchołek pentagramu. – Nie powinny być na szczycie, jako te *uduchowione*?

– Nie, szczyt należał do wiedźm, bo nie chodzi w nim o duchowość, tylko łączenie wszystkich innych mocy, a czarownice się na tym znają.

– A naprzeciwko tego, po prawej stronie, mamy siedzibę magów. – March wskazała kościół przy ulicy Samotnego Wojownika. – To Ogień. Chodzi o to, że magowie są bardziej... ogniści, *męscy*? Nie wiem, jak to określić...

– Właśnie tak. – Ove pokiwał głową. – Powszechnie wierzy się, że magowie zajmują się tą *męską* stroną *okultyzmu* i takich tam.

– Więc zostaje Powietrze. – Callen znów pojechał palcem w górę, na wschód, gdzie umieszczony był ratusz. – Chodzi o umysł, tak? O to, że nieprzynależący, jako ci *racjonalni*, też wspomogli walkę?

Ove wzruszył ramionami.

– Możemy tylko zgadywać – uznał. – Ważniejsze jest to, jak mamy dostać każdy z tych odłamków. Będziemy musieli iść po kolei, tak sądzę, zaczynając od powietrza.

– A nie lepiej poszukać tego, który mamy gdzieś tutaj pod nosem?
– zastanawiał się Callen.

– Coś mi mówi, że ten powinien się pojawić na samym końcu jako najważniejsza składowa ich wszystkich, taka wyjątkowa jakość.

– Jak kryształ alchemików? – rzuciła nagle March.

Ove i Callen wymienili niepewne spojrzenia. Często tak robili, gdy zaczynała dyskusję na ten temat, jakby wcale nie wierzyli, że dokończyła proces tworzenia magicznego klejnotu rozpoczęty przez siostry Malloway. Ale ona dokładnie to pamiętała. To było najniezwyklejsze wydarzenie jej życia. Trzymała w ręku xerion, kryształ alchemików, który zaprowadził ją w miejsce, nieważne, czy w jej głowie, czy poza nią, gdzie mogła rozmawiać z Irmą i Cleto.

Tyle że teraz nie miała już kamienia, nie potrafiła nawet powiedzieć, co się z nim stało. Trudno było mieć Ovemu i Callenowi za złe to, że nie bardzo wierzyli jej na słowo. Przecież nie miała doświadczenia. No i była tylko sobą, żadną wspaniałą, wielką wiedźmą. Dlaczego xerion miałby zrodzić się właśnie w jej rękach?

– Wiesz – zaczął Ove dyplomatycznym tonem – być może on jest esencją wszystkich tych rzeczy? Może ktoś stworzył go tu już wcześniej? Ale i tak będę się upierał, żeby zacząć właśnie tu. – Wbił palec w mapę tak mocno, że zmiął kartkę. – W ratuszu. Mamy do wykonania ważne magiczne dzieło, a magiczne dzieła najlepiej zacząć od spraw najbardziej przyziemnych. To nie sztuka błądzić myślami w obłokach, póki nie postawi się stóp, najlepiej w ciężkich glanach, na ziemi.

– Samo wejście do ratusza nie będzie trudne – powiedział Callen – ale musielibyśmy z góry wiedzieć, czego i gdzie dokładnie szukać. A wiemy tylko tyle, że... jak to było?

– To przedmiot o sile rażenia tornada, czy jakoś tak – przypomniała sobie March. – Założę się, że coś niepozornego. W końcu to czary.

Ove namyślał się przez chwilę, po czym sięgnął do cygarnicy.

– Chyba nie masz zamiaru tutaj palić? – Callen przewrócił oczami.
– I to właśnie teraz?

– Och, cicho bądź, mała Irmo – westchnął czarownik i sięgnął długimi palcami głęboko wewnątrz przedmiotu.

Cygarnica okazała się zaklęta: niemal cała dłoń Ovego zniknęła, gdy szukał czegoś w środku. Wreszcie wyjął z wewnątrz kryształowe wahadełko.

– Co to jest? – spytała March.

Callen wiedział, ale jego mina sugerowała, że nie był zachwycony.

– Masz zamiar *wahadełkiem* szukać czegoś, co jest pewnie najlepiej strzeżonym przedmiotem w całym Finfolk?

Ove posłał mu zniecierpliwione spojrzenie.

– A teraz robisz się jeszcze małą Cleto? – Obruszył się. – Jak połączysz ich charakterki w jedno, to na starość będzie z ciebie zrzedliwa jędza. Dajcie mi się skupić.

Zamknął oczy, trzymając wahadło tuż przed nosem. Ruszało się z prawej na lewą, po czym stanęło sztywno w miejscu. Srebrny wisiołek się naprężył.

Naraz wahadło zaśniło czystym blaskiem. Zdawało się, że wewnątrz kryształu wzeszedł księżyc. Światło szybko objęło cały salon. Callen i March osłupiali patrzyli, jak ściany stają się przezroczyście. Każde z magicznych drzwi uwydatniły się, jaśniejąc inną aurą. Pod podłogą ukazała się ziemia, a w niej korytarze żłobione przez krety i dżdżownice. Wyglądało to tak, jakby zamiast Domu Wiedźm widzieli teraz jego trójwymiarowy szkielec.

March szybko zrozumiała, że czar Owego to dla niej szansa. Zerwała się z podłogi i pobiegła do kuchni. Dokładnie pamiętała przecież, w którym miejscu siostry Malloway schowały atamor, niewielki alchemiczny piec potrzebny do stworzenia kryształu. Gdy jednak wbiegła do pomieszczenia, zawiedziona odkryła, że choć ściany były tak przezroczyste jak tafla wody, to skrytki z kryształem już nie było.

– Co się dzieje?

Drgnęła, czując na ramieniu ciepłą dłoń. Przez chwilę miała nadzieję, że spotka znów którąś z sióstr Malloway, ale gdy się odwróciła, zobaczyła tylko zmartwionego Callena. Tuż za nim stał Ove, w rękę wciąż trzymając wahadełko, które powoli blaknęło, aż wreszcie całkiem zgasło, zabierając ze sobą magię.

– Nic takiego – odparła.

Od dalszej rozmowy wybawił ją dochodzący z góry słaby głos matki, wzywającej jej imię.

– Muszę lecieć. – Wyrwała się Callenowi, który ciągle lekko zaciskał dłoń na jej ramieniu.

– Eliksir! – zawołał za nią. Podał jej fiolkę z czarnym płynem. Gdy ją zabrała, zacisnął palce wokół jej dłoni i zdawało się, jakby przez kilka sekund oboje chronili znajdującą się w naczynku miksturę.

March spojrzała na niego lekko zdumiona.

– Nie martw się – powiedział.

– Dzięki. – Wysunęła dłoń i pobiegła na górę, wciąż czując na skórze jego delikatny dotyk.



Fakt, że matka ciągle pamiętała jej imię, był dla March pocieszający. Dawniej bała się, że Emma Sky jej nie kocha, sądziła, że została przez nią adoptowana i kobieta żałowała tej decyzji. Teraz March nie wiedziała już, co było prawdą. Matka skrywała ją przecież

w plątaniu niejasnych wspomnień. Jednak to, że nie zapomniała jej imienia, stanowiło dowód: córka była dla niej ważna, może nawet najważniejsza na świecie.

March pomogła jej wypić eliksir, którego Emma nie była w stanie sama utrzymać w drżących dłoniach. Zawsze po wypiciu go jej stan nieco się poprawiał. Wtedy dziewczyna pomagała jej wstać i wspólnie spacerowały po Domu Wiedźm. Codziennie ta krótka wycieczka stanowiła dla matki rodzaj odkrycia. Patrzyła na każde miejsce tak, jakby widziała je po raz pierwszy, na nowo doświadczała też magii Domu Wiedźm.

– Jak się czujesz? – spytała March, gdy siedziały razem na miękkim łóżku w pokoju Cleto Malloway.

Emma spojrzała na córkę tak, jakby jej ciągła obecność ją zdumiała, a po chwili znów zaakceptowała ją jak niezmienny fakt.

– Dobrze – odparła cicho.

– Mamo... – szepnęła March. Lubiła teraz używać tego słowa. Było jak koło ratunkowe. – Pomogę ci, a wtedy wszystko sobie przypomnisz. I przypomnisz mi to, kim jestem.



– Martwię się o nią – przyznał Callen, choć Ove o nic nie pytał. Wystarczyło jednak, że patrzył na niego tym ciekawskim wzrokiem. To spojrzenie niewiele się zmieniło od czasów, gdy był kotem.

– Jak zwykle da sobie radę – stwierdził, obracając w rękach cygarnicę.

– Skąd ją masz? – Callen zerknął na przedmiot. Cygarnica miała aksamitnie czarny kolor, a zdobiące ją runy lśniły jak prawdziwe złoto.

– Od Irmy – powiedział Ove i ścisnął ją mocniej.

To imię wiele wyjaśniało, gdy padało z jego ust. Odkąd czarownik odzyskał ludzką formę, Callen miał wrażenie, że jeszcze częściej

wracał wspomnieniami do młodszej siostry Malloway. Z tego, co opowiadał, łączyło ich uczucie jak z romansu.

– Więc co z March? – spytał czarownik.

Callen wzruszył ramionami i się odwrócił.

– Nic, po prostu się martwię. To trochę moja wina, że tu jest.

– Nawet bardzo trochę.

– Twoja też – zauważył chłopak.

– Być może, ale ja nie lubię poczucia winy. Jest bezproduktywne. Jeśli już coś komuś zrobiłeś, to spróbuj to jakoś odwrócić albo naprawić.

Callen zastukał palcami w stół.

– Co, jeśli nie można odwrócić tych rzeczy?

Pytał bardziej siebie niż Ovego. Często do tego wracał. Czy mógł zrobić coś, by uchronić March przed rzeczami, które jej zafundował? Kiedy się nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że o wiele lepiej byłoby spędzić całe życie w sierocińcu, tym samym pozostając jedyną osobą w mieście tak głęboko dotkniętą klątwą Wyrd. Przez jego zmagania inni mieli tylko kłopoty. Najpierw March, potem Isel, wreszcie Emma Sky, nie wspominając o przypadkowych osobach po drodze.

Tak czy inaczej, wyrzuty sumienia były lepsze od rozmyślania nad tym, że coś innego kazało mu się martwić o March. Gdy o tym myślał, czuł na ustach tamten pocałunek. To było szalenie dziwne, zupełnie jakby od tamtego momentu ich aury jeszcze się od siebie nie odlepiły.

– Co, jeśli nie uda się pomóc jej matce? – spytał.

– Uda się – stwierdził Ove z pełnym przekonaniem. – Bo wiesz, w tym wszystkim chodzi o umysł. A od umysłu zaczniemy. I być może już wiem jak...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Hypnos niewiele wiedział o swoim ojcu. Nie chciał go poznać. Nie tęsknił za nim. Władca odszedł dawno temu, a to, jak do tego doszło, stało się legendą.

Przed ponad tysiącem lat wygnany Król stoczył ze swoją żoną bój o wpływy. Wyrd zwyciężyła, skazała męża wraz z jego poplecznikami na banicję, a imię władcy miało zostać na zawsze zapomniane. Ponoć on sam został uwięziony gdzieś w Jaarze i tylko królowa potrafiła wskazać to miejsce. Wkrótce miał je poznać Hypnos.

– Nie mogę sama go unicestwić – oznajmiła Wyrd, gdy wrócili do pałacu. – Wiąże mnie przysięga.

Dla Hypnosa ojciec mógł być przeszłością, lecz w żyłach Wyrd jego historia pulsowała jak gorąca krew. Księżę zrozumiał, że pozostawienie władcy przy życiu wiązało się dla jego matki z ciągłym poczuciem zagrożenia. Trudno było to sobie wyobrazić, skoro dla całej krainy Wygnany Król był raczej echem starej opowieści. Jedyną pamiątką, która pozostała po nim w Mieście Snów, było jego magiczne nasienie. Władczyni przechowywała je w sobie i gdy chciała, wydawała dzięki niemu na świat kolejne fery. Więc jeśli Wygnany Król mógł nazywać się ojcem Hypnosa, to tylko poprzez ten potężny, nieskończony strumień magii, w którym tak naprawdę niewiele już było jego osoby.

Wyrd nie powiedziała księciu, jak ostatecznie pokonać króla. Nie mogła tego zrobić. Musiała używać szyfru. Hypnos spodziewał się pierwszej wskazówki jeszcze tej nocy, więc gdy usłyszał kroki za drzwiami komnaty, zerwał się i otworzył je, jeszcze nim usłyszał pukanie.

– Leila? – spytał zdumiony.

Ferini bez słowa weszła do jego sypialni. Czuł w jej niby spokojnych ruchach pewną nerwowość. Rozejrzała się po pomieszczeniu, po czym obrzuciła brata takim wzrokiem, jakby próbowała ocenić jego możliwości jako wojownika.

– Dla ciebie – rzuciła, wręczając mu jakiś amulet. Kształtem przypominał piramidę. Na jej szczycie widniało wgłębienie w formie siedmioramiennej gwiazdy, jednego z symboli Aisligen.

– To od matki? – spytał.

– A jak sądzisz? – prychnęła Leila.

Zmarszczył czoło, szybko czytając jej emocje. Była wściekła.

– Co? – warknęła. – Już wszystko o mnie wiesz, tak? Jedno spojrzenie i zostałam odkryta?

– Tego nie powiedziałem – odparł powoli.

– Ale dobrze – ciągnęła. – Więc ci powiem, wielki empato. Wiem, że matka pokazała ci coś ważnego. Dlaczego akurat tobie?

Zaśmiał się w duchu. Spodziewał się, że Leilę rozjuszy fakt, że właśnie jego matka wybrała do swojej misji. Wszyscy spodziewali się, że to ona zostanie następczynią. Wykazywała się największą odwagą w obronie Miasta Snów i najsilniej nienawidziła ludzi. Poza tym jako córka mogła być królową – on zaś musiałby znaleźć sobie królewską małżonkę, bo tylko ferinie mogły gromadzić w sobie moc krain i poprzez nią wydawać na świat potomstwo. Ta zdolność czyniła je władczykami.

– Być może to mnie najbardziej ufa? – odparł Hypnos.

Leila wybuchnęła śmiechem.

– Tobie? – rzuciła. – Dlaczego? Dlatego, że *nic* nie poczułeś do tej wstrętnej, ludzkiej dziewczyny?

Książkę poruszył się niespokojnie.

– Myślisz, że nie wiem? – Leila wykorzystwała ten moment słabości.

– Ale ja to widziałam. Kiedy pierwszy raz walczyliśmy z obrzydliwą Sky, już prawie ją miałam. Ale ty podałeś jej broń.

Odczekała moment, napawając się swoim triumfem.

– Co? – spytała. – Nie tak było?

– Ja wcale jej nie...

Hypnos nie mógł skłamać. Gdy March walczyła z jego siostrą, faktycznie kopnął w jej kierunku athame. Nie wiedział, co nim wtedy kierowało. Może był to przebłysk poczucia sprawiedliwości? Dziewczyna była bezbronna w starciu z ferinią. A może coś innego podyktowało mu tamten ruch? Jako empata dobrze rozumiał uczucia innych, co nie znaczyło, że nie miał problemu z własnymi. Często wracał do tamtej walki. Pomógł March, to prawda, ale dlaczego to zrobił? Czy to miało jednak znaczenie? Gdyby nie wykonał tamtego ruchu, Sky nie uwierzyłaby mu potem, gdy próbował pozyskać jej zaufanie w Finfolk.

– Królowa mi ufa – odpowiedział ostrzej.

– Nie myli się? – Leila podeszła tak blisko, że poczuł jej naelektryzowaną aurę.

– Nie – wycedził.

Jeśli inni mu nie wierzyli, jeśli on sam sobie nie do końca dowierzał, miał jeszcze tę pewność, że zaufanie pokładała w nim Wyrd. A Wyrd się nie myliła. Hypnos *kochał* Miasto Snów miłością większą niż ta, którą zdołałby obdarzyć kogokolwiek i cokolwiek innego.

Nagle z Leili spłynęło całe napięcie. Odsunęła się od brata z uśmiechem.

– Więc chyba i ja będę musiała ci zaufać, prawda? – spytała.

Jej mina, teraz wyjątkowo łagodna, wzbudziła jego niepewność.

– Przecież tylko się z tobą droczyłam. – Szturchnęła go łokciem. – Oczywiście, że będę cię wspierać, braciszku.

Kłamała. Z całą pewnością.

– Mam jeszcze coś dla ciebie – powiedziała, zdejmując jeden z połyskujących na jej piersiach amuletów, szmaragdowe Oko Węża, symbol ochronny Aislingen. – Niech cię chroni – dodała, zawieszając mu go na szyi.

Aura wisiora była ciężka, wzmocniona każdą walką, którą stoczyła Leila.

– Lei miał taki sam. – Spuściła wzrok. Jej brat bliźniak zginął podczas tej samej walki, w której Hypnos pomógł March. Zdawało się, że od tamtego czasu ferini nienawidziła Sky mocniej niż królowa.

– Dziękuję – powiedział księżę. – Wybacz, ale muszę się przygotować przed wędrowką. Jeśli mam wyruszyć jutro...

– Jutro? Nie. Królowa wydała rozkaz, byś ruszył natychmiast. Już na ciebie czekają. Wolno ci podróżować jedynie pod osłoną nocy. Właśnie to miałam ci przekazać.

Zaśmiała się na widok jego zdumienia.

– Myślałam, że przynajmniej tego będziesz się spodziewał. Niestety matka nie dodała ani słowa więcej. – Cmoknęła. – Więc powodzenia, braciszku. Cieszę się, że w końcu czeka cię bój. Stań się wojownikiem.

Nim wyszła, zmierzwiła mu włosy, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że tylko za to go ma: młodszego brata, któremu z pewnością się nie powiedzie, bez względu na zadanie, które powierzyła mu Wyrd.

Zebrał kilka swoich rzeczy tak szybko, jak mógł. By nie tracić więcej czasu, przeniósł się magicznie tuż przed pałac. W blasku pochodni dostrzegł u stóp Ametystowego Snu wydłużone cienie kilku ferów siedzących na enbarach, wierzchowcach należących do wojsk Wyrd. Miały łapy i grzywy lwa, potężne skrzydła, a ich smocze ogony wydawały się grube jak cielska pytonów. Ferów było siedem.

Hypnos przystanął, gdy zdał sobie sprawę, że twarze jeźdźców zasłaniały szczelne srebrne maski. Ich ciała oplatały ciemne peleryny, spod których wystawały jedynie skrzydła.

– Kim jesteście? – rzucił z udawaną pewnością.

Tylko jeden z ferów mu odpowiedział.

– Wybacz, panie, ale nie możemy ci tego zdradzić – odparł głosem, którego Hypnos nie rozpoznawał. – Rozkaz twej matki.

Ponadto tylko mnie wolno z tobą rozmawiać. Jestem dowódcą. Reszta musi milczeć.

Książę zmarszczył czoło.

– Dokąd zmierzamy? – spytał, podchodząc do jedyne go enbara pozbawionego jeźdźca.

Poklepał go po lwiej paszczy. Zwierzę od razu pozwoliło mu się dosiąść.

Fer, do którego skierował pytanie, milczał.

– Zapewne o tym też nie wolno ci mówić? – prychnął Hypnos.

Dowódca nieznacznie skinął głową.

– Więc ruszajmy – zarządził książę.

Łapy enbarów nie powodowały najmniejszego odgłosu, gdy zwierzęta ruszyły w stronę pałacowej bramy. Jeźdźcy minęli świątynię o lśniącej, jajowatej pokrywie. Dalej znajdował się Most Marzeń, utkany z samych snów. Miał barwę księżycowej wody, w której odbijał się blask odległych światów.

– Zatrzymajcie się – rozkazał Hypnos, nim wkroczyli na most. – Zaraz wracam.

Zsiadł z enbara i oddalił się w stronę rzeki kręgiem otaczającej pałacowe tereny. Obejrzał się za siebie, by mieć pewność, że nie śledzą go oczy jego towarzyszy, po czym szybko zdjął Oko Węża od Leili i wrzucił je do ciemnej toni. Wiedział, do czego siostrze miał służyć ten podarek – nie miał zamiaru dać się jej śledzić. Teraz na jego szyi połyskiwał już tylko amulet od matki.

– W drogę! – rzucił, na powrót dosiadając enbara.

Tuż przed mostem obejrzał się za siebie, by zerknąć na Ametystowy Sen. Jego spiczaste wieże emanowały magią krainy i zdawały się całować czarne niebo rozciągające nad nią opiekę. Tak było zawsze i tak musiało pozostać. Teraz spoczywało to w jego rękach.

ROZDZIAŁ PIĄTY

March mocniej naciągnęła kaptur ciepłego futra Irmy, które wygrzebała z jej szafy. Było na nią oczywiście za duże, jak wszystkie rzeczy więdźmy, za to dobrze chroniło przed zimnem, gdy stała przed ratuszem Finfolk oświetlonym rzędem idealnie rozłożonych latarni ulicznych. Noc była głęboka, lśniąęe drobinki śniegu wirowały poruszane gwałtownym wiatrem, smagając twarze March i Callena. Stojący przed nimi w długim płaszczu Ove w ogóle nie przejmował się zawieruchą. Ani słowem nie wspomniął też, co zamierza.

– No i co? – niecierpliwiła się March, gdy spoglądał na swoją cygarnicę. – Będziemy tak stać?

– Daj mi kilka chwil – mruknął.

Wymieniła spojrzenia z Callenem. Chłopak przewrócił oczami, po czym ciasno opatulił się szalem, który w połączeniu z wielką, wełnianą czapką nadawał mu wygląd dziecka. Wywoływało to w March coś pomiędzy uciechą i rozczuleniem.

– A tak swoją drogą, to jak masz zamiar tam wejść? – spytała.

– To akurat nie będzie problem – odparł Ove. Potem wyciągnął z cygarnicy swoje wahadło i zbliżył się do ratusza. Ruszyli za nim, ale on wcale nie podszedł do drzwi. Przyglądał się wzorom wyrysowanym na gzymsie.

March nigdy nie sądziła, że Finfolk może okazać się magiczne, a nawet gdy już zrozumiała, że na magię można tu dosłownie nadepnąć, wciąż żywiła do miasteczka niechęć, której sama do końca nie pojmowała. Po części chodziło pewnie o wszechobecną tu nudną perfekcję. Ratusz stanowił kwintesencję *ułożoności* Finfolk. Oświetlony blaskiem latarni sprawiał wrażenie antycznej świątyni. Dach podtrzymywały cztery kolumny, a ku drzwiom, do których

równy przyklejone były rozmaite ogłoszenia, prowadziły białe schodki.

Ove przechadzał się wokół kolumn, nucąc pod nosem. Wahadło w jego ręce kiwało się w tę i w tę. W końcu czarownik przywołał do siebie towarzyszy.

– Widzicie? – Palcem w czarnej rękawiczce sunął wzdłuż pęknięcia na tyle jednej z kolumn.

– Rysa na idealnym obrazie Finolk? – zaśmiała się March. – Dobrze, że od strony wewnętrznej, bo nikt tego nie zobaczy.

– Przyjrzyjcie się lepiej.

Callen przysunął nos tak blisko kolumny, że prawie jej dotknął. March dostrzegła, że pęknięcie oddziela od siebie dwa rzeźbione, uskrzydłone węże. Od strony zewnętrznej kolumna była całkiem gładka. Ozdobiono ją w taki sposób, by tylko ktoś bardzo uważny mógł podziwiać rzeźby.

– To jakaś wskazówka – zrozumiała March. – Ale co to znaczy?

Ove milczał, jakby znał odpowiedź, ale nie był jej pewien.

– I po co w ogóle umieszczać wskazówki, jeśli chce się coś ukryć? – dodała dziewczyna.

– Jeśli chcesz coś ukryć magicznie – powiedział Callen – musisz to zrobić w taki sposób, żeby dało się rozwiązać zagadkę. To jedno z praw magii.

– Chyba mówił o tym twój ojciec – przypomniała sobie March. Właśnie dlatego odkryła tajemne imię Wyrd: bo istniał sposób, by to zrobić, a jej się udało go znaleźć, nawet jeśli nie umiała do końca powiedzieć jak.

– Ktoś, kto zataił rzecz, której poszukujemy – powiedział Ove – chciał, żeby ją odnaleźć, zapewne na wypadek gdyby doszło do kolejnego starcia z Aislingen.

Rozpalił cygaro i zaciągnął się dymem. Pozwolił mu gładko wypłynąć przez ułożone w dzióbek wargi.

– Powiedzcie mi – dodał – *kiedy* zbudowano ten ratusz?

– Nie wiem, raczej nie zimą, bo na tym mrozie można zamarznąć – uznała March.

Ove przewrócił oczami.

– Odpowiedź na pytanie brzmi: nie wcześniej niż w dziewiętnastym wieku. Ktoś jakimś cudem pamiętał o wydarzeniach z Finfolk po siedmiuset latach. To dziwne, bo kiedy światy zaczęły się rozłączać, nieprzynależący stopniowo zapominali o Jaarze. A przecież to oni zbudowali ratusz.

Rzucił im pełne satysfakcji spojrzenie.

– Całe szczęście, że nie jestem już kotem – stwierdził, gasząc cygaro. – Na dwóch nogach przydam się wam o wiele bardziej.

Wreszcie ruszył ku drzwiom ratusza.

– Jak masz zamiar tam wejść? – zastanawiała się March, rzucając przy okazji okiem na ogłoszenia na drzwiach. Nie znalazła nic wartego uwagi. Najwyraźniej wszyscy zapomnieli o kilku dziwnych wydarzeniach, które się tu rozegrały.

Ove znów otworzył cygarnicę.

– Nie pytaj – powiedział, wyciągając z niej sporą agrafkę – tylko *patrz*.

Agrafka rozbłysła magią. Umieścił ją w zamku i gładko przekręcił. Drzwi natychmiast stanęły przed nimi otworem.

March była w ratuszu po raz pierwszy. Budynek miał podwójne, zakręcane schody – między kondygnacjami umieszczono szyb na windę. Podłogę wyłożono płytkami ułożonymi w szachownicę. Na parterze stało pięć dużych posągów.

Callen z podziwem otworzył usta.

– Od początku mieliśmy pod nosem *coś takiego* i się nie kapnęliśmy?

Ove wyjął z cygarnicy lupę (March nie zdumiałaby się nawet wtedy, gdyby trzymał w niej przenośny namiot) i zaczął po kolei przyglądać się posągom. Oczywiście ukazywały przedstawicieli pięciu frakcji. Jedna z figur trzymała w ręku różdżkę, inna opierała się o miotłę, na górze stała podobizna człowieka całkiem podobnego

do burmistrza, Alaistera McHagena. Poza tym była tu figura przedstawiająca kobietę z wyciągniętymi jakby do modlitwy ramionami i uniesioną głową. Ostatnia ze statui kojarzyła się March ze zjawami z Puszczy Krzyków.

– Te schody... – zaczął Callen, zbliżając się do kondygnacji. – Wyglądają jak rzeźba na kolumnie.

March też skojarzyła zawijane schody z ciałami skrzydlatych węży.

– Figury są podpisane – dodał Ove. – Po łacinie. *Homo est magi ab spirituum, sacerdos est pythonissam.*

– To jakaś inkantacja? – spytała dziewczyna.

– Nie – odrzekł. – To znaczy: „Człowiek jest magiem duchów, kapłanka to czarownica”. Pięć frakcji.

– Nie chce mi się wierzyć, że ten napis był tu cały czas i nikt nie zwrócił na niego uwagi – powiedział Callen.

– Może zwrócił, ale niewiele z tego rozumiał – stwierdził Ove. – Wszyscy wiedzą, że Finfock jest dziwne, no nie?

Sięgnął po kolejne cygaro, ale March klepnęła go w rękę, nim je odpalił.

– Chcesz uruchomić alarm? – obruszyła się.

– Ach, no tak, współczesne wynalazki. – Przewrócił oczami.

Wcale jednak nie schował cygara. Pstryknął tylko palcami, zapewne wyłączając czujniki dymu, i z diabelskim uśmiechem zapalił. Zaciągnął się kilka razy, po czym znów zgasił cygaro i usiadł na podłodze.

– No dalej, chodźcie tu – polecił im. – Pora na magię.

Trzymał już wahadło, ściskając palcami łańcuszek. Oddychał spokojnie, dając sobie chwilę na skupienie, po czym przesłał narzędziu własną energię.

Ratusz zamienił się w kaskadę migoczących blasków. Ściany sprawiały wrażenie rozwodnionych. Ukazały się pod nimi wszystkie pomieszczenia, powietrze wibrowało pod wpływem magii ujawniającej. Ale coś było nie tak. Tutaj zaklęcie działało inaczej niż w Domu Wiedźm. Tam cała przezroczysta konstrukcja utrzymywała

się w tej samej formie, a w ratuszu energia jakby zastygła i zmieniała się w wielkie płyty. Schodziły ze ścian jak nagle zdzierany tynk.

– Ove – jęknęła March, szturchając skupionego czarownika.

– Nie przeszkadzaj mi teraz – rzucił. – Rozglądajcie się.

Callen fiksował wzrok na suficie.

– Jesteś pewien... – March urwała z krzykiem, gdy pod ratuszem zatrzęsa się ziemia.

Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Callen i March rzucili się na Ovego, by wzajemnie się zasłaniać, gdy z sufitu zaczęły spadać na nich odłamki zastygłej energii. Uderzały o podłogę, tłukąc się na coraz mniejsze, ostre fragmenty.

Ove natychmiast przerwał czar. Schował wahadło i zamknął cygarnicę, ale to nic nie dało. Ratusz wciąż trząsał się w posadach, ściany pękały.

Serce March waliło jak oszalałe. W panice zapomniała wszystkich zaklęć. Nagle Callen pociągnął ją za rękę. Zakrywając się kapturami, pędzili wraz z Ovem w stronę wyjścia.

– Jasna cholera! – zaklął chłopak. – Co się dzieje?! Co się...
Aaach!

Prawie rąbnął o podłogę. Niechcący tak mocno pociągnął March za rękę, że byłby wyrwał ją ze stawu. Dziewczyna krzyknęła z bólu, ale nie dała Callenowi upaść. Minimalnie odstawiając oczy, biegła dalej, lecz wyjście najwyraźniej się od nich oddalało lub pędzili w miejscu, bo wciąż znajdowali się na środku ratusza. Duch budynku uwięził ich i zaciekle atakował.

– O matko! – krzyknęła March, gdy energia zaczęła tworzyć u sufitu sopele. Jeden po drugim roztrzaskiwały się u ich stóp.

Ove wymachiwał cygarem. Sypiące się z niego iskry wystrzeliwały w stronę sopli, rozbijając je w locie. Wreszcie czarownik objął całą ich trójkę czymś na wzór ognistej bańki.

– Nie stójcie jak ciotki! – warknął. – Wzmocnijcie czar ochronny!

– Jak? – zawołała roztrzęsiona March.

– Użyj swojej *energii!*

Callen już dotykał ognistej bańki, zasilając ją aurą płynącą z dłoni. Otaczający ochronę ogień wzmacniał się.

March zamknęła oczy. Jak zwykle zaczerpnęła moc z brzucha. Czowała się, jakby miała wymiotować, ustami, nosem i całą sobą wyrzucić na zewnątrz magię.

– Tylko nie za mocno! – rzucił Ove.

Nagle drzwi ratusza się otworzyły. Magia przysła, jakby w ogóle jej tu nie było. Pomieszczenie wróciło do poprzedniego stanu. March zamarła z szeroko otwartymi ramionami, spod jej palców wciąż jeszcze płynęła energia. Bańka ochronna się rozproszyła.

Do ratusza wpadła śnieżna zamieć. Ktoś mocował się z wichurą, by zamknąć drzwi. Trzasnął nimi z takim impetem, że March aż podskoczyła. Od razu rozpoznała w przybyszu burmistrza.

Alaister McHagen nie wydawał się ani odrobinę zaskoczony ich obecnością.

– O szlag – jęknął Callen, dostrzegając w jego dłoni strzelbę.

– Znów złodzieje? – McHagen ruszył w ich stronę. – Ile razy jeszcze przyjdziecie nas obrabować, co? Jeszcze się nie nauczyliście, że mam sposoby na takich jak wy?

March wymieniła zdumione spojrzenia z towarzyszami. Strzelba i gadanie o złodziejach jakoś nie pasowały do sytuacji. Cała astralna struktura ratusza prawie zwała im się na głowy. Czy burmistrz w ogóle zdawał sobie z tego sprawę?

Ove pierwszy zbliżył się do burmistrza.

– Nie zbliżaj się! – ostrzegł ten. – Bo strzelę!

– Nie sądzę – odparł czarownik. Głos miał teraz głęboki i chłodny.

McHagen, początkowo tak odważny, najwyraźniej zaczął się go bać, bo cofał się w stronę drzwi, aż wreszcie o nie uderzył.

– P-powiedziałem, nie z-zbliżaj się! – wyjąkał. – Ja nie pudłuję!

– Z takiej odległości byłoby trudno – zaśmiał się czarownik, stając tuż przy strzelbie. – W każdym razie ani do nikogo nie strzelisz, ani stąd teraz nie wyjdiesz. Usiądziesz sobie, bo mamy do ciebie kilka pytań.

Burmistrz zaczął błędzić wzrokiem. Wreszcie strzelba wypadła mu z rąk. Potem, mijając March i Callena tak, jakby nie istnieli, ruszył w stronę schodów.

– Zapraszam do mojego gabinetu. – Skinął na nich ręką, otumaniony.

– No – ucieszył się Ove, oddychając z ulgą. – Dobrze, że wciąż to potrafię.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Alaister McHagen był dziwacznym człowiekiem, a czary tylko spotęgowały tę dziwaczność. Gdy usiadł na fotelu w swoim dużym gabinecie, zdawał się zapierać nogami o podłogę, na wypadek gdyby ktoś chciał go stąd usunąć. March raz po raz zerknęła na jego brzuch, wylewający się spod fraku, a Callen przyglądał się zakręcanemu wąsowi, który burmistrz wciąż poprawiał. Ove nachylił się nad nim, uważnie badając źrenice mężczyzny, po czym usiadł naprzeciwko niego, gotów do przeprowadzenia wywiadu. Sięgnął do kieszeni swojego płaszcza i wyciągnął stamtąd zmiętą kartkę.

– Co tam masz? – spytał Callen.

– Kilka rzeczy, które sobie... Ej! – zawołał Ove, gdy chłopak wyrwał mu świstek.

– Prowadzisz jakieś śledztwo? I nic nam nie powiedziałaś?

– Ja też chcę zobaczyć! – zawołała March, ale czarownik był szybszy.

– Zaraz wszystko się wyjaśni – rzucił, zabierając kartkę z powrotem – a teraz bądźcie łaskawi dać mi spokój i nie przerywać.

Każdy ruch burmistrza był ociężały i mechaniczny.

– Co mu zrobiłaś? – spytała March.

– To chyba jasne – odparł za Ovego Callen. – *Omamił* go.

March poczuła, jak coś przewraca się jej w żołądku. Mamienie kojarzyła tylko z ferami i była to najgorsza rzecz, jaką mogły zrobić człowiekowi.

– Wcale go nie *mamię*, tylko lekko hipnotyzuję – zdenerwował się Ove. – Jeśli nie widzicie takiej potrzeby, to proszę bardzo, wpadnijcie na lepszy pomysł. A jak żadnego nie macie, to zamknijcie się i dajcie mi zadać kilka pytań.

McHagen sprawiał wrażenie, jakby słowa nie do końca do niego docierały. Ove zajął miejsce naprzeciwko niego. March i Callen stanęli po jego bokach z założonymi rękami.

– Kim jesteś? – To było pierwsze pytanie Ovego. Jeśli March dobrze odczytała minę Callena, zaskoczyło go ono równie mocno jak ją.

– Jestem burmistrzem... jestem Alaister...

McHagen albo nie wiedział, jakiej odpowiedzi się od niego oczekuje, albo walczył z czarem i próbował ją ukryć.

– Zapytam inaczej – powiedział ostrzej Ove. – Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy?

– Alarm – rzucił burmistrz.

– Jaki alarm?

– Magiczny. Nie jestem czarownikiem, ale zawsze jak coś się tu dzieje, czuję ucisk w żołądku. – Nacisnął swój wielki brzuch. – Dokładnie tutaj, jakby przewracały mi się flaki. I już wiem, że muszę się zjawić.

– Więc kim jesteś? – spytał ponownie Ove.

– Obrońcą tego miejsca.

– Dlaczego go pilnujesz?

– Bo... – McHagen znów zaczął się miotać.

– Patrz mi głęboko w oczy – rozkazał Ove.

Spojrzenie czarownika było wlepione w burmistrza. Żaden z nich ani razu nie mrugnął. March czuła połączenie między nimi, jak więź drapieżcy z ofiarą. Zrozumiała, że Ove mógł znacznie więcej, niż tylko zmusić McHagena do odpowiedzi – mógł całkowicie go omotać. To nią wstrząsnęło. W tym momencie czarny, tłusty Piątek ostatecznie zatarał się w jej pamięci; teraz był tylko Ove, mający moc, jakiej nie spodziewała się, że mógłby kiedyś użyć.

– Widzisz mnie dobrze? – W jego cichym głosie rozbrzmiała nerwowa nuta.

McHagen pokiwał głową.

– Dlaczego właśnie ty pilnujesz ratusza? – wrócił do ostatniego pytania.

– Jestem potomkiem burmistrza, który sprawował tu urząd podczas Wielkiej Bitwy.

– Mówiąc o Wielkiej Bitwie, ma na myśli tę między ferami a ludźmi? – szepnęła March do Callena.

Potaknął.

– Więc to funkcja, która przechodzi z rodzica na dziecko? – zwróciła się do samego burmistrza.

– Tak, potrzeba pilnowania starej wiedzy płynie w naszych żyłach. Ale ja sam wiele wam nie powiem.

– Dlaczego? – odezwał się Callen.

– Bo prawie nic nie pamiętam. Wiem tylko tyle, że mam chronić tych dwóch rzeczy: ratusza i naszyjnika.

– Pokaż ten naszyjnik. – Ove wyciągnął rękę.

Burmistrz wyjął zza koszuli złoty łańcuch. Połyskiwał na nim otwierany medalion.

– Daj mi go.

Tego rozkazu McHagen nie wykonał. Przyciągnął naszyjnik do siebie, zamykając go w dłoniach jak najcenniejszy skarb.

– No dalej, daj go – powtórzył Ove.

Twarz burmistrza poczerwieniała. Walczył z własnymi rękoma, które, zmuszone niewidzialną siłą, zaczęły wyciągać się w stronę czarownika.

– Przestań! – March uderzyła w stół.

– Co ty wyprawiasz?! – rozgniewał się Ove. – Chcesz go obudzić?

– Co to ma być? Manipulujesz jego umysłem? Nie widzisz, że on robi coś, czego nie chce?

– Ale my potrzebujemy tego naszyjnika, rozumiesz?!

– To pozyskaj go w jakiś moralny sposób.

– Przepraszam, że wykonuję brudną robotę! – Twarz czarownika wydłużyła się ze złości. – Myślałem, że choć *trochę* nam zależy. Że *tobie* zależy. Co z twoją matką, March?

Policzki zapiekły ją, jakby dotknięte ogniem. Jak śmiał używać tego argumentu?

– Dobrze, niech wam będzie – westchnął wreszcie Ove. – Niech sobie zostawi ten naszyjnik. Ale nie zdejmę czaru, póki nie odpowie na moje pytania. Są ważne.

March wpatrywała się w niego jeszcze przez kilka chwil, próbując się uspokoić. Na twarzy Callena dostrzegła coś z pogranicza strachu i zaskoczenia. Ove utkwiał na nowo spojrzenie w burmistrzu i spojrzał na swoją kartkę.

– Tych obrońców jest więcej, prawda?

– Tak, ma ich każda ze starych rodzin. To znaczy... – Burmistrz zawahał się. – Tak było wcześniej, bo teraz...

– Niektórzy już nie żyją – dokończył za niego Ove.

McHagen potaknął.

– Dwie – oznajmił.

– Pani Connor i pani Dutcher?

– Co ty...? – zaczął Callen, ale czarownik powstrzymał go nieznacznym ruchem ręki.

March nie odzywała się. Na wzmiankę o kobietach naraz zakręciło się jej w głowie. Wciąż pamiętała, jak zaledwie parę miesięcy temu sądziła, że to ona w nieświadomy sposób je zamordowała.

– Dutcher i Connor były przedstawicielkami jednej frakcji – oznajmił McHagen. – Ich przodkowie byli magami, choć Bóg mi świadkiem, żadna z tych bab nie miała w sobie ani krztyny magicznej krwi.

– Ale znały tajemnicę Finfolek – odrzekł Ove.

– To nie do końca tak. – Błądzący wzrok burmistrza wędrował od twarzy czarownika do March i Callena. – My nie wiemy o tym wszystkim świadomie. To raczej impulsy, dawno zapomniana wiedza, pewien...

Na jego szyi ujawniła się pulsująca żyła; poczerwieniał, jakby miał zaraz paść. W końcu jednak odetchnął i mówił dalej:

– Chodzi o instynkt – oświadczył wreszcie. – O rzeczy, które są głęboko w duszy i nie da się ich wymazać, choćbyś chciał. Większość z członków naszych rodzin żyje w przeświadczeniu, że coś tu jest, w tej ziemi. Kryje się tu stara magia, a my ją chronimy i nie wiemy nawet dlaczego. To rzecz święta.

– Czy Dutcher i Connor miały dzieci?

– Connor miała syna – odpowiedziała za McHagena March. – Nie pamiętam, jak się nazywa, ale czasem go widywałam, bo Connor była moją sąsiadką. Teraz chyba na dobre się wyprowadził.

Rozumiała już tok myślenia Ovego.

– Od początku podejrzewałaś, że Dutcher i Connor miały większe znaczenie, zgadza się? – spytała. – Inaczej Wyrd nie doprowadziłaby do ich śmierci. Nie zabiłaby ich ot tak sobie.

– To było oczywiste.

– Więc dlaczego nam nie powiedziałaś? – spytał z wyrzutem Callen.

– Bo nie miałem *pewności* i nie chciałem bardziej komplikować spraw. Już kiedy zaczął się koszmar, prosiłem was, żebyście zwracali uwagę na wszystkie dziwne wydarzenia. Omamieni zachowują się irracjonalnie, tyle że w Finfolk nie było to aż tak widoczne. Zdawało się, że oprócz was, Isel i matki March koszmar nikogo nie dotknął. Nikogo oprócz jeszcze dwóch osób.

March usiłowała sobie przypomnieć, o kim mówił.

– Twój nauczyciel – powiedział Ove – ten cały Clifford, i jakaś bibliotekarka.

– Pani Beatty – odparła dziewczyna.

– Ach, faktycznie! – Callenowi rozbłyły oczy. – On powtarzał jakieś słowa ze *Snu nocy letniej*, a ona kazała czytać ludziom baśnie.

Ove pokiwał głową.

– Nie mówiłem wam o swoich podejrzaniach po części dlatego, że nie rozumiałem wszystkiego właściwie aż do tej chwili. Wiedzieliśmy o frakcjach, ale nie podejrzewałem, że ich potomkowie wciąż mają

związki z Finfolk. Kiedy przyszli do nas ludzie ze Społeczności i pokazali nam te pięć miejsc, zacząłem się zastanawiać, czy Dutcher i Connor nie były z nimi jakoś powiązane. Ale wydawało mi się, że nie, bo sprawdziłem, gdzie mieszkali, i to nie były miejsca w pobliżu punktów wyznaczonych przez wierzchołki pentagramu.

March była pod wrażeniem jego dociekliwości.

– Pomyślałem sobie – ciągnął – że w sumie minęło sporo czasu i obie te kobiety mogły się przemieścić. Ciągle też się zastanawiałem, jak to się łączyło z bibliotekarką i nauczycielem. I tę rzecz zrozumiałem dopiero teraz, bo z tego, co mówi nasz przyjaciel – uśmiechnął się do McHagena, który zareagował otępiłą miną – potrzeba ochrony tych miejsc jest ukryta w podświadomości ich obrońców.

– Więc zachowanie Clifforda i Beatty jest proste do wytłumaczenia – stwierdził Callen. – Nauczyciel gadał o ferach, a bibliotekarka, nawet jeśli sama tego nie rozumiała, czuła, że baśnie mogą pomóc w walce z Miastem Snów, bo przecież pełno w nich ferów.

– Czyli Wyrd wiedziała, kogo zabić... – zaczęła March.

– Albo chciała to wy badać – powiedział Ove – sprawdzając, jak ludzie będą się zachowywać podczas klątwy. Co na niewiele się zdało, bo oprócz Clifforda i Beatty reszta mieszkańców Finfolk była mniej więcej zdrowa na umyśle.

– Clifford i Beatty są kuzynostwem, to potomkowie kapłanek – wtrącił McHagen, fiksując spojrzenie na ścianie. – Im rzadko się ufa, bo czasami dostają fioła.

– Każda frakcja została przeklęta w inny sposób – dodał Ove. – Wiemy, że rodzina Mallowayów miała się skończyć na Irmie i Cleto. Nawet Społeczność o to zadbała, żeby nie musieć walczyć z Aislingen. Gdyby nie zmienili mnie w kota, istniałaby szansa, że mielibyśmy z Irmą dziecko. Żeby dodatkowo się zabezpieczyć, zostawili mnie pod jej nosem. Głupio byłoby jej romansować, kiedy byłem obok, no nie?

– A Cleto? – odparła March.

– Cleto nigdy nie interesowała się mężczyznami... Ani kobietami, skoro już o tym mowa.

– A co z innymi frakcjami? – Callen zwrócił się do McHagena.

– Nieprzynależący zostali skazani, by wiecznie przebywać tylko tutaj – odparł McHagen bez większych emocji. – Nie możemy się wyprowadzać. Duchy nie mogą przejść na drugą stronę, są przywiązane do Finfolk. A potomkowie magów z czasem utracili moc.

– Czyli znamy tożsamość wszystkich potomków – powiedział Callen. – Pani Roy z sierocińca musi opiekować się mocą duchów, a my jesteśmy spadkobiercami czarownic. Ja i ty. – Spojrzał na March.

Potaknęła. Jakkolwiek niezwykle by to brzmiało, miał rację. W końcu sama Cleto Malloway nazwała ją „trzecią siostrą”.

– Wie pan o przedmiocie, który stworzyły frakcje? – zapytała burmistrza. – Co to mogło być?

McHagen utkwiał w niej spojrzenie, które z tępego nagle się wyostrzyło. Jego zamglone dotąd oczy rozbłysły. Potem, próbując coś wyjąkać, zaczął dławić się własnym językiem. Przerażona March doskoczyła do niego w chwili, gdy spuścił głowę i zemdłał.

– To było pytanie, którego lepiej było mu nie zadawać – oświadczył spokojnie Ove.

– Co mu się stało? – Callen lekko ścisnął ramię burmistrza.

– Widocznie w tej kwestii wiąże go czar milczenia, czego w zasadzie trzeba było się spodziewać. Dlatego to ja miałem zadawać mu pytania... No trudno. I tak sporo nam wyjawiał.

– Może powinniśmy go ocucić i spróbować jeszcze raz? – zastanawiała się March.

– No proszę – prychnął Ove. – Czyżby komuś jednak spodobały się moje metody?

– Nie o to chodzi, tylko...

– Bez sensu – mruknął czarownik. – Dajmy mu teraz odpocząć. Rano będzie myślał, że zasnął nad dokumentami... o, tymi. –

Podłożył mu pod nos plik kartek. – Uzna, że to wszystko mu się przyśniło. A my musimy zająć się dalszymi poszukiwaniami.

– Zostawimy go tu tak sobie? – March nie mogła uwierzyć, z jaką lekkością do tego wszystkiego podchodził.

– Tak. Będzie bezpieczny, nie martw się. Jego aura jest normalna. Facet obędzie się bez naszej pomocy. Więc za mną.

Dziewczyna, oglądając się jeszcze kilka razy przez ramię, ruszyła za towarzyszami. Gdy wyszli na chłodną noc, ucieszyła się na zimno, które tak jej wcześniej doskwierało. Teraz przynajmniej myślała trzeźwiej.

– Szlag. – Czarownik złapał się za głowę. – Zapomniałem mojej cygarnicy. Zaraz wracam.

March spojrzała na Callena. W jego lśniących oczach odbijały się światła latarni, a drobny śnieg, wciąż gęsto sypiący się z czarnego nieba, zdążył już w połowie zakryć mu kurtkę.

Zdawało się, że mroźna noc oddala się od nich, stanowi tylko tło dla czegoś ważniejszego. Nie chodziło o całą tę sprawę z Finfolk, lecz o coś głębszego. O nią i o Callena. Nagle poczuła, jakby miała na świecie tylko jego – teraz, gdy Ove zaczął zachowywać się tak dziwnie, Isel nie żyła, a jej matka codziennie na nowo zapominała, kim jest, jedyna pomocna dłoń, na jaką mogła liczyć, należała do tego chłopaka.

Od tego wszystkiego zakręciło jej się w głowie. Miała wrażenie, że w tej chwili wytworzyła się między nimi jeszcze silniejsza więź. Callen poruszył się, jakby chciał jej coś powiedzieć, ale wtedy padł na nich długi cień Ovego.

– Wracamy, co nie? Chętnie napiłbym się whisky.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Łapy enbarów nie dotykały gruntu, gdy zwierzęta mknęły przez błyszczące Morze Śniących oddzielające Aislingen od Jaaru. W oddali pojawiały się i znikaly światy, rozwiewane przez cztery potężne wiatry, zawodzące w szczelinach między rzeczywistościami.

Hypnos kochał tę wolność podróżowania z jednego świata do kolejnych. Uczepiony gęstej, pachnącej ziemią grzywy swojego enbara nie myślał ani o misji powierzanej mu przez matkę, ani o milczących ferach. Przez całą drogę dowódca słowem się do niego nie odezwał. Pozostawał na przedzie i tylko on wiedział, dokąd zmierzają. Książę rozumiał, że będzie musiał wszystkiego dowiadywać się stopniowo.

Ciemnogrnatowa przestrzeń zaczęła przyoblekać się w nowe kolory. Morze spłycało się, z dalekiego horyzontu sączył się silniejszy blask. Ogromne czerwono-złote słońce Jaaru wysyłało promienie jakby na powitanie wędrowców. Wreszcie enbary zanurzyły łapy w płytkiej już wodzie. Rozpryskując wszędzie wokół lśniące drobinki, zmierzały w stronę magicznego świata.

– Gdzie właściwie jesteśmy? – odezwał się książę, po raz pierwszy od początku tej wędrówki.

– Południowe krańce Jaaru – odparł przywódca. Jego maska jaśniała w pełnym słońcu. Jej kontury były wykonane starannie, usta rozchyłały się w niedokończonym uśmiechu, otwory na oczy były całkowicie czarne, jakby wyzierała z nich noc.

Hypnos się rozejrzał. Jaar otaczała woda – ocean Akasha. Dlaczego jednak właśnie tutaj musieli przybyć, skoro południowe krańce Jaaru dawno już zamieniły się w trudną do przebycia,

rozległą pustynię, a – jeśli księżę dobrze wszystko rozumiał – nie była to droga, podczas której wolno im było się przenosić?

Dowódca wyczytał te pytania z jego twarzy.

– Niewiele wolno mi mówić o tym, co nas czeka – oznajmił. – Droga sama musi się ujawniać, ale tak, jesteśmy we właściwym miejscu.

– W takim razie jedźmy dalej – zarządził Hypnos.

Enbary kroczyły wolniej, ich miękkie łapy bezszelestnie przemieszczały się po kamienistej ziemi. Zwierzęta instynktownie omijały czarne, wijące się rośliny – silnie trujące rozgwiazdy nocy.

Dalej wznosiły się piaszczyste góry. Dotarcie do nich zajęło enbarom zaledwie kilka minut. Droga urywała się nagle, a pustynia wyrastała za nią jak czerwony potwór, hardo zwracający twarz ku oceanowi. Dalej nie było już nic oprócz piasku, czerwonego słońca i jasnego nieba. Hypnos przypuszczał, że enbary będą zbyt zmęczone, by wzbić się w powietrze. Przypomniawszy sobie też, co mówiła Leila: *wolno ci podróżować jedynie pod osłoną nocy*.

Dowódca uniósł rękę na znak, że pora stanąć.

– Tutaj rozbijemy namioty i odpoczniemy przez dzień. Czerwona Dziewica mogłaby nas pożreć, gdybyśmy zapuścili się w nią teraz.

Czerwona Dziewica. Właśnie tak nazywały fery Pustynię Południową. Nikomu nie udało się jej poskromić, zabierała, co chciała, i rzadko pozwalała czemukolwiek na niej wyrosnąć.

Do siodeł większości z enbarów doczepione były płócienne worki. Fery zaczęły wyciągać z nich części do namiotów i rozkładać je na kamiennym pustkowiu, wspomagając się magią. Po kilku minutach na wietrze drżały kolorowe płachty.

Przywódca wyciągnął z własnej sakwy niewielką fiolkę, odnalazł dziurę w ziemi i zaczął przelewać w nią płyn z naczynka. Błyszcząca woda wylewała się bez końca, aż zamknął fiolkę i gwizdnął, by przywołać enbary. Zwierzęta natychmiast rzuciły się do picia. Były piękne. Ich potężne, silne ciała zachwyciły księcia, lśniące grzywy nabierały jeszcze większego połysku w blasku słońca, a skrzydła

rozpościerały się niezachwianie, jakby stworzono je z żelaza. Jedyne w ogonach enbarów zawsze było coś, co odstręczało Hypnosa. Całe ich ciała zdawały się należeć do słońca, jednak ogony były inne, czarne, smocze – sprawiały wrażenie zrodzonych z ziemi i wiecznie chcących do niej powrócić.

– Jak wiele możesz mi zdradzić? – zagadnął dowódcę księżę.

– Niestety nic.

– Dlaczego?

Fer się zaśmiał.

– Obawiam się, że nawet tego nie mogę ci powiedzieć.

Odszedł, uściskawszy wcześniej ramię Hypnosa tak, jakby był dla niego kimś bliskim. Ten patrzył za nim przez kilka chwil. Potem jego uwagę odwrócił enbar, który zaczął lizać mu rękę. *Jego enbar.*

– Jesteś przepiękny. – Zanurzył palce w jego miękkiej grzywie.

Enbar usiadł z wyciągniętymi przed siebie łapami, zachęcając go do dalszego głaskania.



Nie spał tego dnia. Po południu, gdy reszta odpoczywała w namiotach przed dalszą drogą, wpatrywał się w szarzące niebo, bez apetytu zagryzając kawałek chleba. Nie był głodny. Zresztą kilka kęsów magicznego jedzenia, w które zaopatrzyła ich matka, wystarczyło, by się najeść. Zbite w gromadę enbary drzemały nieco dalej.

Spoglądając na rozciągającą się na cały horyzont pustynię, Hypnos czuł się wyjątkowo nieznaczący. Był synem jednej z najpotężniejszych władczyń magicznego świata, a jednak nie miał pewności, czy zdoła stawić czoło bezmiarowi tych piaszczystych gór. Jaar był o wiele większy od Aislingen. Nie dało się go okrążyć w przeciągu jednego dnia, krył w sobie straszne tajemnice.

Czerwona Dziewica zdawała się śmiać. Jej głos w wyobraźni księcia brzmiał zadziwiająco podobnie do głosu Leili.

Wróciła do niego ich rozmowa. To, z jaką nienawiścią Leila wymawiała imię March. W nim nie wzbudzało nienawiści. Próbował ją poczuć, ale nie potrafił. To nie byłoby prawdziwe. Czasem obawiał się, że jedyne prawdziwe uczucia zdradził wtedy, gdy w towarzystwie Sky nazwał postępowanie matki niesprawiedliwym. Jeszcze nim zjawił się w Finfolk, przemyślał sobie każde mamiące słowo, które miało mu posłużyć do wzbudzenia zaufania March, lecz gdy zaczął je powtarzać, uświadomił sobie, że brały się nie tylko z jego ust, ale też z serca.

Ale jego serce kochało przede wszystkim Aislingen. Wszystko było więc kwestią wyboru. Jeśli kraina jego przodków zawsze będzie miała pierwszeństwo w jego sercu, wszystko inne znajdzie się na właściwym.

Sięgnął po kamyk, zamachnął się i rzucił go, jak najdalej potrafił, w kierunku pustyni. Zaklął w nim swoje wątpliwości. Teraz się ich pozbył.

Naraz coś ciężkiego powaliło go na ziemię. Stracił dech. Dopiero po chwili zorientował się, że ktoś rzucił się na niego – jeden z towarzyszących mu ferów. Był szybki i sprawny. Książę nie zdołał nawet krzyknąć, gdy na jego gardle zacisnęła się silna ręka. Drugą wróg wymierzył mu cios w brzuch. Hypnosowi pociemniało przed oczami. Ocuciło go kolejne uderzenie.

Zaczął się bronić.

Przeciwnik jęknął cicho, gdy książę zatopił kolano w jego podbrzuszu. Fer puścił jego gardło, jednak nim to zrobił, wyszeptał zaklęcie, które odebrało Hypnosowi zdolność mowy. Rozwścieczony książę rzucił się na niego z pięściami. Jego ruchy były nieprzemyślane – wróg parował każdy cios, a wreszcie przygwoździł go do ziemi.

Hypnos wciąż próbował rozbudzić magię, lecz czary fera blokowały jego moc. Iskry energii nieustannie kumulowały się w jego

ciele, ale za każdym razem, gdy już miał wybuchnąć, tracił szansę.

Fer znów pochwycił go za gardło. Do uszu Hypnosa wdarł się gniewny ryk, który brzmiał jak wybawienie.

Jego enbar pochwycił fera, ostrymi kłami przebijając mu brzuch. Potrząsał nim jak kukłą. Hypnos, uwolniony z czaru milczenia, zaczął krzyczeć ze strachem i obrzydzeniem, gdy czerwone strumienie ciekły z pyska zwierzęcia na białawą ziemię.

Inni wybiegli z namiotów. Otoczyli enbara, ze zgrozą patrząc na scenę. Zwierzę rzuciło martwe ciało na ziemię i ryknęło jeszcze raz, wysoko unosząc pysk.

Hypnos odsuwał się od świeżej plamy krwi. Pomagał sobie rękoma, bo nie był w stanie się podnieść. Dyszał ciężko, świat wirował mu przed oczami. Na dodatek enbar nagle położył się przed księciem. Wyglądał przy tym potulnie jak łaszący się kot, ale długimi pociągnięciami języka zaczął zlizywać ze swojej sierści krew. Książę odsunął się jeszcze trochę i wpadł na dowódcę, który złapał go za ramiona i bez zbędnej delikatności pomógł mu wstać.

– Co tu zaszło? – spytał ostro.

– On rz-rzucił się na mnie... – wyjąkał Hypnos.

Matko Duchów, co za wstyd zdradzać taką słabość przed poddanymi.

– Jak się czujesz? – Dowódca położył rękę na jego ramieniu.

– Wszystko w porządku – skłamał książę, walcząc z nudnościami.

Fer przyglądał mu się przez chwilę. Co sobie myślał? Miał go za słabeusza? Martwił się o niego? Dlaczego, *na wielkie nieba*, książę nie potrafił odczytać jego uczuć?

– Kto cię zaatakował? – Dowódca zwrócił się bardziej do siebie niż do niego. Inne, milczące fery rozstały się przed nim, gdy podszedł do rozszarpanego, ubrozonego krwią ciała. Skrzydła leżącego fera były podziurawione. Na twarzy wciąż miał maskę.

Po chwili ciało rozpląnęło się w powietrzu, pozostawiając ich bez odpowiedzi.

– I? – spytał książę, powoli odzyskując równowagę. – Kto to był?

Dowódca tylko pokręcił głową.

– Nie wiesz tego czy nie możesz mi powiedzieć? – Hypnos podniósł głos. – O co chodzi? Nawet teraz nie możesz o tym mówić? Hej! Hej!

Ale dowódca oddalał się już w stronę swojego namiotu, nie reagując na krzyki. Hypnosa opanowała taka bezsilność, jakby ktoś związał mu ręce. Milczące fery też zaczęły się rozchodzić, mijając go obojętnie.

Poczuł coś ciepłego i mokrego na dłoni. Cofnął ją z obrzydzeniem, zdając sobie sprawę, że to jego enbar znów pieszczotliwie go liże. Jego pysk wciąż pokrywała zakrzepła krew.

– Zostaw. – Rozgniewał się. Złagodniał jednak na widok ciemnych oczu zwierzęcia i zmusił się, by znów pogłaskać towarzysza.

Enbar mruknął. Był to odgłos łączący w sobie groźbę i zadowolenie, wybrzmiewające w tak idealnej harmonii, w jakiej nie mogłyby się zrodzić w gardle chyba żadnej innej istoty.

– Dzięki. Gdyby nie ty...

Westchnął, a enbar wciąż cicho pomrukiwał.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Wierzysz, że po prostu zapomniał cygarnicy? – spytała March, przyglądając się iskrom trzaskającym w kominku.

Jedno spojrzenie Callena wystarczyło, by potwierdzić jej obawy.

– Więc zabrał mu ten amulet – westchnęła, wbijając wzrok w tańczące płomienie. – Niech go szlag.

Od razu po powrocie Ove ruszył na górę. Twierdził, że jest zmęczony, ale March podejrzewała, że poszedł badać amulet skradziony McHagenowi. Bardziej martwiła ją jednak sama moc czarownika. Wiedziała, że magią można wpływać na ludzkie umysły, i pewnie w niektórych wypadkach było to konieczne, ale czy również w tym?

– Co on właściwie zrobił? – spytała, spoglądając na Callena. W blasku ognia twarz chłopaka nabierała przyjemnego, ciepłego koloru. – Jakiej użył mocy?

– Zwykłej hipnozy. Ale wiesz... On jest w tym zwyczajnie dobry, zawsze był.

Callen przybrał niepewną minę. Rozejrzał się po salonie i przybliżył do March. Ciepło jego aury było inne od gorąca uderzającego z kominka, przyjemniejsze. Może dlatego, że dziewczyna wiedziała, iż ogień Callena nigdy nie mógłby jej spalić.

– Posłuchaj – szepnęła. – To, co mówił Ove... że ukarano go po to, by przypodobać się Aislingen i tak dalej... To prawda, ale tylko częściowo. Społeczność by tego nie zrobiła, gdyby faktycznie nie miał czegoś na sumieniu.

Urwał i wbił wzrok w dywan. March dostrzegła na miękkim materiale kilka czarnych włosów. Czasy, w których Ove był kotem,

wydały jej się teraz bardzo odległe, a w pewnym stopniu nawet szczęśliwe, mimo że właśnie wtedy zaczęły się wszystkie jej kłopoty.

– Nie chcę powiedzieć, że zrobił coś bardzo... złego i tak dalej – dodał Callen. – Naprawdę nie. Ale nikt nie jest do końca dobry ani zły...

– O co chodzi? – spytała March. – Konkretnie.

Callen jeszcze bardziej się do niej zbliżył. Zetknęli się kolanami. March poczuła, jak przez jej ciało przebiegła magiczna iskra; nie zastanawiała się teraz, co to oznaczało.

– Naprawdę o nic strasznego, tylko... Zależało mu na tym kryształach alchemików, chyba głównie po to, żeby zamieniać ołów w złoto. Irma była podobna, ale...

Wzjął głęboki wdech i ciągnął ostrożnie:

– Była podobna na początku. Cleto trochę zmieniła jej nastawienie. Nie wiem tylko, czy udało jej się wpłynąć na Piątka... znaczy na Ovego... Znaczy... na nich obu? – Zastanowił się. – Bo trochę czuję, jakby oni byli różnymi osobami ...

– Callen, ja widziałam ten kryształ. Wiem, że w nim nie chodzi o żadne złoto, ale wy mi nie wierzycie, prawda? Nie wierzysz w to, że naprawdę rozmawiałam z Irmą i Cleto?

Przygryzł wargi.

– Nie chodzi o to, że ci nie wierzę. Po prostu trudno w to uwierzyć. Sądzę, że widziałas to, co nam opisałaś, ale sama chyba do końca nie wiesz, co to było.

– A gdybym na nowo sięgnęła po xerion? – Przykucnęła i nachyliła się wprost ku twarzy chłopaka. – Moglibyśmy pomóc mojej mamie...

Gdy patrzyła w błyszczące oczy Callena, poczuła, jak na nowo obezwładnia ją tamto uczucie, które doprowadziło ją do pocałunku. Cofnęła się.

– No moglibyśmy? – spytała.

Zwlekał z odpowiedzią.

– Myślę, że musimy się zastanowić nad możliwościami, które są bardziej...

– ...realne – dokończyła za niego. – Czemu się boisz to powiedzieć? Przecież ja tylko gdybam.

Ale nie umiała ukryć nadziei, którą bała się utracić. Bo była to jedna z ostatnich, jakie jeszcze miała.

– Szukajmy dalej tej rzeczy, której użyto do pokonania Aislingen – powiedział Callen po chwili milczenia. – Teraz będziemy musieli sprawdzić dawne siedziby magów i boję się, że to będzie jedna z trudniejszych zagadek.

– Dlaczego?

Chłopak się zaśmiał. Było w jego uśmiechu coś takiego, że March od razu chciała znów się do niego przysunąć.

Callen wrzucił do kominka cienki patyk.

– Bo wiesz, magowie lubią skomplikowane zagadki, świętą geometrię, język enochiański, klucze Salomona, takie tam.

March nie miała pojęcia, o czym mówił.

– Nie przejmuj się – powiedział, wstając. – Pogadam o tym z ojcem.

– Teraz?

Zegar wybił wpół do drugiej.

– On nie śpi po nocach. Pewnie go zastanę.

Zniknął za jednymi z magicznych drzwi, zielonymi, poobdzieranymi z farby. Gdy March została sama, zaczęła się zastanawiać, dlaczego tym razem to Isinbir był pierwszą osobą, u której pomocy szukał Callen. Bolesnie zdała sobie sprawę, że i on szybko tracił zaufanie do Ovego.



Isinbir nadal nie sięgał po kieliszek. Callen stwierdził to z tą samą ulgą, która zawsze towarzyszyła mu na początku każdych odwiedzin w obskurnym mieszkaniu ojca. Od czasu, gdy fer poszedł na odwyk, minęło już kilka tygodni, więc chłopak ciągle się tym martwił. *Czy jest*

trzeźwy? To była pierwsza rzecz, którą musiał sprawdzić. *Czy w domu nie ma żadnego alkoholu?*

Właśnie dlatego wymknął się z Domu Wiedźm teraz. Nie pojawiał się u ojca przez ostatnie kilka dni i narastały w nim obawy. Na palcach obszedł pokój, zaglądał pod fotele, stół i cicho otwierał szafki. Nigdzie nie znalazł alkoholu.

Po pokoju rozlało się światło.

– Callen – rzucił fer oskarżycielsko. Blask sączył się ze świetlistej kuli, która unosiła się nad jego otwartą dłońią.

Isinbir chyba nawet się tej nocy nie położył, bo jego długie, lśniące włosy były nienagannie uczesane, miał na sobie ładny, odprasowany frak. Ojciec zawsze nosił coś, by ukryć blizny pozostawione po skrzydłach wyrwanych za karę, którą nałożyła na niego Wyrd.

– Co tu robisz? – spytał.

– Chciałem tylko z tobą...

– Sprawdzasz mnie. Nie ufasz mi?

– No... nie chodzi o ciebie...

– Więc o co? – Isinbir podszedł do Callena, nie gasząc światła. W jego blasku uważnie badał twarz syna.

– Muszę ci powiedzieć o kilku rzeczach i się poradzić.

Na te słowa fer złagodniał. Lubił, gdy Callen prosił go o rady. Zapewne czuł się wtedy jak prawdziwy ojciec, którym zaczął stawać się dopiero niedawno. Chłopakowi też zależało na relacji z nim. Była trudna, czasem sądził, że niemal niemożliwa, a jednak dzień po dniu uczył się lepiej rozumieć fera.

Isinbir wskazał mu fotel i dmuchnął w energetyczną kulę, która wysunęła się z jego dłoni i zawisła nad sufitem, skąd oświetlała mieszkanie równomiernym blaskiem.

– O co chodzi? – spytał fer.

Callen zaczął od odwiedzin Społeczności.

– Kalu i Brevda. – Ojciec się skrzywił. – Tej parce za nic w świecie bym nie zaufał.

– Dlaczego?

Słowa fera nie zdumiały chłopaka, bo sam nie ufał przewodniczącym, tyle że gdy się nad tym zastanawiał, nie umiał powiedzieć dlaczego. Nie chodziło o to, że skazali Ovego czy jego; musieli to zrobić. Nie chodziło nawet o ich nagłe zainteresowanie pomocą dla March. Za jego nieufnością stał niezrozumiały instynkt.

– Od kiedy oni pełnią swoje funkcje? – zastanawiał się Isinbir. – Tak długotrwała władza zawsze jest okupiona kłamstwem i zdradą. Nikt uczciwy nie może tak długo rządzić. Popatrz na Wyrd.

– Jest jeszcze Ereshkigal – zauważył Callen.

Ojciec prychnął, dając mu do zrozumienia, co sądzi o rządach królowej Elphame.

– No dobra, ale co w związku z tym? Sądzisz, że nas zdradzą? Isinbir się namyślił.

– Niekoniecznie o to chodzi. Wiesz, być może nic wam z ich strony nie grozi. Nie wydaje mi się, żeby działali na dwa fronty, ale widocznie macie coś, czego im potrzeba.

– Myślisz, że... – zaczął Callen, wpatrzony w dywan. – Może chodzi im o kryształ alchemików? Wiesz, March twierdzi, że go stworzyła, że dokończyła proces zaczęty przez Irmę i Cleto, ale... sam nie wiem.

Westchnął. Martwiło go własne rozdarcie w tej sprawie. Ufał dziewczynie, a jednak tak trudno było mu w to uwierzyć...

– Możliwe – stwierdził Isinbir.

Callen zmarszczył czoło.

– No nie patrz tak na mnie – zaśmiał się ojciec. – W tej dziewczynie coś jest. Nigdy jej tego nie mówiłem, bo w ludziach nie trzeba rozbudzać niepotrzebnej dumy.

– Ja też jestem człowiekiem – zauważył Callen.

Isinbir machnął ręką.

– Ty to co innego.

– Niby czemu?

– Bo ty wychowałeś się, wiedząc o magii. I zobaczyłeś wystarczająco dużo, żeby zrozumieć, że zawsze będą potężniejsi od

ciebie. Inaczej jest w przypadku takich, którzy odkryli w sobie moc później. Nagle wpadają w magiczny świat i wydaje im się, że on istnieje tylko dla nich.

– I mówi to aislingeński fer. – Callen prychnął. – Zresztą March jest inna.

Wiedział, że ma rację. Znał ją lepiej niż wszyscy inni.

– Być może – zbył go Isinbir. – W każdym razie, jak mówiłem, jestem w stanie uwierzyć, że stworzyła ten kamień, co oczywiście nigdy by się jej nie udało, gdyby te twoje czarownice nie zaczęły procesu.

– To nie są żadne *moje czarownice* – wycedził Callen. – One mnie wychowały.

– No tak, nie to mam na myśli... – odparł zmieszany Isinbir. – Ale, jak rozumiem, kryształ to w tej chwili czysta abstrakcja. Czy Społeczność w ogóle o nim wie?

– Nie. March nic im nie powiedziała. Przyszli do nas z czymś innym.

Opowiedział ojcu o tajemniczej broni.

– Ove ma już jedną część tej rzeczy. No, tak mi się zdaje, bo chyba zabrał burmistrzowi amulet.

– I wam o tym nie powiedział? – zdumiał się Isinbir.

Chłopak nie był pewien, czy dzielić się z nim swoimi wątpliwościami. Miał dość wysłuchiwanie o tym, jacy ułomni są ludzie.

– Może planuje coś, o czym nie chce nam na razie powiedzieć.

Isinbir przeszył go wzrokiem.

– Może – mruknął. – Co teraz? Musicie odnaleźć cząstkę tamtej broni należącej do magów, tak?

– Tak. Myślałem, że może będziesz miał jakiś pomysł, co to za przedmiot.

Fer powoli pokręcił głową.

– Powiem ci za to coś innego. Jeśli te Dutcher i Connor pochodzą od magów, to znaczy, że magowie musieli mieć największą moc,

a przynajmniej tak zdawało się Wyrd. Bo inaczej nie zaczęłyby mordu od nich, prawda? Zapewne planowała kolejne zabójstwa. Przeszkodziło jej w tym poskromienie koszmaru.

– Ale żeby poskromić *ją*, musimy zebrać części tej broni. Jeśli Dutcher i Connor coś wiedziały, to teraz i tak już nie żyją...

Isinbir prychnął.

– *Nie żyją* – przedrzeźnił syna. – Różnica między życiem a śmiercią nie jest taka znowu wielka, a zasłonę oddzielającą nas od krainy wieczności zawsze można nieco unieść, prawda?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Trzeba nadać mu imię – myślał Hypnos, zanurzając ręce w ciepłej grzywie swojego enbara. Piasek na zatopionej w nocy pustyni przypominał grafitowe skały, a drogę oświetlały tylko srebrne gwiazdy. Temperatura znacznie spadła, więc książę mocniej wtulał się w wierzchowca. Zwierzę znów pachniało ziemią, wiosenną i mokrą.

Dowódca chciał odesłać enbara. Uważał, że był zbyt agresywny. Książę miałby w zamian dostać tego pozostawionego przez fera, który go zaatakował, ale się nie zgodził. Zbyt wiele zawdzięczał swojemu wierzchowcowi.

Enbar pozbawiony jeźdźca podążał za nimi w powietrzu jeszcze przez jakiś czas. Wreszcie zaczął zmierzać w przeciwnym kierunku, być może po to, aby odnaleźć drogę powrotną do Miasta Snów, a może by odzyskać wolność w którymś ze światów mijanych po drodze.

– Wybacz, książę, że nie mogłem z tobą rozmawiać – odezwał się znów dowódca. On i Hypnos jechali ramię w ramię. – Ciągle muszę się pilnować, by nie powiedzieć za dużo. To bardzo ważne, żeby droga objawiała się przed tobą sama.

– Tamten atak był tego częścią? – odparł Hypnos.

– Nie wiem, ale w tym właśnie sęk.

– Co przez to rozumiesz?

Dowódca namyślał się przez kilka chwil.

– Nie możemy być pewni, co nas czeka, a niektóre zagadki mają sens jedynie wtedy, gdy odkryje się je samemu. Myślisz, książę, że jako dowódca tej wyprawy wiem o niej więcej od ciebie? Nie dlatego wybrała mnie twoja matka.

– Więc dlaczego?

– Bo jestem dobrym wojownikiem.

– Skąd moja matka cię zna? Pochodzisz z pałacu czy...

– Książę – przerwał mu, mocniej ściskając lejce. – Nie pytaj mnie. Na potrzeby tej podróży sam powinienem zapomnieć, kim jestem. A zresztą i ty lepiej, żebyś zapomniał o sobie, jakiego znałeś. Cokolwiek się stanie, zmieni cię, zabij dawnego siebie już teraz, żebyś nie czuł bólu, kiedy Hypnos z przeszłości odejdzie.

To nie była pora na filozoficzne pogawędki.

– Nie znasz też tożsamości pozostałych... – głośno rozmyślał książę. – Ale każdego z nich matka wybrała z powodu ich umiejętności, to jasne. Wszyscy są dobrymi wojownikami.

Wszyscy oprócz mnie. Zakłuła go ta nieproszona myśl. Tamten fer, który go zaatakował, mógłby go zabić ot tak.

– Możemy chociaż zastanowić się, kim był niedoszły morderca, prawda? – spytał.

– Możemy. Wątpię jednak, że to cokolwiek da.

Hypnos rzucił spojrzenie na pozostałe fery. Podążały w wystarczającej odległości od nich, by nie dosłyszeć rozmowy.

– Pomyślmy raczej, jakim cudem ktoś miałby przeniknąć w nasz szereg – ciągnął. – Bo jak rozumiem, matka wybrała wszystkich osobiście.

Dowódca potaknął.

– Więc teoretycznie nie powinno tu być nikogo, kto nie życzy nam dobrze.

Fer się zawahał. W Aislingen nic nie było pewne.

– To prawda, że królowa wybrała nas osobiście – zaczął ostrożnie – każdego z powodu innych cech. Jakich? Nie wiem. Nie mogę nawet wyczuć ich aury, bo nasze maski ją blokują. Ale gdybym miał zgadywać, zastanowiłbym się nad... nad samą władczynią...

Chyba obawiał się urazić Hypnosa tymi słowami, bo zaczął się plątać. Książę słuchał jednak spokojnie.

– Ona mogłaby... – mówił dalej fer.

– Wystawić mnie na próbę? – dokończył Hypnos.

– Tak.

W pierwszej chwili księżę chciał temu zaprzeczyć. Fer *naprawdę* próbował go zabić. Matka nie mogłaby posunąć się do czegoś takiego... A może jednak by mogła? W rzeczywistości robiła gorsze rzeczy. Czy jednak wysyłałaby go tutaj, wiedząc, że mógłby zginąć na długo przed dotarciem do celu? Oczywiście musiała liczyć się z tym, że w którymś momencie jej syn może stracić życie, ale gdyby zginął od razu, byłoby to dość... nielogiczne. Zresztą kiedy twierdziła, że widzi w nim potencjalnego następcę, wydawała się szczerą...

– Co by się stało, gdyby mój ojciec powstał? – To pytanie samo wypłynęło z jego ust.

– Lepiej o tym nie myśleć – odparł dowódca. – Lepiej skupić się na drodze.



Tej nocy przerwali wędrówkę wcześniej. Gdy rozłożyli namioty, do świtu zostały jeszcze co najmniej dwie godziny.

– Nie chcę przemęczać enbarów – wyjaśnił dowódca, karmiąc zwierzęta magiczną wodą z Miasta Snów. Hypnos odwrócił wzrok od swojego wierzchowca łapczywie chłepczącego płyn. Oczami wyobraźni widział znów krew.

– Nie odpoczywasz? – Dowódca spojrzał na księcia, gdy większość ferów udała się do namiotów.

– Trudno mi się przestawić na sen za dnia. Ale kiedy tylko mogę, zasypiam na moim enbarze.

Fer wydał się tym zadziwiony.

– Skoro cię nie zrzucił, będziesz chyba jego wielkim przyjacielem – uznał i się oddalił.

Hypnos zaczekał, aż enbary się nasycą, po czym ruszył ku nim. Większość ułożyła się do snu, ale ten jego instynktownie wyczuł stojącego za nim fera i się odwrócił. Nie odstępował księcia na krok, gdy ten przechadzał się między namiotami, próbując wyczuć wrogą aurę.

– Nic. – Westchnął, patrząc głęboko w ciemne oczy wierzchowca. Żrenice enbara były złociste jak samo słońce. – Nie wiem, który z nich mnie nienawidzi – dodał księżę ciszej.

Enbar przymknął na moment oczy, jakby chciał dać wyraz temu, że podziela wątpliwości swojego jeźdźca.

– Jak mam ci dać na imię, co? – Hypnos z uśmiechem zmierzył mu grzywę.

Zaczął się rozglądać. Piasek pustyni nie podsuwał mu inspiracji, lecz gdy spojrzął w niebo, na którym świeciły jeszcze gwiazdy, od razu coś przyszło mu do głowy.

– Może Eri? – powiedział. – To od władcy niebios, Eridu, jednej z pierwszych istot stworzonych przez Świetlistych. *Eridu*, Pan Sklepienia. Jesteś władcą słońca, prawda, mój smoko-lwie?

Nagle Hypnos zamarł z palcami na grzywie enbara. Wierzchowiec natychmiast odwrócił się w kierunku jednej z piaszczystych gór, gdzie spoglądał księżę.

Ktoś tam był. Na tle ciemnogrnatowego piasku odznaczała się czarna sylwetka.

Coś podpowiedziało księciu, że powinien ruszyć w stronę nieznanego.

– Chodź. – Pociągnął Eriego za lejce. – Tym razem będziemy się trzymać blisko siebie.

Nie spuszczając wzroku z postaci, powoli się do niej zbliżał. Nieznajomy czekał. Będąc w połowie drogi, księżę dostrzegł, że musiał to być człowiek. Był wyższy od ferów, nie miał skrzydeł i stał na wyprostowanych, choć nieco chwiejnych nogach. Ubrany był w łachmany, które powiewały na pustynnym wietrze.

Hypnos przebył już połowę drogi, gdy obcy nagle odwrócił się i zaczął się oddalać.

Książę obejrzał się za siebie. Namioty tonęły w cieniu.

– Hej! – zawołał. – Ty! Zatrzymaj się! Dalej, Eri, idziemy.

Miał wrażenie, że robi się coraz zimniej. Wyglądało na to, że nieznajomy wcale nie uciekał, bo raz po raz zatrzymywał się, by sprawdzić, czy książę wciąż za nim podąża.

– Czego chcesz? – mruknął Hypnos.

Trudno było powiedzieć, jak długo trwała ta dziwaczna pogoń. Gdy nieznajomy w końcu stanął, byli daleko od obozowiska, a wszędzie dookoła piętrzyły się piaszczyste wydmy.

Hypnos przyspieszył i nie zwalniał aż do czasu, gdy był już tak blisko tajemniczej istoty, że mógł zobaczyć jej potargane odzienie. Postać otuliła się ciemną szatą jak całunem, jej strzępy unosiły się rozwiewane wiatrem. Choć książę był tylko kilka kroków od nieznajomego, ten pozostawał zwrócony do niego plecami.

– Kim jesteś? – spytał Hypnos.

Postać odwróciła się w jego stronę. Książę jęknął ze strachu. Eri zawył.

To coś... to nie żyło. Tak, poruszało się, ale było martwe. Spod całunu, którym owinięta była głowa i usta istoty, spoglądały przekrwione oczy na wysuszonej, spalonej do czerni twarzy, skóra z jednego policzka była wyszarpana, odsłaniała spróchniałą kość. Jedną chudą dłońią nieumarły przytrzymywał całun, jakby nie chciał ukazywać Hypnosowi całej swojej potworności. Drugą wyciągnął w jego stronę. Palce, właściwie nagie kości, strzyknęły, gdy wykonał nimi gest przywoływania, tuż przed nosem księcia.

Hypnos upadł, chcąc uniknąć dotyku. Eri zasłonił go swoim ciałem.

Nieumarły zaśmiał się, jego głos był świszczący jak wiatr burzący piasek Czerwonej Dziewicy. Książę spodziewał się ataku, jednak potwór stał tylko, wlepiając w niego spojrzenie krwistych oczu. Enbar drżał, jedną łapą obejmując Hypnosa.

– Nie wiesz, kim jestem, synu Wyrd – odezwał się nieznajomy. Jego cichy głos zdawał się rodzić z samej pustyni. – Lecz ja wiem, kim ty jesteś. Wiem też, kim masz się stać.

Nie zważając na enbara, pochylił się nad przerażonym Hypnosem. Powietrze wydobywające się z jego ust było mroźne jak zimowy wieczór.

– Odejdź – rozkazał księżę. – Odsuń się ode mnie.

Bał się, że nieumarły mógłby zarazić go jakąś chorobą, która niszczy i zabija przez całą wieczność.

– Więc tego chcesz? – Potwór wyprostował się, jego kości zagrzechotały. – Czy właśnie tego pragniesz? Odegnąć mnie? Boisz się maski, którą noszę?

Hypnos nie odpowiadał. Obiema rękoma uczeplił się grzywy enbara. Drżeli razem.

– Ja nigdy stąd nie odejdę – oznajmił nieumarły. – Pustynia dała mi życie... tuż po mojej śmierci. Och, młody księżę, nie masz pojęcia, jak wiele odpowiedzi w sobie kryje, jak wiele życia, które oddycha jeszcze powietrzem minionych dni, i wciąga je... wciąga...

Oddychał płytko. Potem znów zaczął się śmiać.

– Te rzeczy czekają, byś je odkrył, Hypnosie, synu Wyrd. Czy tego nie widzisz? Nie masz pojęcia, o czym mówią gwiazdy?

Wskazał ręką niebo, które już szarzało.

– One śpiewają o tym od dawna. Są starsze od nas obu. Ale gdy tobie wolno tylko zgadywać ich słowa, ja już je poznałem.

Przystawił kościstą dłoń do ucha.

– Nie słyszysz – dodał. – Ty nie możesz słyszeć. One nie śpiewają dla ciebie... Śpiewają dla wszystkich, ale nie dla ciebie.

– O-odejdź – powtórzył Hypnos przez ściśnięte gardło.

– Teraz odejdę – odparł nieumarły. – Ale wrócę. Będę cię obserwował, nie odstąpię cię na krok, nawet jeśli będzie ci się wydawać, że zniknąłem. Możesz chcieć mnie odtrącać, lecz wiedz, że nie znajdziesz tu lepszego przewodnika.

Zerwał się wiatr, rozszalały piasek wypełnił oczy księcia. Spanikowany Hypnos zasłaniał się, błędzącą ręką próbując odnaleźć grzywę enbara. Wszystko skończyło się jednak równie szybko, jak przyszło. Gdy piasek opadł, nieumarłego już nie było. Jeszcze przez kilka chwil książę wpatrywał się w miejsce, gdzie stał potwór, po czym zerwał się i już na skrzydłach, lecąc tuż obok biegnącego enbara, pomknął do obozowiska.

Wróćę – na nowo rozbrzmiały w jego głowie słowa nieumarłego. Obejrzał się za siebie tylko po to, by natrafić na wilgotny nos przestraszonego enbara.

– Czym on był? – wyjąkał. – Czym był, skoro nawet ty się go bałeś?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Nekromancja... hm...

Ove namyślał się, smarując tost masłem.

– Nie wierzę, że twój ojciec doradza nam coś takiego – powiedziała March. Przewracało się jej w żołądku na myśl, że miałyby wywoływać duchy Dutcher i Connor.

– Ale tak powiedział – odparł smętnie Callen. – I sam nie wiem, co o tym sądzić... To chyba nasze jedyne wyjście.

– Więc najpierw mamimy nieprzynależących, a potem wyciągamy ich z grobu? Co jeszcze? Chyba przekroczyliśmy już wszystkie granice...

– Och, więc masz jakieś pojęcie o nekromancji. – Ove wyciągnął w jej stronę widelec.

March ciągle była zła o to, co zrobił, i choć w nocy sporo myślała o wizycie w ratuszu, nie przychodziło jej do głowy nic, czym mogłaby go usprawiedliwić. Pogodziła się z tym, że skoro tak bardzo potrzebowali amuletu, Ove mógł uciec się nawet do podejrzanych środków, ale fakt, że oszukał ją i Callena...

– W każdym razie – ciągnął czarownik – nekromancja nie polega na *wyciąganiu zmarłych z grobu*. Chodzi w niej przede wszystkim o kontakty z duchami, a ich nie wyciąga się z grobów, bo po prostu ich tam nie ma. Zmarli przebywają gdzie indziej.

– Zaraz – powiedziała March. – Już kiedyś o tym gadaliśmy i mówiłeś wtedy, że nie wiesz, co się dzieje po śmierci.

– Bo nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Czego nie rozumiesz?

– No... wszystkiego? Skoro wcześniej mówiłeś...

– Nie, nie, nie. Mówiłem, że nie mam pojęcia, co się z nimi dzieje, ale na pewno dokądś trafiają.

Włożył do ust prawie cały tost.

– Są różne teorie – powiedział, gdy tylko przełknął. – Mówi się, że ludzka dusza składa się z kilku części. W to wierzyli już starożytni Egipcjanie. Jedna część może trafić do raju czy tam piekła, w sumie co za różnica, inna do królestwa umarłych, inna może stopić się z Nią Samą, a jeszcze inna łączyć po świecie między żywymi. Nas interesuje właśnie ta ostatnia część, tak zwany cień.

March spojrzała na Callena.

– Coś podobnego do tych duchów, które widzieliśmy w Jaarze?

– Tak – odparł chłopak. – Pamiętam, że się ich bałaś.

Dosiadł się tak blisko niej, że znów mogła poczuć jego aurę. Podobnie jak jej, tamta noc nie kojarzyła mu się pewnie tylko z pocałunkiem, choć March musiała przyznać, że ich zbliżenie zapadło jej w pamięć chyba bardziej niż zjawy z Puszczy Krzyków.

– Rozumiem, że się tego obawiasz, i jeśli nie chcesz, to ja sam...

– Nie boję się – skłamała. – Chodzi tylko o to, że nie jestem pewna, czy to... słuszne?

Zastanawiała się, jak wiele *niestusznych* rzeczy już zrobiła. I w zasadzie to nie bardzo się w tej chwili orientowała, co jest, a co nie jest słuszne. Na razie w tym, co robili, liczyła się chyba nie tyle słuszność, ile użyteczność.

– Być może to nasze jedyne wyjście – powiedział Callen. – Tylko Dutcher i Connor będą znać tajemnicę magów.

– Zamiast za dużo dywagować – uciął Ove – lepiej, żebyście poczytali coś na temat seansów spirytystycznych, bo obawiam się, że bez tego się nie obejdzie.

Już otwierała usta, by mu odpowiedzieć, gdy z góry dobiegł głos pani Sky. Jak zawsze w takich chwilach poczuła, jak jej serce na moment zamiera, tylko po to, by natychmiast przyspieszyć. Zerwała się z krzesła i pobiegła do pokoju Emmy.

– Mamo! – przeraziła się.

Emma, zaplątana w pościel, wisała na krawędzi łóżka, drżącą ręką trzymając się poręczy.

March chwyciła ją za biodra i najdelikatniej, jak umiała, pomogła z powrotem się ułożyć. W oczach matki zalśniły łzy. Była tak zmęczona, jakby właśnie stoczyła walkę o życie.

Nie mogąc się powstrzymać, March też zaczęła szlochać. Zakrywając twarz, trzęsła się przy łóżku. Jak miała to znieść? Jak mogła patrzeć na swoją matkę, tak starą i kruchą, toczącą groteskowy bój z pościelą, z własną słabością?

– Kochanie – odezwał się wycieńczony głos Emmy. – To... to przeze mnie?

March miała wrażenie, że pęka jej serce. Wyczuła dłoń matki zmierzającą w swoją stronę i pochwyciła ją jak skarb. Dociskała ją do serca, szlochając coraz rozpaczliwiej.

– Co się stało?

W drzwiach pojawił się Callen z eliksirem w ręku. March nie była w stanie mu odpowiedzieć. Zresztą prawda wydawała się żenująca. Jak miała się przyznać, że ryczy, bo jej matka omal nie spadła z łóżka?

– March? – Callen stanął przed nią, ale rozumiejąc, że nie jest w stanie odpowiedzieć, zajął się Emmą. – Jak się masz? – spytał miękko.

Uśmiechnęła się do niego.

– Dobrze.

Gdy Callen pomagał jej matce pić, March dostrzegła w jego ruchach niezwykle delikatność. Zaczęła nawet mu zazdrościć, bo ona nigdy nie była równie łagodna. Sama miewała z matką problemy, czasem zbyt gwałtownie poprawiała jej poduszki lub za szybko ją prowadziła. Ale Callen obchodził się z kobietą tak, jakby był stworzony do opieki nad innymi.

Emma, jak zwykle po wypiciu mikstury, zaczęła błędzić oczami po pokoju, na nowo próbując sobie wszystko przypomnieć. Potem westchnęła i zafiksowała wzrok na suficie.

– Dajmy jej chwilę, żeby odpoczęła – powiedział Callen. – Potem przyniosę jej śniadanie, a ty...

March uciszyła go łagodnym ruchem ręki. Gdy wyszedł, jeszcze przez kilka chwil czuwała przy matce. Miała wrażenie, że tylko jeśli przy niej zostanie, wszystko będzie w porządku. A jeśli nawet nie w porządku, to chociaż jej stan się nie pogorszy. Wiedziała, że to naiwne. Nic od niej nie zależało. To magia doprowadziła Emmę do tego stanu i magia musiała ją z niego wyprowadzić.

– Chyba się zdrzemnę – powiedziała matka, obracając się na bok.

– A potem przespacerujemy się po domu jak zawsze, dobrze?

March pokiwała głową. Wyszła z pokoju dopiero wtedy, gdy Emma zaczęła miarowo oddychać. Callen czekał za drzwiami. Nie chciała, żeby o cokolwiek ją teraz pytał, więc odezwała się pierwsza:

– Coś się z nią dzieje, prawda? – Jej głos był zachrypły od płaczu.

– Elikser nie będzie działał bez przerwy.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytał ostrożnie.

– Widziałam to w jej oczach. Nie wytłumaczę ci tego, po prostu to czuję. Powiedz prawdę.

Chłopak odetchnął.

– No tak – przyznał. – W końcu się na niego uodporni, nie będzie już tak silny... Ale nie martw się, teraz dostaje słabszą dawkę. Zaplanowałem wszystko tak, żeby działało przez tygodnie, miesiące, może nawet...

– Ale Callen, to nie jest wyjście. – March znów była bliska płaczu. – I coraz lepiej to rozumiem. Ove miał rację. Nie powinnam narzekać na jego metody, bo chodzi o moją matkę. Jeśli nie zdobędziemy tej broni...

– Zdobędziemy ją – uciął Callen.

– Więc myślisz, że musimy spróbować tej nekromancji? – spytała.

– Dokładnie tak sądzę. Są rzeczy ważniejsze niż... no, niż inne rzeczy.

March była pewna, że tak samo odpowiedziałyby siostry Malloway.



Po południu wraz z Emmą przechadzały się znów po domu. March musiała pomóc matce skorzystać z łazienki. Miała czary, które jej to ułatwiały, i wolała nie zastanawiać się, co by było, gdyby przyszło jej radzić sobie bez magii. Ale choć czary mogły ją wyręczyć w fizycznej pracy, nie oszczędziły jej patrzenia na słabość i ból. A jednak March widziała w tym plusy. Najważniejsze było to, że zbliżyła się do matki. Dokładnie pamiętała dzień, w którym opuściła dom, uciekając chyba bardziej przed samą sobą. A teraz dom do niej wrócił. Przyniosła go ze sobą Emma.

– Tu jest tak dobrze – powiedziała matka, sadowiąc się w fotelu Irmy. – Ten pokój ma najlepszą energię.

Wzięła do ręki jedną z małych glinianych figurek, które stały na parapecie. March wcześniej ich nie widziała. Callen musiał je skądś wygrzebać i tu położyć. Miał nawyk ciągłego przemeblowywania, jakby próbował w ten sposób odtworzyć w Domu Wiedźm jakiś idealny wzór, który pozwoli mu wrócić do minionych czasów.

– Wiem, że jesteś czarownicą – oznajmiła Emma Sky, posyłając córce blady uśmiech.

– I nie dziwi cię to? – odparła March, uważnie studiując jej twarz.

Matka zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Magia mnie nie dziwi – oświadczyła miękko. – Pamiętam ją.

– *Pamiętasz?* – March poczuła, jak przyspiesza bicie jej serca.

– Dawno temu mnie też spotkała. Magia.

Emma patrzyła w okno, bawiąc się figurką. March zapatrzyła się na glinianą formę. Przypominała nieco ołowianego żołnierzyka, ale bez broni i z kapeluszem na głowie.

– Jak to wyglądało? – zapytała.

– Jak baśń. Żywa baśń. Rzecz, o której nawet nie marzysz, bo myślisz, że nie może się wydarzyć, ale... – Oczy Emmy rozszerzyły się, jak gdyby zobaczyła za oknem coś niezwykłego. Jednak po chwili otępienie wróciło. – Wybacz, o czym mówiłam?

– O marzeniach. – March uklękała przy niej. – O jakiejś baśni, którą przeżyłaś.

Utkwiła wzrok w figurce, którą matka ścisnęła coraz mocniej.

– Ale ja nie... – zaczęła.

Wtedy rozległo się charczenie. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadł Ove. Wił się po podłodze, przykładając rękę do piersi. March stanęła jak wryta.

– Zostawcie to! – wrzasnął. – Odlóżcie!

Emma wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, gdy czołgał się w jej stronę.

– Odlóżcie... – powtarzał, charcząc coraz rozpaczliwiej. – Odlóżcie...

March zrozumiała. Szybkim ruchem odebrała matce figurkę i położyła ją z powrotem na parapecie. Forma przedstawiała Ovego w garniturze i kapeluszu.

Czarownik leżał na podłodze, ciężko dysząc. March pochyliła się nad nim i przyłożyła rękę do jego mokrego czoła.

– Co się stało?! – zawołała. – Ta figurka...

– Magia sympatyczna – wysapał czarownik. – Cholerna magia sympatyczna.

Wciąż trzymał się za serce, ale z każdą chwilą oddychał coraz głębiej. Wreszcie usiadł na podłodze i wyjąkał:

– No, nieźle mnie urządziła Irma, nie ma co.



Gdy Ove trochę się uspokoił, zaczął oczyszczać figurkę. Trzymał ją nad misą z zaklętą wodą. Figurka najpierw zaczęła dymić, a gdy wreszcie zapłonęła, szybko wrzucił ją do naczynia, gdzie rozpadła się na kawałki.

– Więc Irma stworzyła twoją podobiznę, żeby... właściwie po co? – spytała March.

– Dobrze pytanie – warknął, wyjmując kawałki figurki z wody i wrzucając je do śmieci. – Bardzo jestem ciekaw, dlaczego to zrobiła. Sądziłem, że po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, powinna była mi ufać.

– Bez przesady – westchnął Callen. – Sprawdziłem pozostałe figurki. Miała też podobiznę Cleto, Dantego i kilku naszych sąsiadów z tamtych czasów.

– Ale *moją*? – Wzburzony Ove dotknął własnej piersi, odciskając na koszuli mokry ślad. – Przecież kochałem ją bardziej niż ktokolwiek.

Spod płaszczyka jego gniewu emanował ból. Żadna maska nie zdołałaby go zakryć. Cała ta sprawa jeszcze bardziej zaniepokoiła March. Wyglądało na to, że z jakiegoś powodu Irma faktycznie nie ufała swojemu ukochanemu. Dlaczego? Czy wtedy zachowywał się podobnie jak teraz?

Z drugiej strony, jeśli Irma miała też figurkę w kształcie Cleto, to pewnie robiła je po prostu... na zapas?

– Jakim cudem nie zauważyłeś wcześniej, że figurki mają znajome twarze? – March zwróciła się do Callena.

– Ja? – zdumiał się. – A skąd miałbym to wiedzieć?

– No... myślałam, że to ty je wyłożyłeś na parapet?

Uniósł brwi.

– Nie ja.

– Więc kto? Skoro to żaden z was, to chyba nie mama...

Ta myśl przefrunęła jej przez głowę z prędkością błyskawicy. Ale nie. To było niemożliwe. Jej matka nie była w stanie sama poruszać się po domu. Sama nie wstawiała nawet z fotela. Teraz też bujała się na nim w pokoju Irmy.

– A ci ludzie ze Społeczności? – zaczął się zastanawiać Callen. – Mogą teraz wchodzić do domu, kiedy chcą...

– Po co mieliby wyciągać te figurki? – spytał Ove.

– Nie wiem. Może kryje się w nich coś ważnego?

– Jak na przykład? Bo chyba nie chcesz powiedzieć, że uknuli plan, zgodnie z którym Emma akurat bierze do rąk miniaturowego Ovego i chce ręcznie doprowadzić go do zawału? Gdyby chcieli mnie zabić, mają na to mnóstwo innych możliwości i szczerze mówiąc, mogą sobie to zrobić, nic mnie już nie obchodzi.

Wyjął cygaro i zapalił je bez zwyczajowych nonszalanckich ruchów.

– Dobrze byłoby zniszczyć wszystkie te *szkaradztwa* – stwierdził.

– Nie – zaprotestowała March. – Jeśli faktycznie coś się za nimi kryje, trzeba to sprawdzić.

– Kryje się – prychnął Ove. – Chyba tylko wrodzona przebiegłość Irmy.

– Dlaczego tak o niej mówisz? – wzburzył się Callen. – Nawet nie wiesz, jakie mogła mieć powody.

– Nie wiem i mnie to nie obchodzi. W tej chwili skupiam się na czymś innym.

– Mianowicie? – March założyła ręce na piersi.

Ove obrócił się w jej stronę.

– Na duchach – oznajmił.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Hypnos nie porozmawiał z dowódcą o tajemniczym zajściu. Być może stanowiło jakąś próbę? A jeśli tak, miał zamiar poradzić sobie sam. Milczał więc, powoli stając się coraz podobniejszy do swoich towarzyszy.

Noc była cicha. Wiatr nie wzburzał już piasków pustyni. Mimo to księżę inaczej patrzył na Czerwoną Dziewicę. Zdawało mu się, że w każdej chwili usłyszy płynący z niej głos nieumarłego. A gdy to wrażenie stawało się zbyt realne, zaciskał dłonie na lejcach i zbliżał twarz do grzywy Eriego. Dowódca to zauważył.

– Wszystko w porządku, księżę? – spytał.

– Tak. – Kłamstwo przyszło Hypnosowi z łatwością.

– Sprawiasz wrażenie, jakby coś nie dawało ci spokoju.

– Ktoś próbował mnie zamordować – odparł księżę, gorzko się uśmiechając.

– Często podczas takich wypraw czuję, jakby kroczyła za mną śmierć – oznajmił cicho dowódca.

– Ile razy wybierałeś się w podobną drogę?

Fer zaśmiał się.

– Niezliczenie wiele!

Przez najbliższe pół godziny nie odezwał się już ani razu, aż wreszcie zatrzymał swojego enbara.

– Dziwny ranek – stwierdził, węsząc w powietrzu.

Dyrygował resztą, gdy rozstawiali namioty. Hypnos przyglądał się temu z boku. Dowódca nie pozwolił mu pomagać, twierdząc, że syn Wyrd dostał ważniejsze zadania do wykonania.

Patrząc na nich, księżę opierał rękę o Eriego. Zwierzę przez całą wędrówkę było ciche, zdawało się, że zagnieździła się w nim jakaś

ciemna kula energii, strach. Gdy tylko Hypnosowi nasunęło się to skojarzenie, przed oczami stanęła mu March. Ona też nosiła w sobie taki mrok, kulę zlepioną ze strachu i krzywd. Teraz, gdy książkę lepiej znał jej przeszłość, rozumiał, skąd brała się ta blokująca ją moc. Mnóstwo ludzi, zwłaszcza młodych, było podobnie do niej skrzywdzonych i zablokowanych, ale u większości nie przejawiało się to w tak silny sposób. March była inna, wybuchowa, często okropna. Źródło tego kryło się w jej magii.

Zachowanie March wynikało z tego, co przytrafiło się Emmie. Dziewczyna pamiętała o tych rzeczach, choć nie miała pojęcia, że pamięta, bo był to inny rodzaj wspomnień, takich, które żyją głęboko w ciele. Sky sama musiała dojść do źródła swoich problemów. Było to coś, czego Hypnos nie powinien dla niej chcieć, ale paradoksalnie właśnie w tym jej pomagał.

Przeszył go chłód. Nie chciał myśleć o March Sky. Ale myśli pomagały mu czuć się mniej samotnie, a właśnie teraz obawiał się samotności.

Po posiłku reszta ferów zaczęła się rozchodzić, zostawiając go samego. Tym razem od razu zaszył się w namiocie. Zmęczenie w końcu zaczęło mu doskwierać. Gdy tylko położył głowę na miękkiej poduszce (wnętrze namiotu przypominało jego pałacową komnatę), zaczął stapiać się z rytmem własnego serca, odpływając powoli w sen. Nagle jednak przypomniał sobie o czymś ważnym.

Wstał i sięgnął po amulet od matki. Przez kilka chwil obracał go w palcach. Ta niewielka piramida była przecież kluczem do zrozumienia jego misji. Przyglądał się jej, całkowicie oczyszczając umysł. Już po chwili między nim a twardą powłoką amuletu nie istniała żadna bariera.

Położył sobie piramidę na piersi i odetchnął głęboko, szykując się do podróży astralnej. Jego fizyczne ciało zaczęło drętwieć, uwolnił za to umysł.

Wypadł z ciała jak piorun. Zawisł nad sufitem, po czym kilka razy okrążył namiot. Nie nadawał sobie żadnych kształtów, nie wszedł też

w unoszące się nad łóżkiem ciało astralne. W tej czystej formie mógł więcej zrozumieć i zobaczyć.

Zaczął okrężyć piramidę. Amulet odpychał go od siebie, wirowała wokół niego potężna energia. Hypnos próbował przeniknąć twarde ściany, ale na nic się to nie zdawało.

Wreszcie spróbował inaczej. Nie wracając w pełni do ciała, poruszył dłońmi i musnął piramidę palcami. Chciał cofnąć się w czasie, poznać jej historię. Im mocniej jednak wyęczał siły, tym gwałtowniej je tracił. W końcu poczuł na czole strużkę zimnego potu. To był znak, że pora sobie odpuścić. I dopiero w chwili, gdy próbował w pełni wrócić do ciała, wizja nadeszła.

Przed jego oczami wyrosła piramida, identyczna, ale ogromna, sięgająca ku niebu. Wpatrywał się w nią osłupiały, jednak nim zdołał dobrze się przyjrzeć, w jego uszach rozbrzmiały trąby, tak rozdzierające, jakby ogłaszały koniec świata.

I świat faktycznie się kończył. Niebo rozciął ognisty piorun. Ugodził w piramidę, a ta zaczęła się burzyć, cegła po cegle, gwałtownie tonąc w piaskach Czerwonej Dziewicy.

Książę zerwał się z pościeli z walącym sercem w chwili, gdy do jego namiotu wszedł dowódca.

– Wszystko z tobą... – zaczął.

– Tak – zbył go Hypnos. – O co chodzi?

– Mamy kłopoty. – Fer ruszył w stronę jego łóżka. – Dwoje naszych nie żyje.

Książę zaniemówił.

– Trucizna – ciągnął dowódca. – Wypili wywar z rozgwiazdy nocy.

Lawina myśli zalała głowę Hypnosa. Wreszcie wyjąkał:

– Ale... jeśli oni...

– Musiał ich otruć ktoś... Cóż, to z pewnością był ktoś z nas.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ziemia na cmentarzu była twarda i zmrożona. March miała wrażenie, że w ciszy nekropolii słyszy słabe głosy duchów. Oczywiście zwała to na nagle rozbijałą wyobraźnię. Raz po raz nachodziły ją wizje kości poruszających się w grobach, niby makabryczne, a jednak w pewien sposób śmieszne.

Było już grubo po pierwszej. Śnieg przestał padać, a pozbawione księżycowego blasku niebo wydawało się zupełnie ciemne.

– Wyczuwacie coś? – Ove, który szedł przed March, zatrzymał się tak gwałtownie, że prawie rozkwaśła sobie nos na jego plecach. Callen poślizgnął się i byłby upadł, gdyby nie złapała go za rękę.

– Co jest? – zląkł się.

On i March zaczęli nasłuchiwać.

– Nic nie czujecie? – mruknął Ove.

Pokręcili głowami.

– Ani ja – powiedział, powoli wypuszczając powietrze. – Ale zawsze warto przetestować innych. Statystycznie każdy nieprzynależący raz na miesiąc ma kontakt z duchem, ale o tym nie wie. Do czarownic Igną częściej, tyle że większość z nas też pozostaje na nie ślepa. Ale w takich miejscach jak to można je czasem wyczuć, choć, szczerze mówiąc, zwykle to tylko efekt trzęsienia portkami.

Po tych słowach ruszył dalej w stronę grobów Dutcher i Connor. Kobiety pochowano obok siebie, zupełnie jakby wszyscy w Finfolk wiedzieli, że przez całe życie wymieniały się plotkami, i po śmierci chcieli im zapewnić podobną rozrywkę. Patrząc na ich groby, March się zatrzęsała. Naraz przypomniała sobie o tym rodzącym się w niej

szaleństwie, które kazało jej sądzić, że to ona stała za morderstwami.

– To co robimy? – Callen posłał spojrzenie Oveму.

Czarownik rozejrzał się po bokach i uklęknął przy jednym z nagrobków. Dłońmi w skórzanych rękawiczkach odgarnął śnieg, ukazując napis: *EILEEN DUTCHER, żyła lat 59*. Litery były pozłacane i wygrawerowane w idealnie równych odstępach. Coś takiego Dutcher na pewno by się spodobało.

Nagrobek pani Connor był uboższy. Wyglądało na to, że jej rodzina poskąpiła na ostatnią drogę kobiety, co w zasadzie nie dziwiło March. Była przekonana, że wszystkim, którzy znali Connor, ulżyło po jej śmierci.

Szybko skarciła się za tę myśl. Tak samo przecież mówiła Isel, życząc tym dwóm przeniesienia się na tamten świat.

Ove wyjął z cygarnicy wahadełko. Srebrzysta moc płynąca z kryształu była jak eteryczny dym. Z narzędziem w ręku czarownik okrążył teren wokół dwóch grobów, tworząc barierę ochronną.

– Lepiej solidnie się zabezpieczyć – powiedział. – Nie byłoby dobrze dać duchowi plątać się po świecie żywych, zwłaszcza jeśli przed śmiercią lubił wtrącać się w ich sprawy. Callen, dokonaj egzorcyzmu.

Chłopak odchrząknął. Przymknął na chwilę oczy, powtarzając coś pod nosem, po czym spojrzał w niebo i zaczął mówić:

– *In nomine Creator, fiventō nos, omnēs spīritūs. Amen.*

– Amen? – mruknęła zdumiona March.

– Cicho. – Ove lekko ją szturchnął.

Callen zwrócił się na wschód i rozpostarł ręce.

– *Władco wschodnich przestrzeni niebiańskich, poprzez twe święte imię, Oriens, którego królestwo wiecznie rozciągać się będzie na nieboskłonie, wzywam twą moc do tego kręgu, byś zmusił te duchy, które wzywam będziemy, aby przemówiły.*

Potem odwrócił się na południe, mówiąc:

– *Amaymonie, władco godziny południowej, panie wielki i potężny, wzywamy cię, niech płomień twój zstąpi w ten krąg, a siła twa utrzyma duchy, które będziemy wzywać, w ryzach.*

March nie czuła absolutnie nic. Równie dobrze Callen mógłby sobie wypowiadać dziecięcą rymowankę. Jeśli istoty, do których się zwracał, istniały, chyba miały ich gdzieś.

– *Paymonie – powiedział, zwrócony w stronę zachodnią – władco zachodu, wzywam cię do tego kręgu, byś wypełnił go swą niezmierną mocą, przez twe święte imię zaklinam duchy, by słuchały moich rozkazów.*

Westchnął, sam zapewne rozumiejąc, że ta magia nie działa, ale dokończył wezwanie.

– *Egimie, władco północy, potężny królu, przez twe święte imię niech moc twa spłynie do tego kręgu, a duchy, które w nim wezwiemy, nie ośmielą się wyjść poza tę świętą przestrzeń i niech słuchają tylko naszych głosów.*

Potem spojrzał w niebo i wykonując znak pentagramu, dodał:

– *Zaklinam was, duchy, przez święte imiona najpotężniejszych, byście słuchały każdego mego rozkazu i nie przekroczyły granicy wyznaczonej przez strasliwą magię. Przez moce wysokie i wielkie usłyszcie mój głos i zjawcie się, gdy tego zapagnę.*

Odczekali kilka chwil w milczeniu. Nic się jednak nie wydarzyło.

– No i? – spytała March. – Coś czujecie? Bo ja...

Ove syknął.

– Cicho, bo odstraszysz duchy swoją... *przyziemnością.*

– Może zadziałałoby na nie, gdybyśmy mieli jakieś plotki o sąsiadach? – mruknęła.

– Jak dla mnie to zaklęcie jest bez sensu – stwierdził Callen. – Nie czułem żadnych wysokich, potężnych ani świętych istot, w ogóle niczego nie poczułem.

– Bo pewnie zrobiliśmy coś nie tak – odparł Ove. – W magii wysokiej wystarczy zamienić miejscami pojedyncze słowa i wszystko trafia szlag.

– No to gdzieś mam taką magię – mruknęła March. – Znajdźcie coś... bo ja wiem? *Organicznego*.

– Masz na myśli ekomagię? – prychnął Ove.

– Nie, chodzi mi o to, że powinniśmy dostosować się do sytuacji. Mnie się udało skontaktować z Irmą i Cleto, bo pojawił się właściwy sposób.

– No nie. – Czarownik westchnął. – Tylko nie mów znowu o kryształach alchemików. Nawet jeśli faktycznie go stworzyłaś, to przecież nie mamy go teraz w ręce, a poza tym wolałbym nie marnować jego właściwości na...

– Zamknijcie się oboje! – syknął Callen. – Coś się dzieje!

Powietrze zapachniało inaczej, chłód zimy zmienił się w jakiś inny, nienaturalny. W głębokiej ciszy cmentarza zatonął każdy szmer.

A potem spokojnie podniósł się wiatr. Był jak oddech, który przetoczył się nad grobami.

Żadne z nich się nie odezwało. Ove sięgnął po athame, Callen nasłuchiwał, mocno wbijając nogi w ziemię, a March zaczęła się rozglądać. W jej uszach rozbrzmiał dziwny dźwięk. Miała wrażenie, że coś skruszyło się pod jej stopami.

Spojrzała w dół. Podłużna rysa przebiegała teraz przez nagrobek Dutcher, dokładnie między jej imieniem a nazwiskiem. Grób pękł na pół!

– O matko... – Cofnęła się.

Energia wytworzona przez Ovego wciąż jeszcze ich chroniła. Gdy March dotknęła jej plecami, zdała sobie sprawę, że zamieniła się w lodowatą bańkę.

– Nie ruszajcie się – zarządził czarownik.

Callen nie posłuchał. Wyciągnął rękę, by dotknąć zmarzniętej aury. Delikatny ruch palcem starczył, by i ta skruszała, rozpadając się jak rozbite jajko.

– Jasny szlag! – warknął Ove. – *Proszę!*

– Ej, patrzcie na... – Chłopak wskazał ręką na inne groby. Wszystkie nosiły ślady pęknięć. Spomiędzy niewielkich rys zionęła

pustka.

– Co to... – zaczął Ove, pochylając się nad jednym z nich. Odskoczył od niego, gdy rysa zajaśniała błękitnym blaskiem.

Spomiędzy szczelin zaczęły wyłaniać się kształty przypominające blade kule. Wystrzeliwały w powietrze i krążyły nad ich głowami. March nigdy czegoś takiego nie widziała. Światła pofrunęły ku niebu, lgnęły do siebie i w tańcu tworzyły jakiś kształt, najpierw twarz z falującymi włosami, potem resztę kobiecej sylwetki, która jaśniała nad cmentarzem jak chmara jasnych gwiazd. Wreszcie pojawiły się majestatyczne skrzydła.

March krzyknęła. Całą trójką rzucili się w stronę bramy, brnąc przez śnieg. Biała ścieżka skrzyła się w srebrzystej poświacie, tworzonej przez blask jaśniejącej ferini. Z góry dobiegł ich śmiech.

Nagle coś zważyło March z nóg. Wrzasnęła, gdy siła pociągnęła ją z powrotem w stronę grobu Dutcher. Dziewczyna sunęła w powietrzu wprost na kamienną płytę. Callen i Ove biegli za nią, próbując powstrzymać wrogą moc czarami, ale żadne z ich zaklęć nie było dość potężne.

Nie uderzyła w płytę nagrobną. Moc uniosła ją wyżej, tuż ku ferini. To była Wyrd, a przynajmniej jakaś jej część. Dziewczyna nie słyszała już, co wołali jej towarzysze. Jaśniejące usta królowej Aislingen otwierały się i przyciągały ją do siebie. Walczyła z tym, ile mogła, aż wreszcie odpuściła. Potrzebowała czasu, by wzbudzić w sobie magię.

Wfrunęła przez otwarte usta królowej i nagle wszystko stało się mieszaniną chaotycznych blasków. Była daleko od świata, który znała, wpadła do gwiazdnej przestrzeni. Kolejne wcielenie Wyrd, jaśniejąca zjawą, zmierzało w jej stronę. Ciemne niebo ugięło się pod jego bosymi stopami.

– Jakie sekrety próbujesz odkryć, ludzkie dziecko? – zaśmiała się królowa. – Jeszcze nie zrozumiałaś, że to, co nazywacie odwagą, to wasza głupota? Po co porywać się do walki z siłami, których nie rozumiesz?

March próbowała złapać równowagę, nieśmiało wyciągnęła stopę. Tak bardzo bała się upadku, tak strasznie się go bała. Ale ruszyła w stronę Wyrd. Jej ciało było lekkie, szła bez wahania.

– Znam twoje imię – odparła.

Władczyni się zaśmiała.

– Nie wolno ci go użyć. Jeśli to zrobisz, zginiesz straszną śmiercią.

– Ale być może znajdę sposób, żeby zabrać cię ze sobą.

Uśmiech Wyrd zbladł. Królowa musiała drżeć na myśl o śmierci. Więc to był jej koszmar. Dobrze wiedzieć.

– Zdziwisz się, jak chętnie umrę, wiedząc, że zginiesz razem ze mną – dodała March.

Wyrd nie odpowiedziała. W jej bladej, niemal przezroczystej dłoni zajaśniała węzowa różdżka. Królowa bez ostrzeżenia wypuściła czar. Świetlista energia zaplotła się wokół March. Dziewczyna zacisnęła zęby, siłując się z zaklęciem.

– Tak się spieszysz do grobu? – wycodziła Wyrd. – Otworzyłam ich kilka dla ciebie.

Niebo się zapadło. March, nagle ciężka, zaczęła gwałtownie spadać. Krzyczała, przekonana, że lada chwila roztrzaska się o kamienne nagrobki. Z szarpnięciem zawisła jednak tuż nad grobem Dutcher.

Cmentarz znów był cichy. Callen i Ove znikli. Wyrwa w grobie zionęła pustką. Czarną, absolutną.

Na niebie ponownie zajaśniała sylwetka Wyrd. Władczyni opadała na ziemię jak rozgwieżdżony anioł. Posyłała March zadowolone spojrzenie. Pstryknęła palcami, a wyrwa w grobie zaczęła się rozszerzać, tworząc rozległą szczelinę. Pod rozbitą płytą pojawiła się głęboko zakopana trumna.

Nie otwieraj jej, nie otwieraj – modliła się w myślach March.

– Nie otwierać? – odparła Wyrd. – Dlaczego? Niech to będzie mój spóźniony prezent świąteczny.

Drewniane wieko zaczęło się unosić. March zaciskała oczy, by nie musieć na to patrzeć. Blokowała każdą przerażającą myśl.

Władczyni miała dostęp do jej głowy. Dziewczyna musiała ją opróżnić. *Ogień, ogień* – powtarzała, skupiając się na energii w swoim brzuchu. Powoli zaczynała czuć to słońce, tak różne od chłodnej energii Wyrd.

Nagle coś odrzuciło ją do tyłu. Uderzyła plecami o ścianę kaplicy. Gruba warstwa ubrań zamortyzowała uraz. Wstała i powiodła wzrokiem w stronę królowej, która stała przy grobie Dutcher, siłując się z kimś. Widok zmroził March do tego stopnia, że cała wytworzona energia ulotniła się z jej ciała. Królowa odganiała się od jasnych, błękitnawych rąk, które wystrzeliwały z ziemi, chwytając ją za szaty i ciągnęły ku ziemi. Ludzkie dłonie zmarłych zmusiły ją, by uklęknęła. Było ich mnóstwo, sięgały jej włosów i skrzydeł.

– Wy robaki! – warknęła. – Wy podłe, brudne...

Cmentarna ziemia zadrżała. Zewsząd wylały się jęki. Głosy brzmiały, jakby należały do kogoś, kto długo miał ściśnięte gardło. Duchy. Wygrzebywały się z ziemi, ruszały w stronę Wyrd. March cofała się do wyjścia, z trudem rozumiejąc, jakim cudem potrafi jeszcze ustać na drżących nogach.

Ktoś na nią wpadł. Odwróciła się i krzyknęła. Zjawa bladego, wychudłego mężczyzny w hełmie spoglądała na nią szaleńczymi oczami.

– Pomóż nam, Malloway – odezwał się błagalnie, wyciągając ręce ku jej ramionom. – Pomóż.

Z przeraźliwym krzykiem odwrócił się w stronę Wyrd. Królowa wciąż walczyła. Jej skrzydła zaczęły jaśnieć coraz bardziej, srebrzysty blask zmienił się w ametystowy. Przywoływała magię Miasta Snów.

– Sky! – zawołała, wystrzeliwując palec w jej stronę. – Pamiętaj, niebo należy do mnie!

Poraziła duchy swoją mocą. Zjawy zniknęły, wnikając z powrotem w ziemię.

March zaczęła biec w kierunku bramy, wołając Callena i Ovego. Ochrypła, była niemal całkiem wycieńczona. Znow coś pochwyciło

jej nogi, blokując ruchy. Zapadała ciemność, a ona wierzgała się, próbując uciekać. Gwałtowniej złapała powietrze, rozchyliła powieki, zdając sobie sprawę, że były zaciśnięte. Nad sobą zobaczyła towarzyszy. Sama leżała na mokrym śniegu. Ból rozrywał jej czaszkę.

– Co się... co...

Ove przesunął palce nad jej oczami. Zasnęła i po kilku chwilach obudziła się w Domu Wiedźm. A przynajmniej zdawało jej się, że minęło tylko kilka chwil. Wszystko to wydarzyło się tak nagle, że jeszcze czuła na sobie zimny oddech zjaw.

A jednak leżała na miękkim pościeliu przy kominku. Zegar nad nim wskazywał trzecią w nocy, więc od wizyty na cmentarzu musiała minąć już ponad godzina.

Podniosła się na łokciach. Ból głowy ustał.

– O, obudziłaś się – mruknął Ove. – Cudownie.

– Już wstała? – Callen zerwał się z fotela, na którym drzemał.

– To co? – spytał czarownik. – Musimy chyba trochę pogadać, prawda, moje słonka?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Duchy? – zdumiał się Ove.

March pokiwała głową i szybko upiła łyk gorącej czekolady, którą przygotował dla niej Callen. Ciepło przyjemnie rozchodziło się po jej ciele. Grobowy chłód, od którego wciąż drżała, powoli ustępował.

– Więc duchy zaatakowały Wyrd... – Ove zastukał palcami o stół.

– Ale co je rozbudziło?

– Nie wiem. Może ją wyczuły i się wściekły?

March zdawała sobie sprawę, że to może trochę naiwny wniosek, ale tylko taki na razie miała. Zamyślony Ove wpatrywał się w okno, za którym piętrzyły się góry śniegu.

– McHagen miał rację – mruknął. – W tej ziemi naprawdę czai się coś niebezpiecznego. Klątwa Wyrd utrzymywała zjawy w ryzach, ale kiedy zniknęła... Bylebyśmy nie sprowadzili nieszczęścia na samych siebie.

– Duchy nie zaatakowały *mnie* – zauważyła March. – Jeden nawet prosił mnie o pomoc.

– Prosił cię o pomoc? – zdumiał się Callen.

– Powiedział: *Pomóż nam, Malloway*.

– Malloway?

– Tak mnie nazwał. To dziwne. On...

Wzdrygnęła się. Na cmentarzu aura ducha niemal zmroziła ją od środka. Teraz też miała wrażenie, że przeszywają ją lodowate igielki.

– Był straszny – skończyła cicho.

Nie umiała współczuć zjawie. Za bardzo się jej bała, by chcieć jej pomóc. Ale jeśli pomoc duchom opierała się na pokonaniu Wyrd, była gotowa spróbować w każdej chwili.

– Trochę się to rozjaśnia – stwierdził Ove, obracając się z powrotem w ich stronę.

– Tak? – Callen zmarszczył czoło.

– Energia, która wypłynęła z grobów, musiała być jakąś formą magicznej pieczęci, którą Wyrd nakładała na zmarłych w Finfolk. Grobowce otworzyły się i pozbyły tej mocy.

– Więc straciła kontrolę nad zjawami, ale nie nade mną – zauważyła March. – Nic nie mogłam zrobić, kiedy uniosła mnie w górę, a potem zawiesiła nad grobem i... – Urwała i szybko znów napiła się czekolady. – Myślałam, że mnie zabije. Nie było to superfajne.

Spróbowała się zaśmiać, ale jej nie wyszło.

– To nie do końca tak – odparł Callen. – Wyrd nie zaatakowała twojego ciała. Wyrwała cię z niego i przeniosła do świata astralnego.

– Co? – March omal się nie zakrztusiła. – Byłam w astralu? Ale to wszystko wydawało się realne!

Ove westchnął.

– Bo to *jest* realne i już dawno powinnaś do tego przywyknąć. Wyrd zawsze będzie próbowała walczyć z tobą na swoim podwórku. Za bardzo się boi, by cokolwiek zmienić. I wierz mi, astralne ciało też można sobie roztrzaskać i od tego umrzeć.

March zacisnęła zęby. Wszystko w niej krzyczało, by jeszcze odpoczywać, ale chęć do działania była zbyt duża.

– W takim razie nauczcie mnie lepiej walczyć w astralu – poprosiła.
– Zacznijmy od razu.

Callen i Ove wymienili spojrzenia.

– Okay – powiedział chłopak. – To spróbujmy.



Zawsze kiedy Callen był sam z March, jakoś przestawał skupiać się na tym, co musieli zrobić w związku z Wyrd. Zamiast tego jego myśli

wędrowały do spraw, które dotyczyły tylko ich dwójki. Czasem zdawało mu się, że męczy go jakaś ich niedokończona rozmowa, ale wolał jej na nowo nie zaczynać. Chciał po prostu skupić się na tym, co mieli ćwiczyć.

– No... więc to jest tak, że... – zaczął, wpatrując się w ścianę swojego pokoju. Wisiały na niej kolorowe symbole magiczne, które zwykle pomagały mu się skupić. Większość przedstawiała kosmiczne tunele, dzięki którym z łatwością przenosił się do świata gwiazd.

– Już trochę ćwiczyłam z Hypnosem, wiesz – powiedziała.

Znów ten Hypnos. Coś w brzmieniu tego imienia było denerwujące.

– A nauczył cię, jak łatwo przenosić się w astral? – Callen rzucił March wyzywające spojrzenie, choć wcale nie taki miał zamiar.

– Próbowałam to ćwiczyć – odparła. – Czytałam o projekcji astralnej w książkach Irmy, żeby lepiej się przygotować i tak dalej.

– Nie wspominałaś...

– No... wiesz, chciałam być bardziej... samowystarczalna.

Więc March jak zwykle próbowała radzić sobie sama.

– Nie wychodzi mi, kiedy chcę to zrobić na jawie, ale mam świadome sny – ciągnęła. – W sumie odkąd się spotkaliśmy, przytrafiają mi się dość często. Wtedy udaje mi się opuścić ciało i przechadzam się po domu. Sprawdzam, co z mamą.

– Więc idzie ci coraz lepiej – odparł z uznaniem. – Dobrze, że ćwiczysz.

– Taka dyskretna zdolność się czasem przydaje. Do ciebie też zdarza mi się zajrzeć.

Zaśmiała się.

– Serio? – odparł zakłopotany.

– Chcę sprawdzić, jak wszyscy się mają. To wszystko. Oczywiście myślałaś sobie, że mało kto mnie obchodzi, że jestem wredna i tak dalej, ale to nie do końca tak.

– Dlaczego tak mówisz? Nigdy tak o tobie nie myślałem. Jak mógłbym tak sądzić po tym, co dla mnie zrobiłaś?

– A co zrobiłam? – zdumiała się.

– Uratowałaś mnie z Biblioteki Snów. Gdyby nie ty, zostałbym na zawsze więźniem Wyrd.

– Ach, to – mruknęła. – Faktycznie. Skopaliśmy im wtedy trochę tyłki, co nie?

Na jej twarzy pojawił się blady uśmiech. Szybko zgaś.

– Ale to za mało, Callen. Wyrd mnie pokonała.

– Co ty mówisz? – Przysunął się do niej.

– To prawda. – March pokiwała głową. – Od początku wiedziała, jak nas pokonać, i to zrobiła. Odebrała mi Isel, teraz w każdej chwili może odebrać matkę. Co za głupi pomysł mieliśmy, żeby w ogóle zacząć z nią tę wojnę?

– Przepraszam, że cię w to wciągnąłem – powiedział. – Wiesz, że nie...

– Nie wygłupiaj się. O nic cię nie winię. Chodzi mi tylko o to, że... Rozumiesz, zmierzamy do jakiegoś celu, ale nie mamy pojęcia jakiego. A ona wie, wszystko zaplanowała.

Smutek dziewczyny przepływał z jej ciała do niego, a on chętnie stał się zbiornikiem dla tych emocji, bo tylko tak mógł je zrozumieć.

– Nie tylko o to chodzi, prawda? – powiedział. – Trapi cię więcej spraw.

Coś przyszło mu do głowy.

– Chcesz mi to... przekazać? Bez słów?

Zmarszczyła czoło.

– To możliwe – zapewnił. – I gdybyśmy spróbowali, mógłbym pomóc ci przejść ze świata fizycznego w astralny. No i może gdybyś przekazała mi swoje uczucia bez słów, jakoś by ci to pomogło? Nie mówię, że na pewno tak będzie, ale ból może się zmniejszyć, kiedy się nim z kimś podzielisz.

– Zabawne, że ty to mówisz. – Zaśmiała się, bez złośliwości. – Tak długo milczałeś...

– Właśnie. Gdybym nie milczał, wszystko byłoby łatwiejsze. Milczałem, bo się bałem, a bałem się, bo z nikim nie rozmawiałem o tym, co mnie boli. Nauczyłem się samotności, ale już nie chcę być samotny. Ty też nie musisz.

Zamilkł tylko na moment. Nie chciał przestawać teraz, kiedy słowa cisnęły mu się na usta.

– Być może ci nie pomogę – dodał. – I wcale nie o to chodzi, żeby pomóc, bo przecież nie zawsze się da. Wystarczy po prostu... no wiesz, *być*. Jeśli pozwolisz mi zajrzeć w twoje emocje, możliwe, że poczujesz się lepiej.

Wyciągnęła do niego rękę. Jej palce emanowały spokojną energią. Było to coś niezwykle odległego od ognistej March.

– W takim razie naucz mnie to przekazywać – poprosiła.

Nagle zdał sobie sprawę, że nikogo tego nie uczył. Nigdy.

Pozwolił poprowadzić się intuicji.

– Poczuj moją aurę – powiedział. – Spróbuj mnie dotknąć, ale nie dotykaj.

– Zaczynasz mówić jak twój ojciec – zaśmiała się.

Zamknął oczy, momentalnie wczuwając się w świat astralny. Pod jego powiekami nie rozpanoszyła się ciemność, ale zajaśniała mieszanina barw, jak zwykle wśród gwiazd. To, co widział, było tańcem magii.

March dotknęła jego aury. Wiedział, że to zrobiła, bo barwy się zmieniły, stały się jaśniejsze. To właśnie jej energia. March była ogniem, on wodą, ona była słońcem żywiołów, on bladym księżycem magii. Zrozumiał, że do siebie pasowali. To było coś, co jej kiedyś powiedział: że są do siebie podobni. Teraz doświadczył tego o wiele głębiej. Jej potężna, waleczna siła idealnie komponowała się z jego umysłową, delikatniejszą, ale nie słabszą.

– March, jeśli wolisz – szepnął – wyobraź sobie, że mnie tu z tobą nie ma, że jesteś sama i po prostu *czujesz*. Nie musisz robić nic więcej. Nie myśl, nie zastanawiaj się, nie walcz. Przez chwilę bądź po prostu swoimi emocjami.

Dotknęła go. Jej ciepła dłoń raziała magią.

Wszystkie barwy wyblakły, jak w filmie, który naraz staje się czarno-biały. Gdzieś w kosmosie istniejącym tylko w ich głowach otworzyła się potężna czarna dziura. Wokół jej krawędzi skrzyła się złocista moc, ale jej środek przypominał paszczę żarłocznej bestii, wszystko chciał wciągnąć, wszystko zniszczyć.

Trwało to tylko kilka sekund, w których trakcie March drżała. Z trudem łapała oddech, coś ją blokowało. Normalnie Callen przerwałby to połączenie, lecz tym razem wiedział, że właśnie tak ma być. Doświadczał jej emocji. Z gąszczu wspomnień wyłaniał się obraz, w którym każda emocja miała swoje tajemne imię, każda wymagała klucza, by ją zrozumieć.

March sama przerwała kontakt.

– Przepraszam, dłużej nie mogę. – Odwróciła głowę. – Nie jestem wystarczająco silna.

– No co ty! Świetnie sobie radzisz!

– Proszę cię, nawet tak nie mów.

Zmarszczył czoło.

– O co chodzi? – spytał.

– Po prostu nie lubię takich gadek, i tyle – odparła, ściskając prześcieradło. – Nie lubię klepania po plecach i gadania, *jak dobrze sobie radzisz*, kiedy wcale tak nie jest. Myślałam, że znajdę przyczynę, dlaczego tak się czuję, ale przecież ją znam.

– Nie rozumiem...

– Idź do pokoju mojej matki.

– Ja też co noc tam zaglądam.

Uniosła na niego zaskoczone spojrzenie.

– Serio?

– Tak. Martwię się o nią.

Szukała na to odpowiedzi, ale w końcu westchnęła tylko:

– Dzięki.

A potem zacisnęła usta.

– Nieraz sobie myślę – dodała po chwili, patrząc na dywan – co ja tu właściwie robię? Już ci mówiłam: Wyrd wygrała, więc po co ciągle próbuję? Fery są takie... cudowne, piękne, potężne, a ja nigdy taka nie będę. Zresztą to samo tyczy się czarownic. Spójrz na Irmę. Była prawdziwą damą, przepiękną kobietą. A Cleto? Nigdy nie spotkałam kogoś równie mądrego.

Callen nie był pewien, w jakim zmierzała kierunku.

– Można by sobie pomyśleć – ciągnęła – że jako wiedźma i fer będę łączyć w sobie wszystkie ich *fajne* cechy, ale jest dokładnie odwrotnie. Nie jestem jednym i drugim, tylko ani jednym, ani drugim. Nie mam niczego w połowie, mam tylko dwie niepełne rzeczy, a to tak jakby nie mieć nic.

Nie powiedziała tego wprost, ale wiedział, że tak naprawdę miała na myśli ich oboje.

– Wiesz, to zależy, jak się na to spojrzy – odparł. – Jak na moje, to sama decydujesz, kim jesteś. To, jacy się rodzimy, to tylko niewielka część nas. Są istotniejsze sprawy.

– Przecież sam ciągle powtarzasz, jak ważna jest krew – zauważyła.

– Co nie znaczy, że mam rację! Zresztą, ważna czy nieważna, to też zależy od tego, jak ją widzisz. Spędziłem kupę czasu, zastanawiając się nad tym, ale dopiero ostatnie kilka miesięcy pokazało mi, że istnieje masa rzeczy istotniejszych od tego, jacy się rodzimy. Mówisz, że fery są piękne, cudowne i tak dalej. Tak samo Irma. Dlaczego tak cię to obchodzi?

Obruszyła się. Ale zdenerwowana March była jednym z najlepszych swoich wydań. Wyglądała wtedy na silną, zdecydowaną, na kogoś, kto jest gotów skopać tyłek komu trzeba.

– Myślisz sobie, że jestem próżna? Że wygląd jakoś szczególnie mnie interesuje?

– Nie, tego nie...

– A jeśli powiem, że tak, to co?

Przeszyła go wzrokiem.

– Bo to jest ważne – ciągnęła. – Gdybyś całe życie słyszał, że jesteś brzydki, a ja to właśnie słyszałam, to też byś uwierzył, że to superważne. Nigdy nie będę taka jak inne dziewczyny, mam problem nawet, żeby kupić sobie cholerne džinsy. I co? Mówiłam sobie, że w tych okolicznościach to nic nie znaczy. Ale właśnie że znaczy. Bardzo wiele znaczy. Bo jak wszystko wali mi się teraz na łeb na szyję, to już naprawdę nie mam jak martwić się wszystkim naraz, więc wracają wszystkie te idiotyczne problemy, które wiem, że zawsze miałam, ale o których nigdy nikomu nie mówiłam.

Zbiła go z tropu. Chciał jej powiedzieć, że nie musi być taka jak inne dziewczyny, ale to był frazes. Spróbował inaczej.

– A jaka chciałybyś być? – spytał.

– Nie rozumiem – odparła zdumiona.

– Powiedz, jaka chcesz być. W astralu można to załatwić.

– W jakim sensie?

– Jesteśmy stworzeni z gwiazd.

– Czy to jest jakiś...

– Nie, nie, słuchaj, tworzą nas gwiazdy. One żyją, są potężne, mają ogromne dusze, a każdy z nas ma gdzieś własną gwiazdę, w zasadzie to każdy z nas *jest* gwiazdą. I żeby nie było, to nie jest żadna romantyczna gadka. W sensie dosłownym nasze ciała są zbudowane z podobnej materii co gwiazdy, ale astrologicznie to też ma sens.

Myśląc o rozgwieżdżonym niebie, szybko wchodził na właściwe tory.

– W astralu zrozumiałem, że niebo jest jeszcze bardziej niezwykle, niż nam się wydaje. Czarownice czerpią magię z różnych miejsc, większość z ziemi albo z żywiołów, a ja zawsze ciągnę ją z nieba, bo ono jest najbardziej... no wiesz, *niezmierzone*.

Zobaczył własną twarz w oczach March jak w zwierciadle: jego oczy błyszczały jak gwiazdy, o których mówił.

– W świecie astralnym możesz być, jaka chcesz, więc...

Wstał i wyciągnął do niej rękę.

– To jak? Przejdziemy się po gwiazdach? – Roześmiał się, choć wcale nie żartował. – Pokażesz mi, jaka chcesz być.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Callen przeniósł March na plan astralny jednym delikatnym dotykiem. Zaufała mu. Czowała się tak jak wtedy, gdy nawiedzał jej sny po raz pierwszy. Znów rozbłysła ta iskra ciekawości i zdumienia, która pchała ją do przodu, byle tylko odkryć tajemnicę chłopaka.

Ręka w rękę poruszali się po świecie utkanym ze snów. Callen ciasno oplótł palce wokół jej dłoni. Bez wysiłku przeskakiwali z dachu na dach wśród wysokich budynków, które ciągnęły się aż ku błyszczącemu niebu. Chłopak zatrzymywał się co jakiś czas, by coś jej wyjaśnić. Robił to bez słów. Rozumiała jego gesty. Wiedziała, że są w miejscu, które on sam wytworzył i nie miał tu wstępu nikt nieproszony. Każdy budynek był wytworem jego umysłu.

Ale niebo nie należało jedynie do Callena. Ono stanowiło przestrzeń, którą mogli dzielić, było niczyje i zarazem wszystkich. March pamiętała, że to właśnie na takim niebie, jasnym od gwiazd, po raz pierwszy widziała Aislingen, wyspę płynącą przez kosmos.

Callen zatrzymał się na dachu najwyższego budynku, odwrócił się w stronę March, a jego oczy rozbłysły.

– Teraz ci pokażę, jak użyć tej mocy – powiedział i zatopił dłoń w przesuwającej się nad nimi granatowo-fioletowej chmurze. Jego ręka zaczęła się zmieniać, palce wydłużyły się i przez chwilę falowały w przestrzeni. Zaczepnął więcej magii z nieba, po czym zaczął dosłownie smarować nią swoje ciało.

Patrząc na to, March czowała się jak małe dziecko, któremu dopiero zaczęto wyjaśniać świat.

– Spróbuj – zachęcił ją.

Powoli sięgnęła ku niebu, by zaczepnąć magii, ale nie była w stanie tego zrobić. Miała wrażenie, że coś ją odpycha.

– Musisz uwierzyć, że da się to osiągnąć – powiedział Callen. – Nic więcej. Tutaj wystarczy wierzyć. Zresztą w dużej mierze na tym polega magia, silna wola i tak dalej. Chodzi o to, jak mocno jesteś w stanie uwierzyć w swoje sny.

Miało to sens. Przypomniała sobie słowa Hypnosa. Właśnie coś podobnego mówił, gdy nauczał ją o planie astralnym. Każdy rodzaj magii polegał na tworzeniu intencji we własnym umyśle, a z umysłów stworzony był świat astralny. Mogła osiągnąć wszystko, co potrafiła sobie wyobrazić.

Jeszcze raz sięgnęła nieba. Tym razem je poczuła: było miękkie, ciepłe, miało swój charakter. Było jak przyjaciel. *Jaka chcę być?* – myślała. Jeśli naprawdę miała wybór, to mogła być czymkolwiek.

Zamknęła oczy i wypełniając się wizją nowej siebie, poczuła, jak jej ciało zaczyna mrowieć. Gdy rozchyliła powieki, Callen patrzył na nią z zachwytem.

– Ej – mruknęła. – Chyba nie gapisz się tak tylko po to, żeby sprawić mi przyjemność?

– Wyglądasz nieziemsko, March! – zawołał.

Spojrzała na swoje dłonie. Jej dotąd małe, dziecięce palce wydłużyły się, były smukłe i kobiece. Zachwycona i zdumiona zarazem, powędrowała nimi ku piersiom. Były nieco większe, w końcu jej sylwetka nabrała kształtów. I miała... sunęła dłońmi niżej... miała idealne wcięcie w talii, dokładnie tak, jak zawsze sobie to wyobrażała.

– Widzisz? – Callen się uśmiechnął. – Mówiłem. Tutaj możesz być, jaka chcesz.

– A ty?! – Szturchnęła go, zadowolona jak nigdy, sprawiając, że z aur obojga posypały się lśniące iskry.

– Co ja?

– No jak ty chcesz wyglądać? Twoja kolej, dajesz!

Nie wyglądał na rozbawionego tym pytaniem.

– Ja nie wyobrażałem sobie, że wyglądam inaczej – odparł. – Sądź, że powinienem?

Zmieszła się.

– Nie, wcale nie mówię, że...

Niebo pociemniało, tracąc cały blask w zaledwie kilka sekund. Nie przez zmianę ich nastroju. Działo się coś innego. Błogość rozplynęła się, blaski gwiazd zmieniły się w rozżarzone błyskawice.

Callen ścisnął jej rękę.

– Uciekamy.

Tuż obok nich uderzył grzmot, rozległ się śmiech.

– A więc tu jesteś, moja zwierzyno! – zawołał ktoś.

Rzucili się do ucieczki. March dała się ciągnąć Callenowi, gdy coraz szybciej przeskakiwał nad dachami budynków. Obróciła się za siebie tylko raz, by upewnić się, że rozpoznała głos.

Zalała ją nienawiść będąca zaledwie odbiciem tego, co czuła do nich ścigająca ich ferini. Leila wydawała się gwałtowniejsza i wścieklejsza niż zwykle, była jak dziki kot, uczepiła się ich szalonym spojrzeniem, jakby nie widziała niczego więcej. Deszcz piorunów spływał z nieba, a ona okręcała je sobie wokół dłoni i zamieniając je w potężne zaklęcia, rzucała za uciekającymi.

– Callen! – March pociągnęła go za rękę, zmuszając go, by się zatrzymał.

– Co ty wypra... – Prawie na nią wpadł, jego błyszczące oczy rozszerzyły się w przerażeniu. Czar Leili ognistym językiem liznął powietrze tuż obok.

– Znamy magię! – rzuciła March. – Nie będziemy się bać!

Teraz już i tak nie mogli uciec. Leila, płonąca ogniem rozszalałych błyskawic, była tuż za nimi.

March mocno wbiła nogi w dach budynku. Nie musiał być rzeczywisty, ważne, że ferini nie była tu u siebie.

– To twój umysł, więc nie daj się tej szmacie! – zawołała.

Leila się zatrzymała. Na jej twarzy pogarda mieszała się z gniewem. Wreszcie wykrzywiła usta w uśmiechku, szrama na jej policzku – ślad po walce z March – rozszerzyła się, a w ciemniejszych od nieba oczach zapłonęła żądza krwi.

– Zmieniłaś się, ludzki śmieciu – zadrwiła. – Tak byś chciała wyglądać? No proszę. Twój kochaś nie odradził ci zabawy w iluzję? Chyba wiesz, jak to się może skończyć?

– Nie słuchaj jej – rzucił Callen, zaciskając pięści.

– Och, *nie słuchaj jej* – prychnęła Leila. – Wiesz, jak pewnego dnia nazwą cię nasze święte księgi, Callenie Mallowayu, synu cuchnących wiedźm? *Wielkim kłamcą*. Tak wielu swoich okłamałeś, żeby dostać się do naszej krainy! Duchy naszych przodków muszą się brzydzić, wiedząc, że jest w tobie ta krztyna ich magii. A teraz znowu kłamiesz... Zobaczmy dlaczego.

Uniosła dłoń, wzbijając Callena w powietrze. March próbowała go pochwycić, ale nic nie mogła zrobić. Zawisł kilka metrów nad nimi, otoczony aurą Leili.

– Tak! – Zaśmiała się. – Widzę, co sobie myślałeś.

Chłopak próbował się bronić, gdy czytała jego umysł. Na jego czole pojawiły się błyszczące strużki potu.

– Zostaw go! – March rzuciła się na ferinię, zapominając, że powinna używać magii. Leila od niechcienia machnęła ręką, sprawiając, że odbiła się od niewidzialnej zastony.

– Jesteście siebie warci! – zawołała. – Wiesz, czego on chciał? Wiesz, co chciał zrobić?

Spojrzała na March, która splunęła z nienawiścią. Wywołała tym tylko lodowaty śmiech ferini.

– Pokazał ci, jak się zmienić, bo chciał, żebyś *poczuła się dobrze*. Tak, na tym właśnie mu zależało. Oczywiście zupełnie nie obchodzi go to, że mógł tym namieszać w tej twojej głupiej główce. Nie masz pojęcia, co się teraz stanie. Skończysz uwięziona w świecie marzeń, zawsze będziesz dążyć do tego, by być kimś, kim nie jesteś!

Wyrzucała każde słowo z pogardą.

– A kiedy już oszalejesz i zechcesz doprowadzić swoje marne, nic nieznaczące życie do końca, przypomnij sobie, kto był temu winny. On! Ten, który chciał ci podarować tę chwilę ułudy, żebyś myślała, że

nie jesteś brzydka, żeby cię okłamać, ty ohydny, obrzydliwy mieszańcu!

March nie zdawała sobie sprawy z tego, że leży u stóp ferini, póki nie zapragnęła wstać. A gdy spróbowała to zrobić, upadła. Potem znowu. I jeszcze raz. Ale choć Leila się śmiała, ona wciąż walczyła, na nowo próbując się podnieść.

Uśmiech na twarzy ferini zastygł, gdy dziewczyna wreszcie zwyciężyła jej czar i stanęła. Nie pozwoliła się po raz kolejny przewrócić. Być może zresztą Leila nie mogła ponownie doprowadzić do upadku March, jej urok chyba się wyczerpał. Walcząc z nim, dziewczyna zużyła też własną magię, bo znów była tylko sobą, taką, jaka tu przyszła. Ale to wystarczało. Jedyne, czego potrzebowała, to właśnie być sobą.

Postanowiła zagrać na zasadach Leili. Bo niby dlaczego miała być gorsza w tej grze?

– Po co się tu zjawiaś, suko? – spytała, spluwając tuż pod jej stopy.

Leila spojrzała na jaśniejącą ślinę dziewczyny. Obie wyglądały na zdumione tym, że w tak podłym gościu, zwykłym splunięciu, może kryć się tyle magii.

– No co? – prychnęła March. – Dziwi cię to, że ta twoja wielka świętość, czary, nie ucieka od mojej wstrętnej śliny?

Szczerze się zaśmiała. Ze słabości Leili i z jej głupoty. Ferini cofnęła się, gdy dziewczyna zrobiła krok w jej stronę, lecz wciąż miała w sobie dość mocy, by utrzymywać w powietrzu Callena.

– Jesteś tak samo żałosna i nijaka jak twoja matka – rzuciła March.
– I tak samo słaba jak twój martwy, nikomu niepotrzebny brat.

Dobierała słowa spokojnie. Powieka Leili drgnęła, ferini wyraźniej zaczęła tracić moc, ale March spodziewała się, że wściekłość doprowadzi ją do jeszcze jednego zrywu. Musiała być na to gotowa. Na razie Leila stała jednak nieruchomo, łypiąc na nią nienawistnie.

– Wiesz, że mogłabym go teraz zabić, prawda? – rzuciła, zaciskając dłoń.

Callen, wciąż zacięcie walcząc z jej zaklęciem, zaczął się dusić. March poczuła, jak zalewa ją panika, ale nie chciała się poddać.

– Czyżby? – odparła, odwracając się znów w stronę Leili. – Jesteś na jego terenie.

– Świat astralny to *mój* teren, w całości, ty żałosna...

– Dlaczego nie pomogłaś swojemu bratu, skoro jesteś taka silna? Za mało dla ciebie znaczył? A może tak naprawdę chciałaś się go pozbyć?

– Ty śmieciu! – Leila uniosła obie dłonie. Callen zdołał wyswobodzić się z jej uścisku. Pomiedzy jej palcami zatańczył ogień czerwonych błyskawic.

Nie minęła nawet sekunda. March nie miała czasu, by zrobić unik, gdy energia wystrzeliła spod palców ferini i powędrowała w jej stronę. Sparaliżowana czekała na cios, jednak moc rozbiła się o srebrzystą tarczę, nagle wyrosłą między nią a Leilą.

March spojrziała w bok. Callen zdołał wytworzyć barierę.

– To mój teren! – warknął. – Ona ma rację, a ty...

Urwał z okrzykiem bólu. Zdezorientowana March nie rozumiała, co się stało, gdy Leila nagle zniknęła, a tuż potem jej szyderczy śmiech rozbrzmiał za ich plecami. Odwróciła się, by zmierzyć się z tym samym pogardliwym spojrzeniem.

– Kopia astralna – zaśmiała się ferini. – Słyszałaś o tym?

Callen leżał u stóp March, trząsł się. Dziewczyna zajrzała w jego oczy. Nie rozpoznała w nim tego spojrzenia, które widywała u dotkniętych koszmarem. Leila nie napełniła więc jego umysłu wizjami. Ale jeśli nie nimi go zaatakowała, to co zrobiła?

Dziewczyna rzuciła się w jej stronę. Ferini wzbiła się w powietrze i zatrzepotała skrzydłami, z których posypał się lśniący pył. Dopiero wtedy March dostrzegła w jej ręku athame. Ostrze było zbroczone lśniącą substancją, a Leila przejechała po nim palcem i zlizwała ją.

– Hm... a więc tak sobie wyobraża swoją krew w świecie gwiazd? – powiedziała. – Widzi tu siebie jako równego ferom, chce mieć krew jak nasza.

Do przerażonej March nie od razu to dotarło. Spojrzała znów na Callena i dopiero wtedy dostrzegła, że z jego boku sączy się ta sama lśniąca wydzielina.

– Callen. – Poklepała go po policzku. – Callen!

– March – wyjąkał słabym głosem. – Muszę wrócić... natychmiast...

Gwałtownie obróciła się za siebie. Zaatakowała ferinię bez ostrzeżenia. Jej ciało przejęło kontrolę nad tą magią. Po prostu wybuchła. Energia słońca, tak niepasującego do tej astralnej nocy, rozsadzała ją od środka. Odezwała się w niej jakaś głębsza, mordercza część.

Uśmiech zastygł na twarzy ferini, gdy March powaliła ją na ziemię. Leila krzyczała. Dłonie przeciwniczki, płonące ogniem słońca, ścisnęły jej gardło. Dziewczyna ściągała moc z każdego miejsca, przejmowała kontrolę nad wszystkim wokół. Leila nie miała już ucieczki. To cichy jęk Callena ją uratował.

– March. Proszę, nie... nie ma... czasu.

Natychmiast puściła czerwone gardło ferini. Leila zdematerializowała się, a March znów doskoczyła do Callena.

– Co się dzieje? – spytała. – Jak mam ci pomóc?

– Owe mnie uzdrowi.

– Ale jak mamy wrócić?

– Znajdź... sznur.

– Znaleźć co? Callen, Callen!

Stracił przytomność.

Za wszelką cenę musiała się uspokoić, znaleźć rozwiązanie. Już.

Do głowy przyszło jej tylko jedno. Ktoś już kiedyś do niej przemówił właśnie w świecie umysłu. Teraz ona musiała zwrócić się do niego.

– Alogos!

Alogos!

Wykrzyczała to imię. Pomyślała je. Przywołała je swoim ciałem, swoją pamięcią, strachem i bólem, swoją mocą. Jak promienie słońca, które użyczyło jej magii, mogła bez trudu przenikać teraz

cały świat. *Jedna kropla może wpływać na inne* – przypomniała sobie nauki Hypnosa. *Trzeba w to wierzyć, jeśli ma działać.* Tak twierdził Callen.

Więc wierzyła. Wierzyła i żądała. Alogos nie miał wyboru. Musiał ją usłyszeć.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wyrd zerwała się ze snu zlaną potem. *Na wielkie duchy, co się dzieje?* Od dawna nie czuła podobnego strachu, od czasu, gdy...

Szybko odrzuciła od siebie niemożliwą do przyjęcia myśl. A jednak gdy jej białe stopy dotknęły pałacowej posadzki, zalała ją ta potworna świadomość. Podchodząc do okna, w którym wiatr targał cienką zasłoną, nie czuła się jak władczyni, lecz niczym bezbronna, zagoniona w kosi róg łania. Czuła się jak jej zdradzona, zamordowana przez ludzi córka.

Co się dzieje?

Aislingeńskie niebo było spokojne w swojej aksamitnej czerni zmieszanej z ametystem świata gwiazd. A mimo to królowa czuła silnie jak nigdy, że jej świat trzęsie się w posadach, że gwiazdy już rozbłyskują nowym światłem, łączą się w nowe pary i wygrywają nową pieśń.

Mocno objęła się rękoma, ale to nie dało jej nawet chwilowej uludy, że ktoś jest obok. A przecież ktoś inny już ją tak ścisnął, nie jedna osoba, ale dwie. I teraz obu ich brakowało, bo obu nienawidziła i obu kochała swego czasu bardziej niż samą siebie.

Tej nocy gwiazdy jej o tym przypomniały, bezlitośnie śpiewając pieśń zburzenia starego świata i obiecując, że władczyni nie doczeka już świtu nowego.

I mówiły o czymś jeszcze.

O tym, że starzy gracze wracają do gry.

I że wszystko zmienią.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Ciemne niebo nad March zajaśniało. Pochylona nad Callenem, uniosła spojrzenie na iskrzącą się w czerni plamę. Wyczuła go po aurze, zupełnie jakby jego obecność mogła mieć zapach. Alogos przybył.

Jasna, pomarańczowa kula zawisała tuż przed nią. Stopniowo wyłaniały się z niej kształty. Istota, która się zmaterializowała, wcale nie była potężnym jednorożcem, którego March spodziewała się zobaczyć, ale wysokim mężczyzną. Miał marsową minę, jego brwi i długie włosy zdawały się płonąć żywym ogniem. Wyglądał, jakby szykował się do ataku, gdy skierował w jej stronę długi palec, na którym zaśnił, jak wzbudzające się zaklęcie, ozdobny pierścień.

– Sky, co ty wyprawiasz?!

– Alogos? – wykrztusiła – Co się z tobą stało?

Miał na sobie wytworny srebrny frak ozdobiony kamieniami szlachetnymi, z których każdy mienił się innym kolorem, a na jego czole, w miejscu rogu, jaśniała czarna plama. Ale nawet w ciele człowieka nie był wcale ludzki. Wciąż zdawało się, że każdą jego cząsteczkę na wskroś przenika magia.

Gdy tylko z March spłynął szok, zaczęła nieskładnie tłumaczyć mu, co się wydarzyło. Nie zwracał najmniejszej uwagi na jej słowa. Uklęknął przy Callenie i przejechał dłonią nad jego ciałem.

– Matko Duchów. – Pokręcił głową. – Jego sznur jest całkiem poszarpany.

– Jaki sznur? – spytała. – On też coś o nim wspominał...

– Po co pchasz się do świata astralnego, jeśli nie ogarniasz podstaw? – prychnął Alogos. – Nie wiesz, że ciało astralne jest połączone z fizycznym za pomocą złotego sznura?

Nie wiedziała. Nikt jej o tym nie powiedział.

– Nie wiem, po co mnie tu ściągałaś, Sky – mruknął, ściskając coś w palcach. Zdawało się, że dotyka powietrza, ale to, co trzymał, musiało być prawdziwe, bo wyglądał, jakby próbował rozsupłać coś smukłymi palcami.

– Co robisz? – spytała. – Jak ci pomóc?

– Jeśli nie widzisz sznura, nie pomożesz – rzucił.

– Co się z nim stanie? Wiesz, jak go uratować?

– Przecież to robię, prawda? – Teraz zdawał się przeciągać niewidzialny sznur, o którym mówił. – Nie bój się, na pewno będzie żył, ale przez najbliższy czas ma zakaz podróży astralnych.

March patrzyła to na niego, to na chłopaka.

– Ale... jak ty wyglądasz? – spytała, skupiając się znów na Alogosie. – Dlaczego jesteś człowiekiem?

Obrzucił ją niecierpliwym spojrzeniem.

– Sądzisz, że to dobra pora, by o tym gadać?

– A będzie inna okazja?

– Oczywiście, że będzie. Teraz jesteś mi winna przysługę.

Wstał i spojrzał na nią z błyskiem w oku. Twarz miał zimną.

– Przysługę? – spytała.

– Tak, przecież właśnie uleczyłem twojego chłopaka. A dobrze wiesz, jak to działa: przysługa za przysługę. Uwolniłaś mnie w Aislingen, więc ja pomogłem ci stamtąd uciec. To miał być koniec. Ale teraz odważyłaś się mnie przyzwać, więc spodziewaj się, że gdy zajdzie taka potrzeba, znów będziesz musiała coś dla mnie zrobić.

Nie mogła uwierzyć, że tak ją potraktował.

– *Odważyłam się?* – odparła. – Czy ty siebie słyszysz?

Alogos się zaśmiał.

– Lubię takich jak ty. Jesteście śmieszni. W ogóle nie rozumiecie zasad magicznego świata. Nie jestem dobry, Sky, powinnaś to już wiedzieć.

– Myślałam, że chociaż trochę... – zaczęła, ale naraz poczuła się jak mała, oszukana dziewczynka, która dopiero co odkryła, jak

naprawdę wygląda rzeczywistość. – Nieważne.

– Ważne – syknął Alogos, zbliżając się do niej i omiatając ją swoją gorącą aurą. – Bo wiem, co myślałaś, i powinienem ci w końcu raz na zawsze wybić to z głowy: *ja nie jestem twoim przyjacielem*.

Zarzucił włosami jak grzywą.

– Do zobaczenia – mruknął i pochłonięty pomarańczowym blaskiem, wzleciał ku gwiazdom, by po chwili rozpląnąć się w czerni.

– Głupi koń – mruknęła.

Rozległ się grzmot.

– Słyszałem! – Przez niebo przetoczył się głos. – A teraz, jeśli nie chcesz tu szczeznąć, powtórz za mną: *po nitce do kłębka, jak Ariadna do domu*.

– *Po nitce do...? Co?*

– Dobrze, nie kłopotz się – westchnął. – Sam cię tam wepchnę.

Niebo zaczęło rozsypywać się na kawałki. Budynki z wyobraźni Callena telepały się jak podczas trzęsienia ziemi. March złapała chłopaka i z krzykiem na ustach opadała wraz z nim w nieskończoną pustkę. Miała wrażenie, że jego astralny azyl umiera, pochłaniany gwiazdną śmiercią.

A potem poderwała się, znów w fizycznym ciele i z niegasnącym krzykiem. Callen wciąż był nieprzytomny.

– Ove! – zawołała. – Ove!

Pobiegła do pokoju czarownika. Nim dopadła do drzwi, te się otworzyły. Omal nie wpadła na Owego, gdy wychynął na korytarz.

– Co się dzieje?

– Szybko! Callen!

Pociągnęła go za rękę. Nawet na widok chłopaka Ove zachował spokój i zaczął rzeczowo wypytywać ją, co się stało.

– Spokojnie. – Złapał ją za ramiona. – Będzie w porządku, rozumiesz?

Natrafiła na spojrzenie jego czarnych oczu. Choć ostatnio zrobiła się wobec niego podejrzliwa, teraz mu ufała. Musiała ufać.

– O co chodzi z tym sznurem? – spytała, gdy znów pochylił się nad chłopakiem. Szeptał zaklęcia uzdrawiające, potem magicznie przeniósł Callena na łóżko i odparł:

– Jeśli przerwiesz sznur astralny, umrzesz. Leila chciała go zabić, ale jej nie wyszło.

March drgnęła. *Umrzesz?* Tak po prostu? Jak zwyczajnie to brzmiało...

– Jesteś *pewien*, że będzie okay? Jest jakiś... bledszy.

– Odczuwasz po prostu jego aurę – wyjaśnił Ove. – Teraz będzie musiał zregenerować ten sznur. Postaramy się mu pomóc. Na razie ten twój dziwaczny koleżka, jak mu tam...

– Alogos.

– ...dał mu dość energii, żeby zaczął odbudowywać połączenie. Musi do tego dojść podczas snu, więc go zostawmy.

Ove niemal siłą wyprowadził ją z pokoju.

– Jutro zajmiemy się sznurem – dodał.

– W jakim sensie?

– Jak to w jakim? Tak samo jak robił to ten cały jednorożec... Swoją drogą, to dziwne, że w astralu ma ciało człowieka. Przecież one tak się szczycą tym, że nie mają z nami nic wspólnego... Mniejsza z tym. Jutro przeniesiemy się na moment do astrala i spróbujemy załatać te dziury.

– Ove – jęknęła. – Ale ja go nie widziałam. Tego sznura.

Czarownik zatrzymał się przed drzwiami do swojego pokoju.

– Jak to nie widziałaś? W sensie... zaraz! Podróżujesz po astralu od jakiegoś czasu i nie wiesz o sznurze?

Pokręciła głową, coraz bardziej niepewna.

– Coś ze mną nie tak?

Ove patrzył na nią jak na kosmitkę.

– Uhm... to dziwne. Ludzie zwykle widzą takie rzeczy, chyba że są całkiem ślepi na magię... Ale jesteś pewna, że go nie widziałaś? Bo wiesz, te sznury są trochę jak nos. Całe życie masz go przed oczami, więc zwyczajnie go ignorujesz. Nie myśli się o nich, więc...

– Jestem pewna – przerwała mu. – Nie widziałam go. Nawet kiedy Alogos miał go w rękach.

Czarownik wciąż taksował ją wzrokiem.

– Dziwne – mruknął. – Bardzo dziwne...

– Możesz przestać tak gadać i powiedzieć mi, co jest takie dziwne?

Przygryzł wargi.

– Bo wiesz, w całym wszechświecie jest tylko jedna istota magiczna, o której wiadomo, że nie dostrzega sznurów astralnych. Zgadnij kto.

Imię *Wyrd* przepłynęło przez jej myśl jak strumień brudnej wody. Ove pokiwał głową.

– No właśnie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

– Kto mógł to zrobić? – Hypnos wciąż zadawał to samo pytanie.

On i dowódca jechali w znacznej odległości od pozostałych ferów. Jeden z nich zabijał, ale który? Oczywiście jeśli nie był to nieumarły...

– Trzeba wziąć też pod uwagę samobójstwo – stwierdził dowódca.

– Dlaczego mieliby się zabijać? – zdumiał się książę. – W środku podróży, która mogła im przynieść chwałę?

– W takich przypadkach pytanie *dla czego* nie zawsze jest zasadne – odparł. – A nawet jeśli znajdzie się na nie odpowiedź, niekoniecznie będzie satysfakcjonująca. Być może ta para, którą straciliśmy, wiedziała o czymś, co ich przeraziło?

Nieumarły znów nasunął się Hypnosowi na myśl.

– Nawet my nie możemy zaglądać aż tak głęboko w umysły innych – oznajmił dowódca.

– Być może to ktoś z zewnątrz?

– Nikt nas nie śledził. Nikt też nie może ot tak się tu zjawić. Na pustyni nie ma wielu żywych istot.

– *Żywych...* – odparł cicho książę, wpatrując się w połyskującą grzywę Eriego.

– Co masz na myśli? – spytał fer.

– Nic konkretnego.

Książę spojrzął za siebie. Pozostałe fery zmierzały powoli za nimi. Narastała między nimi nieufność.

Hypnos ściągnął lejce, sprawiając, że Eri zwolnił. Dowódca, rozumiejąc, że książę chce dostać namiastkę samotności, nieznacznie przyspieszył.

– Mam tego dość – wyszeptał Hypnos do ucha enbara. – Czuję się osaczony, rozumiesz?

Zwierzę wydało cichy pomruk.

Droga niemiłosiernie się dłużyła. Wszechobecny piasek powodował wrażenie, jakby czas i przestrzeń zastygły w zaklętej klepsydrze. Czerwona Dziewica była suchym więzieniem. Dowódca twierdził, że nie ma tu żadnych żywych istot – ale nieumarły istniał pomiędzy życiem i śmiercią: jego życie polegało na niekończącym się umieraniu. Różnica między życiem a śmiercią nigdy nie wydawała się Hypnosowi równie zatarta.



To, czego książę tak bardzo się bał, wydarzyło się w środku kolejnego dnia. Słońce stało wysoko, a on niespokojnie obracał się z boku na bok. Najpierw sądził, że zasłona poruszająca się w wejściu jego namiotu to tylko kolejny sen. Gdy jednak całkiem rozchylił powieki, a obraz w jego oczach przestał się rozmazywać, senne wizje odpłynęły, wraz z zimnym potem zalewającym mu czoło.

Nieumarły stanął w wejściu do namiotu. Spojrzał za siebie, zaciągnął zasłonę i wszedł do środka. Wykrzywił wysuszone usta w odrażającym uśmiechu i zatrzymał się na wyciągnięcie ręki od Hypnosa, jakby próbował dać mu do zrozumienia, że w każdej chwili może go dotknąć.

– Kroczy za tobą śmierć, książę.

Hypnos oddychał gwałtownie.

– Śledzisz nas – powiedział – ale nie ty nas zabijasz, prawda?

– Prawda – odparł spokojnie nieumarły.

– Tak, musi tak być, bo gdybyś ty to robił, tobyś nie zaprzeczał.

– Również prawda.

– Bo ty nie musiałbyś kłamać – drażył dalej książę. – Nie masz nic do stracenia.

Nieumarły się zastanowił.

– Nigdy o tym nie myślałem – przyznał, chyba zaskoczony, co sprawiło, że jego zdarty głos wydał się wyjątkowo ludzki. – Choć zapewne masz rację. Nie mam niczego. Gdybyś ty, książę, żył tak długo jak ja, wiedziałbyś, że nie żyjemy dla siebie, nawet jeśli tego pragniemy. Ja, być może, żyję jeszcze dla ciebie.

Na jego wypalonej, kruszejącej twarzy znów zagościł ponury uśmiech.

– Kim jesteś i jak się nazywasz? – rzucił Hypnos.

Nieumarły nie odpowiedział.

– Nadal nie rozumiesz, jak małe ma to znaczenie? Giniecie, mój książę. Wszystkich was prześladowe śmierć. Niebo spada wam na głowy, gwiazdy dawno umarły, ich blask to tylko ostatnie tchnienie konającego. Wasz mały świat snów się kończy.

Miał wrażenie, że pożółkłe oczy upiora wciągają go w jakąś cuchnącą toń.

– A prawdę, której szukasz – dodał nieumarły – znajdziesz tutaj.

Skierował w ziemię palec zakończony długim, szponiastym paznokciem.

– Leży pod twoimi stopami. Nie podążaj przed siebie, idź w dół, do podziemi, które niegdyś były niebem.

– Czego ode mnie chcesz? – spytał Hypnos.

– Po pierwsze chcę cię ostrzec. Śmierć zmierza twoim śladem, jest tuż za plecami i musisz być gotowy, gdy znów zechce wbić ci nóż w plecy.

– Który z nich jest mordercą?

Nieumarły pokręcił głową. Jego kręgi szyjne trzasnęły.

– Zdrada zawsze przychodzi z domu – odparł. – Inaczej nie byłaby zdradą. Nie szukaj winowajcy wśród nich.

– Moja matka, tak? – spytał. – Leila? Któraś z nich...

Nim skończył, ręka nieumarłego wysunęła się w jego kierunku. Nie zdążył odskoczyć. Oczy istoty znów zaśniły, a Hypnos – zamiast chłodu i strachu, których się spodziewał – poczuł ciepło i błogość,

jakby znów był dzieckiem i kładł się do snu w ramionach Ilyi, zarządczyni pałacu. Widział jej twarz, usta układające się do śpiewu, lecz głos, który usłyszał, był świszczący i męski. Śpiewał kołysankę, której Hypnos nigdy jeszcze nie słyszał.



Gdy się obudził, melodia kołysanki nadal krążyła mu po głowie. Nieumarły zniknął, choć księciu zdawało się, że z miejsca, w którym stał, wciąż dobywał się chłód. Hypnos próbował zanucić dziwaczną melodię, jednak nie zapamiętał jej. Zdawało mu się, że pieśń miała ogromne znaczenie.

Wyszedł na zewnątrz, by przygotować się do dalszej podróży. Powietrze pachniało inaczej. Było zimne i ciężkie. Miał wrażenie, jakby wypełniało jego płuca czymś ciemnym. Eri podszedł do niego, domagając się pieśń.

– Jesteś jak kot – zaśmiał się Hypnos. Zatapiał dłonie w grzywie, ciepło enbara odgarniało chłód pustynnej nocy.

Księżę oparł głowę o szyję zwierzęcia i nasłuchiwał bicia jego serca. Po chwili dotarły do niego inne odgłosy. Szybko wyprostował się i zaczął nasłuchiwać. Był pewien, że słyszy trzask łamiącej się kości. Wkrótce zobaczył dwie ciemne sylwetki zatopione w zacieklej walce.

Nie zwlekał. Od razu wzbił się w powietrze i ruszył w ich kierunku. Eri frunął obok, jego ryk rozdarł powietrze. Enbar wysunął się przed księcia, jakby sugerując mu, by go dosiadł. Hypnos nie zrobił tego, bo po chwili dostrzegł leżącą w piasku postać. Przystanął i opadł na ziemię.

To był jeden z towarzyszących mu ferów. Księżę nie był jeszcze tak blisko żadnego z nich. Ostrożnie wyciągnął rękę, by go zbadać. Odgłosy walki wciąż wdzierały się do jego głowy. Nie odebrał energii

płynącej z aury fera. Dotknął jego szyi. Tętno gasło. Hypnos zaczął potrząsać leżącym, jednak za nic nie był w stanie go zbudzić.

Nagle poczuł na szyi ciepły język.

– Eri, zostań przy nim – powiedział.

Enbar posłuchał, a fer pofrunął do walczących. Jeden z nich leżał, drugi nieustannie zadawał mu ciosy. Tym drugim był dowódca.

– Co się dzieje?! – zawołał księżę.

Wojskowy go nie słuchał. Zadawał silne ciosy, by zabić przeciwnika.

– Przestań! – rozkazał mu Hypnos. Wreszcie chwycił dowódcę za ramiona, zdawało się jednak, że mięśnie w ciele fera naprężyły się; był jak kamienna figura.

Przerażony księżę patrzył, jak przywódca zadaje ostatnie razy. Przeciwnik był cały zboczony krwią. Wreszcie wojskowy wstał, otrzepał się z piasku i spojrzał na księcia tak, jakby dopiero go dostrzegł.

– Co ty zrobiłeś?! – zawołał Hypnos, dopadając do leżącego fera.

– On nie żyje – wyjąkał. – Nie żyje! A ty... ty...

Już wiedział, kto mordował pozostałych.

– Był zdrajcą, księżę – powiedział fer. – Był...

– Zabiłeś go!

Hypnos próbował znów wzbić się w powietrze, lecz jego skrzydła jakby zdrętwiały.

– To on mordował innych, księżę – przekonywał dowódca. – Spójrz, wysłała go twoja siostra!

Rzucił coś na piasek tuż obok Hypnosa. Ten spojrzał na przedmiot i ze zdumieniem stwierdził, że to amulet od siostry, który wrzucił wcześniej do wody.

– Moja siostra... miałyby... – Utkwił niewidzący wzrok w przywódcy, który pochylił się nad nim.

– Tak, twoja siostra. A któż inny miałby chcieć cię zabić równie mocno jak członkowie twojej rodziny? Hypnosie, należysz do

królewskiego rodu, w dodatku jednego z najkrwawszych w świecie. Czego się właściwie spodziewałeś?

Po raz pierwszy przywódca przemówił do niego takim tonem.

– Jak się dowiedziałeś? – spytał Hypnos.

Dowódca potarł zbroczone krwią ręce. Oblekło je srebrne światło, które spłynęło wprost z nieba i zmyło ślady jego zbrodni.

– Otruł kolejnego z nas, próbował otruć też mnie.

Książę powiódł wzrokiem w stronę fera leżącego w piasku. Eri wyczuł to i uniósł głowę, ale pozostawał na miejscu. *To mogłem być ja* – pomyślał nagle Hypnos. *Za pierwszym, za drugim, za trzecim razem.* Ale skoro tak, dlaczego nie padło na niego? Jeśli mieli zabić jego, to jakim cudem wciąż żył? Przecież to niemożliwe, by zabójca się mylił.

– Coś tu nie gra – powiedział. – Dlaczego nie zaatakował mnie od razu?

– To byłoby mu nie na rękę – stwierdził dowódca. – Jego towarzysz próbował cię zgładzić na samym początku, ale to idiotyczny ruch. Ten wiedział, że jeśli to miało zadziałać, musiał najpierw pozbyć się wszystkich świadków. Prawdopodobnie miał w zanadrzu jakąś historyjkę obmyśloną przez twoją siostrę.

Hypnos znienacka poczuł ulgę. Więc to nie matka uknuła tę intrygę, ale Leila. W tej chwili był gotów ją zabić. Chciał jej śmierci, jak nigdy nie pragnął zgonu nikogo innego.

– Kim ty właściwie jesteś? – spytał dowódcę.

– Cóż, książę – westchnął ten. – Pora, żebym coś ci wyznał.

Położył dłonie na swojej masce.

– Pozwól, że będziemy odtąd rozmawiać twarzą w twarz.

Książę z rosnącym niepokojem przyglądał się, jak fer ściąga maskę. Ku jego zdumieniu pod nią kryła się najzwyczajniejsza twarz na świecie. Przywódca był ferem o oliwkowej skórze, nosił gęsty zarost, a ciemne włosy opadły mu na czoło, na którym odznaczało się kilka podłużnych zmarszczek.

– Nazywam się Acheron – powiedział. – Z ulgą wreszcie ci się przedstawiam. Nic ci to nie mówi, wiem. Skazano mnie na zapomnienie, podobnie jak pozostałych generałów twojego ojca.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

March była pewna, że tej nocy nie zaśnie samotnie. Najpierw sądziła, że to z powodu Callena – chciała czuwać przy nim przez całą noc. Gdy jednak rozkładała pościel na podłodze obok jego łóżka, zdała sobie sprawę, że w rzeczywistości robi to głównie dla siebie. Po tym, co powiedział jej Ove, nie miała pojęcia, co ze sobą począć. Wracała myślami do swojej pierwszej wędrówki astralnej tylko po to, by się upewnić, że nigdy nie widziała żadnego sznura. Więc zawsze musiała taka być, nie był to skutek żadnej klątwy, a przynajmniej nie takiej, którą rzucono by na nią ostatnio. Najgorsze, że Ove też nie umiał powiedzieć, skąd ta dziwna przypadłość. Wiedział tylko, dlaczego miała ją Wyrd.

– Po wojnie z ludźmi – tłumaczył – chciała odbudować swoje relacje z czarownicami, ale Społeczność dała jej warunek: *Nigdy nie zobaczysz złotych sznurów*. Chodziło o to, by nie stanowiła w świecie astralnym aż tak potężnego zagrożenia. To było upokarzające, ale Wyrd musiała się zgodzić, bo inaczej musiałaby się zmierzyć z całym magicznym światem, a na taką wojnę jest za słaba.

March najbardziej przerażało to, że być może była podobna do władczyni. *Mój ferze, moje kochane dziecię...* – przypomniała sobie słowa Wyrd. Zdało jej się, jakby ktoś przyłożył jej pod nos płatek kwiatu. Jego zapach był prawie niewyczuwalny, a jednak silnie w nią wryty, krążący w jej żyłach, nęcąco słodki i gorzki jak trucizna. Od pojedynku, który stoczyła z królową w Aislingen, wciąż jej towarzyszył. Próbowwała go stłumić, prawie uwierzyła, że jeśli nie będzie o nim myśleć, on zniknie. Ale wciąż go czuła. *Moje dziecię*.

Nawet Wyrd nie mogła się wyprzeć, że w żyłach dziewczyny płynie jej krew.



Rano potrzebowała chwili, by sobie przypomnieć, co ją tak zaniepokoiło. Odtworzyła w pamięci wydarzenia wczorajszego dnia i wstała, by najpierw sprawdzić, co z Callenem. Chłopak ciągle spał. Przez kilka chwil patrzyła, jak spokojnie unosi się i opada jego pierś. Coś ją ukłuło. Gdy przypomiwała sobie, co czuła, gdy sądziła, że umierał, oczami wyobraźni widziała tę samą pustkę, która pożerała astralny świat chłopaka. Kiedy opadali na spotkanie tego mroku, tak naprawdę nie bała się śmierci, nie swojej – przeraziło ją to, że Callen mógłby umrzeć.

Usiadła na łóżku i odgarnęła z jego czoła kosmyk jasnych włosów. Nagle pomyślała, że Callen jest całkiem przystojny. Kiedy go poznała, był uwięzionym w ciele nastolatkiem, daleko mu było do mężczyzny. Teraz jednak na jego policzkach zarysowywał się już delikatny zarost, kości policzkowe się uwydatniły. Zaczął dorastać być może szybciej niż normalnie, zupełnie jakby jego organizm próbował nadrobić utracone lata.

Wstała. Lepiej było na razie nie myśleć o tych sprawach.

Zajrzała jeszcze do matki. Emma spała swoim spokojnym, nieświadomym snem. Z dołu dobiegały stłumione odgłosy rozmowy. Gdy March zeszła, zastała tam Isinbira. Siedział obok Owego. Rozmawiali ściszone głosami. Na widok dziewczyny fer wstał.

– Dawno się chyba nie widzieliśmy, prawda? – spytał surowo.

– No... średnio miałam czas.

– A co z twoją magią?

Podszedł do niej i przejechał ręką nad jej głową. Nad jego rozprostowanymi palcami zajaśniała kula światła.

– Walczyłaś zaciekle, prawda? – zapytał takim tonem, że nie była pewna, czy ją chwali, czy karci. – Widać to po ubytkach w strukturze energetycznej.

Obrzucił ją badawczym wzrokiem.

– Wiesz, March, że nasze ćwiczenia są niezwykle istotne. To, że raz udało ci się pokonać Wyrd, nie znaczy, że jesteś już superwiedźmą.

– *Dwa razy* – zauważyła. – Ale nie, wcale się nie uważam za superwiedźmę, jeśli to cię martwi.

Opadła na fotel. Sen niewiele jej pomógł, dodatkowo przytłaczała ją perspektywa tego, jak mnóstwo magicznej roboty przed nią. Tak, trochę się opuściła w ćwiczeniach.

– Zamknij oczy – polecił jej jak zwykle Isinbir.

Czuła, jak znów przesuwają ręce nad jej aurą. Trwało to kilkanaście sekund, po czym mruknął:

– Twoja siła jest rozproszona. Skąd właściwie ją czerpiesz? Skąd ją czerpałaś podczas walki?

Spojrzała na niego zdumiona. Sama musiała sobie zadać to pytanie.

– Chyba... zewsząd? – odparła. – Bo ja wiem? Pobierałam ją z nieba, jak Callen.

– Ale gdzie ją *scentrowałaś*?

– Gdzie zrobiłam co?

– Chodzi o centrum energii – wtrącił się Ove. – Miejsce, w którym skupia się twoja magia.

– Hm... normalnie to w brzuchu, ale...

– A czułaś ją tam? – spytał Isinbir.

– Tym razem nie. Miałam raczej wrażenie...

Widziała znów tamten rozsypujący się świat astralny i czuła moc gwiazdnej przestrzeni.

– W pewnym momencie wydało mi się, że to wszystko jest moje, cały ten astral – powiedziała. – To z niego pobierałam moc.

Fer się zaśmiał.

– To Wyrd nazywa siebie królową świata astralnego.

– Którą oczywiście nie jest – dodał szybko Ove. – Nikt nie rządzi astralem, choć trzeba przyznać, że skubana ma tam zbyt dużo mocy.

– March, chodzi mi o to, że twoja siła jest rozproszona. – Isinbir ukląkł przy niej i zajrzał jej głęboko w oczy. – *Energię* pobieramy z innych przedmiotów, to prawda, to zapewnia ciągły jej obieg, ale *siła* to coś innego. Nie poszukuj jej w gwiazdach, czerp ją ze środka. Inaczej będziesz uzależniona od wpływów zewnętrznych, zamiast sama *wpływać* na to, co cię otacza.

Gdyby mówił trochę wolniej, być może lepiej by go rozumiała. Teraz miało to jednak minimalne znaczenie.

– Właściwie co tu robisz? – spytała. – Słyszałeś już o Callenie? – Posłała spojrzenie Ovemu, który skinął głową.

– Wiem o wszystkim – odparł fer. – Spróbujemy zająć się tym sznurem.

– Domyślasz się, dlaczego go nie widziałam?

Utkwiła w nauczycielu oczekujące spojrzenie. Miała poczucie, że jeśli on nie będzie znał odpowiedzi na to pytanie, to nikt inny nie zdoła jej odpowiedzieć.

Isinbir pokręcił głową.



Nadal tego nie widziała. Żadnego sznura, żadnej złotej nici. Gdy w pokoju Callena przenieśli się na plan astralny i pochylili się w swoich gwiazdnych formach nad chłopakiem, March umiała dostrzec aurę innych istot, przedmiotów, umiała *wyczuć* obecność energii, ale bez względu na to, jak się wysilała, pozostawała ślepa na magiczny sznur.

– Nie próbuj za bardzo – mruknął Isinbir. – I tak możemy użyć twojej energii. Nie kieruj się strachem. Nie widzisz tego, okay, ale

działaj mimo wszystko.

Kazał jej położyć rękę na swoim ramieniu i przesyłać magię. Jej astralna dłoń robiła się ciepła, gdy złocista energia przepływała od jej brzucha, przez serce, do palców. Pozwalanie magii płynąć uspokajało ją, miała poczucie, że istnieje choć ta jedna siła, która jej nie zawodzi.

Nagle pukanie do drzwi zburzyło tę spokojną atmosferę. March poczuła szarpnięcie i wróciła do ciała. Isinbir poruszył fizycznymi ustami, jednak pozostawał w stanie głębokiego skupienia.

– Otwórz. My sobie poradzimy.

Nikogo nie zastała za drzwiami. Pukanie rozległo się ponownie i dopiero wtedy przypomniała sobie, że jeśli ktoś ich odwiedzał, to najpewniej był magiczny.

– Kto tam? – spytała, podchodząc do portalu.

– Elimas! – odparł głos.

Elimas, nie Brevda? Zdumiało ją, dlaczego właśnie tak się przedstawił.

– Mogę? – zapytał, gdy mu otworzyła.

Choć wciąż wyglądał nieskazitelnie, wydawał się roztargniony. Wszedł do salonu i się rozejrzał.

– Jesteś sama. Dobrze.

Na nic nie czekając, z kieszeni długiego płaszcza wyjął niewielki przedmiot i wręczył go jej. Trudno było stwierdzić, czym była ta rzecz. Przypominała fragment niewielkiego glinianego naczynia.

Ledwo wzięła przedmiot do ręki, poczuła jego potężną moc. To *musiał* być fragment tej tajemniczej broni.

– Skąd to masz? – Uniosła wzrok na Brevdę. Ten tylko się zaśmiał.

– Przyniosłem to, żebyś zrozumiała, że można zaufać ludziom z Rady – odparł.

– Ale ja pytam...

– March Sky. Są rzeczy, o których nie śniłaś i o których nie chciałyś śnić, a wiele z nich znajduje się po *tamtej* stronie. Jeśli

nie będziesz mnie o nie pytać, ja nie będę musiał odpowiadać i oboje będziemy zadowoleni.

Rzeczy po tamtej stronie... Przypomniała sobie o cmentarzu. Czy Brevda wiedział, co się tam wydarzyło? Czy wiedział, co March i jej towarzysze planowali, zanim do tego doszło?

– Przychodzę z ważną wiadomością – powiedział. – Musicie wstrzymać się z łączeniem części magicznej broni, gdy już je zdobędziecie.

Podszedł do szafki, na której w oprawionych ramkach stały zdjęcia siostr Malloway i Ovego. Brał je do rąk i każdemu dokładnie się przyglądał. March miała wrażenie, że czegoś szuka.

– Mamy się wstrzymać? – odparła. – Dlaczego?

Odłożył na półkę ostatnie ze zdjęć.

– Gdy dotknąłem tego przedmiotu, zrozumiałem ważną rzecz. Najbardziej oczywistą na świecie, ale taką, o której zapominamy.

Wreszcie usiadł, wyraźnie zaszępony. Łypnął na przedmiot w dłoniach March jak na tykającą bombę.

– obrońcy Ffolk odwołali się do starej magii, do sił z czasów, gdy wszystko istniało w... chaotycznej harmonii. Tylko w ten sposób mogli pokonać Wyrd. Nie wiem, czym jest ten przedmiot. To zrozumiemy dopiero, gdy już uda się go w całości złożyć, ale poczułem wyraźnie, że w nieodpowiednich rękach jego magia może być niezwykle niszcząca.

Pokręcił głową.

– Więc dlaczego oddajecie go mnie? – spytała March.

To go zdumiało.

– Bo ty już ją pokonałaś – odparł. – Możemy ci zaufać. Z pewnością bardziej niż wielu innym czarownicom.

Brevda zdawał się mówić, że inne, silniejsze od niej wiedźmy być może umiałyby wykorzystać przedmiot dla własnej korzyści, a ona nie wiedziała jak. Wcale nie chodziło mu o zaufanie, po prostu tak było dla niego bezpieczniej. Czemu jednak sam nie chciał wykorzystać przedmiotu? Bał się samego siebie?

– Dlaczego mam czekać? – zapytała ponownie. – A moja mama?

– Chodzi o to, że ta broń nie jest tak *nieskazitelna*, a teraz po świecie pałętają się cienie. Być może tego nie wiesz, ale wiele więdźm uważa, że okres między świętem Samhain a przypadającym na początek lutego sabatem Imbolc to czas mroku, pustej magii. Obawiam się, że jeśli broń powstanie teraz, wypełnią ją moce, które podziałają na naszą niekorzyść. To ważne, by przedmiot powstał wtedy, gdy triumfuje światło, a na razie toniemy w ciemności.

– Więc mam czekać do lutego? Wtedy wypada Imbolc.

– Owszem.

Brevda wstał.

– Może nie ma to dla ciebie sensu – dodał – ale musimy działać w harmonii ze światem, bo tylko wtedy magia wspomozę nasze działania. Nieważne, czy robisz coś świętego, czy przeklętego, jeśli obrazisz duchy, to nie powiedzie się żaden twój plan.

Zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

– No, na mnie już pora – oświadczył, gdy usłyszeli kroki na schodach. Ruszył w stronę portalu, jeszcze nim Ove zjawił się w salonie.

– Isinbir jest jeszcze z Callenem. Mówi, że...

Urwał, natrafiając wzrokiem na przedmiot, który trzymała. Jego oczy zapłonęły chciwie. Cofnęła się, gdy do niej podszedł.

– Nie – zastrzegła. – Tej części ja będę pilnować. Ty masz swoją.

– Co...

– Myślisz, że nie wiem, że zmusiłeś McHagena, żeby oddał ci swój kawałek broni?

Prychnął.

– Naprawdę, March, nie bądź śmieszna. Musiałem to zrobić. Tylko dlatego, że nie podobają ci się moje metody...

– Nie, nie podobają. Ale mniejsza z tym. Ty zachowaj część burmistrza, ja zachowam tę.

Jeszcze przez chwilę przyglądał się przedmiotowi. Jego ręka drgnęła, ale ostatecznie się odsunął i wzruszył ramionami.

– Niech ci będzie – powiedział. – Nie mam zamiaru się wyklócać o jakąś bzdurę.

Odwrócił wzrok, jakby tylko po to, by przedmiot w dłoni March już go nie kusił.

Brevda miał rację: to było niebezpieczne. Zachowanie Ovego stanowiło niezbity dowód. Najgorsze było jednak to, że w tej chwili nie miała pojęcia, do czego to wszystko doprowadzi.

Na razie toniemy w ciemności...

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Hypnos po prostu wpatrywał się w dowódcę. Piasek pustyni, który dotąd zdawał się do niego szeptać, teraz zamilkł – jedyne, co słyszał ksiązę, to szum krwi w uszach.

Fer podwinął rękaw szaty. Na jego przedramieniu widniał tatuaż. Znak zajaśniał jak muśnięty blaskiem księżyca. Hypnos odsunął się. Rozpoznał symbol – uskrzydłonego węża pełzającego przez spiralny labirynt. Symbol jego ojca. Naznaczano nim jedynie prawdziwe sługi Wygnanego Króla.

– Ale... to niemożliwe – szepnął. – Czego ode mnie chcesz?! W co mnie wciągasz?!

Poczuł, jak włoski na jego ciele się elektryzują. Dowódca zachował pełen spokój.

– Niczego poza tym, by wreszcie wyznać ci prawdę. A chcę tego, bo na nią zasłużyłeś jako syn Wyrda, a przede wszystkim jako syn swego ojca, którego imienia jeszcze nie mogę ci wyznać. Lecz wiedz, że jest ono obok nas. Właśnie tu.

Wskazał palcem ziemię, tak samo jak wcześniej zrobił to nieumarły.

– Jaką prawdę chcesz mi wyznać? – odparł Hypnos.

– Czy ufasz swojej matce? – spytał dowódca.

Książę nie odpowiedział. Musiałby skłamać.

– A dlaczego miałbym ufać ojcu?

– Nie każę ci mu ufać. Ale opowieść matki poznałeś, może więc pora, byś dał też szansę jego opowieści?

Hypnos nadal z trudem akceptował, że to wszystko dzieje się naprawdę. Piasek pod stopami wydawał się częścią jakiegoś odległego świata, gwiazdy przygasły. Wcześniej książę tak o tym nie

myślał, ale teraz uświadomił sobie, że cała ta wyprawa miała przybliżyć go do ojca. Chciał tego czy nie, musiał go poznać. Może właśnie teraz?

– Dobrze – powiedział. – Więc mów.



Usiedli po prostu na piasku. Eri zajął miejsce obok niego i drzemał cicho, pozwalając mu oprzeć się o swoje ciało. Dowódca długo wpatrywał się w gwiazdy. Wreszcie zwrócił twarz na Hypnosa.

– Zdjąłem przed tobą maskę, więc wreszcie możesz odczytać moje uczucia – powiedział. – Co we mnie widzisz?

Wyciągnął dłonie, zachęcając księcia, by ich dotknął. Hypnos zrobił to. Tak otwartej aury chyba jeszcze nigdy nie czytał.

– Prawdę? – Sam zdumiał się tym, co wyczuł. Ten fer nie oszukiwał.

Dowódca potaknął.

– Musiałem ją chronić, nie przed tobą, ale przed twoją matką. Dlatego przez wiele lat zakrywałem twarz pod zaklętym złotem tej maski.

– Dlaczego zdjąłeś ją teraz? Czego ode mnie chcesz?

Fer na powrót utkwiał spojrzenie w niebie.

– Nie będę pytał, co wiesz o swoim ojcu – oznajmił – bo wszyscy w Aislingen znają tę historię. Wiesz, że twoi rodzice byli dziećmi pierwszej królowej ferów, Astarte, i oboje mieli... a właściwie mają nadal... ogromną moc, większą od magii zwykłych ferów.

Nabrał piasku w rękę i zaczął go przesypywać, patrząc, jak ulatuje przez jego palce z powrotem na ziemię.

– Astarte podzieliła się ze swoimi dziećmi duszą. Nikomu nie pozostawiła po sobie królestwa, bo ono nie znajduje się w żadnym miejscu, lecz istnieje w sercu każdego fera. W idealnym świecie

duch władczyni przechodziłby niezmienny z ciała do ciała, jednak skoro jej córki zaczęły się dzielić, to samo stało się z duchem.

Urwał, by znów spojrzeć w gwiazdy.

– Twoi rodzice byli bratem i siostrą – podjął znów opowieść. – Urodzili się w ogrodach pierwszej królowej. Jak wszystkie fery, powstał z kwiatów, w których ich dusze umieścili rodzice. Wyrd była czystym, fioletowym chabrem, mój pan ogniście czerwoną dalią. Ich kwiaty rosły obok siebie, wyciągały ku sobie nawzajem płatki. Wszyscy, którzy to dostrzegali, zachwycali się widokiem. Wszyscy za wyjątkiem ogrodnika. Którejś nocy postanowił zerwać kwiaty, na krótko przed narodzeniem twoich rodziców.

Hypnos jęknął.

– Co? Chciał...

– Zerwać kwiaty, z których na świat mieli przyjść Wyrd i mój król. Nikt nie rozumie, dlaczego chciał tego dokonać, a on sam nie dostał szansy, by się wytłumaczyć. Został nakryty przez strażników ogrodu, którzy uśmiercili go na miejscu, a jego dusza została przeklęta przez Astarte tak, by nigdy już nie mógł zaznać spokoju w krainie wieczności.

Przerwać proces tworzenia nowego fera mogli jedynie rodzice, jeszcze nim zaklęta w pyłku magia została ofiarowana kwiatowi, lub sam kwiat matka czasem odrzucał tworzącą się istotę. Jednak sama myśl, że miałby o tym zdecydować ktoś inny, wydawała się straszna.

– Czasem myślę o tym, dlaczego ogrodnik Astarte chciał zniszczyć kwiaty Wyrd i mojego króla. Wtedy trwała jeszcze Zielona Era, ale coraz więcej istot czuło, że się kończyła. Może ogrodnik sądził, że ktokolwiek zrodzi się z tych kwiatów, odmieni losy świata? Nikt nie chciał końca tej ery. Nikt oprócz gwiazd.

Zaśmiał się w stronę nieba.

– Przecież moi rodzice nie zakończyli Zielonej Ery – zauważył Hypnos.

– Oczywiście, że nie – odparł dowódca. – Era i tak by się skończyła. My wszyscy odgrywamy tylko swoją rolę w opowieści ziemi i niebios. Sądzę, że ogrodnik nie chciał dopuścić do końca tego, co znał i kochał, bał się zmiany, bo wchodzenie w kolejną erę było jak wkraczanie w noc. Nie wiesz, co cię tam spotka, może cud, może śmierć.

Zebrał myśli i ciągnął:

– Ich los został spisany. Nadworny baśniarz odczytał gwiazdy i opowiedział historię, której bohaterami mieli się stać. Oczywiście była to poezja mająca wiele interpretacji. Ta, w którą uwierzyli, miała stać się ich drogą. Oni uznali, że przejmą władzę po Astarte.

– Ale to Ishtar objęła tron.

– Otóż to. Bo właśnie ona, zdaniem Astarte, wypełniała prawo Jej Samej. Już wtedy w Jaarze istnieli ludzie. Mówi się, że Ona Sama przyszła tu, by nauczać ich magii, gdy Przeklęty wykradł kamień Danu. Wiedziała, że świąty będą się rozłączać, i to nie w ferach, ale właśnie w ludziach upatrywała ich obrońców. Wyrd i twój ojciec odłączyli się, by zachować moce tylko dla siebie, i nienawidzili ludzi, bo ich zdaniem to przez nich mogli je stracić. Postanowili więc stworzyć Aislingen. Gdy jednak nie mieli już z kim walczyć, wystąpili przeciwko sobie.

– Dlaczego? – spytał książę.

Dowódca ciężko odetchnął.

– Nie kryło się za tym nic poza pragnieniem władzy. Oboje byli zbyt mocni, by siebie nawzajem tolerować, ale powody jednego i drugiego były tak samo... bezsensowne.

– Ale ty... – zaczął Hypnos. – Przecież ty opowiedziałeś się po jednej ze stron. Więc to nie było dla ciebie bezsensowne.

– Masz rację. Wtedy nie było. Wtedy byłem głupi i zgodziłem się na coś, na co nigdy nie wolno było mi się zgodzić. Zostałem strażnikiem jego opowieści.

Książę zmarszczył czoło.

– Strażnikiem?

– Nie mogę umrzeć. Obiecałem twojemu ojcu, że zapamiętam jego historię, póki on sam nie będzie mógł jej opowiedzieć. Przekazałem ją też innym: ferom, czarownicom. Przez wszystkie te lata w ukryciu tworzyliśmy armię, która przybędzie, gdy tylko Wygnany Król wróci i zadmie w magiczny róg. Minęły więc setki lat, a ja wciąż noszę w sobie tę opowieść.

– I opowiadasz ją teraz mnie...

Dowódca poruszył się niespokojnie.

– Tak, bo tobie ona zagraża. Twoja matka nie wysłała cię w tę podróż bez powodu. Nie wybrała cię dlatego, że ci ufa, ale dlatego, że się ciebie boi. Jesteś lepszą wersją swojego ojca. Jeśli ktoś mógłby ją pokonać, to właśnie ty.

– Nie chcę być królem – prychnął Hypnos.

– To niczego nie zmienia. Myślę, że Wyrd wysłała cię tu między innymi po to, by cię sprawdzić. Chciała wiedzieć, jak się zachowasz, gdy dowiesz się o swoim ojcu. Chciała wiedzieć, co postanowisz, kiedy poznasz jego historię. Nie miała jednak pojęcia, że tak szybko dojdiesz do końca tej drogi.

– Do końca? – zdumiał się Hypnos.

Acheron nagle dmuchnął w jego oczy piaskiem. W jego drobinkach załśnił astralny pył świata snów. Księżę krzyknął, walcząc z nagłym zmęczeniem. Wierzał, lecz jego kończyny nieruchomiały, a wreszcie powieki stały się ciężkie. Ostatnim, co zobaczył, był Eri, który zerwał się do walki, a tuż za nim scenie przyglądał się nieumarły, odsłaniając nadgniłe zęby w posępnym uśmiechu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

March dzieliła czas między dwa pokoje: Callena i swojej matki, przy okazji wciąż sprawdzając, czy część broni ofiarowana jej przez Brevdę pozostaje tam, gdzie ją zostawiła: w szafie w pokoju Cleto. Nie umiała już zaufać Ovemu, choć bardzo tego pragnęła.

Callen dochodził do siebie przez kilka dni. Większość czasu spał, a gdy się budził, nie był w stanie rozmawiać. Ove wlewał energię wprost do jego aury. Chłopak majaczył i mówił przez sen. I kiedy March zaczynała się obawiać, że będzie tak przez długie miesiące, wreszcie zaczął normalnie kontaktować.

– Jak się czujesz? – spytała, ledwo spojrzał na nią przytomnym wzrokiem.

– Całkiem dobrze – stwierdził, trzymając się za brzuch.

Usiadła obok niego. Zastanawiała się, czy trzeba sprowadzić Ovego albo Isinbira, na wypadek gdyby chłopak znów potrzebował pomocy. Wyglądał jednak całkiem w porządku. Zresztą wolała pogadać z nim sam na sam.

– Ona zaatakowała mnie athame, prawda? – spytał. – Niewiele z tego pamiętam.

– Tak. Łała ci się krew, w dodatku srebrna.

– Srebrna? – odparł nieco zażenowany.

March studiowała przez chwilę jego zmartwioną twarz.

– Leila mówiła, że to twoje marzenia – dodała. – Że masz krew jak fery, bo w astralu wyobrażasz sobie siebie jako ich spadkobiercę.

Callen zatopił stopy w dywanie i się rozprostował.

– Jestem ich spadkobiercą, czy jej się to podoba, czy nie. Czy *mi* się to podoba, czy nie... Ale mniejsza z tym. Jak mi pomogłaś?

– Sęłam w tym, że nie ja to zrobiłam.

Opowiedziała mu wszystko po kolei.

– Ten Alogos... – zastanowił się Callen. – Jakoś mu nie ufam, a ty?

– Sama nie wiem. Pomógł mi już dwa razy. Najdziwniejsze jest to, że nawet on sam nie chce, żebym mu ufała. Kazał mi pamiętać, że nie jesteśmy przyjaciółmi.

– No tak. Chciał tylko, żebyś pomogła mu wyzwolić się z Komnaty Więźniów. Ale nie zastanowiło cię to, że ukazał się w astralu jako człowiek? Przecież jednorożce szczyłą się tym, kim są.

– O tym samym pomyślałam.

– Ale... – Callen się zastanowił. – Jest jeden jednorożec, który potrafi przybierać ludzką formę, również w świecie ludzi. Tylko jeden na całym świecie.

March zmarszczyła czoło.

– Kto?

– Nazywa się księżę Kirian, to ich władca. Być może Alogos aspiruje do tego, by być kimś więcej?

– To by mnie nie zdziwiło – zaśmiała się March. – On ciągle zdawał się do czegoś aspirować. Jest cholernym zarozumialcem. Zresztą mam to gdzieś. Obchodzi mnie tylko to, co mówił: że niby jestem mu winna przysługę. Zachowywał się, jakbym podpisała z nim jakiś pakt.

– A zrobiłaś to? – Callen spojrzał na nią z całkowitą powagą.

– Uhm... nic mi o tym nie wiadomo.

– Bo gdybyś to zrobiła, musiałabyś spełnić każdą jego prośbę, jakakolwiek by ona była. Magiczne paktów bardzo trudno obejść. Nawet jeśli ci się uda, ten, z kim go zawiązałaś, będzie się mścił.

– Jeśli mnie wezwie, trudno, będę musiała mu pomóc. Rozumiesz, wtedy niewiele się dla mnie liczyło, tylko...

Urwała. Czy naprawdę chciała mu powiedzieć, że liczył się tylko on? Czy to było... bezpieczne? Już go przecież pocałowała i to okazało się porażką. Jeśli żywiła do Callena jakiegokolwiek uczucia,

najlepiej było je stłumić. W sercu walki z Miastem Snów nie mieli czasu na romanse.

– Co się liczyło? – spytał.

– No. – Uciekła wzrokiem. – Żeby cię uratować.

Callen powoli pokiwał głową i przez dłuższy czas milczał.

– No wiesz... – zaczęli jednocześnie.

– Mów – powiedzieli znów oboje i oboje się zaśmiali. Te kilka wspólnych gestów, nawet tak prozaicznych, wyglądało, jakby ich ciałami poruszała jedna siła.

– Chodzi mi o to – zaczął znów Callen – że powinienem cię przeprosić. Można mówić o Leili, co się chce, ale ona miała rację. Źle zrobiłem, ucząc cię o tym, jak zmienić swoje ciało astralne. To było strasznie głupie.

Przygryzła wargę. Sama miała co do tego mieszane uczucia. W tamtej chwili, gdy była w stanie sięgnąć po energię gwiazd i stworzyć samą siebie tak, jakby marzenia mogły stawać się rzeczywistością, czuła się po prostu błogo. To było najcudowniejsze, co dotąd się jej przytrafiło. Ale słowa Leili bolały, bo kryły w sobie prawdę. To wszystko było tylko iluzją, równie nietrwałą i okrutną jak koszmary ferów.

Callen wpatrywał się w nią, czekając chyba na rozgrzeszenie.

– Słuchaj – powiedziała. – Zostawmy to. Wszyscy mają jakieś marzenia. Czasem nawet warto je spełniać, ale...

– Tu nie chodzi o marzenia. Pragnienie czegoś, co wiesz, że nie jest dla ciebie dobre, nie jest *prawdziwym* marzeniem. Takich rzeczy nie można osiągnąć za pomocą magii, a jeśli już, to efekty będą nietrwałe. Magia najlepiej działa w tych osiągalnych kwestiach.

Nie miał chyba pojęcia, jak to brzmiało. Równie dobrze mógłby jej powiedzieć, że nigdy nie będzie ładna. No ale nie miała zamiaru z tego powodu płakać. To byłoby superpłytkie. A już zwłaszcza idiotyczne tutaj, w zwykłej rzeczywistości. Na takie wybuchy emocji mogła sobie pozwolić co najwyżej w astralu.

– Ale wiesz, March – dodał Callen. – Ty naprawdę nie potrzebujesz żadnych poprawek.

Zaśmiała się.

– Dzięki.

Wiedziała, że tak nie myślał.

– Powiedz mi lepiej, co się stało z twoim światem astralnym? – spytała. – On zaczął się burzyć...

– *Wymazywać*. Rzeczywistość astralna jest zbudowana przede wszystkim z myśli, odczuć i wyobrażeń. Można w niej stworzyć przestrzeń tylko dla siebie. Tamto miasto, które zrobiłem, to...

Prychnął.

– Głupia rzecz. Wiesz, kiedyś przeglądałem z mamą jakąś książkę. Czytała mi z niej bajki. Już jej nie mam, ale pamiętam, że tam były rysunki właśnie takiego wielkiego podniebnego miasta. Krok po kroku budowałem w głowie podobne obrazy, a że od dzieciństwa łatwo przenosiłem się do astrala, dość szybko stworzyłem kopię tego miasta. Tyle że moje miasto było puste. Rzadko kogoś tam zapraszałem... Jak dotąd to właściwie tylko ciebie...

Posłał jej nieśmiałe spojrzenie. Nie umiała na nie zareagować.

– Odbudujesz je? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem... Nie, chyba nie. Może to pora, żebym stworzył coś nowego? Poza tym skoro Leila raz tam wtargnęła, mogłaby zrobić to znowu. Będę musiał wykreować nową przestrzeń i lepiej ją opieczętować. Na razie nie chcę tracić na to energii.

Zamilkł ze wzrokiem wbitym we własne stopy. Kilka razy otworzył usta, ale minęło trochę czasu, nim się odezwał.

– Wiesz co? – powiedział. – Śniła mi się moja mama.

– Och... – March odpowiedziała głosem obcym dla niej samej.

– I nie sądzę, że to był przypadek – dodał Callen. – Jeśli to zacząłem, muszę skończyć. Odnalazłem ojca i powinienem też lepiej poznać przeszłość mamy.

March przyszło do głowy, że to nie był najlepszy czas na robienie tego. Ale nie miała prawa mu tego mówić. Zresztą może się myliła? Może to właśnie *był* najlepszy czas?

– Tak czy siak nie chcę cię tym teraz obarczać – dodał, posyłając jej blady uśmiech.

Z powrotem położył się do łóżka.

– Nie obrazisz się, jak jeszcze się zdrzemnę? – spytał.

– Nie ma sprawy. W sumie to i tak powinnam zajrzeć do mamy.

– Jak ona się czuje?

– Bez zmian.

Za każdym razem zapytana o to, musiała udzielić tej samej odpowiedzi. Odpowiedzi, która zawsze działała na nią jak kubek zimnej wody.

– Nie martw się – odparł Callen sennym głosem.

– Nie będę – obiecała cicho.

Wychodząc z jego pokoju, myślała jedynie o tym, że powinna znaleźć książkę, o której wspomniał, nawet jeśli nie miał zamiaru od nowa budować swojego miasta wśród gwiazd.



Nocą March wciąż obracała się na łóżku. Zdawało jej się, że całe jej ciało pulsuje. Gdy wreszcie przyszedł sen, był płytki i dziwny. Ktoś wciąż powtarzał w nim jej imię. Nieustanne, zgrzytliwe *March, March, March* dobiegło do niej jakby przez niewidzialną zasłonę. Musiała wyężyć słuch, by usłyszeć je w rozedrganym powietrzu.

March, March, March...

Głos miał zapach. Wilgotnej gleby, cedrowej trumny. Zupełnie jakby ten, do kogo należał, zakopany był głęboko pod ziemią. Słowa rozpraszały ciemność skłębioną w snach dziewczyny i wybijały nieustanny rytm, który wzywał ją do podróży.

Dotknęła stopą dywanu, zrobiła krok przed siebie. Jeszcze jeden i kolejny. Każdy z nich był długi, zabierały ją poza Dom Wiedźm. Jego opiekuńcza aura ześlizgnęła się z niej jak ochronny płaszcz, gdy dziewczyna błotnistą drogą ruszyła w stronę cmentarza. Na wpół rozespana, na wpół przytomna dotarła do metalowej bramy, zza której dobiegał głos.

Na pokrywającym klamkę szronie wytworzył się kształt – odcisnęły się na nim opuszki czyichś palców. Zamiast się odsunąć, March docisnęła do nich własną dłoń i pociągnęła za klamkę. Brama zazgrzytała, a dziewczynę jak stado roztrzepotanych ptaków zaatakowały podobne do wiatru szepty. Nie rozumiała ich. Przefrunęły obok i poleciały dalej, zatapiając się w ciszy, w której po chwili znów wyraźniej odezwał się ten głos.

March, March, March...

– Idę do ciebie – powiedziała. Jej słowa zmienione w błyszczący strumień uniosły się w powietrze i rozwiały.

March, March, March...

Podążała do grobu. Było jasne, kto ją wzywał. *Ise!*, *Ise!*, *Ise!* – chciała odpowiedzieć, jednak milczała, bojąc się, że gdy odpowie, ta tajemnicza magia straci swoją moc.

Już z oddali widziała znajomą srebrzystą sylwetkę. Wydawała się stworzona ze światła księżyca, które na moment przybrało formę. Odwrócona do March plecami, siedziała na swoim grobie, wpatrzona w odległe drzewa.

Im bliżej przyjaciółki była March, tym bardziej czuła, że wchodzi w kontakt z czymś świętym. Wreszcie zatrzymała się przy grobie z ręką wyciągniętą delikatnie, by dotknąć pleców Ise!

Wymówiła jej imię. Jej głos rozbrzmiał jak dzwonki. Poruszył powietrze nie tylko w tym świecie, ale i w tym drugim, większym, bardziej tajemniczym i ulotnym.

Zjawa powoli zaczęła się odwracać. Na jej widok stopy March przywarły do zmrożonej cmentarnej ziemi.

Twarz Isel była straszna. Jej oczy wywrócone białkami jaśniały jak dwa małe księżyce. Z szeroko otwartych ust sączył się lśniący strumień. To była krew. Bulgoczącym, wydobywającym się jakby z podziemia głosem Isel błagała:

– Pomóż mi, March!

A potem zaczęła krzyczeć. March cofnęła się, senne wizje zniknęły. Cementarz rozpadł się na małe kawałki.

Sądziła, że gdy się obudzi, i ona będzie krzyczeć. Ale nie, gdy otworzyła oczy, by spojrzeć wprost w ciemność nocy, milczała tak, jakby strach zaszył jej usta.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

– Dalej, gołębiczki! Nie możemy czekać w nieskończoność!

Ove był dziś w wyśmienitym humorze, co zresztą March i Callenowi wydało się podejrzane. Zrobił dla nich śniadanie, a potem, ledwo siedli do stołu, zaczął mówić o swoich planach.

– Trzeba od razu wziąć się do dalszych poszukiwań broni. Wiem, wiem, nie wolno nam jej stworzyć przed Imbolc, co wcale nie znaczy, że nie powinniśmy dalej szukać.

Sięgnął po mapę z pentagramem, na której odhaczał miejsca, które już odwiedzili. Do tej pory March miała wrażenie, że coś działałi, ale patrząc na mapę, dostrzegła tylko to, czego im brakowało. Dwa punkty zaznaczone przez Ovego na zielono wydawały się niczym w porównaniu z trzema pozostałymi, czerwonymi i kryjącymi w sobie zagadkę.

– Niewyraźnie wyglądasz – stwierdził czarownik, przyglądając się jej przekrwionym oczom. – Mam nadzieję, że nie miałaś koszmarów?

Mruknęła w odpowiedzi. Nie chciała rozmawiać o swoim śnie. Kiedy tylko się obudziła, od razu zapaliła światło i długo leżała z rękoma na sercu, próbując się uspokoić. Nie rozumiała tego snu. Była nawet zła na samą siebie, że się jej przyśnił. Czuła, jakby w wyobraźni zbezczeszczyła pamięć o Iseł.

– Dobrze – ciągnął Ove. – Możemy dalej prowadzić naszą *misję*, problem w tym, że teraz musimy odwiedzić jedno miejsce, które... hm...

Rzucił niespokojnie spojrzenie Callenowi.

– Co? – odparł ten, blednąc. – Myślisz, że sobie nie poradzę, czy jak?

– Nie, tego nie...

– To bardzo dobrze. Bo akurat świetnie dam sobie radę.

Chłopak z brzękiem odłożył widelec.

– Mówicie o sierocińcu, tak? – spytała March. – Ale Callen jest jeszcze zbyt słaby. Dopiero co...

– Wcale nie jestem słaby. Zresztą tu nie chodzi o mnie. Sęk w tym, że nie macie pojęcia, jak sobie poradzić z Roy i z ochroniarzem. Nie wiecie nawet, kim on jest.

Ove zamrugął.

– No? – odparł. – A kim takim jest?

– Golemem – syknął Callen.

Czarownik nie wyglądał na zaskoczonego.

– Och, no proszę – westchnął. – Tak coś czułem. Zawsze śmierdziało mi ziemią, kiedy się tam kręciłem.

– Czy ty wiesz, o czym mówisz? Pokonanie golema graniczy z cudem.

– A co to właściwie jest golem? – spytała March.

– Coś okropnego, obrzydliwego, ohydneho – odparł Ove. – Lepi się go z gliny zmieszanej z ludzką śliną, a tworzenie takiego stwora jest dość... bluźniercze. Niektóre mity mówią, że istoty wyższe stworzyły ludzi z gliny i podzieliły się z nimi duszą. Golema tworzysz podobnie, ale nie możesz dać mu duszy, bo nad nią nie masz kontroli. Dlatego golemy uznaje się za wybryki natury, bestie pozbawione uczuć.

– Zwykle lepi się je z ziemi cmentarnej – dodał Callen. – Bo w niej zachowane są przecież resztki życia.

March natychmiast przypomniała sobie o swoim śnie.

– Golem jest szalenie niebezpieczny – ciągnął chłopak – bo nie da się z nim porozumieć. On działa jak maszyna, w dodatku zwykle tylko jego stwórca może go zniszczyć, bo nikt poza nim nie zna właściwego zaklęcia.

– Pozytyw jest taki, że można je zdobyć, bo golem nosi je we własnym ciele, zapisane na pergaminie – powiedział Ove. – Żeby

pozbyć się typa, trzeba wyciągnąć mu ten pergamin z głowy, pleców czy gdzie tam ma je zaszyte...

Wzdrygnął się.

– Skoro tego golema stworzyła ta cała Roy, to dlaczego Społeczność nie załatwi tego za nas?

Callen się roześmiał.

– Roy nigdy się nie porozumie ze Społecznością. Chce mieć wpływy w Finfolk. Była tu zawsze kimś ważnym, sierociniec miał swoje znaczenie. Gdyby go zamknęła, straciłaby pozycję. Poza tym ona prawdopodobnie wierzy, że zasłużyłem na swoją karę.

– Co? – prychnęła March.

– *Polityka* – odparł lekceważąco Ove. – Społeczność nie może ot tak zamknąć sierocińca, a Roy pewnie ma swoje racje. Oczywiście my nie możemy czekać, aż dojdą do porozumienia, dlatego będziemy działać, jak przystało na wiedźmy: przeciwko prawu.

Wstał z uniesionym palcem i wyjął coś z lodówki.

– Chyba już wiem, jak sobie poradzić z naszą panią z sierocińca – oznajmił, kładąc na stole przedmiot. Była to ciemna figurka wysokiej kobiety. March od razu rozpoznała w niej Roy.

W oku Owego pojawił się błysk.

– Pomysł Irmy z tymi figurkami nie był chyba taki zły.



Krocząc w ciemności obok March i Owego, Callen miał wrażenie, że jego życie zatoczyło koło. Wzdrygał się na myśl o powrocie do sierocińca. Nigdy nie był równie samotny, jak u Krwawej Mary. A teraz sam, z własnej woli, szedł z powrotem do swojego więzienia. Jego towarzysze podsumowywali wytyczony przez Owego plan. Do chłopaka docierały tylko urywane zdania o wahadle, lalce, golemie. Nie umiał się na nich skupić, bo wciąż i wciąż wracały do niego obrazy z sierocińca.

– Mówię tylko, że to dość ryzykowne – usłyszał podniesiony szept March. – Wszystko może pójść źle.

– Przestań narzekać, mały malkontencie – westchnął Ove. – Ile można zrzędzić w twoim wieku? Już chyba coś ustaliliśmy.

– Starczy tylko, że jeden punkt twojego...

– To będziemy improwizować. Czarownik poradzi sobie sam na samotnej wyspie, całkiem nagi, nawet jak zaatakuje go masa namhajdów.

– Okay – mruknęła March. – Wolę chyba, żebyś nie rzucał we mnie takimi obrazami. Już raz widziałam cię prawie gołego i było to raczej traumatyczne.

– Pojęcia nie mam, o co ci chodzi. Dobrze wyglądałem jako kot i dobrze wyglądam...

– Dość – przerwał im Callen. – Nie macie pojęcia, jak działa sierociniec, więc darujcie sobie śmiechy, okay?

Zamilkli i przez dalszą drogę się nie odzywali. W zbitym śniegu każdy krok niósł się o wiele głośniej. Callen już czuł ciemną aurę sierocińca, której nie mogły rozgrzać eleganckie latarnie Ffolk. To czary sprawiały, że Krwawa Mary mogła ot tak tu funkcjonować. Nikogo nie zastanawiał los jej podopiecznych, wszyscy rozumieli, że lepiej trzymać się od nich z daleka, ich aury odstraszały niemagicznych.

– Stójcie – poprosił Callen. Nagle ugięły się pod nim kolana, w brzuchu poczuł ucisk, jakby zaraz miał wymiotować.

– Co jest? – March instynktownie powędrowała ręką właśnie ku jego brzuchowi.

– Nie wiem... – jęknął. – To chyba ta energia...

Sierociniec wyłaniał się już z zimowej mgły. Światło w jego oknach płonęło gwałtownym ogniem.

– Uzdrowię cię – powiedział Ove. – Teraz nie możemy już zrezygnować.

Callen pokręcił głową.

– Chcę tylko trochę odsapnąć.

Usiadł na śniegu, chłód przeniknął go do kości. Ale chłód był orzeźwiający, sprawił, że z każdym szybkim oddechem uchodziły wspomnienia. Ove miał rację: było za późno, by się wahać. Callen wstał i tym razem poszedł przodem. Musiał przejąć kontrolę.

Ostatni kawałek drogi pokonał najszybciej i stanął przed sierocińcem tak, jakby witał dawną znajomą. Miał wrażenie, że głos Krwawej Mary dochodzi do niego z jakiejś wyrwy w pamięci. Ciemny budynek przypominał żywą istotę, oddychał, myślał i potrafił nienawidzić.

– No dobra – szepnął Ove. – To ja wchodzę pierwszy, a wy za mną. Callen, ty na pewno znasz jakieś tylne wejścia, więc takim będziecie musieli dostać się potem do środka. March, w twoje ręce.

Rzucił jej wahadełko, które schowała do kieszeni. Potem nacisnął domofon. Ciszę wypełnił długi dźwięk. Serce Callena znów przyspieszyło. Odruchowo wyciągnął rękę w stronę March, która chyba czekała, aż to zrobi, bo choć na siebie nie patrzyli, bez trudu odnaleźli swoje dłonie.

Chłodny głos Julii Roy odezwał się po kilku chwilach.

– Słucham?

– Dobry wieczór. Jestem aktywistą na rzecz ginącego gatunku dżdżownicy iaraandińskiej. Chciałbym zamienić z panią słówko, bo ponoć ziemia, na której postawiono tę placówkę, zawiera wiele składników użyźniających, które mogłyby pomóc temu biednemu robakowi. Chciałbym prosić, oczywiście odpłatnie, o możliwość pobrania próbek.

March i Callen wymienili zaskoczone spojrzenia. Żadne z nich nie miało pojęcia, jaką bajeczkę wymyślił Ove, ale ta wydawała się absolutnie beznadziejna. Mimo to słowo *odpłatnie* musiało podziałać na Roy, bo otworzyła drzwi.

– *A teraz idziemy jakby nigdy nic.* – Ove przesłał myśl Callenowi. – *Jak tylko znajdziemy się w cieniu, spadajcie na tyły tego parszywego budynku.*

Ruszyli całą trójką. Droga wiodła przez niewielki chodnik, oświetlony zaledwie dwiema starymi latarniami, w których płonęły świece. Po obu jej stronach było całkowicie ciemno. Ove trzymał się ubocza, by łatwiej mogli odskoczyć we właściwym czasie. Callen nie był pewien, czy wyczuje moment. Po prostu odliczył do dziesięciu, odetchnął i pociągnął March za rękę. Wbiegli na zacieniony trawnik. Ove rozkaszał się, by odwrócić uwagę pani Roy, która już otwierała drzwi.

– Dobry wieczór! – zawołał. – Jak miło, że się pani zgodziła na...

Tyle usłyszeli, gdy Callen bezgłośnie otworzył drzwi jakiegoś schowka, wepchnął zdumioną March do środka i zamknął je za nimi.

– Sorry, musiałem – jęknął.

– Gdzie jesteśmy? – spytała. – Mogę...

– Nie, niczego nie rozświeć – poprosił. – W tych okolicznościach ciemność jest o wiele bezpieczniejsza od światła.

– Co tu robimy? Dlaczego...

– Wydaje mi się, że go widziałem.

– Golema?

– Tak.

– No ale... – zaczęła niepewnie March. – Przecież po to tu przyszliśmy, prawda? Żeby go pokonać.

March ciągle dotykała jego skóry palcami. Jej bliskość i strach przed tym, co czeka go po wyjściu, sprawiały, że chciał tu jeszcze zostać. Przyjemnie byłoby skryć się w ciasnym mroku i nie musieć z niczym się mierzyć. Już nigdy.

– Wiesz, jak użyć wahadełka? – spytał.

– Ove pokazał mi z pięćdziesiąt razy.

– I pamiętasz, żeby zrobić to dopiero wtedy, kiedy golem będzie na tyle blisko, żeby...

– Wiem – rzuciła. – Działajmy.

Odczekali jeszcze kilka chwil. Wreszcie Callen ruszył w stronę drzwi. Jeszcze raz głęboko odetchnął i je otworzył.

Za budynkiem Krwawej Mary ciągnął się ogród, a jeszcze dalej – las, podobnie jak za Domem Wiedźm. Biel wszechzalegającej śnieżnej pokrywy mieszała się z ciemnym granatem nieba. Niespokojne oddechy Callena i March zmieniały się w mgliste obłoczki.

– Więc... – zaczęła dziewczyna.

Rozległ się skrzypiący odgłos. March urwała, a Callen odwrócił się w stronę starej szklarni stojącej tuż przy sierocińcu. Jej dach był podziurawiony, w szybach odbijały się szare chmury. Z budynku wciąż dobiegał ten sam dźwięk, jakby ktoś paznokciem skrobał po szkle.

– Ktoś tam jest? – spytała March.

Callen sięgnął po athame i brodząc w śniegu, zaczął zbliżać się ku szklarni. March ruszyła za nim, ściskając wahadełko Ovego. Wreszcie stanęli przy drzwiach budynku. Chłopak zmrużył oczy, wpatrzony w zakurzoną szybę, z której dochodziło drapanie. Najpierw dostrzegł w niej tylko własne, niewyraźne odbicie. Jego wielkie, szeroko otwarte oczy błyszczały, jakby zapaliły się w nich malutkie gwiazdy.

March musnęła jego dłoń. Ciepło jej palców wydawało się niezwykle odległe pośród przeszywającego do kości mrozu. Razem patrzyli w okno, aż wreszcie pojawiła się za nim czyjaś dłoń. Była malutka, dziecięca i niemal całkowicie biała.

March odsunęła się. Omal nie wpadła w zaspę śnieżną. Callen wciąż jednak patrzył. Dotykające szyby małe palce były zakończone ostrymi pazurami. Teraz wyrysowywały litery. Po chwili na szkle pojawiła się koślawa prośba: POMÓŻ MI.

– Chodźmy stąd – szepnęła March.

Ale on zbliżył się do okna, próbował dostrzec twarz istoty skrytej po drugiej stronie. Ręka odsunęła się od szyby. Potem zajaśniała za nią biała sylwetka, która podeszła do kolejnego okna. Część okna była wybita. Przez wyrwę wychynęła twarz.

– Matko! – przeraziła się March.

To nie było dziecko, choć na pierwszy rzut oka mogło za nie uchodzić. Drobna, blada głowa zakryta jasnymi, mokrymi włosami wyglądała, jakby należała do zjawy utopionej dziewczynki. Jej jaśniejące oczodoły były puste, a zęby w rozdziawionych ustach ostre i lśniące.

Zjawy krzyknęła rozdzierająco. W okna szklarni zaczęło uderzać coraz więcej drobnych dłoni, podniósł się przeraźliwy krzyk, przypominający wrzask dzieci, a jednocześnie demoniczny. March i Callen biegli w przeciwnym kierunku, raz po raz wpadając w śnieg. Wrzaski ucichły, nie pozostawiając po sobie nawet echa.

Drzwi szklarni otworzyły się i stanęła w nich potężna, ciemna postać – rosły mężczyzna z niedbale zapiętą koszulą i w szerokich spodniach. Ochroniarz. Golem. Jego długie włosy sterczały na wszystkie strony, a na szyi połyskiwały kolorowe, błyszczące amulety.

Callen i March stali objęci, wpatrując się w niego. Widok amuletów uzmysłowił chłopakowi, co tu się wydarzyło.

– Oni ukradli im magię – wyszeptał.

– Jak to ukradli? – zdumiała się March.

Golem rozglądał się zdezorientowany. Sprawiał wrażenie zbudzonego ze snu.

– Te krzyżące istoty to fantomy – odparł Callen. – Roy jest złodziejką magii.

Ochroniarz wreszcie ich dostrzegł. Mruczając gardłowo, ruszył w ich stronę. Jego potężna sylwetka kładła się na ścianie sierocińca ogromnym cieniem.

– Nie uciekajmy – odezwał się Callen.

– Nie żebym miała zamiar – wyjąkała March.

Z każdym krokiem i pomrukiem golema w głowie chłopaka eksplodowały sceny, których był świadkiem w Krwawej Mary. Wyciągnął athame i pozwolił prowadzić się magii.

Zakłęcie popłynęło samo. Czerpał moc z nieba. Srebrzysty blask spłynął na dół, oblewając jego aurę. Callen zadrżał, gdy energia

zamrowiła czubki jego palców i ze sztyletu eksplodowała w kierunku golema. Potwór warknął wściekle, uskakując przed wiązką światła. Przyspieszył.

– Może ja... – zaczęła March.

– Nie, ty skupiaj się na wahadełku – rzucił Callen, stając tuż przed nią.

Jeszcze raz zaczerpnął siły z góry. Czuł, jak moc gwiazd wypełnia każdą cząsteczkę jego ciała: fizycznego, astralnego, duchowego. A jednak zdawało się, że magii wciąż brakuje. Golem nadal zmierzał w ich stronę. Księżyc, który wychynął zza chmur, oświetlił jego twarz. Poraniona skóra zwisała z szyi, wściekle, bezrozumne spojrzenie utkwiał w swoich ofiarach. Naraz stanął, jakby o czymś sobie przypominając, i uśmiechnął się pod nosem.

– O co mu chodzi? – spytała March. Wahadełko w jej ręce zaczęło powoli lśnić, ale jeszcze nie mogła go użyć.

Potwór jednym ruchem zerwał z szyi połyskujące amulety i zaczął je szybko przeglądać. Te najwyraźniej bezużyteczne wrzucał w śnieg. Wreszcie wybrał jeden, w którym kłębiła się błękitna energia, rzucił go na ziemię i rozdeptał. Szkło trzasnęło. Ze zniszczonego wisiora wypłynęła jasnoniebieska aura i unosiła się wokół golema, który zanurzył w niej ręce. Wielkie dłonie przyoblekła magiczna siła.

– On nie może wiedzieć, jak użyć magii – zaczął Callen. – On...

Ale golem wiedział. Skierował dłonie w stronę March i wykonał gest przywoływania. Callen upuścił athame, łapiąc dziewczynę za rękę, gdy zaklęcie wzbilo ją w powietrze. Choć trzymał ją z całych sił, nie miał szans z tą magią. Wreszcie musiał puścić.

March nie krzyczała, nawet się nie szamotała. Z wciąż ściskanego przez nią wahadełka sączyła się coraz jaśniejsza energia. Łapy golema wyciągały się już w stronę jej szyi. Potwór mógłby jednym ruchem złamać jej kark.

Callen wyciągnął ręce ku niebu i oderwał ciało astralne od fizycznego. Zrobił to tak gwałtownie, że na moment go zamroczyło.

Zamknął oczy. Fizyczne ręce wbijał w lodowatą ziemię, w astralnych skupiał energię gwiazd. Niebo należało do niego.

A jednocześnie, w tej jednej sekundzie, zawładnął też ziemią. Poczł, że coś działo się pod mroźną pokrywą.

Coś jest w tej ziemi.

Nieważne, co to jest – pomyślał Callen. – Niech mi pomoże.

Gdy otworzył oczy, wszystko wokół zalewał srebrny blask. March w pełni uruchomiła wahadełko, mimo że golem trzymał ją teraz w powietrzu, tuż nad sobą. Srebrzysta siła ujawniła całą jego istotę – zgodnie z ich planem. Wśród mieszaniny żył, ścięgien i kości Callen dostrzegł zwinięty pergamin z zaklęciem. Był tuż pod kolanem. Używając mocy gwiazd, chłopak przywołał do siebie athame i rzucił się w stronę potwora. Zanurzył ostrze w jego nodze.

Golem ryknął, a March wpadła w śnieg. Z ciała potwora zamiast krwi ulatywała ziemia. Callen wyciągnął zaklęcie i rozwinął pergamin. Oświetlił sobie słowa energią gwiazd płynącą spod palców.

– Rozkazuję ci! – zawołał. – Zamień się w glinę, z której powstałeś! Wróć do ziemi, która cię przywołała! Anzu! Archon! Asb’el! Moloch! Lilin! Gader’el! Emet, met! Met! Met!

Golem zastygł z ręką wyciągniętą w stronę Callena. Jego ciało zmieniało się w ziemię i rozsypywało, twarz przybrała kolor gliny. Rozpadł się doszczętnie w proch. Pozostały jedynie jego postrzępione, brudne ubrania, od których unosił się okropny, cmentarny smród.

March spoglądała na to ze zdumieniem, wciąż do połowy zakopana w śniegu.

– To mamy go z głowy – westchnęła, gdy Callen pomógł jej się wydostać. – Już myślałam, że...

Spokój przerwał wrzask. Tym razem dochodził z budynku sierocińca i należał do Ovego. Czarownik pędził w ich stronę i moment później wpadł na Callena, z ledwością łapiąc równowagę na śliskim śniegu.

– A podobno można ją przywołać, tylko jak wypowie się jej imię trzy razy – wysapał, chwytając się za serce. – Przysięgam, to nie moja wina!

March i Callen spojrzeli na coś, co frunęło w ich stronę. Głos uwiązał im w gardłach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

To była zjawa. Wysoka, koścista, sunęła w powietrzu ubrana w postrzępioną czarną suknię. Jej trupia twarz i ciało lśniły bladą poświatą, na jej stroju widniały szkarłatne plamy. Usta upiora pokrywała zaschnięta krew, a spod czepka, którym były owinięte jego ciemne włosy, wypływały skołtunione kosmyki włosów.

– To Krwawa Mary – jęknęła March.

– Nie, nie – wydyszał Ove. – To jest...

– Pani Roy – wyszeptał Callen.

Choć jego dawna opiekunka niemal wcale nie przypominała już siebie, od razu ją rozpoznał. Coś w jej spojrzeniu i w aurze nie pozostawiało wątpliwości.

Z dzikim okrzykiem wzbiła się jeszcze wyżej i rozpostarła ręce. W jej szponiastych dłoniach zaśniły skłębione błyskawice. Jedna powędrowała w ich stronę. Ove machnął athame, tworząc barierę ochronną. Błyskawice rozeszły się po niej i zaczęły wędrować jak świetliste robaki, wypalając w niej dziury. Po chwili ogień doszczętnie strawił magię czarownika. Zbroczone krwią usta upiora wygięły się w uśmiechu. W jego dłoniach tworzyły się już kolejne błyskawice.

– March. – Callen lekko szturchnął dziewczynę. Miała zamknięte oczy. Próbowwała skupić w sobie magię, ale on chciał, by zrobiła coś innego. – Posłuchaj, będę cię...

Krzyknęli oboje, uskakując w przeciwnych kierunkach, gdy kula energii uderzyła w ziemię u ich stóp.

– Musisz coś zrobić, March! – zawołał Callen.

– Próbuję!

– Nie o to chodzi. Twoja magia mogłaby ją tylko zasilić!

– O czym ty mówisz, chłopie? – zdumiał się Ove.

Callen zerwał się z ziemi i pobiegł ku March. Jej ręce lśniły już od wzbudzonej energii.

– Pamiętaj, że ona kradnie moc! Nie atakuj jej!

Magia z dłoni dziewczyny wyparowała.

– Na razie musisz tylko... – Callen obrócił się za siebie. Roy walczyła z Ovem. Zaklęcia płynące z jego athame raz po raz rozświetlały niebo. – Użyj wahadła i znajdź amulety golema, a potem zniszcz je w szklarni.

March otworzyła usta do protestu. Z tamtego budynku wciąż dochodziła nieprzyjemna, złowroga aura.

– Zaufaj mi – dodał Callen z naciskiem. – Będę cię osłaniać.

Dziewczyna wreszcie skinęła głową. Sięgnęła znów po wahadło i próbowała wykrzesać z niego magię.

– Mogę liczyć na *odrobinę* pomocy?! – wysapał Ove.

Callen stanął zwrócony plecami do March i wyciągnął dłonie ku niebu. Energia płynęła gładko. Coś go jednak blokowało. Czuł teraz, że blokowało go od dawna. Dotąd nie był świadom tej blokady, ale właśnie ją zrozumiał. March musiała mu pomóc, a on musiał walczyć, bo już wiedział, że w tej chwili walczy o samego siebie, bardziej niż kiedykolwiek.

Skierował na Roy dłonie napełnione niebem. Sięgał jeszcze wyżej, aż ku kosmosowi. Zjawa obróciła ku niemu ohydłą twarz, a on wypuścił energię. Srebrzysty blask zalał upiora, oblepiał go mazią. Roy szamotała się przez kilka chwil, aż wreszcie wyswobodziła się i wzbijała nad dach sierocińca. Zbierała moc.

Za plecami Callena rozbłysło kolejne światło. March w końcu uruchomiła wahadełko. Gdy wszystko wokół ujawniało swoje kształty, wisiory golema emanowały jaskrawą magią. Dziewczyna rzuciła się w ich stronę i pobiegła do szklarni. Roy uczepliła się komina i syczała z nienawiścią.

March wpadła do szklarni. Blask wahadełka zaczął ujawniać czające się w mroku istoty. Patrzyły na nią jakby złęknione. Zamachnęła się i z całej siły uderzyła amuletami golema o podłogę.

Dla pewności zaczęła miażdżyć je butem. Szkło kruszało. Szklarnia wybuchła od barwnych świateł, kolory fruwały jak długo więzione ptaki.

Z zewnątrz dotarły do niej wściekłe wrzaski Roy. Walka między nią a Callenem i Ovem rozgorzała na nowo. Do tych krzyków dołączyły inne, potężne i wściekłe. Cała szklarnia trzęsa się teraz, gdy zamieszkujące ją istoty z całych sił uderzały dłońmi o jej ściany. March uciekła z pomieszczenia na chwilę przed tym, nim zaczęło kruszeć. Wreszcie rozbiło się w drobny mak, a ze środka wydostały się rozpędzone istoty. Ich sylwetki jaśniały barwami uwolnionymi z amuletów. Było ich kilkadziesiąt. Całą chmarą rzuciły się w stronę Roy. Wzlatywały w powietrze, łapiąc ją i szarpiąc jej suknię. Z ciała obezwładnionej zjawy ulatywała energia.

– Callen! – zawołała March. – Co ja właściwie zrobiłam? O co cho...

Jedna ze lśniących istot uderzyła nagle w chłopaka. Nie zatoczył się. Gdy szmaragdowozielona postać wniknęła w niego, March krzyknęła i rzuciła się w jego stronę. Złapał ją Ove.

– Nie! – syknął. – Nic mu nie będzie. Tylko zobacz.

Callen wzbił się w powietrze. Jego aura skrzyła się tym szmaragdowym blaskiem. Zdawało się, że stracił świadomość – miał zamknięte oczy i uśmiechał się lekko.

– Wraca do niego magia – wyszeptał Ove.

Nagle chłopak rozchylił powieki. Jego oczy jaśniały energią szmaragdu i srebra. Wyprostował rękę, kierując palce na Roy. Świetliste istoty, które ją atakowały, usunęły się, torując mu drogę. Machnął dłonią, a energia rozbłysła i ugodziła opiekunkę w serce. Zjawa zastygła z wyrazem zdumienia na twarzy, po czym opadła, uderzyła w dach sierocińca i zsunęła się po nim na ziemię.

Callen też opadł. Jego aura powoli traciła blask, coś się w nim zmieniło. *Wszystko* się zmieniło. Jego oczy jaśniały ze szczęścia, wydawał się napełniony mocą bardziej niż kiedykolwiek. I bardziej niż kiedykolwiek wydawał się sobą.

– Emerald! – zawołał. – *Emerald!* Rozumiecie?! *Emerald!*



– Ja nic z tego nie rozumiem – przyznała March.

Byli znów w Domu Wiedźm, teleportowani przez Ovego. Callen chodził po salonie. Jego aura wciąż była nabuzowana tą niesamowitą energią. Połyskiwała z każdym jego krokiem.

Ove posłał March przepaszające spojrzenie.

– Chętnie bym mu kazał usiąść na tyłku, ale po tym, co się stało...

– A co dokładnie się stało? – odparła.

– Jak widzisz, nasz kochany *Emerald* odzyskał swoją moc. W pełni.

– Sądziłam, że Społeczność już mu ją oddała...

– Wygląda na to, że nie do końca. W tych kolorowych amuletach, które nosił na sobie golem, była zaklęta moc wykradziona wiedźmom. Najwyraźniej Roy odbierała ją więźniom sierocińca. Jeśli zrobisz coś takiego czarownicy, powstanie fantom.

Urwał, bo Callen przeszedł obok nich, mruczając coś pod nosem i wyciągając przed siebie ręce. Wokół jego dłoni przemieszczały się niewielkie, szmaragdowe błyskawice.

– Już mi wspominaliście o fantomach – przypomniała sobie March, gdy chłopak ruszył w stronę kominka i usiadł. – To oderwana od wiedzy moc, tak?

– Właśnie tak. Jeśli wykradniesz czyjąś magię, uwięziona siła zacznie tworzyć wokół siebie coś w rodzaju cienistej osobowości. Groźnej, wstrętnej i zwykle permanentnie wkurzonej. Im dłużej to trwa, tym gorzej, bo taki fantom rośnie w siłę i wścieka się coraz bardziej, nie mogąc połączyć się ze swoją czarownicą.

– Czyli golem przetrzymywał tę magię, a to, co widzieliśmy w szklarni, to były fantomy więźniów sierocińca?

Wszystko nabierało sensu. Jedna z demonicznych istot wpadła przecież wprost na Callena. *Wstąpiła* w niego.

– Ale Roy nie wykradła całej mocy Callena – dodała March. – Używał czarów.

– Nie mogła całkiem okraść więźniów. W sierocińcu blokowali nasze moce, ale nie wolno było ich odbierać. To nielegalne. Przynajmniej mamy już odpowiedź, dlaczego nie chciała współpracować ze Społecznością. Wszystko wyszłoby na jaw i byłaby skończona.

Wreszcie odezwał się sam Callen.

– To, co mi zabrała... – zaczął rozedrganym głosem. – To było... jak wszystko. I kiedy wróciło...

Jego oczy lśniły tym samym szmaragdowozielonym blaskiem, którym emanowała jego aura.

– Nie da się powiedzieć, co poczułem – powiedział.

– No, w każdym razie Roy zaszkodziła samej sobie – stwierdził Ove. – To musiało wybuchnąć. Nie ma siły, żeby takie szambo nie wybiło. Rozumiecie, o co mi chodzi.

Callen potaknął i zacisnął wargi ze złością. March przyznała, że nie rozumie.

– Widziałaś, co się z nią stało – powiedział Ove. – Egregor sierocińca zniszczył ją od środka.

– Egregor?

– To taki jakby magiczny umysł albo duch, rodzaj świadomości. Powstaje w danym miejscu, łącząc w sobie energie wszystkich, którzy są z nim związani. W sierocińcu egregor zmanifestował się jako Krwawa Mary. Najwyraźniej Roy była tak związana z tym miejscem, że zatarły się różnice między nim a nią. Egregor ją pochłoniął.

– Właściwie kiedy ją pokonałem – dodał Callen – Roy nie była już Roy.

– Żebyś wiedział – mruknął Ove. – Kiedy wszedłem do sierocińca, otworzyła mi niby w miarę sympatyczna babka, chociaż cholernie

podejrzliwa. Rzuciłem na budynek czar wyciszający, żeby nie wiedziała, co się dzieje na zewnątrz, a potem wcisnąłem jej tyle kitu o ratowaniu dżdżownic iaraandińskich, ile tylko się dało. No, ale zbyt wiele się *nie* dało. Jak tylko wyczuła, że ktoś zabił jej golema, wpadła w szal. Egregor prawie rozerwał ją na strzępy.

– Ale Callen go zabił, prawda? – spytała March.

Chłopak pokręcił głową.

– Egregora nie da się zabić. Można go tylko przetransformować. Na szczęście odebraliśmy mu dostęp do mocy i szybko się nie podniesie. Przypuszczam, że będziemy musieli wrócić na miejsce i sprawdzić, jak lepiej się nim zająć. Trzeba włożyć trochę wysiłku w zmianę jego charakteru.

To, co powiedział, skojarzyło się March z bestią z lasu. Siostry Malloway tak właśnie tłumaczyły jej naturę: bestia chłonęła to, czym ją karmiono. Mogła stać się niebezpieczna lub dobroczynna, ale sama w sobie pozostawała neutralna.

– Ja się tym zajmę – rzucił Ove, wstając.

– Co? – zdumiała się March. – Masz zamiar iść tam *teraz*?

– A dlaczego nie? Im szybciej zaczniemy, tym lepiej. Ale wy, gołąbeczki – wskazał na nich ostrą końcówką swojego wahadełka – zostańcie lepiej w domu. Młodzież nie powinna zbyt często zadawać się z demonami. To nie służy waszemu magicznemu wychowaniu.

Poprawił kołnierz i nałożył czapkę. Gdy zniknął, March głębiej wczuła się w aurę Callena. Zastanawiała się, jak potężny się stał.

– Co on teraz zrobi? – spytała, chociaż wcale nie chciała gadać o Ovem.

Callen wzruszył ramionami.

– Zacznie oczyszczać teren, może pobierze trochę pozostałości po aurach, żeby poddać je analizie. Nie martw się, nic mu nie będzie.

– Nie o niego się martwię – odparła March.

– A o kogo? – zaśmiał się Callen.

Ale gdy ich spojrzenia się spotkały, nie było mu już do śmiechu. Jego wielkie, jasne oczy rozbłysły, a jej – ciemne i przenikliwe –

świdrowały go na wylot.

– O ciebie. – Zdobyła się na szczerość.

Podszedł do niej. Jego aura połączona z ciepłem kominka to było już zbyt wiele.

Spuściła głowę.

– Zastanawiam się tylko... Boję się, czy skoro odzyskałeś tę moc tak nagle, to czy ona...

Nie znajdowała właściwych słów. Nie chciała go urazić.

– Czy mnie nie zniszczy?

– *Nas*. – Podniosła znów wzrok. – *Nas* nie zniszczy. Jesteśmy w tym razem.

Callen wyciągnął rękę. Nie musiał nic przy tym mówić. Od razu dotknęła jego dłoni palcami.

– Czy to może niszczyć? – spytał.

March sunęła opuszkami palców po jego gładkiej skórze.

– Zamknij oczy, poczuj to i pozwól przemówić swojej intuicji – doradził.

Poczuła się jak w domu. Tylko tyle. Zupełnie jakby magia Callena rozbudziła się na nowo nie tylko dla niego, ale też dla niej. Czekwała na nią i potrzebowała jej, przez cały ten czas nie wiedząc, że czeka i potrzebuje.

A potem w jej głowie pojawiła się wizja węża. Nie – smoka. Potężnego smoka zrodzonego ze słońca w jej brzuchu. Wzniósł się wysoko, wzniecając ogniste iskry. A inny wężowy smok, szmaragdowozielony, o oczach srebrzystych jak księżyc, spojrział w jego stronę. Sunęły ku sobie i spotkały się na tle usłanego gwiazdami nieba. Splotły się ze sobą i tańczyły wśród słoneczno-księżycowych płomieni.

I nie, to nie była wizja. To naprawdę działo się na planie astralnym.

Otworzyła oczy. Callen patrzył na nią i czekał. Jego smok przyciągał jej smoka. Skoro to była magia, March dała się jej poprowadzić. Ich usta zetknęły się, a potem długo, *długo* działo się

coś, czego nie umiała ogarnąć. Wiedziała tylko, że uczucia całkiem nią zawładnęły i chętnie się im poddała.

– Tak, March – powiedział Callen, gdy w końcu odkleili się od siebie. – Ta moc może zniszczyć. Ale nie ciebie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Książę wciąż czekał. Czas przesypywał się przez jego świadomość jak piasek. Nie wiedział, ile dni tu spędził. Tak właśnie musieli czuć się więźniowie jego matki. Nigdy dotąd o tym nie myślał. A powinien być, bo każdy pająk musi znać swój jad.

Tym właśnie był Hypnos – pajakiem tkającym cudownie srebrzystą sieć. Powpinał w nią nęcące sny. Jak każdy fer z Aislingen mógł używać tej mocy i choć wmawiał sobie, że nigdy nie robił tego z niewłaściwych pobudek, w tej wszechogarniającej ciemności zrozumiał wreszcie, że to nieprawda.

Nie, nie mylił się. Po prostu kłamał. Okłamywał samego siebie, by lepiej okłamywać innych. Był kłamcą. Tak samo jak Wyrd i Wygnany Król. Omamił March na polecenie królowej, potem znów ją omamił i zapewne byłby gotowy zrobić to ponownie. Dla dobra krainy.

Już tego nie chciał. Nie obchodziło go dobro krainy. I nie mógł dłużej zaprzeczać samemu sobie. Lepiej umrzeć z własną prawdą na ustach, niż wykrzykując prawdę kogoś innego tylko przez strach.

Przywalony piaskami pustyni, utknął sam ze sobą. Czekał na śmierć, choć intuicja podpowiadała mu, że jeszcze po niego nie przyjdzie.

Wreszcie coś usłyszał – po wielu dniach, może tygodniach. Niewyraźny odgłos przesypującego się gruzu. Trwało to godzinami, coraz wyraźniejsze, aż wreszcie dźwięki rezonowały w całym jego ciele, wprawiając je w nieustanne drganie.

Ucichły nagle. Cisza, jaka po nich nastąpiła, trwała tylko kilka sekund. Po nich w uszach Hypnosa rozbrzmiało coś łagodniejszego, pieśń wyśpiewywana w języku, którym niegdyś mówiły wszystkie fery. Rozumiał jej twarde, skamieniałe słowa.

*Zbudź się, zbudź się, dziecię,
z nasionka wykiełkuj.
Stań się zielone, rośnij,
uwolnij zaklętą w sercu gwiazdę.*

*Zbudź się, barwne dziecię,
niech skrzydła motyla musną cię swym blaskiem,
niech wiatr skieruje twą twarz ku słońcu,
niech ziemia prowadzi cię ścieżką,
którą los ci wyznaczył.*

*Zbudź się, zbudź się, dziecię nasiona,
dziecię pierwszej matki i pierwszego ojca.
Zbudź się, piękny kwiecie,
Mój ferze, moje kochane dziecię.*

W ciemności zajaśniał wąski tunel. Blask poraził oczy Hypnosa, lecz księżę nie mógł ich zamknąć. Pieśń popłynęła znowu, każąc jego ciału wstać. Uczepił się jej dźwięków. Każde drgnienie sprawiało mu ból.

Musiał się wyczołgać przez ten niewielki otwór. Zastępe mięśnie powoli budziły się do nowego życia. Słabymi rękoma torował sobie drogę.

Pieśń płynęła, dodając mu sił.

Połowa drogi, dalej wężowym tunelem. *Idź, idź.* Już prawie. Już był... Już się stawał...

Jestem. Jestem...

– Jes... Jes...

Spierzchłe usta pękały. Metaliczna krew pobudziła go do życia.

– JESTEM!

Leżał u stóp istoty, która wyśpiewała pieśń. Zdał sobie sprawę, że od początku znał jej głos. Upiór z pustyni podniósł go kościstymi

rękoma. Nie miał już na sobie potarganych łachmanów, ale czystą białą przepaskę.

Hypnos nie opierał się. Dotyk upiora był kojący. Nieumarły tulił księcia jak własne dziecko. Ten raz po raz otwierał i zamykał oczy. Widział ciemne, gliniane ściany, oświetlane blaskiem obdartych pochodni. Czuł to miejsce jako rozległe, stare, pachnące magią świętą i bluźnierczą zarazem.

Potwór położył go w ciemnej komnacie na długim ołtarzu. Miał go teraz zabić? Miał przywrócić mu życie? I czy to w ogóle była jeszcze jakaś różnica?

Poczuł ciepło, gdy chude, długie palce potwora rozsmarowywały po jego ciele pachnący olejek. Sucha skóra stawała się delikatna, słodkie zioła niosły w sobie wizje cudownych snów. Nim Hypnos się im poddał, zobaczył jeszcze twarz potwora. Znajomo upiorną, przyjemnie upiorną, pięknie upiorną.

– Będziesz teraz spał innym snem i śnił nowe sny, mój książę – powiedział zdarty głos. – Najpiękniejszy kwiecie w moim ogrodzie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Burza trzęsła niebem. Wyrd biegła, rozpalając po drodze pochodnie. Jasnofioletowe płomienie buchały z paszczy srebrnych smoków, których łby wystawały ze ścian. Iskry sypały się na podłogę, gdzie zmienione w drobinki ametystu rozwiewały się przed stopami królowej.

Potrzebowała zaklęcia. Wszyscy i wszystko usuwało się z jej drogi, gdy dopadła do drzwi i rzuciła się przed siebie, jakby wprost w objęcia deszczowej nocy. Pędziła przez królewski ogród. Z ciemnofioletowego nieba siekł srebrny deszcz.

Nie zatrzymała się ani na moment, choć błyskawice coraz intensywniej atakowały niebo, próbując rozerwać kopułę snów. W oddali jaśniała świątynia. Po wielkim jaju spływały strumienie lśniącej wody. Dopiero tutaj Wyrd zwolniła, przemierzając płytką rzekę, która wytworzyła się wokół budynku. Potem przeniknęła przez zakrzywioną ścianę.

Pogrążeni w transie kapłani na moment przerwali ustawiczne modły. Władczyni minęła ich obojętnie, kierując się ku głównemu ołtarzowi. Podniosła stojące tam miniaturowe jajo i przyłożyła je sobie do piersi.

– Pozwól mi wejść – poprosiła.

Drzemiący w jaju gad syknął przez sen. Energia wciągnęła królową, zabierając ją do wewnętrznego sanktuarium. Tam, wokół okrągłej ściany, ciągnął się rzeźbiony wąż. Pożerał własny ogon, był nieskończony. Inny, żywy wąż, spoczywał na podłodze. Gruby i długi, oplatał się wokół podstawy najświętszego ołtarza. Pokrywały go łuski z cienkiego ametystu, jego skóra była jak granatowe niebo, łeb

zdobiły wzory gwiazd. Czarne oczy przenikały przez nieskończony kosmos.

– Chwała tobie, wszystko ogarniający Nesho.

Wyrd pochyliła czoło przed zwierzęciem, inkarnacją Prastarego Węża. Cicho podeszła do ołtarza i otworzyła księgę, której strony były zbroczone krwią. Drżącymi palcami przesuwała je, by przyzwać tego, którego miała już nigdy nie oglądać.

Strony z przywołaniem były zabezpieczone siedmioma pieczęciami. Przełamać je mogła tylko ona. Wyciągała ręce nad pustym pergaminem, szepcząc zaklęcia w starym języku. Ostatnim z nich było jej własne imię.

– Ishelsaabhar. – Pokładała w tym słowie całą swoją nadzieję.

Na stronach pojawiły się czerwone litery.

Wzięła głęboki wdech, przywołując do ciała moc świętego miejsca. Na jej białych dłoniach uwydatniły się fioletowe żyły. Magia spływała z ust i z palców.

Własnym imieniem przywołuję cię, bracie, kochanku, królu!

Wygnyany, witaj znów w domu,

Odepchnięty, przybądź na wezwanie tych, którzy cię odepchnęli.

Ishesabel, Królu Wygnany, chcę, byś tu był.

Zadrżała. Tajemne imię jej dawnego ukochanego sprawiło jej ból. Czy chciała, by znów tu się pojawił? Przy niej? Ale czy mogła tego chcieć, wiedząc, że to może oznaczać koniec wszystkiego?

Nie, nie zrobi jej krzywdy. Już go przecież pokonała. A teraz chciała tylko skrawka jego umysłu, by zmusić go do mówienia. Nie zapraszała jego ciała.

W głowie widziała już, jak ognisty smok unosi łeb. Zamknęła oczy, by lepiej poczuć tę aurę. Lecz gdy uniosła powieki, zdała sobie sprawę, że to nie Wygnany Król do niej przybył. Kula światła unosiła się nad ołtarzem. Wyłaniały się z niej kształty.

Przeraziła się, ale nie cofnęła. Była u siebie.

Jednak przybysz też zachowywał się, jakby był u siebie. Unosił się lekko nad ziemią, na jego pięknej twarzy gościł uśmiech, którego nie mogłaby zapomnieć. Długie, złociste włosy skrzyły się od energii. Guziki jego fraka połyskiwały. W końcu opadł na świątynną posadzkę. Wysokie buty zastukały o twarde kamienie.

Alogos z Wielkiego Karkadannu był dostoyny jak w chwili, gdy go poznała.

– Odejdź. – Wystąpiła do przodu. – Ostrzegam.

Dumnie wypiął pierś. Czarna kropka w miejscu rogu błysnęła.

– A więc odegnaj mnie, skoro mnie przywołałaś... Och, czyżby nie o mnie ci chodziło?

– Nie jesteś mi potrzebny.

Długim palcem w białej rękawiczce przejechał po ołtarzu. Odsunął się, gdy święty wąż zasyczał. Skłonił głowę, oddając mu cześć, i stanął dalej. Gad z powrotem ułożył się do snu.

– A jednak przywołałaś *mnie*. – Alogos zastukał butem o posadzkę. – Jak słodko rozbrzmiały te słowa. *Kochanek, książę...* nawet *wygnany*. Czar nie mógł przywołać tego, który śpi zbyt głęboko, więc popłynął do pierwszej osoby, która odpowiadała tym słowom.

– Magia czasem się myli – odparła Wyrd.

– A królowe? – spytał, podchodząc do niej. – Czy królowe mogą się mylić?

Zmrużyła oczy.

– Nawet królowe czasem się mylą.

Alogos się zaśmiał.

– Ta się pomyliła – odparł. – Ale nie wtedy, gdy wszystko się zaczęło. Pomyliłaś się, kiedy postanowiłaś to skończyć.

– Odejdź.

– Nie jestem twoim poddanym. – Jego głos był lodem. Zimniejszym niż deszcz w tę dziwną, niespotykaną noc.

– Odejdź.

– To twoje nowe zaklęcie? Odejdź? – Uniósł brwi. – Chętnie to zrobię. Ale nim to się stanie... skoro mam już okazję... Oddam ci coś.

Złożył ręce, jakby chwycił w nie spływającą wodę.

– To mój ból – dodał. – Ciekawe uczucie. Weź je sobie.

Jego dłonie wypełniły się złocistymi drobinkami. Wyrd stała, z pobłażaniem kręcąc głową.

– I pamiętaj – powiedział spokojnie Alogos – nie ty to skończyłaś. To ja to skończę.

Dmuchnął w złoty pył. Drobinki wżarły się w umysł władczyni. Upadła i zaczęła śnić o przeszłości.



Królowa musiała przypomnieć sobie wiele rzeczy, a wiele zobaczyć na nowo. Widziała wysoką górę, a na niej lśniący jak księżycowy kamień pałac, kierujący ku błękitnemu niebu ostre rogi wież. Alicorn. Tam urodził się Alogos. Wystrzeliwujące z budynku tęczowe promienie spływały na Wielki Karkadann, krainę jednorożców. Wyrd była tu jako mała dziewczynka, jeszcze w towarzystwie swojej matki, i zawsze nosiła w sobie obraz tego miejsca – odcisk potęgi większej od innych potęg, serca wszystkiego, co chciała kiedykolwiek osiąść.

Nie mogła mieć magii jednorożców, ale mogła mieć jednego jednorożca. I miała go. Przez pewien czas należał tylko do niej, a ona do niego.

W jej wizji Alogos był jeszcze złocistym jednorożcem z czarnym rogami, po którym spływały promienie słońca. Najpierw zobaczyła go jako zwierzę tarzające się w trawie obok innego, bliźniaczego stworzenia, choć o skórze i grzywie muśniętej księżycem. Alogos i Kirian, w dzieciństwie zawsze razem, jeszcze gdy widmo wyboru

władcy nie zaprzętało im głów. Musieli dorosnąć, by zrozumieć, że tylko jeden z nich dostanie wszystko.

Dumna jednorogini o mlecznobiałej skórze, z grzywą ozdobioną srebrnymi łańcuszkami, patrzyła na nich w sposób, który Wyrd dobrze знаła. To była miłość, tak, ale coś jeszcze – zmysł, który musiały mieć władczynie. Matka bliźniaczych książąt oceniała, który z nich lepiej nada się do rządzenia.

– Ja będę władcą! – To Alogos wypowiedział te słowa jako pierwszy, gdy ich niewinna zabawa wreszcie zamieniła się w bójkę.

Kirian prychnął.

Bójka zamieniła się w niechęć, niechęć we wrogość. Wrogość w walkę. Głównie podejmował ją Alogos. Kirian śmiał się z jego wysiłków.

– Nie tak wybierani są władcy naszej krainy – mówił.

Władcy jednorożców nigdy nie byli królami. Nosili tytuły książąt, regentów, rządzących w imieniu większej i mądrzejszej siły. Władza tutaj była delikatnym duchem, nie dało się jej posiąść ani odebrać, sama wybierała tych, którzy przemówią w jej imieniu, a gdy to się działo, wiedział o tym każdy liść na drzewach Wielkiego Karkadannu.

Dlaczego duch plemienia świętych istot wybrał Kiriana? Dla Wyrd było to oczywiste.

Alogos odwiedził ją po raz pierwszy w snach długo po tym, jak wygnała swojego męża i sama władała Aislingen. Ci, których spotykał w świecie gwiazd, sądzili, że w przypominał w nim mężczyznę. Wyrd nie widziała w Alogosie człowieka. Był dla niej po prostu piękną istotą, przyciągającą ją potęgą i magią.

Chciał od niej zaklęcia.

– Liczysz na to, że uda ci się pokonać brata – powiedziała rozbawiona i zafascynowana jego pragnieniem władzy. – Dam ci czar. Musisz tylko uważać, by nie powiązano mnie z tą sprawą.

Sięgnęła do *Zwojów Krwistego Świtu*. Znalazła klątwę, która mogła odebrać Kirianowi całą potęgę.

– Jak każde przekleństwo, da się ją odwrócić – zastrzegła. – Jeśli twój brat przełamie klątwę, wszelkie konsekwencje poniesiesz ty.

Skinął głową. Pogłaskała jego miękki policzek.

– Pakt między nami jest prosty – powiedziała. – Jeśli przegrasz, stracisz wszystko sam. Jeśli wygrasz, zyskamy oboje.

Wykrzywił usta.

– Nie mogłoby być inaczej. Nie z tobą, prawda? – spytał.

– Jestem królową – odparła.

Ale chodziło jej o coś więcej. Musiała stawiać na Aislingen. Stawiała na sobie. Aislingen było nią. Ona była Aislingen.



Oczywiście, że Alogos przegrał. Spodziewała się tego. Liczyła na to. Tliła się w niej jakaś niebezpieczna nadzieja, że gdy do tego dojdzie, kochanek zamieszka z nią w Mieście Snów. I faktycznie przyszedł, gdy wszystko stracił. Zagroził jej, że prawda wyjdzie na jaw, jeśli nie pomoże mu jeszcze raz.

Od początku powinna była się na to przygotować. Historia Wygnanego Króla się powtórzyła. Ale w całej swojej potędze Alogos był o wiele słabszy od dawnego męża Wyrda, a przy tym butny i głupi. Nie pozostawił jej wyboru. Musiała zamknąć go w Komnacie Więźniów, chronić samą siebie i królestwo. I dopiero potem, gdy już zniknął jej z oczu i więcej nie dopuściła go do swoich snów, mogła zdusić płomień, który w niej wzniecał.



Płomień rozpalił się jeszcze raz. Tylko na moment. Zdmuchnęła go, wstając z podłogi i odgarniając pajęczynę snów. Alogos chciał zaatakować ją wspomnieniami, próbował przekazać jej swój ból, ale

ona nie miała zamiaru go przyjmować. Co ją obchodziło to, że cierpiał w jej więzieniu? Sam się do niego wtrącił i jeśli nie rozumiał, że władcy powinni nosić w sercu inne sprawy niż własne szczęście, naprawdę nic nie wiedział o rządzeniu.

Złożyła niski pokłon wężowi. Gdy wyszła z powrotem w deszczową noc, była już spokojniejsza. Wyciągnęła dłoń w górę, jednym pociągnięciem zdjęła chmury i rozgoniła burzę, by gwiazdy znowu mogły zaśnić na fioletowym niebie Miasta Snów.

Uśmiechnęła się. Zaskoczyło ją to, jak szybko poradziła sobie z Alogosem. Wiedziała już, że gdy przyjdzie pora na ostateczne starcie, okiełzna także innych wrogów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

– Callen? – spytała March któregoś ranka, gdyby byli w kuchni tylko we dwoje.

Stała ze wzrokiem utkwionym w kryształowej latarence, w której niedługo mieli zapalić pierwszą świecę na Imbolc. Święto Świec zbliżało się wielkimi krokami i chyba po raz pierwszy w życiu Callen się na nie nie cieszył. Każdy dzień, który im do niego pozostawał, boleśnie przypominał mu, jak niewiele czasu im zostało, by stworzyć broń przeciwko Wyrd.

– No? – odparł, szorując kolejny lampion.

March miała niezwykle poważną minę. Mimo to nie mógł się powstrzymać, by się nie zaśmiać. Wyglądała jak ciekawskie dziecko.

– Sądzisz, że duchy mogą kontaktować się z ludźmi poprzez sny i czegoś od nich chcieć?

To pytanie odebrało mu dobry humor.

– Wiesz – powiedział – to nie kwestia tego, czy duchy to robią, ale raczej komu się to przytrafia. Bo oczywiście, że się przytrafia. Mnie co prawda nigdy się nie zdarzyło, ale tak bywa. No, oczywiście zależy, co rozumiemy przez ducha.

– Powiedzmy, że to był cień. Tak to się chyba nazywało?

– Mówiąc w uproszczeniu, tak. Cień to w zasadzie negatywne cechy nas, coś jakby mroczny bliźniak, który może pozostać w świecie po śmierci ciała.

March zmarszczyła czoło.

– Przyśniła mi się Isel – wyznała wreszcie. – To był największy koszmar, jaki miałam od czasów tych z Aislingen. Kurczę, to było nawet gorsze od tych snów o bestii.

Callen odłożył lampion na stół.

– Kiedy miałaś ten sen? – Utkwił w March zaniepokojone spojrzenie.

– Kilka dni temu, jeszcze zanim poszliśmy do sierocińca, i do teraz nie chce mi wyjść z głowy.

– Może ciągle o tym myślisz przez to, co tam widzieliśmy? – podsunął jej Callen.

– Ale tak jak mówię, tamten sen miałam wcześniej. On był trochę jak zapowiedź tego wszystkiego. Isel wyglądała w nim trochę jak te duchy z cmentarza.

– Dlaczego Isel miałyby dołączyć do tych duchów?

– Dobre pytanie, prawda? – odparła March. – W którejś z książek czytałam, że istnieją dusze potępione, zniewolone poczuciem winy.

– Poczuciem winy, w którym utrzymują same siebie, to prawda – odparł Callen.

– W takim razie to bardzo logiczne, dlaczego akurat Isel by się to przytrafiło, prawda?

– Chodzi ci o to, że przyczyniła się do śmierci tamtych kobiet?

March potaknęła.

– Przemyślałam to. Jasne, nie chcę wierzyć, że Isel została potępiona, ale ważniejsze jest, żeby jej pomóc, jeśli do tego doszło. A nic mi nie da zatykanie uszu na jej głos. Rozumiesz?

– Głos? Więc mówiła do ciebie?

– Powtarzała tylko moje imię, nic więcej. Ale czasem starczy, że ktoś wypowie twoje imię, a już dokładnie wiesz, o co mu chodzi. Pod warunkiem, że znasz tę osobę. A ja znałam Isel jak nikt inny.

Callen nie spuszczał wzroku z jej twarzy. W momencie, gdy wspomniała o kimś, kogo dobrze się zna, na moment się wyłączył. Wiedział, że mówiła o przyjaciółce, a jednak przez moment czuł, jakby chodziło o niego. W końcu po wydarzeniach z sierocińca oni też się do siebie zbliżyli, tyle że to było dość... dziwaczne.

Sądził, że skoro już się pocałowali, odważnie i doskonale wiedząc, że oboje tego chcieli, będą teraz bez przerwy do siebie przyklejeni. Nie, nie było to coś, czego chciał – po prostu jego jedyne

doświadczenia w tej dziedzinie ograniczały się do romansów w telewizji. W zasadzie cieszył się, że March nie każe mu ciągle się całować i chodzić za rączkę, ale mimo wszystko fakt, że tego nie robiła, trochę go martwił. To chyba coś oznaczało.

– No więc... – powiedziała, uświadamiając mu, że za bardzo odpłynął.

– Sorry. – Otrząsnął się. – Myślałem o czymś... innym.

Nim na nowo zaczął się nad tym głowić, wstał i oznajmił:

– Ja ci w tych sprawach nie pomogę, bo nie bardzo się na nich znam. Ale jak zwykle wiadomo, kto *mógłby* nam pomóc.

March pokiwała głową.

– To idziemy – zdecydowała.



Isinbir postawił przed nimi księgę, włochatą, zapewne oprawioną w skórę jakiegoś namhajda. Od jej ciężaru ugiął się lichej stół, na którym fer postawił też dzbanek z herbatą.

– Tak rzadko tu przychodzicie, a jak już, to zawsze z kolejną makabryczną sprawą – zauważył z przekąsem.

– Bo jesteś w takich najlepszy. – Callen wyszczerzył zęby.

– Niech będzie. – Isinbir machnął ręką. – To tylko narzekania starego ojca.

– Tak swoją drogą, ile ty właściwie masz lat? – Chłopak uświadomił sobie, że jeszcze nigdy o to nie zapytał.

– Sto siedemdziesiąt dwa.

March pokusiła się o uśmiech. Niepotrzebnie, bo Isinbir wcale nie żartował. W końcu fery posiadły moc wiecznej młodości.

– To wiesz, jak rozwiązać ten problem? – spytała.

– Nie.

Callen uniósł brwi.

– No co? – obruszył się Isinbir. – Nie wszystko muszę wiedzieć. Duch zwraca się do March, nie do mnie. W każdym razie orientuję się w tych sprawach na pewno lepiej od was, a ta książka mogłaby wam pomóc.

Callen odgarnął sierść namhajda, by przeczytać tytuł.

– *Xięga rzeczy wiecznych: krótkie wprowadzenie do mediumizmu oraz przewodnik po stanach bytowania duchowego autorstwa Sabiny de lanari.*

– *Krótki* – mruknęła March. – Kim była Sabina de lanari?

– Bardzo znana medium – odparł Isinbir. – W dziewiętnastym wieku zjeździła całą Europę i Stany Zjednoczone, a na jej seanse przychodzili najbardziej znani czarownicy i magowie. W tamtych czasach spirytyzm był bardzo modny, ale lanari była jedną z tych mediów, które naprawdę znały się na rzeczy. Niestety po tragicznej śmierci córki na wiele lat zaprzestała kontaktów z duchami. Gdy wróciła do nich pod koniec życia, napisała tę książkę.

– A co stało się z jej córką? – zaciekała się March.

– Została uduszona przez demona, który wysał jej duszę – odrzekł Isinbir tak, jakby mówił o nudnym programie, który widział w telewizji.

– Okay... – odparła powoli dziewczyna.

– Przykra historia – stwierdził fer. – Nie warto do tego wracać. Ale książka madame lanari, jak ją nazywano, może rzucić trochę światła na wasze rozterki.

Pochylił się nad woluminem, szepnął coś i kartki zaczęły same się obracać.

– Ciekawa technika – uznała March. – Nie trzeba szukać godzinami jednej informacji.

– Raczej szczyt lenistwa – mruknął Callen.

Isinbir odchrząknął i kazał im słuchać.

Wizje piekła, tak dobrze znane nieprzynależącym, częstokroć wynikają z czysto duchowych doświadczeń. Dusze, które zjawiają

się u progu naszych snów czy podróży transowych lub też kontaktują się z nami poprzez wymiar astralny, mogą napęłnić nasze głowy różnymi wizjami, nierzadko strasznymi.

Moje doświadczenia ukazały mi, że wszystkie duchy są ze sobą połączone nićmi jeszcze cieńszymi od astralnych. Nauka, jaka z tego płynie, wydaje się prosta, a poprzez duchowe kontakty rozumiemy ją jeszcze lepiej: jako że wszystko jest połączone wzajemnymi nićmi, ostatecznie doświadczamy życia jako jeden duchowy organizm. W swych cielesnych formach wciąż o tym zapominamy, jednak gdy odarci z cielesnej szaty stajemy u progu nieskończonego świata duchów, rozumiemy każdą wyrządzoną przez siebie krzywdę tak, jakbyśmy sami jej doświadczali.

Co zatem z wizjami piekła i czym jest owo piekło? Należy twierdzić, iż jest ono nie miejscem, ale stanem umysłu. Dusze, które rozumieją swój błąd, same się tam wpędzają i tylko one same mogą ostatecznie się stamtąd wyzwolić, choć często z pomocą przychodzą im Świetliści.

– Czym są ci Świetliści? – spytała March. – Że się tak wtrączę...

– To dzieci albo emanacje Matki Duchów – odparł Callen.

– A co to są emanacje?

– Jak by to wyjaśnić... – zastanawiał się Isinbir. – Może tak: wyobraź sobie wodę, czystą i jasną, bez kształtu, a potem zacznij ją przelewać do naczyń, różnokształtnych i różnokolorowych. Za każdym razem będzie trochę inna, ale zawsze będzie tą samą wodą. To są właśnie emanacje.

– Czyli, na zdrową logikę, skoro ta Matka Duchów jest kimś w rodzaju Boga, to Świetliści są innymi, pomniejszych bogami?

Callen i Isinbir wymienili spojrzenia. Żaden z nich chyba nigdy wcześniej nie brał tego pod uwagę, choć chłopakowi wydawało się to logiczne.

– No, w sumie to tak – stwierdził.

– Fery nazywają ich *kahinam*, świętymi przewodnikami dusz.

– Ale czy oni w ogóle istnieją? – spytała. – Widzieliście któregoś z nich?

– Ja nie – odparł Callen.

Mówiąc to, miał wrażenie, jakby posmakował czegoś gorzkiego. Od razu przed oczami stanęły mu dwie sceny, tylko dwie sceny z jego życia, gdy się modlił.

Miał pięć lat i przez całą noc błagał Świetlistych, by uzdrowili jego matkę. Wiedział przecież, że mogli to zrobić, czytał o ich cudach i niezwyklej magii. Nie wysłuchali go.

Potem, w sierocińcu, wzywał ich znowu, najpierw prośbami, wreszcie przekleństwami. Przecież jeśli ktoś wiedział, że był niewinny, to właśnie oni – bo to ponoć oni rozumieli doskonale wszystkie sieci losu. Znowu nie wysłuchali.

Potem nigdy już się nie modlił, nawet do Matki Duchów. Szanował ją, ale nigdy się do niej nie odzywał.

– Ja ich wyczułem – oznajmił Isinbir, jakby przyznawał się do czegoś bardzo intymnego. Utkwił wzrok w księdze i jeździł palcami po literach. – Podczas świąt w Aislingen wzywaliśmy Matkę Duchów i Prastarego Węża, tego, z którego jaja wykluł się świat. Nie umiem tego wyjaśnić... Podczas jednej z pieśni opuściłem swoje ciało, a moja dusza rozlała się na cały świat.

Urwał na moment, po czym zatrasnął księgę.

– Już wiesz, jak to działa. Prawda jest taka, że potępieni nie zawsze faktycznie są *źli*, czasem duszę w mrok wciągają wyrzuty sumienia za coś, za co wcale nie musi czuć się winna. Myślę, że jeśli sen o Isel miał jakieś znaczenie, to mogło jej się przytrafić coś takiego.

– No dobrze – odparła March – ale w takim razie jak mam jej pomóc? Bo to chyba możliwe, prawda?

Fer pokiwał głową.

– Możliwe i teoretycznie proste. Słyszałaś chyba o tym, że duchy odchodzą do *światła*?

– Tak.

– To światło jest jakąś... hm... eteryczną substancją, być może kolejną emanacją Matki Duchów. Ludzie, którzy je widzieli, twierdzą, że nie da się go opisać tak, jak opisujemy magię, bo po prostu nie pasują do niego prawa żadnego ze światów. Rozumiesz, trudno opisywać językiem któregośkolwiek ze światów coś, co jest źródłem ich wszystkich. W każdym razie ta substancja przenika całe stworzenie, więc nawet jeśli nie jesteśmy w stanie zbyt wiele o niej powiedzieć, możemy ją przywołać. I właśnie w ten sposób da się czasem pomóc zabłąkanym duszom: odprowadzając je do tego światła. W tej prostocie jest pewien sens, rozumiesz? Potępieni zapomnieli, że światło istnieje, więc trzeba im o nim przypomnieć.

March się zastanowiła.

– Okay – powiedziała. – Mam przypomnieć Isel o czymś, w co sama nie do końca wierzę. Wyśmiałyby mnie za to, ale dobra, spróbuję to zrobić. Pytanie *jak*?

– Może poprzez modlitwę? – odparł Isinbir, wzruszając ramionami.

– *Modlitwę* – prychnęła dziewczyna. – Nie brzmi to zbyt magicznie... Ale dobrze, pójdę dziś na cmentarz i się za nią pomodłę. Skoro to ma pomóc...

Wstała, już gotowa, by zrealizować swój plan.

– Idziesz ze mną? – zwróciła się do Callena.

– Nie. Raczej nie będę się modlić. Moich modlitw zwykle nikt nie słucha.

Zaśmiał się, choć znów lekko zakłuło go serce.

– W sumie chcę jeszcze pogadać z tatą.

Na dźwięk tego słowa Isinbirowi rozświetliła się twarz. Zajęło trochę czasu, nim Callen zaczął się tak do niego zwracać bez ironii.

Gdy March wyszła, chłopak odczekał jeszcze kilka chwil, żeby poukładać sobie w głowie to, co chciał powiedzieć. Temat był delikatny. Poza tym chodziło o coś jeszcze: coś, co Callen dopiero stopniowo zaczynał rozumieć.

Nie rozmawiał z nikim na temat tego, jak się czuł, gdy zasklepiały się rany na jego złotym sznurze. Wszyscy myśleli, że po prostu spał

i odpoczywał. Ale tak nie było. Nie do końca.

Callen śnił. Był to rodzaj snów, które wcześniej mu się nie przytrafiały, przychodziły do niego jak osobne istoty. Przenosiły go w różne części wszechświata, do zdarzeń, ludzi, uczuć, miejsc... Miał wrażenie, że przebywa w kilku światach naraz. Nabrał też przekonania do jednej rzeczy, którą musiał zrobić.

– Po prostu zacznij – zachęcił go Isinbir. – Chodzi o dziewczynę, tak?

– Dziewczynę? – zdumiał się Callen.

– No, *twoją* dziewczynę. March.

– Nie, March nie jest...

Zamilkł, bo ojciec miał rację: March *była* teraz jego dziewczyną, no, przynajmniej tak to wyglądało. W końcu się całowali. Chyba w taki sposób zaczyna się związki?

– Ale nie o to mi chodzi – odparł po chwili. – Chodzi o mamę.

Isinbir drgnął.

– Wiem, że trudno ci o tym rozmawiać. – Chłopak zaczął szybko tłumaczyć. – Chciałem poczekać z tą rozmową na, powiedzmy, spokojniejsze czasy, tyle że wydaje mi się, że to ona nie chce poczekać na mnie. Nie wiem czemu, ale to wygląda tak, jakbym musiał lepiej poznać historię mamy, jakby tkwiło w niej coś, co trzeba odkryć jak najszybciej.

– Dlaczego?

Głos Isinbira się zmienił. Teraz był grubszy, zdystansowany.

– Widziałem ją w snach, kiedy odbudowywał się mój sznur. Chyba nic nie mówiła. Raczej pokazywała mi różne rzeczy, choć nic z tego nie pamiętam.

Fer zmarszczył czoło.

– Chcesz powiedzieć, że ty też widziałeś...

– To nie był jej *duch*. A przynajmniej tak bym tego nie nazwał. Jeśli już, to pojawiła się jako część mojej własnej duszy. Albo umysłu, nie wiem.

– Symbolika – mruknął Isinbir. – Czysta symbolika.

– Nie rozumiem – odparł Callen.

– Czym jest złoty sznur? Sam pomyśl. – Isinbir uniósł brew. – No, *pępowiną*, prawda? On łączy cię ze światem gwiazd i z Matką Duchów, tak samo jak pępowina łączy ludzkie dziecko z jego matką. To nic dziwnego, że Luna ukazała ci się w snach, kiedy odbudowywałeś połączenia ze światem astralnym. Chodzi o symbol matki i pępowiny.

– Słuchaj – rzucił Callen. – Nie wiem, co to ma symbolizować, i nie chcę sprowadzać tego do samych symboli. Po prostu kiedy zostałem uzdrowiony, zrozumiałem, że muszę poznać historię matki. Całą prawdę.

– Już ci ją opowiedziałem – zauważył niecierpliwie ojciec.

– Ale ze swojej strony. Ja chcę poznać ją od Williamsów.

– Williamsowie nie pamiętają o jej istnieniu. Klątwa Brutusa...

– Każdą klątwę można zdjąć! Albo inaczej wcale nie jesteśmy czarownicami!

Callen nie chciał słuchać wymówek ojca. Jeszcze słowo, a był pewien, że się z nim pokłóci.

– Rób, jak uważasz – stwierdził Isinbir. Z jego tonu chłopak wyczytał o wiele więcej niż ze słów.

– Więc nie chcesz mi pomóc? – odparł.

Isinbir odwrócił twarz.

– Nie potrafię tego zrobić – wyznał. – Z wielu powodów. Nie umiem, nie wiem jak.

Callen zrozumiał, że mógłby tu czekać i czekać, ale ojciec i tak nie zmieniłby zdania. Bo nie kłamał: widać było, że naprawdę nie potrafił wrócić do tej sprawy.

– Poradzę sobie sam – powiedział chłopak, wstając.

– Wiesz, gdzie szukać, prawda? – Isinbir zatrzymał go, nim się przeniósł.

– Selene Williams? – Callen raczej nie miał wątpliwości.

Fer skinął głową i z powrotem odwrócił od syna spojrzenie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

March odetchnęła mroźnym powietrzem. Nie lubiła powrotów z ciepłego Jaaru do świata ludzi, szczególnie zimą. Wtedy wzmacniało się jej wrażenie, że wraca do czegoś ciemnego, co po odwiedzinach w świecie magicznym zawsze wydawało się jeszcze bardziej wyblakłe i smutne. Właśnie teraz, przed Świętem Świec, zima trzymała Finfolk w mroźnym uścisku najsilniej, próbując jak najdłużej zachować miasteczko dla siebie.

Buty dziewczyny grzęzły w śniegu, gdy zmierzała znów na cmentarz. Po tym, co się wydarzyło, czuła się tu inaczej. Miała wrażenie, że w każdej chwili może napotkać zjawę, ale wcale się ich nie bała. W końcu podczas walki z Wyrd chciały jej pomóc.

Gdy zbliżała się do grobu Isel, zdawało jej się, że zimny wiatr z powrotem przywołuje do niej sen z udziałem przyjaciółki. Stała przy nagrobku, odsuwając od siebie obraz Isel ze snu. Nie chciała widzieć tej bladej, strasznej zjawy. Chciała oglądać tylko ukochaną twarz. Twarz osoby, której nigdy nawet nie zdążyła powiedzieć, że ją kocha, bo wciąż jeszcze nie nauczyła się, jak to robić.

Po drodze tutaj kupiła świecę. Teraz dotknęła knota palcami, rozpalając go swoim wewnętrznym ogniem.

– Proszę – powiedziała, kładąc ją na grobie. – Masz swoje świecidełko.

Zaśmiała się. Zupełnie nie wychodziło jej wyobrażanie sobie, że Isel faktycznie ją słyszy. Mimo to mówiła dalej:

– Wiem, nie powinnam używać przy tobie magii, bo pewnie źle ci się kojarzy, ale jakoś wyleciało mi z głowy, żeby skombinować zapałki. Chciałam tylko z tobą pogadać i jakoś się... no, bez obrazy, ale pozbyć się ciebie, bo nie powinnaś mi włączyć do głowy.

Boże, jak idiotycznie się czuła. Miała wrażenie, że słone kropelki spływające po jej policzkach momentalnie zamarzają i zamieniają się w kryształki lodu.

Światło – pomyślała, patrząc na świecę. Próbowwała stworzyć jego obraz w głowie. Wcześniej niewiele myślała o takich rzeczach, choć oczywiście o nich słyszała. Ludzie ponoć widzieli światło, gdy umierali. Wyobraziła sobie Isel taką, jaką pragnęła ją widzieć – uśmiechniętą, szczęśliwą, zatopioną w tym boskim świetle, gotową do dalszej drogi.

– Możesz już iść – mówiła do niej zachęcająco. – Odejdź w... pokoju.

Co właściwie utrzymywało Isel w zawieszeniu? Może to żadne wyrzuty sumienia, ale właśnie ona, March, nie pozwalała jej pójść dalej, bo wciąż nie pogodziła się z jej śmiercią?

Miała dość. Ruszyła w stronę bramy, nie oglądając się za siebie, a przez całą drogę do domu towarzyszyły jej myśli o duchu. Kogo widziała w swoim śnie? Jeśli to była Isel, to czy zapalenie jakiejś durnej świeczki faktycznie mogło jej pomóc?

W progu Domu Wiedźm powitał ją Ove.

– Gdzie Callen? – spytał.

– Został w Jaarze. Ja byłam na cmentarzu.

– Przyniosłaś coś? Może trochę ziemi? Ziemia cmentarna przydaje się w zaklęciach.

Mina zrzędała mu, gdy March przyznała się, co tam robiła.

– Więc nadal śnisz o Isel? – zaniepokoił się.

– Tylko mi nie mów, że to źle. Już wiem. Ale spoko, jakoś się z tym uporam.

– Pytanie, co w związku z tym czujesz. – Przyjrzał się jej uważnie.

– Oczywiście, że trochę się bałam... Trochę bardzo.

– Skoro czujesz *lęk*, spróbuj nadać mu kształt, trochę jak koszmarowi. Jest na to zaklęcie. Poszukam potem w zapiskach Cleto. Może Callen będzie je kojarzył. Jak miał sześć lat, Irma pomogła mu nim pozbyć się uporczywych snów.

Ove pomógł jej ściągnąć kurtkę i zaczął badać ją magicznie, na wypadek gdyby po drodze „coś się do niej przyplątało”.

– Teraz trzeba potrójnie uważać, zwłaszcza po tym, jak umarli powstali z grobów i tak dalej – stwierdził. – To brzmi trochę jak apokalipsa.

Zachichotał pod nosem, ale szybko spoważniał, jakby ta wizja nie była wcale taka nieprawdopodobna.

– Przekleństwa mogą czaić się w każdym miejscu – dodał – a przecież wiemy, że niektórzy chcieliby zobaczyć ciebie i Callena martwych. Swoją drogą, co się między wami dzieje?

Zadając to pytanie, nie patrzył na March.

– W jakim sensie? – odparła ostrożnie.

– Pomyślmy – westchnął ciężko. – Być może tylko przesadzam i wasz namiętny pocałunek ostatnio w salonie...

– Podglądałeś nas?! – oburzyła się.

– Dziecino, mam ciekawsze rzeczy do roboty, choć przyznaję, że czasem człowiekowi zjadą oczy... Nie żebym potem nie żałował! No, w każdym razie jeśli to coś było tylko nowoczesnym wyrazem przyjacielskich więzi, okay...

– To nie było... To...

March zmieszała się. *To nic* – chciała powiedzieć. Ale to nie było nic.

– Nie jestem ślepy. Widzę, że coś się między wami tworzy. Jest to dosyć dziwaczne, fakt. Czy ty kiedykolwiek się w kimś zakochałaś?

March się obruszyła.

– Nie.

– Więc nie masz pojęcia, jak to jest? – zdumiał się Ove. – Serio? *Nigdy* tego nie poczułaś?

– Czego?

– Dreszczy na całym ciele, motyli w brzuchu, tej dziwnej tęsknoty na myśl, że twój ukochany mógłby zniknąć chociaż na moment... To jest właśnie zauroczenie, pierwszy etap miłości.

March zastanawiała się nad tym przez chwilę. Jednak gdy wyczuła na sobie głodne odpowiedzi spojrzenie Ovego, uniosła czoło.

– Idę pogadać z mamą – rzuciła.



Nazwała to rozmową, ale to nie była rozmowa. Emma Sky patrzyła na nią szarymi oczami, patrzyła *przez* nią, bo wydawało się, że już nie dostrzega córki. Jej stan znów się pogorszył. Gaśła z dnia na dzień, proces przyspieszał i zostało już tak niewiele czasu, by jej pomóc...

– *Tego się boję* – wyszeptała March, ściskając jej rękę. To był jej lęk. Jeśli jej matka odejdzie, nie będzie miała już nikogo, kto przypomni jej o życiu, które zostawiła.

Nagle Emma uniosła wzrok wprost na nią.

– *Czego się boisz?*

Zamiast odpowiedzieć, dziewczyna przywarła policzkiem do jej pomarszczonej dłoni. Ale to nie uciszyło Emmy.

– *Czego się boisz?* – powtórzyła.

A potem znowu. Trzy razy. Prawie jak zakłęcie.

– *Sama chcę się dowiedzieć* – powiedziała March, wstając.

Wyciągnęła ze starej szuflady Cleto notatnik. Przypominał bardziej zielnik niż magiczny pamiętnik. Do strony tytułowej przyklejony był wyschnięty liść. March przez chwilę studiowała proste pismo wiedzy. Zamknęła na moment oczy i powędrowała myślami do swojego ośrodka mocy. Postanowiła sprawdzić swoje umiejętności. Z jej brzucha do wyciągniętej nad notatnikiem ręki popłynęła energia. Strony zaczęły się obracać, aż otworzyły się na zakłęcie.

UJAWNIJ SWÓJ LĘK

Gdy coś cię trapi, spal w kociołku suche liście, nabierz popiołu w garść, stań przed lustrem i spójrz na swoje odbicie. Przyglądaj mu

*się przez kilka chwil, aż poczujesz niepokój („Kto sam sobie w oczy patrzy, diabła przywołuje”). Wtedy otwórz dłoń i dmuchnij w odbicie.
Powiedz:*

*Nie bój się, wiédźmo, nie bój się,
Krocz ciemną nocą, nie zatrzymuj się,
Przejdź przez strach, jak przez drzwi przechodzisz.
Oczy otwarte miej w tej podróży.
Nie będę się bać, nie boję się,
Chcę iść przez mrok, poprowadź mnie.*

Staw czoło temu, co się pojawi.

Ostatnie zdanie instrukcji było tak krótkie i oczywiste. March chciałaby jeszcze poczytać coś o stawianiu czoła temu, co ma się pojawić, ale na to chyba nikt nie mógł jej przygotować. Proste zaklęcie, trudna magia.

Zamknęła pamiętnik. Musiała się przekonać, czy ma dość siły, by temu sprostać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Callen nikomu o tym nie powiedział, bo po co? Powstrzymaliby go, a przecież już podjął decyzję. W lepszym wypadku uparliby się, żeby iść z nim, czego też wolał uniknąć. To była jego sprawa i wierzył, że tylko on ma moc, by ją rozwiązać.

Jedyny problem? No, w sumie to jeszcze nigdy nie był w Londynie.

Przenosiny były łatwe. Znalazł jeden z licznych londyńskich portali stałych dla czarownic i po prostu wyobraził sobie pierwszą rzecz, która kojarzyła mu się z miastem: wysokie czerwone autobusy. Może to nie była najbardziej wyszukana wizja, ale zadziałała.

Nie był przygotowany na doświadczenie Londynu, jego zgiełk, hałas, tłumy ludzi, których aury napierały na niego i aż prosiły się o zbadanie. Jednocześnie jego ciało wypełniła też nowa magia. Miał wrażenie, że oddycha pełną piersią po latach spędzonych w ciasnej komórce. Świat ludzi naprawdę istniał poza Ffolk z jego odwieczną historią walk z Wyrd. Choć to miasto było tak totalnie ludzkie, magia szeptała ze wszystkich stron. Ktoś uważny odnalazłby tu dodatkowe ścieżki, miasto w mieście, widzialne jedynie dla magicznych oczu.

Na jedną z tych ścieżek wszedł Callen, a im bliżej był celu, tym gwałtowniej waliło mu serce.

Sklep SELENE patrzył na niego dwoma niewielkimi oknami z zielonkawymi szybami. Chłopak czuł grudę w gardle, gdy przeszedł przez ulicę i stanął przed drzwiami, na których zawieszono dzwonki.

Nacisnął na klamkę. Dzwonki rozbrzmiały na powitanie.

Sklep zamieszkiwała czysta magia. Była wszędzie. Unosiła się niewidzialnym dymem z kociołków stojących na wysokich drewnianych regałach, płynęła z kryształów umieszczonych

w różdżkach, tańczyła wokół wiszących przy ladzie amuletów i ziół, przywoływała Callena z ciemności w głębi sklepu.

Nikogo nie było przy ladzie. Stało na niej kilka posągów Świetlistych i zdjęcie młodej dziewczyny oprawione w złotą ramkę. Callen wiedział, kto jest na fotografii. Diana Williams, Strażniczka Mocy Ziemi, która walczyła w wojnie o Jaar kilka lat temu. Nie znał tej dziewczyny, o której słyszał każdy magiczny, a jednak miał wrażenie, że jest mu bliska. Podniósł zdjęcie, by lepiej się jej przyjrzeć.

– O co chodzi? – usłyszał nagle.

Omiał nie upuścić fotografii. Gdy spojrzął w bok, zobaczył przed sobą kobietę. Jej długie, ciemne włosy poprzetykane srebrnymi pasemkami elektryzowały się, bransoletki i naszyjniki pulsowały energią. Wiedźma miała na sobie fioletową suknię ozdobioną wizerunkiem księżycy i słońca. Jej wzrok spoczął na zdjęciu, które wciąż trzymał.

– P-przepraszam – wyjąkał, odstawiając je na miejsce. – Nie chciałem... nie chciałem...

Widział, że zdumiewał ją jego wygląd. Zresztą zapewne nie tylko ona patrzyła na niego jak na dziwadło. Sprawiał wrażenie dziecka z twarzą nastolatka pokrywaną się załążkiem zarostu.

– Callen Malloway – powiedział.

Selene usiadła. Wyglądała, jakby na moment znalazła się w innej rzeczywistości. Po chwili zdał sobie jednak sprawę, że wiedźmia prasa musiała już napisać całą masę artykułów o Krwawej Mary.

– Tamta sprawa z sierocińca... – zaczął, ale wtedy czarownica zdumiała się jeszcze bardziej.

– Co?

– No, chyba pani słyszała... Ale ja jestem niewinny. Zresztą Społeczność...

– Powiedz mi, chłopcze – przerwała mu ostro – dlaczego do głowy przyszło ci właśnie *to* nazwisko? I kim *naprawdę* jesteś?

Zmieszał się.

– Właśnie tak się nazywam – odparł. – Callen Malloway. No, w sumie to tak naprawdę Emerald Isinbir Malloway Will...

Urwał. Coś ukłuło go w serce. Ze wzrokiem utkwionym tępo w zdjęciu Diany Williams zaczął się zastanawiać, kim właściwie jest. Najpierw synem swojej zabłąkanej matki, Angeliny Callen, potem przybranym wnukiem sióstr Malloway, wreszcie synem fera i Luny Williams.

Selene wciąż wpatrywała się w niego podejrzliwie.

– Jestem... – zaczął. – Przychodzę, bo być może pani zna odpowiedź na pewną ważną... No... Ale sądziłem, że już pani mogła o mnie słyszeć, bo ostatnio w Finfolk...

– Jesteś stamtąd? Oczywiście każdy słyszał o biednej Irmie Malloway. Zamordowano ją za czary w sześćdziesiątym ósmym. Wszyscy wiedzą o problemach z ferami w Finfolk.

Wszyscy wiedzą, że to przeklęte miasto i nie chcą mieć z wiedzmi stamtąd nic wspólnego – pomyślał.

– Czyli nie wie pani, co się tam teraz dzieje? – spytał.

– A co ma się dziać?

Nie odpowiedział. Więc Społeczność musiała ukryć ostatnie wydarzenia.

– Siostry Malloway były moimi... ciotkami. A ja... Wychowały mnie, a potem...

Co miał jej opowiedzieć? Wszystko? Każdy najmniejszy fragment tej historii brzmiał jak bajka. A skoro wszystko brzmiało dziwnie, to równie dobrze od razu mógł wyznać prawdę.

– Jesteśmy rodziną – powiedział. – Nasze matki były siostrami.

Nie mogła chyba zrobić bardziej zdumionej miny. Jej brwi zatonęły w ozdobionym półksiężycem diademie.

– Moja matka miała dwie siostry – odparła, wstając. – Obie zmarły młodo, więc...

Ruszyła w stronę drzwi.

– Proszę zaczekać – powiedział, chwytając ją za dłoń. – Być może mógłbym...

Magiczna, elektryzująca fala przeszła jego ciało. Wiedział, że Selene doświadczyła tego samego. Zdumiona patrzyła na palce, którymi ścisnął jej rękę.

Krew przemówiła. Ich żyły były rozgałęzieniami jednej rzeki.

– Niech mnie wszystkie piekielne demony, chłopcze – powiedziała wiedźma, przenosząc wzrok na niego. – Muszę być zdrowo szurnięta, bo chyba... chcę, żebyś mówił dalej?



Więc opowiedział jej o wszystkim. Wierzył, że tylko jeśli całkiem się otworzy, zyska jej pełne zaufanie. Ale to nie było łatwe. Selene była przecież obca. Bliska, ale obca. Tylko ta ich niewidzialna więź napięta się i już nie dawała o sobie zapomnieć.

Wiedźma zamknęła sklep, żeby skupić się na jego historii. Gdy skończył, minę nadal miała niepewną. Ze ściągniętymi brwiami wpatrywała się w fotografię córki. Callen czekał, aż się odezwie.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odpowiedziała powoli. – Nigdy nie słyszałam o żadnej Lunie Williams, ale z tego, co opowiadasz, faktycznie byłaby siostrą mojej matki, Cynthii. Tyle, że ona miała jedynie dwie siostry, Evelynn i Ivy...

Callen patrzył na jej twarz, ale równie dobrze mógłby wpatrywać się w posąg, bo przez kilka chwil Selene zdawała się dryfować w przeszłości. W końcu się otrząsnęła.

– Moja matka nie знаła żadnej ze swoich sióstr, bo obie już dawno nie żyły, gdy się urodziła. Brutus i Losna, moja babka, nie ukrywali przed nią tego, że miała dwie zmarłe siostry, choć prawda jest taka, że nigdy wiele o nich nie mówili. Z różnych powodów...

Callen chciałby wiedzieć, jakie myśli kotłowały się pod jej zmarszczonym czołem.

– Z drugiej strony większość tajemnic Brutusa poznałam na długo po jego śmierci. Moja babka i matka nigdy nie miały do nich dostępu,

a nawet nie chciały go mieć i zapewne tak było dla nich lepiej.

Nagle spojrzała na Callena z taką miną, jakby niemal zdumiała ją jego obecność.

– Nie wiem, dlaczego ci o tym opowiadam. Sądzę, że nie kłamiesz, co nie znaczy, że twoja historia jest prawdziwa... jeśli ma to jakiś sens...

Pokiwał głową. Miało.

– W każdym razie – ciągnęła Selene – w ciągu ostatnich kilku lat doświadczyłam tylu niezwykłych rzeczy, że *wiara* w kolejną niezwykłość nie wydaje mi się przesadzona. Patrząc na to bardziej pragmatycznie, nie zdziwiłabym się, gdyby wyszły na jaw kolejne sekrety Brutusa Williamsa. Ten człowiek był...

Skwasiała się.

– No i jest też więź energetyczna – dodała. – Obowiązkiem czarownicy jest wyczuwać takie rzeczy i działać zgodnie z impulsami.

Teraz już nie tylko patrzyła na Callena – wręcz przenikała jego aurę na wskroś.

– Jeśli chciałbyś poznać sekrety mojej rodziny... no i swojej, o ile to wszystko jest prawdą, to wiem, gdzie najlepiej to zrobić. Mogłabym...

Namyśliła się.

– Zrobimy tak. – Odgarnęła włosy i wyciągnęła z ucha niewielki złoty kolczyk w kształcie łezki. – Nic więcej ci nie powiem ani nie wyjaśnię. Ja sama odkryłam część sekretów mojej rodziny dlatego, że do niej należałam i nasza magia pozwoliła mi się prowadzić. Zrobię więc coś, co jest najbezpieczniejsze.

Wstała i skinęła na niego ręką.

– Chodź.

Poprowadziła go pomiędzy wysokimi regałami na tyły sklepu. Były tam zamknięte na kłódkę metalowe drzwi.

– Nie bój się – powiedziała. – To portal stały.

Włożyła w kłódkę kolczyk, a ta się przekręciła. Przez chwilę Selene mocowała się z drzwiami. Te w końcu otworzyły się z głośnym skrzypnięciem.

– Przeniosę cię do Księżycowego Domu. Tak nazywam mój domek letniskowy w Hagsborough. Byłeś tam kiedyś?

Oczy Callena rozbłyły na dawne wspomnienie, tak odległe, jakby było tylko wymysłem dziecięcej fantazji. Miał jednak pewność, że to, co pamiętał, wydarzyło się naprawdę, bo ciągle trzymał gdzieś w Domu Wiedźm wielki latawiec w kształcie spirali, który wtedy kupił. Ile mógł mieć lat? Osiem, dziewięć? Irma i Cleto zabrały go na wielki festiwal magii w Hagsborough, Mieście Wiedźm. Wszystkie cuda, które wtedy zobaczył, do dziś poruszały w nim jakąś marzycielską nutę.

Selene stała, czekając na odpowiedź.

– Byłem, tak – zreflektował się.

– Bardzo dobrze.

Wiedźma weszła do pomieszczenia za drzwiami. Było ciemne i śmierdziało stęchlizną.

– Rzadko używam tego portalu – oznajmiła. – W każdym razie jest zabezpieczony tak, żeby nie mógł przejść przez niego nikt z wrogimi zamiarami.

Wypuściła kolczyk z palców. Zawisł nad ziemią i zajaśniał złocistym blaskiem. Callen dostrzegł, że kształt, który wcześniej wziął za łezkę, przypominał w rzeczywistości posążek neolitycznej bogini. Jej ręce spletały się nad głową, a symbol na okrągłym brzuchu zakręcał się jak muszla ślimaka.

Lśniąca energia kolczyka rozlała się po podłodze jak kałuża.

– Dalej, wejdź w nią – zachęciła Selene. – I tylko niech mi nikt nie mówi, że całkiem zwariowałam – dodała ciszej.

Callen wierzył, że trafił we właściwe miejsce. A teraz musiał wykonać tylko krok przed siebie. Jeden, ostatni krok.

Zrobił go, a potem wszystko zalał złoty blask.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Zapach palonych liści wsiąknął we włosy March. Uspokajało ją patrzenie, jak powoli płonęły w kociołku. Zadrżała, stając przed lustrem. Nie lubiła patrzeć na siebie dłużej, niż było to konieczne. Musiała jednak się sobie przyjrzeć, zajrzeć głębiej, do duszy. Wciągnęła powietrze. Powoli, nie spuszczając wzroku ze swojej twarzy, uniosła zaciśniętą w pięść dłoń i otworzyła ją.

Dmuchnęła.

Drobinki szarego pyłu zawirowały wokół niej. Mieszały się ze sobą w powietrzu. Nie opadały, ale jak chmara malutkich owadów oblepiły lustro, znacząc kontury wokół jej odbicia. Potem pył odkleił się od szkła i dalej fruwał, aż uformował przed nią jakiś kształt. Najpierw pomyślała, że to kopia jej samej. Ale wtedy forma zaczęła się rozszerzać.

Nogi wrosły jej w podłogę. Błada, półprzezroczysta sylwetka jaśniała przed nią jak hologram.

– Isel – wyjąkała March.

Zmarła przyjaciółka, przypominająca teraz jedynie odległy cień samej siebie, wyciągnęła rękę w jej stronę. Jej twarz nie była potworna jak w śnie, ale smutna.

– Pomóż mi, proszę – odezwała się Isel. – Tam jest tak... chłodno, tak ciemno...

March nie umiała jej dotknąć. Za bardzo bała się tego, do czego mogłoby to doprowadzić. Czy zimne palce przyjaciółki pociągnęłyby ją na drugą stronę? Mimo że ostatnio przestało jej na wszystkim zależeć i myślała o tym, by zniknąć, właśnie teraz zrozumiała, że wcale nie chce zniknąć.

– Możesz ze mną... porozmawiać? – spytała.

Zerknęła na lustro. Zjawa nie odbijała się w nim.

– Mogę, ale wiążą mnie prawa – oznajmiła Isel. – Prawa innego świata. Muszę pamiętać o zachowaniu energii.

– O zachowaniu energii?

– Nie wolno mi niczego ci obiecać, jeśli ty nie złożysz mi obietnicy.

– Co mam ci obiecać?

Oczy Isel zaszczyły łzami.

– Obiecay mi... Obiecay, że mnie uwolnisz.

– Zrobię to, tylko powiedz jak.

– W wigilię Imbolc, w ostatni dzień stycznia, musisz zebrać wszystkie przedmioty, których poszukujecie, i użyć ich mocy dla mnie. Magia zdoła mnie odkupić i poprowadzić do innego świata... Trafię gdzieś, gdzie będzie lepiej niż tu.

March nie spuszczała z niej oczu. Chciała ogarnąć całą jej sylwetkę, chciała zachować Isel dla siebie. Długo trwało, nim w pełni zaakceptowała, że to dzieje się naprawdę, a gdy ten moment nadszedł, wraz z nim przyszło otrzeźwienie.

– Ale... zaraz, skąd o tym wiesz? – spytała. – W sensie skąd wiesz, że właśnie to ci pomoże? Kto tym wszystkim rządzi?

Isel powoli wypuściła powietrze. To, co wyszło z jej ust, było stęchłym chłodem.

– Chciałabym wiedzieć – powiedziała. – Ale nie mam pojęcia. Znam te zasady tak, jakby ktoś je we mnie zapisał. Wiem, co może mnie odkupić. Pytanie, czy ty chcesz mnie odkupić?

Białe, puste oczy ducha natrafiły na lśniące oczy March.

– Och, Isel... to oczywiście, prawda?

Wreszcie ruszyła w stronę przyjaciółki z wyciągniętymi ramionami. Dotknęła jej aury. Poczuła tylko przeraźliwy chłód, jej ręce przepłynęły przez ducha.

Isel się uśmiechnęła. Sama wyciągnęła rękę, poruszała palcami, jakby marszczyła w nich niewidzialną zasłonę. March zbliżyła swoją dłoń do jej dłoni. Trwały tak przez chwilę.

– Przepraszam – powiedziała March.

– Nie masz za co – odpowiedziała zjawa. – Sama to na siebie ściągnęłam.

– Nie, to Wyrd...

Isel pokręciła głową. Jej blada twarz rozmazała się na moment jak plama.

– Musiałam zaprosić ją do swojego serca. Gdybym tego nie zrobiła, nie miałyby nade mną władzy. A ja chciałam osiąść moc. Zbratałam się z Hypnosem, zdradziłam cię. Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, było już za późno. Utkwiłam w jej sidłach.

– Nie możesz o tym myśleć – powiedziała March. – Właśnie to utrzymuje cię w wyrzutach sumienia. Przez nie tkwisz w tym... no, tam, gdzie jesteś... Gdzie to w ogóle jest?

Isel znów się roześmiała. Tym razem jej uśmiech nosił w sobie o wiele więcej z tego, który towarzyszył jej za życia.

– Jak zwykle, Sky! Żyjesz w świecie magicznym, a nie orientujesz się w nim. Wpadłam do *otchłani*, znajduję się między światem żywych i umarłych, zawieszona w czasie i przestrzeni. Jest tu zimno, energia znajduje się w inercji. Każdy mój ruch wymaga ogromnego wysiłku. Wiem, że mogę się stąd wydostać, nauczyć się panować nad tą dziwną materią, tyle że to zbyt trudne. Dlatego liczę na ciebie.

– Nie zawiodę cię – obiecała March. – Choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię, *nie zawiodę cię*. Pamiętasz, jak pokłóciliśmy się po sprawie z Hypnosem?

– Och, nie wracajmy już do tego. – Isel machnęła ręką, jej ruch wytworzył strumień jasnego światła, które rozplynęło się w przestrzeni.

– Chcę wrócić – upierała się March. – Bo gdyby nie tamta kłótnia, może by nie doszło do tych wszystkich okropnych rzeczy. Gdybym szybciej powiedziała ci o magii, teraz byłoby inaczej.

– Nie, nie powinnaś dzielić się z innymi magią. Ani swoją potęgą. To zbyt cenne.

– Nie mam żadnej potęgi.

Nagle wzrok Isel stał się inny, jakby nie należał już do tej samej dziewczyny.

– Masz potęgę – powiedziała z naciskiem. – Bez względu na to, czy w to wierzysz, czy nie. Jeśli nie wierzysz, twoja siła będzie działała na chybił trafił; jeśli uwierzysz, pójdzie zawsze za twoją wolą.

– Złote sentencje? – parsknęła March.

– Jak zwykle – odparł duch.

Rozmowę przerwały im kroki na korytarzu.

– Pamiętaj – powiedziała zjawa, rozptywając się powoli w powietrzu.

– Wrócisz? – poprosiła March.

– Nie, po prostu nie odejdę – odparła Isel. – Nawet jeśli mnie nie zobaczysz, będę obok.

Zostało jedynie echo jej głosu. Na podłodze rozsypał się popiół po spalonych liściach. Drzwi otworzyły się miękko. Stał w nich Ove.

Skrzywił się.

– Matko, co tu tak śmierdzi?

– O czym ty mówisz?

Nie chciała mu wspominać, że zdecydowała się rzucić czar. A już na pewno nie miała zamiaru zdawać relacji z tego, jak jej poszło. To brzmiałoby jak nekromancja... no, w sumie nawet *było* nekromancją, choć niezamierzoną.

Wszedł do środka i zaczął wąchać.

– Nie podoba mi się to – stwierdził.

– Ja niczego nie czuję. Otwórz okno.

– Nie, świeże powietrze nic tu nie da – odparł powoli. – To nie jest zapach *tego* świata.

– Callen już wrócił? – March zmieniła temat.

– Jeszcze nie. Sprawdziłem u Isinbira. Tam też go nie ma. Zresztą potem go poszukamy. Najpierw chcę ci coś pokazać.

Poprowadził ją do pokoju Irmy i poprosił, żeby usiadła przy parapecie. Teraz było tam więcej glinianych laleczek. Wyglądały jak

armia żołnierzyków. Wzrok March zatrzymał się na postaci ze skrzydłami.

– Nie – zdumiała się.

– Tak, to Wyrd – oznajmił Ove. – Poza tym...

Sięgnął po dwie inne figurki i pokazał je March.

– Kalu i Brevda? – spytała.

– Zgadza się. Sam fakt, że chciała ich ulepić, mnie nie dziwi. Zagrażali nam wtedy. Sęk w tym, że żeby stworzyć taką laleczkę, Irma musiała mieszać glinę z czymś, co do nich należało, z ich śliną, włosami, krwią... Mogła to wykraść ludziom ze Społeczności, ale skąd wzięła coś należącego do Wyrd?

– Miała z nią kontakt?

– Chyba nie. Bo niby dlaczego miała go mieć? Wyrd przeklęła ich rodzinę, ale nie miała żadnych osobistych spraw z Irma.

Przez kilka chwil Ove trwał w zamyśleniu, aż wreszcie zreflektował się i oznajmił:

– Jest coś jeszcze. Słuchaj. – Wziął do rąk pamiętnik Irmy i przeczytał: – *Jedenasty października tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego. Byli tu A. i E., prosili mnie o to. Nie wiem, skąd wiedzą o sprawie. Nie przyznałam się do niczego. Przypuszczam, że chcieli dostać się do X, żeby jej pomóc.*

– Czekał – przerwała mu March. – A to Amara, E to Elimas, a X...

– Rozszerzyła oczy.

– Xerion? – odpowiedział jej Ove.

– Widzisz! – zawołała. – Mówiłam ci, że to prawda! Irma i Cleto go stworzyły.

– No dobrze, nigdy nie powiedziałem, że ci *nie* wierzę, tak?

Pytanie: komu chcieli pomóc?

March przystanąła na środku pokoju.

– Myślisz, że chodzi o Wyrd?

– Nie wiem, o kim innym Irma miałaby pisać w takiej... *konspiracji*. Ale słuchaj dalej. Jest coś, co mnie... – Urwał, jakby kolejne słowa

stanęły mu w gardle. To było tylko jedno zdanie. – *Obiecali, że w zamian odczarują Ovego. Ale ja nie mogłam się zgodzić.*

Wręczył jej pamiętnik z bladą twarzą. Pod wpisem Irmy widniała rozmazana kropka, ślad po łzie. Czarownica rezygnowała z własnego szczęścia. Co było tak ważne, że aby to chronić, odmówiła sobie życia z ukochanym?

– March, czegokolwiek Brevda i Kalu mieliby od ciebie chcieć – powiedział Ove trzęsącym się głosem – nigdy im tego nie dawaj. Błagam, ze względu na Irmę... Ze względu na mnie.

Pokiwała głową.

– Zróbmy sobie herbaty, co? – zaproponował. – Muszę ochłoniąć i poukładać sobie kilka spraw.

Na dole czekała na nich jednak niespodzianka. Alogos, ubrany w swój piękny frak, niecierpliwie uderzał obcasem o podłogę.

– Co ty tu robisz? – zdenerwowała się March.

Patrzył na nią z obojętną miną.

– Czyżby kolega jednorożec? – spytał Ove.

– Wcale mnie tu nie ma – odparł Alogos.

– Jak to cię nie ma? – rzuciła March. – W co znów grasz?

Przewrócił oczami.

– Nie mogę zmieniać się w człowieka. Tylko jeden jednorożec na świecie to potrafi.

– Książę Kir... – zaczął Ove.

– Mój brat – mruknął jednorożec, skutecznie go uciszając.

Ove zaniemówił.

– Jestem tu tylko w formie astralnej – dodał Alogos. – Pamiętasz, Sky, jak powiedziałem, że jesteś mi coś winna i w odpowiednim czasie się o to upomnę? Czas nadszedł.

– Ej, zaraz... – Ove odzyskał głos. Strzelał oczami to na March, to na jednorożca. – Mówisz, że jesteś bratem Kiriana?

Alogos rzucił mu przelotne spojrzenie, ale zignorował pytanie.

– Coś komuś obiecałem – zwrócił się do March. – Pomożesz mi w dotrzymaniu tej obietnicy. To znaczy... To skomplikowane, bo ja

pierwszy będę musiał ci pomóc, żebyś ty mogła pomóc mnie. Ale policzymy to jako bonus.

March uniosła ręce.

– Czekaj. Możesz mówić jaśniej? O kim mówisz? I co obiecałeś tej osobie?

Czarna kropka na jego czole błysnęła.

– Że ją zniszczę – odparł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Gdy złociste światło opadło, Callen stanął w zupełnie nowym miejscu, cichym i samotnym. Ledwo spojrział na Księżycowy Dom, zdało mu się, że i on patrzy na niego. Budynek wznosił się na piaszczystym wybrzeżu Hagsborough. Był okrągły i błękitny, czerwony dach spoczywał na nim jak przywiany wiatrem liść. Nad okrągłymi oknami widniały pociągnięte czarną farbą brwi, wokół drzwi narysowano usta złożone do półuśmiechu. To miejsce żyło, podobnie jak Dom Czarownic.

Ruszył przed siebie. Było mu zimno. Od bladego morza, w którym odbijało się kremowe niebo, ciągnął chłód. Zimą Hagsborough prawie całkiem pustoszało – wiedźmy spędzały tu głównie letnie wakacje, kiedy to organizowano tutaj festyny i wspólne sabaty, wszędzie słyszało się muzykę i śmiechy. Tak przynajmniej Callen zapamiętał Hagsborough z dzieciństwa.

Wspiął się po białych schodkach i stanął przed drzwiami. Gdy zawiesił dłoń nad klamką, drzwi otworzyły się i skrzypiącym odgłosem zaprosiły go do środka.

Z pewnością od dawna nikt tu nie zaglądał. Dom wydawał się senny, atmosfera w nim nieco ocieźiała. Tuż za drzwiami znajdował się zegar wahadłowy bez wskazówek i cyfr – zamiast nich jego srebrną tarczę zdobiła uśmiechnięta twarz.

Gdy podłoga jęknęła cicho pod stopami Callena, magia zaczęła się budzić. Energia była jak niezadowolony kot, przeciągający się po drzemce.

Wszedł do salonu, wielkiego i zimnego. Ściany pokryte były malowidłami księżycy, gwiazd i kobiety unoszącej kocioł, z którego

sączyła się świetlista woda. W pomieszczeniu znajdował się kominek.

– Czego mam szukać? – mruknął Callen pod nosem.

Wiedział, że by złamać czar rzucony przez Brutusa, będzie musiał odnaleźć źródło jego magii. To mógł być przedmiot, kartka z zaklęciem, nawet miejsce, w którym dokonał się rytuał. Magiczne wymazywanie ludzi z historii było od dawna niedozwolone, nawet w czasach Brutusa. Jeśli więc czarownik chciał rzucić ten czar, musiał robić to w tajemnicy, w miejscu, gdzie był najbezpieczniejszy.

Długo rozglądał się po salonie i kuchni na tyłach domu. Dotykał ścian, przedmiotów, bębnił w nie palcami, poszukując magii ukrytej gdzieś w fundamentach budowli. Choć odzywały się do niego jakieś echa, większość pochodziła może sprzed góra kilkunastu lat.

Wspiął się po schodach, sunąc dłonią po poręczy. Nic. Potem zaczął po kolei zaglądać do pokoi. Nawet drzwi zamknięte na klucz otwierały się przed nim dzięki czarom Selene.

W ciągu kolejnych trzech godzin obszedł cały dom, w każdym pokoju spędził wystarczająco dużo czasu. Odwiedził świątynię, zszedł do komórki pod schodami, gdzie znajdowało się kilka mioteł i poniszczone sprzęty magiczne. Wciąż zamykał i otwierał oczy, biorąc do rąk kolejne przedmioty. Nadal nic.

Zerwał się mroźny wiatr. Morze poruszyło się niespokojnie. Callen obojętnie wspiął się znów po schodach i wrócił do domu. Mechanicznie powłóczył nogami w stronę kuchni, w starym czajniku zagotował wodę i zalał nią pierwszą lepszą torebkę herbaty. Wreszcie opadł z kubkiem w rękę na stojący przy kominku fotel.

Teraz nie miał już niczego. Pustym wzrokiem wpatrywał się w rysunek na ścianie, głowa opustoszała mu z myśli. W tej chwili pozostali już tylko on i ta kobieta rozlewająca wodę z kociołka. Im dłużej na nią patrzył, tym głębiej zatapiał się w pustce. Wreszcie opadł z sił i zasnął, rozlewając na podłogę zimną już herbatę.



Błyszcząca woda zamigotała. Callen na wpół przebudził się ze snu, jednak jego świadomość dryfowała gdzieś między wizjami a jawą. Uniósł powieki, lecz reszta jego ciała pozostawała nieruchoma. Patrzył w oczy kobiety narysowanej na ścianie, zdając sobie sprawę, że widzi w nich gwiazdy.

Coś zaczęło kołysać jego fotelem. Wraz z nim kołysał się czas, w tę i we w tę, wypływał z kotła wraz z wodą i wracał tam, zmieniony. Był we władaniu tej kobiety. Callen też chciał się jej poddać.

– Prowadź – wyszeptał w stronę malowidła. Jego srebrne słowa dotknęły ust kobiety.

Dom wybuchł od szeptów. Wskazówki sunęły po tarczach jak magiczne miecze wyrysowujące kręgi czarownic. Pory roku migwały za oknem, tylko Callen siedział w tym fotelu, czując przepływający przez ciało czas.

Wszystko skończyło się nagle i zapadła głucha cisza. W świetle słońca, które wpadało teraz do domu przez czystą szybę, unosiły się drobinki kurzu. Dywan był inny, podłoga też, a obraz dopiero powstawał. Dziewczyna w ubrudzonej farbą sukience stała na drabince, wykonując ostatnie pociągnięcia pędzlem na twarzy kobiety. Potem przez kilka chwil przyglądała się swojemu dziełu i powoli zeszła na podłogę.

To była jego matka. Dostrzegł to, gdy odwróciła twarz w jego stronę.

– Mamo – jęknął głupio, dobrze wiedząc, że ona go nie widzi. Co z tego, skoro po chwili niemal błagał ją, żeby go dostrzegła? Nie mógł płakać, nie miał tu oczu, bo był tylko czystą świadomością, a mimo to czuł, jakby cały zmienił się we łzy.

Mamo, mamo, mamo...

Wołał ją każdą cząstką duszy. Wierzył wbrew wszystkiemu, że mogłaby go dostrzec, że mogłaby do niego przemówić. Złudnie

wmawiał sobie, że w jej oczach pojawił się jakiś przebłysk, gdy patrzyła na fotel i kominek, przenikając wzrokiem swojego syna z przyszłości.

Ale wcale go nie widziała. Obserwował, jak poprawiała sobie lśniące włosy, uśmiechała się w sposób, którego nigdy u niej nie widział.

Nagle otworzyły się drzwi, a do środka wszedł ponury mężczyzna. Miał długą kozią bródkę, jego gęste brwi były złączone. W ręku trzymał kostur, z którego sypały się iskry.

Luna wyczuła jego gniew, choć się nie odezwał. Ciszę przerwał dopiero płacz kobiety, która wpadła za nim do domu.

– Brutusie, stój! – zawołała. Jej długa spódnica była ubrudzona ziemią. Wyglądało na to, że kobieta biegła przez las.

– O co chodzi? – spytała Luna, odsuwając się przed ojcem.

Brutus sięgnął pod pachę i wyjął z czarnego płaszcza jakiś świstek, który rzucił na stół.

– Wiem – wycedził.

Luna rzuciła tylko przelotne spojrzenie na papier, jakby od początku zdawała sobie sprawę, co na nim jest.

– Czy to prawda? – spytał Brutus, podchodząc do córki.

Szlochająca kobieta za plecami czarownika gwałtownie potrząsała głową, błagając Lunę, by skłamała. Ale ona uniosła czoło i odparła:

– Tak.

Rozległ się odgłos uderzenia. Ręka Brutusa wisiała w powietrzu, a przerażona Luna trzymała się za zaczerwieniony policzek. Callen poczuł to uderzenie na sobie, nie w ciele, ale w sercu.

Kobieta w sukni, zapewne Losna, jej matka, upadła i zaczęła szlochać.

– Ty dziwko! – warknął Brutus. – To dlatego buduję przyszłość tej rodziny, żebyś ty niszczyła naszą reputację, zadając się z synem Wyrd?! Królowa Aislingen nigdy nam tego nie wybaczy!

– Brutusie. – Losna wstała i poprawiła fryzurę. – Posłuchaj, musi być jakieś wyjście...

– Wyjście? – zadrwił czarownik. – Znasz jakieś dobre, Losno? Bo ja już jedno znalazłem.

– O czym mówisz? – Kobieta pobladła.

Odpowiadając, Brutus nie zwrócił się do żony, ale do córki:

– Wydziedziczę cię magicznie.

– Nie! – zawołała Losna. – Zabraniam ci!

Ujęła rękę męża, przyciągając ją do siebie, ale on odepchnął ją z taką siłą, że kobieta wylądowała na podłodze.

Luna nie cofała się już przed ojcem. Stała z dumnie uniesioną głową. Zaciskała wargi.

– Nie jesteś już moją córką!

Potem Callen słyszał tylko szloch Losny Williams. Nagle to ona stała się najważniejsza, jakby była osią wszystkich tych zdarzeń.

Scena się zmieniła. Wszystko pokrył dym, z którego wyłoniła się twarz Brutusa. Spękane usta powtarzały zaklęcie. Mężczyzna stał nago w świątyni, w kręgu namalowanym krwią. Kaszłał, powtarzając demoniczne inwokacje. Callen widział przed sobą człowieka wściekłego, pełnego gniewu, ale też smutku.

– Wzywam cię z otchłani, wzywam cię z początku czasów, wzywam cię z pradawnej ciemności. Siło, która tworzysz i która rozdzielasz, siło, która wymazujesz.

Na ołtarzu stał kryształowy kielich wypełniony białym winem. Był tam też pożółkły kiel i czarno-białe zdjęcie uśmiechniętej Luny. Brutus wbił kiel prosto w jej twarz.

– Niech zostanie zapomniana – powtarzał. – Niech zostanie wymazana. Niech każdy zapomni, że miałem tę córkę, że wyszła z mojej krwi. Odtąd jest bezimienna, odtąd jest niczym, niech nikt nie powtarza jej imienia.

Sięgnął po nóż. Trzymał go w prawej ręce, lewą położył na ołtarzu. Rozprostował palce, mały odciągając jak najdalej od pozostałych. Jednym ruchem opuścił ostrze.

Okrzyk jego bólu przeszył Callena, który też wrzasnął. Srebrna energia buchnęła z jego ust, by zatonać w mroku świątyni. Ostatnie,

co zobaczył, to znów usta Brutusa. Drżąc od płaczu, piły wino zmieszane z jego krwią. Czarownik płakał nie tylko z bólu – płakał z rozpacz.

Mgła powiodła Callena do innego miejsca. Był to otaczający Hagsborough Jęczący Las.

– Uciekajcie, uciekajcie – mówiła ostrym szeptem Losna Williams do stojących przed nią Luny i fera o jasnej skórze. Isinbir był młodszy, postawniejszy i piękny w nieskalany sposób. Luna opierała się o jego ramię.

Losna wykonała dłonią taneczny ruch. W niczym nie przypominała już tamtej szlochającej kobiety. Nie potrzebowała różdżki ani athame, samymi palcami wytworzyła wśród drzew portal. Kazała córce i jej ukochanemu wejść do środka.

– Mamo, zapomnisz mnie, wiem – mówiła Luna przez łzy. – Ale musisz, inaczej ciebie ojciec też skrzywdzi. I błagam, nie rób tego, co...

– Uciekaj! – ryknęła Losna.

Wepchnęła Lunę w portal, ale w ostatniej chwili, nim dziewczyna zniknęła za Isinbirem, pociągnęła ją za kolczyk. Luna krzyknęła, gdy rozerwał jej ucho.

Po chwili kochanków i portalu już nie było. Losna stała w lesie sama, trzymając w dłoni zboczony krwią kolczyk. Teraz to na nim skupiła się świadomość Callena. Gdy wszystko zakryła mgła, tylko ten złoty kolczyk w kształcie spiralnej bogini lśnił w ciemności.

Po chwili Callen znów widział go na otwartej dłoni Losny. Teraz wiedźma stała w salonie, przed malowidłem córki, ubrana w ciemną suknię.

– Nie zapomnę jej – powiedziała. – Straciłam dwie córki. Nie stracę kolejnej.

Wbiła kolczyk w swój palec, mieszając zakrzepłą krew córki z własną. Potem zrosiła nią kawałek poszarzałego papieru, na którym wypisała imię i nazwisko.

ANGELINA CALLEN

Chłopak poczuł, jakby jego świat, składający się z porwanych fragmentów, na nowo układał mu się przed oczami.

– Moja krew jest silniejsza od jego krwi – powiedziała Losna. – Moja krew dała jej życie.

Wiedźma dopisała na papierze jeszcze jedno nazwisko:

MALLOWAY

Callen miał wrażenie, że wszystko wokół wibruje niezwykłą magią, gdy Losna zaczęła łączyć zapisane litery w magiczny znak – sygil, który napełniła swoją mocą i krwią. Potem spaliła papier, pieczętując tym zaklęcie i machnęła ręką, sprawiając, że w ścianie z malowidłem otworzyła się wyrwa. Oko kobiety rozlewającej wodę się rozszerzyło. Losna włożyła do niego kolczyk.

– Szmaragd, szmaragd – szeptała. – Pamiętaj, że twoja moc to szmaragd.

Gdy ściana zasklepiła się z powrotem, mgła podniosła się na nowo.

Ktoś lekko klepał Callena po policzku. Otworzył oczy. Selene Williams pochylała się nad nim.

– Wiem – wyjąkała. – Też to widziałam. Już rozumiem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

– Chwila – powiedziała March, gdy Ove postawił na stole imbryk, filiżanki z herbatą i ciastka. – Powtórz to i może jakoś ci w końcu uwierzę.

– Tak, byłem kochankiem Wyrd – odparł Alogos spokojnie. Siedział wyprostowany na fotelu, a jego aurę otaczała słoneczna poświata.

Ove włożył do ust ciasteczko. Gdy je przegryzł, połowa spadła na podłogę. Z trudem odrywał wzrok od gościa, beznamiętnie patrzącego na poczęstunek. W formie astralnej Alogos i tak nie mógł niczego tknąć, ale mag uznał, że bez herbaty nie ma nawet co zaczynać takiej rozmowy.

– Kochankami – powtórzyła March.

– Co cię tak dziwi? – Ove zmarszczył czoło. – Przecież powiedział, że chce ją zniszczyć. To typowe dla kochanków.

– Przychodzę z konkretną sprawą – zaczął jednorożec. – Więc...

– Najpierw chcę poznać tę historię – zastrzegła March. – Półprawdy są równie niebezpieczne jak kłamstwa. Jak to się zaczęło?

Alogos niecierpliwił się, ale chyba naprawdę potrzebował jej pomocy, bo mruknął coś pod nosem i zaczął opowiadać.

– To skomplikowana historia rodzinna, ale skoro chcesz, proszę bardzo. Mój brat, Kirian, zawsze był wyrachowanym samolubem.

Ove chrząknął.

– Nonsens.

– Nie znasz go – rzucił Alogos.

– Może i nie – odparł mag, spokojnie odkładając filiżankę – ale nie jestem na tyle głupi, żeby uwierzyć, że księciem jednorożców został

ktoś samolubny. Przecież wybiera was duch Karkadannu, a to chyba najmądrzejszy egregor, jaki istnieje w Jaarze. Czy się mylę?

Jednorożec nie odpowiedział.

– Tak czy inaczej – ciągnął – Kirian został księciem, a mnie w przydziale nie przypadło nic. Władca może być tylko jeden. Od początku wiedziałem, że mój brat nie ma pomysłu na rządzenie. Szedł tą samą drogą, co wszyscy nasi przodkowie. Tego od niego oczekiwano, to prawda, ale pytam: gdzie był, kiedy ludzie nas mordowali, żeby pozyskać nasze rogi? Gdzie był, kiedy Karkadann rozpadł się na mniejsze plemiona? Dlaczego nie chciał nas zjednoczyć?

Jego piękną twarz wykrzywił gniew.

– Ja wiedziałem, co robić. Miałem plan. Codziennie odprawiałem modły, żeby duch Wielkiego Karkadannu nas wysłuchał.

March lekko trąciła Ovego łokciem.

– A co to jest ten Karkadann? – szepnęła.

– Plemię jednorożców, a Wielki Karkadann to ich królestwo w Jaarze.

– Okay.

– I co zrobił duch? – wycedził Alogos, nie zwracając uwagi na ich rozmowę. – Wybrał Kiriana! Miałem na to pozwolić? Za dużo naoglądałem się mordów na moich braciach i siostrach. Widziałem wijące się z bólu źrebięta, którym wylamano rogi. Niestety takich jednorożców jak ja, które chciały stawić prawdziwy opór, było niewiele. Inne mówiły: *patrzmy w gwiazdy, czasy się zmieniają, niech los się dopełni.*

Prychnął.

– Patrzymy sobie w gwiazdy, tak! A ja zawsze wolałem patrzeć w ziemię. Dotkniętą czasem, zmienną, tę, z której ulepione jest moje ciało.

– Tego do końca bym nie powiedział – odezwał się Ove. – Ale, jak sądzę, zakumplowałaś się z naszą starą znajomą, żeby się zemścić? Pragmatyczna miłość.

– Nie tylko z mojej strony, wierz mi – oznajmił Alogos, po czym jego ciemne oczy otworzyły się szerzej. – Cóż, nie mogę powiedzieć, że nie było w niej czegoś, co mnie pociągało. Wy tego nie zrozumiecie, ale Wyrd jest czystą istotą.

– A my brudnymi, tak? – mruknęła March.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– Dobrze wiedzieć, co o nas myślisz – ciągnęła. – Ostrzegam, że był tu już taki jeden, który mówił to samo, i...

Urwała. I co? Co stało się z Hypnosem? Nic. Nie został w żaden sposób ukarany.

Alogos nie przejął się jej utyskiwaniem.

– Magia Wyrd jest potęgą – stwierdził, jakby to miało być odpowiedzią na wszystkie wątpliwości. – Wyrd jest tylko cielesnym naczyniem dla tej siły. Musiałem się z nią zbratać. Obiecałem jej, że jeśli mi pomoże i wygram, będzie miała wpływ na Karkadann. Więcej nie można dostać, w całym Jaarze nie ma równie potężnej krainy i tak niezmierzonej magii. Wyrd pomogła mi zaklęciem. Przekląłem Kiriana. Mógł pozbyć się klątwy tylko pod warunkiem, że zdobędzie serce czarownicy. To działo się tu, w Finfolk.

– Ale co się stało? – spytała March.

– Tu mój brat zaczął szukać wiedźmy, której skradnie serce, ale ktoś dowiedział się o sprawie. Krążyły plotki o czarowniku polującym na serce wiedźmy. Społeczność magiczna zaczęła się obawiać.

– Bo co? Miał ją zaciachać i wyjąć sobie to serce? – prychnął Ove.

Alogos się zaśmiał.

– Gdyby to zrobił, wtedy bym wygrał. Ale Kirian, zawsze taki *przewidujący, bystry*, zrozumiał, że to nie o to chodzi. Zdobyć jej serce oznaczało...

– Rozkochać ją w sobie? – wtrąciła March.

– Pudło. Mieli się *w sobie* zakochać. Szczerze i z wzajemnością.

– Znalazł tę wiedźmę w Finfolk? – dopytała dziewczyna.

– Tak, Cleto Malloway.

Ove parsknął, rozchlapując herbatę.

– Że co? Pierwsze słyszę!

– To była... tajemnica. No, rodzaj tajemnicy. Kirian i Cleto nie byli kochankami, nie tak jak ja i Wyrd. Spotykali się krótko, potem ich światy się rozeszły. Kirian miał na głowie krainę, śmiertelna wiedźma żyła tu, a gdyby chciała pójść z nim do Jaaru, jednorożce prędzej zakopałyby ją na śmierć, niż pozwoliły być częścią królewskiego rodu.

March wpatrywała się w zdobiony kwiatami imbryk Cleto. Jak wielu rzeczy jeszcze nie wiedziała o siostrach Malloway?

– Jedna rzecz ci wyszła – uznała nagle. – Zraniłeś swojego brata.

Alogos się obruszył.

– Wcale nie chciałem go zranić. Nie chodziło o niego, tylko o mnie. Zresztą ta sprawa mi zaszkodziła. Wyrd nie chciała dłużej mi pomagać, a kiedy zagroziłem, że doniosę na nią do Społeczności, zamknęła mnie w koszmarach. Resztę historii już znasz, Sky.

– Znam – odparła. – Więc chcesz, żebym pomogła ci zniszczyć Wyrd? To dobrze, bo chcemy tego samego.

– Oj, tak. – Ove żywo potaknął. – Tak, tak.

– Ale jaki masz na to plan? Jak chcesz pomóc *mnie*? Powiedziałeś, że to zrobisz.

Alogos oparł się o sofę.

– Nie tak prędko, Sky. Miałem już okazję widzieć twoją moc, ale jesteś w połowie człowiekiem i tej części nie ufam. Tę część muszę przetestować. I przede wszystkim nie mogę sobie pozwolić na kolejny błąd w walce z Wyrd.

Ove z trzaskiem odłożył filiżankę.

– Ej, koleś! Przyłazisz tu do nas, sam czegoś od nas chcesz i jeszcze stawiasz warunki?

– Daj mu mówić. – March chciała, żeby coś z tego wynikło. Jej matka czekała, a czas się kończył.

Alogos rozprostował ręce.

– Powiedzmy, że mam przed tobą coś do odkrycia. Kilka rzeczy. Ale idźmy po kolei.

Skinął palcem. Przed March i Ovem zajaśniał obraz – wielka karta wisząca w powietrzu. Był na niej wyrysowany rycerz w ciężkiej zbroi, otoczony płomieniami.

– Masz część broni przeciwko Wyrd! – zawołał Ove. – Tę należącą do magów!

Alogos nachylił się ku nim, opierając łokcie o kolana.

– Nie mam, ale wiem, jak ją zdobyć. To prostsze, niż myślicie, jeśli zrobi to odpowiednia osoba.

– Czyli ty? – spytała March dla pewności.

Wypiął pierś.

– Czyli ja.

– Więc na co czekamy? – spytał Ove, niecierpliwie wybijając stopami rytm na podłodze.

– Sądziłam, że na Callena? – March spojrzała na niego z wyrzutem.

– Eee... – Zmieszał się.

– Chłopak nie będzie potrzebny – odparł Alogos. – Potrzebujecie tylko mnie. Wiem, gdzie to jest... To jak? Idziemy?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Selene zabrała z podłogi szklankę upuszczoną przez Callena i zaparzyła im nową herbatę. Postawiła ją na blacie, a sama zaczęła bawić się swoim złotym kolczykiem.

– Losna nie pozwoliła Brutusowi odebrać sobie kolejnej córki, pokrzyżowała mu plany.

Siedzieli w salonie, przy długim stole, naprzeciwko siebie. Wiedźma spuszczała wzrok, a Callen, wciąż jeszcze dochodząc do siebie, rzucał jej przelotne spojrzenia. Nie tylko do niego coś dziś wróciło. Cała rodzina Williamsów odzyskała kawałek swojej historii wyrwany przez Brutusa.

– Miałam rację, wysyłając cię tutaj – powiedziała Selene. – Księżycowy Dom skrywa więcej tajemnic, niż sądziłam.

– W pierwszej chwili uznałem, że Losna była słaba. To, jak szlochała, jak nie umiała zapanować nad mężem...

W jego głowie bez przerwy odtwarzała się tamta pierwsza scena. Czasem odwracał głowę w stronę malowidła, jakby się spodziewał, że zaraz zobaczy przy nim Lunę, Losnę i Brutusa.

– A potem on uderzył mamę. – Skrzywił się. – Nie miałem pojęcia, kim był mój dziadek. Ojciec opowiadał mi o nim i powinienem był wiedzieć, że był potworem, ale to, co zobaczyłem...

– Nie powinieneś tak o nim myśleć – odparła Selene, całkowicie go zaskakując.

– Co? Więc jak mam o nim myśleć?

– Widziałeś go wtedy, gdy był już bliski śmierci – oznajmiła. – Ale nie był taki przez całe życie. Znam historię Brutusa i Losny całkiem dobrze. Możesz w to nie uwierzyć, ale na początku byli wspaniałym małżeństwem. Kiedy jednak stracili Ivy i Evelyn, wszystko się

zmieniło. Wierzę, że Brutus został przejęty przez swój smutek, może przez cień, a Losna się wycofała. W naszej rodzinie kobiety zawsze były potężne i spajały nas magicznie. Bez jej czarów wszystko zaczęło się psuć.

Selene umilkła, dając sobie czas na przemyślenie.

– Nie ma w tym jej winy – oznajmiła wreszcie. – Po prostu trudno uprawiać magię, gdy się cierpi...

Ścisnęła kolczyk tak mocno, że pobieleły jej palce.

– On *był* potworem – odparł Callen. – Widziałem...

– Tak, *stał się* nim, co nie znaczy, że był taki zawsze. Moja matka wspominała go dobrze.

– No właśnie, Cynthia... – zaczął powoli Callen. – Czy ona dowie się...

– Och, nie, matka od dawna nie żyje – powiedziała Selene. – Sądziłam, że gdy Ivy i Evelyn odeszły, stała się jedynym promykiem nadziei dla Brutusa i Losny. Ale skoro mieli jeszcze Lunę, zgadzałyby się pewne fakty.

– Jakie fakty?

– Moją matkę wcześniej odesłano do rodziny w Londynie i nigdy nie zamieszkała znów z rodzicami. Nie wiedzieliśmy, dlaczego tak było, a ona sama przez całe życie się z tym zmagala. W końcu uznała, że Brutus i Losna odesłali ją, bo wierzyli, że ciąży nad nimi jakaś klątwa. Losna musiała się bać, że ostatnią córkę też spotka krzywda z ręki Brutusa. Czy byłaby w stanie chronić jeszcze ją, skoro przez resztę życia musiała chronić wiedzę o Lunie?

– Pamiętała o niej dzięki kolczykowi. – Callen skupił uwagę na błyszczącej bogini w ręku Selene. Wydawała się cudownie magiczna.

– Tylko rzucający klątwę mógł o niej pamiętać i ją cofnąć. Dzięki Lośnie Brutus nie miał nad tą magią pełnej władzy. Sądzę, że Luna nie chciała się zgodzić na zaklęcie matki, bo było zbyt niebezpieczne. Dlatego Losna zerwała kolczyk w ostatniej chwili, nim przeniosła ich do portalu...

– A z portalu uciekli do miejsca *pomiędzy*, które stworzył mój ojciec.

– Tam mogli zawsze pamiętać o tym, kim jest Luna, bo czar Brutusa na nich nie podziałał. Gdyby Losna nie ukryła kolczyka z krwią córki w Księżycowym Domu, nigdy nie poznalibyśmy prawdy, a twój ojciec zapomniałby o Lunie po tym, jak opuścił miejsce *pomiędzy*.

Callen oczami wyobraźni wrócił do momentu, gdy Losna rzucała zaklęcie.

– Wymyśliła nowe imię dla mojej mamy, a potem połączyła je z nazwiskiem Malloway.

Selene ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Stworzyła nowe imię dla twojej matki, żeby jej świadomość nie rozproszyła się całkowicie, gdy przyjdzie czas, by opuścić miejsce *pomiędzy*. Wszyscy wiedzieli, że Mallowayowie mieli przewagę nad aislingeńskimi ferami i pewnie dlatego do nich chciała wysłać córkę. Spalona kartka z imieniem musiała pojawić się na nowo, gdy Lunę dotknęła klątwa Wyrd, dzięki czemu jakaś głęboka część duszy twojej matki poprowadziła ją w określone miejsce.

– No właśnie, klątwa – powiedział cicho Callen. – Sądziłem, że to Wyrd zmieniła imię mamy.

– Jak widać, Losna przechytryła nie tylko Brutusa, ale po prostu nas wszystkich. – Selene uśmiechnęła się pod nosem. – Świetna wiedźma.

– Ale dlaczego nikt inny nie mógł odkryć tej tajemnicy?

– Bo to ty jesteś synem Luny. – Selene posłała Callenowi poważne spojrzenie. – To ty musiałeś tu przyjść, jej krew jest twoją krwią, a to zaklęcie działa poprzez krew. Gdy o tym myślę... to wydaje mi się tak straszne...

Westchnęła.

– Spójrz. Losna nigdy nie miała pewności, że ktoś pozna tę tajemnicę. Pewnie, co gorsza, nie miała na to nawet nadziei. Skąd miała wiedzieć, czy twoja matka opuści miejsce *pomiędzy*? Przez

całą resztę życia musiała udawać, że nie pamięta o córce, że nigdy jej nie miała...

Callen jeszcze raz zerknął na kolczyk w ręku Selene. Coś przyszło mu do głowy.

– Jeśli jeden z tych kolczyków jest w ścianie, a drugi miała moja matka, to...

– Och, one zawsze do nas wracają. – Selene uśmiechnęła się do spiralnej bogini. – Ten pojawił się na ołtarzu mojej matki, gdy...

Urwała, jej oczy otworzyły się szerzej.

– W pięćdziesiątym szóstym? – wydusił Callen. – On... on...

– Należał do twojej matki – wyszeptała Selene. Powoli odłożyła kolczyk na stół. – Chcesz go zabrać?

– Ja... chyba nie mógłbym...

– Ale być może musisz – odparła.

Złapała jego spoczywającą na stole dłoń i po prostu włożyła do niej kolczyk, a potem zamknęła jego palce i wykonała nad nimi gest pentagramu, nim zdążył zaprotestować. Pentagram był pieczęcią.

– Jest twój – powiedziała.

Zadrżał od energii kolczyka.

– Dziękuję – wyszeptał.

Selene wpatrywała się w jego oczy.

– Szmaragd – powiedziała. – Widzę w tobie błysk tej magii. Mówią, że tylko w oczach Williamsów widać ten specyficzny odcień szmaragdu. To jej energia; tej bogini. Powinnam była od razu to dostrzec.

– Pewnie dlatego mama dała mi tak na imię – odparł cicho Callen.

– Emerald... Szmaragd... Losna kazała jej pamiętać, że to kolor jej mocy.

Powoli przeniósł wzrok na malowidło kobiety. Teraz, gdy wiedział już, że to Luna była jego autorką, było mu o wiele bliższe. W głowie zaświtała mu myśl. Selene uchwyciła jego spojrzenie i zanim się odezwał, sama powiodła wzrokiem w stronę kobiety z kotłem.

– Spróbujmy – powiedziała.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Kościół przy ulicy Samotnego Wojownika był wysoki i gotycki. Światło wpadało do środka przez witraże przedstawiające świętych i przesączone przez ich barwne oczy ślizgało się po figurach uskrzydlnych aniołów. Posągi stały wokół ścian, wszystkie skierowane twarzami na zdobiony ołtarz. Z sufitu przez okrągłe okno spoglądał sam Bóg, otoczony cherubinami i prorokami. Na żadnym obrazie jego oczy nie wydawały się March równie żywe.

– Nigdy tu jeszcze nie byłaś? – zdumiał się Alogos. Wciąż był skąpany w złotej poświacie, jego astralne stopy ledwo dotykały posadzki.

– Jestem... to znaczy byłam ateistką – odparła z automatu.

Obrzucił ją wzrokiem.

– Ta – mruknął. – A teraz kim jesteś?

– Nie wiem. Bóg wydaje mi się jedną z tych dziwacznych istot, które w zasadzie mogą istnieć. Ale hej, chyba nie przyszliśmy tu gadać o moich wierzeniach? Swoją drogą, kościół to ostatnie miejsce, do którego spodziewałabym się, że zaprowadzą mnie czarownice.

Ove przejechał palcem po oparciu wysokiego klęcznika. Drewno zaskrzypiało.

– Ja tam lubię ten kościół. Czuć tu magię. Jest kolejną świątynią mocy.

– Magicznej? – March spojrzała na niego z zaciekawieniem.

Wzruszył ramionami.

– Po prostu mocy. Czegoes większego i głębszego. Czegoes.

– Ty tego nie czujesz, Sky? – Alogos zatrzymał się przed ołtarzem.

– Tej siły? Jesteś wiedźmą. Poczuj ją.

Zaśmiała się blado.

– Potraktuj to jako test – dodał jednorożec. – Powiedziałem, że muszę cię jeszcze sprawdzić. Jeśli nie czujesz magii, nic mi po tobie.

March odwróciła się znów w stronę Ovego, licząc, że jakoś zareaguje, ale milczał. Przełknęła więc dumę i zamknęła oczy.

Otworzyła się na kościół. Kościół otworzył się na nią. Barwy filtrowane przez witraże zatańczyły, przecinając jej umysł świetlistymi wstęgami. Powietrze zapachniało od palonych tu od lat kadzideł. W głowie March tworzyły się obrazy – wspomnienia, sylwetki wiernych odlane w duchu budynku, ciche słowa urwanych modlitw. Samotne narzędzia ceremonialne z ołtarza tęsknie czekały na ciepłe dłonie kapłana. W złotym schowku – nie wiedziała, jak on się nazywa; pamiętała tylko, że trzymają tam hostię – poruszała się jakaś święta, trudna do uchwycenia magia.

– Okay, czuję – powiedziała cicho.

Coś nią wstrząsnęło. Światło pod jej powiekami zmieniło się w mrok. Jej nozdrza wypełniła stęchlizna. Otworzyła oczy i spojrzała pod stopy. Po podłodze ciągnęły się prostokątne kształty, na nich wykute były przetarte litery. Imiona, nazwiska, daty narodzin i śmierci.

– Czy my chodzimy po...

– Trumnach – dopowiedział za nią Ove. – Ale nie martw się, nie bezczestymy zwłok. Nie tym razem.

Spojrzała na niego zszokowana. Widziała różne makabry, okay, ale w kościele?

– No co? Dla ludzi w tamtych czasach to była niezła gratka, być pochowanym w kościele.

– March – powiedział ostro Alogos. – Kiedy prosiłem, żebyś poczuła tę magię, miałem nadzieję, że zajrzysz głębiej. Nie domyślasz się, gdzie tak naprawdę się znajdujesz? Kto na ciebie patrzy? Kto jest pod twoimi stopami?

Ove zmarszczył czoło. Wyciągnął wahadło z cygarnicy i oświetlając sobie nagrobki jego blaskiem, przeczytał kilka nazwisk.

– Ja cię kręcę! – wydusił. – To wszystko magowie!

March podeszła do jednego z aniołów. Ich skrzydła nie były gołębie. Przypominały raczej pszczele, jak u niektórych ferów.

– Magowie są pod nami – oznajmił Alogos – a fery pilnują, żeby nie powstali. To naprawdę aż tak proste.

– Oczywiście to przenośnia? – Ove skierował w jego stronę końcówkę wahadła. Jednorożec pokręcił głową. – Och...

– Masz swoje athame, Sky? – upewnił się Alogos.

March potaknęła, sięgając po scyzoryk.

– Mogę je zobaczyć?

Jednorożec wyciągnął rękę, dziwnie fizyczną jak na astralną kopię. Gdy dała mu swoją broń, przez chwilę obracał ją w palcach. Jego wzrok zatrzymał się na wyrytych na rękojeści znakach. March dostrzegła ledwo zauważalną zmianę w jego minie. Skinął głową i zaśmiał się krótko, jakby w czymś się utwierdzając, ale oddał jej athame bez słowa.

– Będziemy oczywiście walczyć – oznajmił. – Rzeczy, których poszukujecie, nie można dostać ot tak sobie. Pytanie, czy jesteście gotowi?

March i Ove wymienili spojrzenia.

– Raczej pytanie, jak bardzo coś, z czym przyjdzie nam walczyć, może skopać nam tyłki – powiedział czarownik. – Przypominam, że mam już tylko jedno życie, a poza tym lata też nie te.

– Skąd mamy wiedzieć, czy jesteśmy gotowi? – dodała March. – Nie mieliśmy szansy się przygotować, obmyślić planu...

Alogos wybuchnął śmiechem.

– Ludzie! *Ludzie!*

Chwilę potem wyglądał jednak na rozgniewanego.

– Może powinienem zapytać was raczej, czy macie czas. Bo jestem tu dla was, ale mogę w każdej chwili zniknąć i przez

następne sto, dwieście, tysiąc lat obmyślać plan walki z Wyrd sam. Ale czy wy macie czas?

Nie odpowiedzieli.

– Przestań już grać – mruknęła March. – Po prostu zrób, co masz zrobić.

Wzbił się ku sufitowi i rozłożył ręce. Jego czoło przecięły jaśniejące zmarszczki, skóra zaśniła. Długimi palcami muskał powietrze.

Na pierwszy rzut oka zmiana atmosfery w kościele była niewielka. Kurz tańczył gwałtownie, wzniecany aurą jednorożca, światło stało się jaskrawsze. Zdawało się, że za każdym witrażem wisi słońce innej barwy i z ciekawością zagląda do świątyni.

Wreszcie podłoga drgnęła. Coś działo się z ziemią, niebo nad głową Boga wypełniło się atramentowym błękitem. March czuła ruchy pod stopami. Zdawało jej się, że cały świat się rusza. Każda cząsteczka miała swoją duszę. Pod zasłoną materii tętnił duch.

Alogos wprowadził świat w drżenie. Palcami wystukiwał w powietrzu rytm, a atomy tańczyły do jego taktu.

A potem jednorożec zaczął śpiewać. To był głęboki, anielski śpiew. March nie tańczyła, a jednak jej ciało właśnie to robiło. Przez cały ten czas. Zawsze. Było zbudowane z tej samej materii, co cała przestrzeń. Nie było ani chwili, w której przestawałoby się poruszać.

Śpiew wzbijał się ku sufitowi. Nad świątynią zebrał się wir energii. Jaśniejąca, bursztynowa magia zakręcała się w spiralnym tańcu, a Bóg z obrazu obserwował ją ze spokojem na twarzy.

– On nas przeniósł. – Głos Ovego był wiązką ciemnofioletowego światła.

March spojrzała znów na kościół i zrozumiała, o czym mówił czarownik.

Budynek był teraz rozległy, kilkukrotnie większy niż przedtem. Byli w astralu, widzieli gwiazdną kopię kościoła – inną od tej fizycznej, pamiętającą jeszcze stare czasy. Podłogę porastał mech, po kolumnach i obrazach piał się bluszcz. Na ołtarzu, poświęconym dotąd jednemu Bogu, stały kamienne figury innych, obcych

i prastarych bóstw, i choć nadal płynęła stamtąd podobna magia, teraz rozbijała się na wiele form.

Do głowy March napłynęły wizje. Widziała kapłanki tańczące wokół ołtarza, potem magów pijących ze złotego kielicha. Następnie z tego samego kielicha pili wierni, a ksiądz, potomek magów, podawał im święte wino. Zaklęta w nim moc płynęła nieprzerwanie z tego samego źródła. Od Świetlistych? Być może. Być może oni byli Bogiem, w którego dotąd nie wierzyła March.

Gdy wizje się oddaliły, śpiew Alogosa był już inny. Już nie poruszał śpiącej tu magii; teraz rozkazywał.

Oczy kamiennych ferów zajaśniały. Ich długo zastałe mięśnie się poruszyły. Skrzydlaci wojownicy zaczęli naraz sięgać po miecze.

– Gotowa? – rzucił Ove.

– Nie?

– Ani ja. Nie żeby to przeszkadzało, ale... Ach!

Odkoczyli od siebie, gdy błyszczące zaklęcie przeszło przestrzeń. Fery wstawały ze swoich podestów i ruszyły do walki.

March przypomniała sobie, że wciąż trzyma athame. Było teraz inne, czyste, rękojeść jaśniała, a znaki na niej płonęły głęboko pomarańczowym ogniem.

Gorąco powędrowało z jej dłoni do serca, z serca rozlało się na całe ciało. Wewnętrzne słońce March urosło i się kołysało. Uderzała w napierające na nich fery. Porażała je ogniem, rozrywając ich kamienne głowy i skrzydła.

– Wow! Wow! – wołał Ove, spoglądając na jej walkę. Sam tworzył bariery ochronne, które w odpowiednich momentach niszczył precyzyjnymi pociskami energii. Pękając, bariery oblepiały figury i kruszyły kamienie w pył.

Alogos im nie pomagał. Zamiast tego wciąż unosił się nad nimi, śpiewając.

Jeden z kamiennych ferów wycelował pięść w rękę March. Usłyszała grzechot łamanej kości i wrzasnęła. To wypełniło ją dodatkową wściekłością. Jej aura płonęła tak, że nawet Ove musiał

się odsunąć. Gniewny okrzyk dziewczyny dołączył do pieśni jednorożca, która znów się zmieniła. Gwałtowniejszy rytm wystrzelił ku podłodze. Energia wibrowała pod stopami walczących, a pokrywy zamurowanych w ziemi grobowców pękały.

March знаła teraz tylko ból i pragnienie walki. Nie przejmowała się, gdy z grobowców wychodziły szkielety ubrane w lśniące zbroje. W kościstych rękach trzymały zdobione różdżki, ich hełmy porastał ciemnozielony bluszcz.

Szkielety magów dołączyły do walki. W ich oczodołach jarzyły się blade światła.

Posągi i szkielety zwróciły się przeciwko sobie, jakby nie widząc już March, Ovego ani Alogosa. Wszędzie świstały kule energii.

– Uważaj! – Ove wpadł na March, która, zapatrzona w ołtarz, gdzie szkielet w dostojnej szacie wyciągał różdżkę, omal nie dostała w głowę odłamkiem kamiennego skrzydła.

Krzyknęła, poruszając złamaną ręką.

– Wszystko okay? – przeraził się czarownik.

Pokręciła głową.

– Oj, uzdrowiłbym cię, ale widzisz, że w tych...

Kolejny odłamek, tym razem miecza, przefrunął tuż obok jego głowy.

Alogos z zafascynowaną miną patrzył na scenę z góry.

– Jak się trzymasz, Sky? – spytał.

Koścista dłoń, oddzielona od ciała, padła nagle tuż obok niej. Poruszała się jeszcze, szukając różdżki. Gdy ją złapała, narzędzie rozbłysło rażącym blaskiem.

– Nie wierzę – wyjąkała March. – Po prostu nie wierzę.

Opierała się zdrową ręką o podłogę. Ove był tuż obok. Oboje niespokojnie wyczekiwali zagrożenia, jednak fery i magowie zajęli się już tylko sobą. Chaos przetaczał się przez cały kościół, ale posągi bóstw stały niewzruszone. Witrażowe okna pękały. Do środka wpadał wirujący śnieg.

– Pomóżmy im – powiedział Ove. – Jesteś w stanie?

– Co masz na myśli?

– Twoja moc! – rzucił, otaczając ich ochronną aurą, gdy chmara kamieni pofrunęła wprost ku nim. – Świetnie sobie radzisz. Masz moc. *Niezwykłą* moc! Wiesz o tym!

– Och tak, Sky – prychnął Alogos. – Masz moc. Pokaż mi ją. Zrób to dobrze, a odkryję przed tobą jej źródło.

Jeszcze raz zamknęła oczy. Mieszanina blasków docierała do niej przez cienką skórę powiek jak ustawicznie migający film. Ból w ręce się nasilił.

Ból. Ból. Mogła działać pomimo niego, tak jak uczył ją tego Alogos.

Lub mogła go wykorzystać. Ból był energią, siłą przeszywających ciało igieł, płonących nerwów, które rozgałęziały się w jej ciele jak drzewa.

Wzięła wdech. Wypuszczając go, wysłała ból do brzucha. Na moment ześlizgnął się z ręki, wpadając do jej wewnętrznego słońca, gdzie stał się samą mocą. Wysłała ją w eter. Pozwoliła magii samej odnaleźć wrogów.

Nie otwierała oczu. W chwili największego zamieszania musiała zatopić się w ciszy.

Nagle coś nią szarpnęło. Znalazła się znów na planie fizycznym, we własnym ciele. Tutaj ból stał się już zbyt silny. Zdjęta nim, na moment zemdląca. Gdy odzyskała świadomość, otaczała ją bursztynowa energia Alogosa. Magia jednorożca porwała ją do jakiejś cudownej krainy. Kość szybko zaczęła się zrastać.

– Tylko się nie przyzwyczajaj – ostrzegł ją głos. Nie Alogosa, ale Ovego.

Drgnęła gwałtownie. Leżała na kościelnej posadzce. Budynek był nietknięty.

– Co... ja... – Usiadła. Obie jej ręce były sprawne.

– Nasi dawni przyjaciele coś nam zostawili – powiedział Alogos, trącając stopą czarny odłamek.

W pierwszej chwili March sądziła, że to kawałek kości, ale gdy w pełni otrzeźwiała, zdała sobie sprawę, że to kolejny fragment broni

przeciwko Wyrd.

– Sky – powiedział Alogos. – Miałaś mi coś udowodnić i ci się udało. Kolejne sprawy czekają na odkrycie.



Callen biegł, nie mogąc uwierzyć w to, co trzyma w ręku. Teleportował się z powrotem do Finfolk i zdyszany pędził w stronę Domu Wiedźm. Jego stopy miękko zatapiały się w śniegu i ślizgały po oblodzonej drodze. Jego aura znów pulsowała tą niezwykłą mocą, która teraz, połączona z magią jego matki, wydawała się niemożliwa do opanowania.

– March! Ove! – zawołał, wpadając do domu.

Cisza.

Rozejrzył się. Do salonu wpadały ciepłe promienie słońca, zdawały się sunąć wprost do kolczyka, który trzymał teraz w otwartej dłoni.

Z góry dobiegł go słaby głos. Callen natychmiast ruszył po schodach i wpadł do pokoju matki March. Kobieta leżała, szeroko otwartymi oczami spoglądając na sufit.

– Emmo? – Podeszedł do niej powoli i sam spojrział w górę. Niczego tam nie było.

A jednak jej chudy, pomarszczony palec skierował się w stronę czegoś niewidzialnego, co nad nią wisało.

– Widzę... widzę... – mówiła trzęsącym się głosem.

– Tak? – spytał łagodnie, siadając przy łóżku. – Co widzisz?

– Wir... Wir? – pytała.

– To wygląda jak wir, tak?

Naraz zrozumiał, co widziała Emma. Coś takiego przecież i on dziś zobaczył.

– Widzisz wejście do miejsca *pomiędzy*, takiego, które istnieje poza czasem i przestrzenią – wyjaśnił. – Portale do nich

przypominają wiry. Widzisz pewnie ten, w który ty sama kiedyś weszłaś.

Zwróciła ku niemu twarz. Nie rozumiała.

– Nie martw się – powiedział chłopak. – Już niedługo. Jeszcze chwila, a wszystko sobie przypomnisz. I znów będziesz sobą. Daj nam jeszcze tylko chwilę.

Słońce za oknem odeгнаło chmury. Imbolc nadchodziło.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Przygotowując jedzenie dla Emmy, Callen skontaktował się z Ovem za pomocą Echa.

– *Niby gdzie jesteście?* – Puszka z herbatą omal nie wypadła mu z rąk.

– *Odrąbaliśmy tby masie ferów, kiedy ty włóczyłeś się z tyłkiem Bóg wie gdzie* – rzucił mag. – *Albo Bóg nie wie gdzie* – dodał po chwili. – *Jak tak na niego patrzę, to chyba też chciałby cię zapytać o parę rzeczy.*

– *Eee... o czym ty gadasz?*

– *Przyjdź tu i sam się przekonaj.*

– *Chwila.*

Szybko przeniósł się na górę z kanapkami i herbatą. Dał Emmie reszkę jej eliksiru, by upewnić się, że siły wrócą do niej na tyle, by sama poradziła sobie z jedzeniem. Na wszelki wypadek zapieczętował dom dodatkowymi czarami ochronnymi. Uśmiechnął się łagodnie do Emmy i wyszedł. Nie chciał, by widziała, jak się teleportuje.

Zamknął oczy. Przestrzeń wybuchła barwami i po chwili oddychał już innym, cięższym powietrzem, pachnącym olibanum. March i Ove kucali na posadzce, odczytując nazwiska z grobowców. Obok nich stał jednorożec w swojej ludzkiej formie. Nie zwrócił uwagi na chłopaka.

– *Co się dzieje?* – spytał Callen.

March bez słowa padła mu w ramiona.

– *Gdzie byłeś?! Martwiłam się! Walczyliśmy z posągami ferów, a z podłogi wyszły kościotrupy!*

Zmieszał się przez jej nagłą chęć na przytulanie.

– No... długo by opowiadać... Zresztą zaraz wam wyjaśnię.

Zatrzymał wzrok na Alogosie.

– Boisz się przy mnie mówić o waszych sprawach? – zadrwił. – Zmartwię cię: to już moje sprawy.

– On wie coś więcej. – March obrzuciła jednorożca spojrzeniem. – Ale na razie nie chce nic powiedzieć.

– Macie to? – spytał Callen.

Dziewczyna z kieszeni kurtki wyciągnęła odłamek broni. Callen odetchnął z ulgą.

– Teraz mamy już trzy – powiedziała March.

– Cztery – odparł chłopak.

Na moment wszystkich zamurowało, włącznie z Alogosem.

Callen pokazał im kolczyk.

– Nie, zaraz... – zaczął Ove. – Nie chcesz powiedzieć, że to jest...

Zamiast odpowiadać, chłopak podrzucił kolczyk nad głowę. Ten zawisł w powietrzu, objęty złocistym blaskiem.

– Patrzcie na niego – powiedział Callen. – Ale *patrzcie* naprawdę.

– Ja widzę – odparł Alogos, jakby zły na to, że to nie on odkrył ten sekret.

March i Ove zmrużyli oczy. Spiralna bogini zaczęła rozwijać się jak ogon węża. Jej ręce wydłużyły się, cała powłoka przybrała ciemną barwę, taką samą jak inne części broni.

– Nie miałem pojęcia, że pójde po jedną rzecz, a dostanę inną – powiedział Callen. – Chyba kieruje nami jakaś wyższa siła. Zaczynam serio wierzyć, że jesteśmy w stanie pokonać Wyrd.

– Skąd to masz? – spytał Ove.

– Od mojej matki – odparł Callen. – No... w pewnym sensie.

Pokrótkie opowiedział im, co wydarzyło się w Hagsborough.

– Luna Williams miała część broni? – zastanawiał się Ove. – Ale jakim cudem?

– To akurat łatwo wyjaśnić – mruknął Alogos. – To przedmiot należący do kapłanek. Tych samych, które strzegły kamienia Danu. Wiemy, że rodzina Williamsów długo sprawowała nad nim władzę,

a magiczne przedmioty, jak to magiczne przedmioty, lgną do miejsc, które przyciągają je energią.

– *Kapłanka to czarownica.* – Callen powtórzył część inskrypcji z ratuszowej kolumny.

– Mamy już cztery części – powiedziała z niedowierzaniem March.

– Z tego, co mówili Kalu i Brevda, piąta jest w Domu Wiedźm! Ove, jeśli miałeś rację, że ta część ujawni się, jak reszta będzie zebrana, to...

– Nie, nie, nie – przerwał jej zniecierpliwiony Alogos. – Tej części nie ma w waszym domu.

Cała trójka spojrzała na niego zaskoczona.

– To Wyrd ma ostatni kawałek broni – powiedział.

– Co? – prychnął Ove. – Niby skąd?

– Ode mnie. – Alogos wzruszył ramionami. – To była część naszej dawnej umowy. Dałem jej fragment broni, żeby zabezpieczyć ją przed atakiem.

– A skąd ty miałeś tę część? – zdumiał się Callen.

– Wykradłem ją Kirianowi. Miał ją przechować w Karkadannie, o wiele bezpieczniejszym miejscu niż Dom Czarownic.

Zapadło milczenie.

– Nawet ci nie wstyd – mruknął Ove.

Alogos prychnął.

– Nie bardzo. Zrobiłem wtedy to, co uważałem za słuszne. Nie wiedziałem, co będzie słuszne kiedyś.

– Słuszne! – parsknął mag. – Chyba *wygodne* dla ciebie!

– Wygodne dla mnie, niech będzie. Co za różnica? Nigdy nie udawałem szlachetnego, a już na pewno nie względem ludzi i waszych spraw.

– Które są teraz też twoimi – zauważyła March.

Jednorożec przewrócił oczami.

– Tego też nie mogłem przewidzieć.

Ove ciężko opuścił rękę na klęcznik. Głuchy odgłos przetoczył się przez kościół tak wyraźnie, że mógłby na nowo zbudzić zmarłych.

Z aury czarownika sypały się iskry, jego dłonie się trzęsły.

– Ove? – Callen doskoczył do niego.

Alogos i March przyglądali się czarownikowi z mieszaniną zdumienia i lęku. Zacisnął powieki i oddychał głęboko, jak gdyby próbował się opanować, lecz jego aura z każdą chwilą ciemniała.

– Co to? – jęknęła nagle March. Wskazała palcem na długi, czarny kształt przesuwany się po ścianach kościoła.

Alogos wzbił się w powietrze. Jego ręce zajaśniały bursztyinem.

– To cień. – Callen odsunął się od Ovego.

Czarownik, oparty rękoma o klęcznik, wciąż się trząsł. Wysoki, świadomy sam siebie cień zatrzymał się tuż przed jego zwyłym cieniem, wyciągnął dłoń zakończoną wykrzywionymi palcami i zacisnął je na szyi Ovego.

Czarownik podskoczył, z jego gardła wydobył się charczący odgłos. March krzyknęła. Callen powstrzymał ją przed rzuceniem się Oveemu na ratunek.

– Sam musi sobie z tym poradzić – wyszeptał.

Ove padł na kolana, trzymając się za szyję tak, jakby ktoś założył mu niewidzialną obrozę. Mroczna siła ze ściany ciągnęła go, wciąż zatapiając w jego cieniu potworne dłonie. Szamotał się, ale istota zagarniała go kawałek po kawałku. Cienie stapiały się ze sobą w walce, po chwili nie dało się już powiedzieć, który należał do Ovego, a który był obcy.

Czarownik szeroko otworzył oczy. Kierował spojrzenie na odłamki broni, które trzymali teraz March i Callen. Wykrzywił usta, błyskawicznym, chciwym ruchem rzucił się w ich stronę. Jego twarz była demoniczna, palce przypominały te należące do istoty, która go zaatakowała.

March i Callen odskoczyli. Ove z trzaskiem padł na ziemię. Jak dzikie zwierzę rzucił się w stronę dziewczyny. Alogos machnął ręką, złocistą błyskawicą przecinając mu drogę. Czarownik zwrócił się w stronę Callena, a chłopak nie miał czasu sięgać po athame.

Wzniecił magię w swojej aurze – ostrożnie, by nie uszkodzić przyjaciela.

Ove zatracił resztki siebie. Zdawał się nie dostrzegać już niczego poza lśniącem kolczykiem Luny. Skoczył ku Callenowi jak wściekły namhajt. Zawył, odbijając się od lśniącej tarczy ochronnej.

– Co się z nim dzieje?! – zawołała spanikowana March. Próbowwała coś zrobić, ale wiedziała, że jeśli nie zapanuje nad swoją mocą, zrobi Ovemu krzywdę.

Z aury czarownika sączyła się ciemna noc, roztrzęsiona od burzy, pozbawiona księżyca.

– Och, dość już tego – mruknął głos w górze.

Alogos podfrunął bliżej sufitu i dotknął obrazu Boga. Kula światła rozbłysła przed twarzą wizerunku. Jednorożec pochwycił ją w rozpostarte dłonie i powoli, jakby była kulą koszmarów, opadł z nią na ziemię. Jednym celnym rzutem cisnął nią w Ovego.

March i Callen rzucili się w stronę czarownika, chcąc go chronić, ale było za późno. Kula uderzyła w jego ciało i rozszerzyła się, obejmując całą jego sylwetkę. Ove krzyczał nieludzkim głosem. Z jego ust dobywała się ciemność. Światło walczyło z nią, pochłaniając każdą mroczną cząsteczkę. Mrok nie dawał jednak za wygraną. Szarżował na ten niezwykły blask, siły były wyrównane.

– Da sobie radę – oznajmił Alogos, przyglądając się walce ze zmarszczonym czołem. – Chyba.

– Co zrobiłeś? – wydusiła March.

– Próbuję mu pomóc, na ile mogę.

– Można zrobić więcej – rzucił Callen. – March, złap mnie za rękę. Zrobiła to od razu.

– Prześlę ci teraz różne obrazy – powiedział chłopak. – Otwórz się na nie i napełnij je sobą.

– Nonsens – prychnął Alogos.

Callen wypuścił z umysłu wspomnienia, ich radosne echa powędrowały w stronę Ovego. Ich pierwsza wspólna wycieczka do lasu. Ich opowieści przy kominku. Miękką kocia sierść głaskana

delikatną ręką dziecka. Callen rozumiał, że choć wszystkie te wspomnienia były naznaczone czymś bolesnym, każde z nich pachniało też ciastem Cleto i ziołami Irmy.

Oto, kim jesteś, Ove Heksonie – zwracał się do czarownika w myślach. March, choć nie znała tych wspomnień, napełniała je sobą. Była już nieodłączną częścią Domu Wiedźm. A Dom Wiedźm był nimi: Callenem, Ovem i wreszcie także March.

Krzyki czarownika ustały, cień rozbił się o twardą posadzkę. Światło było od niego silniejsze.

Ove leżał z szeroko otwartymi oczami. Wydawał się martwy, pusty, jakby została po nim jedynie cielesna skorupa, z której uszła magia. March i Callen pochylali się nad nim, próbując rozpaczliwie napełnić go iskrami swojej magii. Wreszcie jego spojrzenie załśniło. Docierało do niego to, co właśnie zrobił. Odwrócił się, unikając spojrzenia towarzyszy. Oparty rękoma o posadzkę, zaczął szlochać.

– Przepraszam... Przepraszam.

Callen i March położyli ręce na jego plecach. Ciepło wypełniło aury całej trójki.

Alogos cmoknął.

– Ckliwe to, przyznaję. W tym właśnie wasza ludzka słabość. Wzruszacie się z powodu takich błażostek, a Wyrd mogłaby w tym samym czasie dziesięć razy was zabić.

March odwróciła się do niego.

– Wiesz co? – powiedziała. – Weź się już przymknij.



Gdy byli z powrotem w Domu Wiedźm, Ove oddał March część broni, którą zabrał Hagenowi. Teraz wszystkie części, które zdobyli, leżały na jej biurku. Potem czarownik, March i Callen zajęli się rozmową. Alogos słuchał ich ze znudzoną miną.

– Czekaście – powiedziała dziewczyna – czyli opętał cię twój własny cień?

Ove pokiwał głową. Ciągle był przybity.

– Chyba nie powinienem wam pomagać. Nie nadaję się do tego – uznał. – Co będzie, jeśli podczas walki z Wyrd znów mnie przejmie?

– Nie przejmie – powiedział Callen. – Przecież sobie z nim poradziłeś.

– Poza tym nie pozwolimy mu – dodała March. – Może znajdziemy jakieś zaklęcie, które go okiełzna?

Alogos ze zniecierpliwieniem pokręcił głową.

– To niemożliwe – odparł Ove. – Cień to twoje słabostki, obawy, pragnienia... Nie można tak łatwo się ich pozbyć. Trzeba stawić im czoło bez magii, ona tylko je potęguje.

– Ale ty je pokonałeś – upierał się Callen.

– Nie do końca. Jedna walka nie oznacza końca wojny.

– Wojna, no właśnie – wtrącił Alogos. – Że tak nieśmiało wam przypomnę...

– Więc o to chodziło Brevdzie – przerwała mu March. – Mówił, że jeśli stworzymy broń przed Imbolc, wtedy mogą ją przejąć jakieś ciemne moce. Chodziło mu widocznie o siły w nas samych.

– Prawdziwa walka czeka was z Wyrd – zauważył Alogos.

– Imbolc to światło – ciągnęła March. – Światło wyprowadza duchy z cienia... Więc dlatego Isel chciała, żebym podzieliła się z nią wzbudzoną w wigilię Imbolc mocą!

Zapadła cisza. March dopiero po chwili uświadomiła sobie, co powiedziała.

– Gadałaś z Isel? – spytał Callen. – Wywołałaś ducha?

– Nie, wcale nie... Raczej przypadkowo.

– Przepadkowa nekromancja – jęknął Ove. – Czy ten dom może być jeszcze bardziej pokręcony?

Alogos walnął pięścią w stół. Mebel trzasnął, przebiegła po nim długa rysa, po czym rozpadł się na pół.

– Och, to było niezłe – mruknął Ove. – Karate? Taekwondo? Jak to się nazywało?

– Przestańcie rozdrabniać się na błahostki! – Alogos wstał i zaczął gwałtownie przechadzać się po salonie. – Waszym jedynym prawdziwym wrogiem jest Wyrd, a na jej usługach będzie każdy, kogo tylko zechce omamić. Potrafi to robić lepiej niż ktokolwiek w całym świecie! A wy co robicie?

Powiódł po nich groźnym wzrokiem.

– Siedzicie tu jak ostatnie ciotki i gadacie o jakiejś broni, jakby magia niczego was nie nauczyła! Stary czarownik szuka poza sobą zamiast w sobie? – Wskazał na Ovego. – Cień ma ci *służyć*, a nie cię niszczyć. A wy dwoje? Ty, chłopcze, przez tyle lat używałaś magii jedynie w swoim umyśle i nagle o tym zapomniałaś? Teraz chcesz użyć broni? A ty, Sky, potrzebowałaś jakiejś *broni*, żeby wydostać się z więzienia Wyrd?

March się zmieszała.

– No, myślałam, że musimy ją stworzyć. Wszyscy tak powtarzają, nawet ty...

– To tylko przedmiot! A co, jak go nie znajdziesz? Czy to znaczy, że nagle staniesz się bezwartościowa? Chciałem ci coś pokazać w tym kościele. Chciałem, żebyś *ty* pokazała coś *mnie*. Czego jeszcze nie rozumiesz? Jesteś połączona z Wyrd, to nie twoje przekleństwo, tylko, no właśnie, twoja *broń*.

Jego ognisty wzrok jakby rozpałił jej myśli. Te rzeczy, których doświadczyła, to, o czym teraz mówili, nagle ułożyło się w logiczną układankę. Isel, cienie, światło, strach.

Wiedziała, jak powstają koszmary. Wiedziała, jak przywołać lęk. Wiedziała, czego boi się Wyrd, i rozumiała, że łączy ją z królową dziwny rodzaj więzi. Dlaczego miałyby tego wszystkiego nie wykorzystać?

– Ej... – zaczęła powoli. – Sądzicie, że umiałabym dostać się na czyjś prywatny plan astralny?

Alogos odetchnął z ulgą.

– A już traciłem nadzieję, że wpadniesz na ten pomysł sama.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Hypnos śnił o przeszłości.

Znów patrzył na piramidę ze swojej wizji. Nic nie zapowiadało, by miała runąć. Wierzchołek tonął w błękitnie nieba, po wysokich stopniach piął się bluszcz, żyzna ziemia wokół usłana była soczystą trawą, a w oddali, na tle najwyższej góry Jaaru, Tar-Nandy, fruwały potężne motyle. W powietrzu niosła się muzyka. Była to pieśń świata, który przeminął, lecz jego gasnące nuty wciąż drgały w przestrzeni.

W duszy Hypnosa odezwał się głos. Przemawiał obrazami, przebłyskami myśli. Opowiadał baśń, która stała się historią.

Piramida była zamkiem, a w zamku mieszkała królowa. Ciało miała ciemne jak aksamitna noc, skrzydła srebrzyste, włosy czarne jak ziemia, na jej czole jaśniał srebrny półksiężyc, a w oczach nosiła gwiazdy. Nazywała się Astarte i była matką wszystkich ferów.

Za jej pałacem roztaczał się ogród kwiatów wysokich jak góry, o płatkach pięknych jak słońce i kryształowych jak lśniące wody oceanu Akasha. Nocą fery z całej krainy schodziły tam, by w kielichach kwiatów złożyć ziarno, z którego miały narodzić się ich dzieci. Kwiaty zamykały się, pozwalając młodym duszom śnić wśród chmur, podziemne soki zasilają ich rozwijające się ciała, a motyle barwami swoich skrzydeł nakrapiały ich skórę.

Tak powstawały fery: w ogrodach, wśród słodkich zapachów, w tańcu motyla i zjednoczeniu nieba z ziemią.

Zapach królowej niósł się po całej krainie, ale sięgał też dalej – tak daleko, jak tylko mógł zawędrować każdy z ferów, który go w sobie nosił.

Piękno trwało przez wieki, lecz zniszczyła je jedna noc. Noc burzy i strachu, gdy głosy starych duchów szeptały do królowej w każdej kropli deszczu i krzyczały rozdzierająco z każdym gromem.

– Powstań, matko pięknych istot! Usłysz nas!

Nigdy dotąd głosy odwiecznych nie były tak rozpaczliwe. Królowa, okryta w swym łożu welonem snów, zrzuciła go gładko. Zapaliła kadzidło, wypowiedziała zaklęcie. Duchy wniknęły w siwy dym, a wraz z oddechem Astarte popłynęły do jej serca. Poczuła ich trwogę.

– Prowadźcie mnie – powiedziała.

Jej oczy zajaśniały srebrnym blaskiem księżyca, a ciało poddało się rozkazom odwiecznych. Duchy poprowadziły ją do ogrodu otulonego nocną mgłą. Ziemia drgała pod stopami władczyni, gdy ta z każdym krokiem rozumiała, że dokonała się tu zbrodnia. Piękno wycofało się, ogród doznał obcego uczucia – bólu, który nigdy jeszcze nie smakował.

Wreszcie Astarte zobaczyła ferinię drżącą od zimnego deszczu i przerażenia. W miarę jak błyskawice rozdzierały niebo, jej ciało zdawał się ciąć niewidzialny nóż. Jej usta były zaszyte magiczną nicią.

– Moje dziecko – wydusiła władczyni.

Pochyliła się nad nią, duchy napełniły ją uzdrawiającą mocą. Lecz tym razem magia nie uzdrawiała; była pusta. Odwieczni byli tym równie zdziwieni, co królowa. Wreszcie opuścili jej ciało. Astarte szeptem przywołała straż, palcem uciszyła burzę, spojrzeniem zatrzymała deszcz. Potrafiła zrobić to wszystko, lecz nie mogła uzdrowić ferini wciąż drżącej na miękkiej ziemi.

Królowa spojrzała w niebo. Był nów. Coś się kończyło, coś się zaczynało.



Żadne zaklęcie nie było w stanie przebudzić ferini ze snu. Wciąż drżała, próbując majaczyć przez zaszyte usta. Zdawało się, jakby opętał ją zły duch, który więził jej ciało w gorączce.

– Póki nie zostanie uwolniona, nie przemówi – wyrokowały duchy.
Jedynym uwolnieniem była śmierć.

Królowa nie mogła zwlekać. Którejś nocy, gdy została ze służką sam na sam, czarami sprawiła, że jej pierś przestała się poruszać, ciało zeszywniało, duch opuścił je w ostatnim oddechu i wpadł wprost w dym kadzidła. Stamtąd popłynął do Astarte.

Wizja przejęła kontrolę nad królową. Duch pokazał władczyni to, co ferini widziała własnymi oczami. Królewski ogrodnik, jej najbardziej zaufany poddany, który doglądał dojrzewających ferów, bezszelestnie skradał się ciemną nocą, otoczony aurą zdrady. Szedł wzdłuż rzędów królewskich kwiatów, tych, które Astarte napełniła mocą daną jej przez Świetlistych. Dojrzewali tam jej następcy, duchy z jej ducha.

Szła za ogrodnikiem, w jej sercu narastała trwoga. Dostrzegła w dłoni fera sierp. Coś miało zostać złożone w ofierze.

Ogrodnik stanął przy chabrze i dalii, dostojnych kwiatach, które królowa szczególnie kochała. Ich splecione łodygi się rozprostowały. Zamieszkujące kielichy istoty przeczuwały zbliżającą się śmierć.

– Nie! – zawołała Astarte ustami służki.

Ręka ferini, która była teraz ręką królowej, powstrzymała ogrodnika.

– Co robisz? – wykrztusiła.

Zdumiony odsunął się od kwiatów.

– Śledziłaś mnie – mruknął.

– Co robisz? – powtórzyła.

Skierował sierp ku niebu. Gwiazdy zamigotały na ostrzu.

– Zapytaj je – powiedział. – Nie widzisz czy nie chcesz zobaczyć, że wytyczyły już ścieżkę? Świat dobiega końca, pałac zniknie z powierzchni ziemi, rasa ferów na zawsze zostanie podzielona. I to dzieci tych kwiatów do tego doprowadzą!

Zamachnął się, lecz ferini zasłoniła kwiaty ręką. Wrzasnęła z bólu, gdy sierp przeciął jej skórę. Rozpaczliwie walczyła z ogrodnikiem. Wiedział, że przegrał, gdy nadciągnęli strażnicy. Ale był silniejszy od ferini. Pociągnął ją za sobą i przeniósł się daleko stąd, do miejsca, którego nie znała. Tam straciła głos na zawsze.

Astarte widziała tylko urywki tego, co działo się potem: tajemnicze znaki; ruchy ogrodnika, gdy smarował obezwładnione ciało służki pachnącymi olejkami; jego usta, gdy szeptał zaklęcia.

Potem przyszedł ból. Skórę wokół ust ferini rozrywała igła, zaklęta nic pieczętowała jej słowa – nic nie mogło rozerwać tych więzów, tylko śmierć.

Potem ogrodnik wyrzucił ją z powrotem do ogrodu. Odwieczni zgromadzili się nad nią, a ich gniew rozpętał burzę. To on przywołał Astarte.

Duch ferini ulotnił się, gdy królowa powoli wypuściła go do krainy wieczności. Usiadła ze wzrokiem skierowanym przed siebie – nie na ścianę, nie w powietrze, nie na Wieczne Elphame. Patrzyła poprzez cały Jaar do świata duchów, w którym właśnie zatopiła się jej służka, i zadawała pytanie, którego treści nie potrafiła uchwycić.



Ogrodnik był tu od zawsze. Wpasował się w tło ogrodu, jakby był tylko cichym wiatrem nawiedzającym go każdego dnia. Nie należał do rasy ferów, przybył tu zesłany przez duchy, gdy Jaar wciąż pachniał jak świeżo narodzone dziecko ziemi: glebą i krwią.

Królowa mu ufała. Nie znała dotąd zdrady i właśnie tamtego dnia przekonała się, że każdy władca wcześniej czy później musi ją poznać.

Mówiono potem, że ogrodnik nie dostał szansy, by powiedzieć, dlaczego próbował popełnić to bluźnierstwo. W rzeczywistości odebrał ją sobie sam. Gdy doprowadzono go przed sąd, jego usta

były zszyte tą samą niewidzialną nicią, którą wcześniej zasznurował usta ferini. Astarte próbowała go zabić, chcąc poznać jego tajemnicę poprzez uwięzienie ducha, lecz żadna broń nie mogła zadać mu śmierci. Wreszcie ogrodnik został wygnany. Gdy odchodził z krainy ferów, sam i pozbawiony wszystkiego, po nocnym niebie ciągnęła się za nim gwiazda.

Mówiono też, że królowa chciała się na nim zemścić, że rozgniewana kazała ścigać go dniem i nocą, by wreszcie znaleźć broń, którą mogłaby go zgładzić. To też nie było prawdą. Czyn ogrodnika wzbudził w Astarte raczej wątpliwości niż gniew.

Bo od tamtego dnia królowa zaczęła rozmyślać. Przychodziła do ogrodu i spędzała długie godziny przy kwiatach. Patrzyła na nie i próbowała odgadnąć, co w dojrzewających ziarnach może być tak strasznego, że ogrodnik zdecydował się je zniszczyć.

Raz doświadczana zdrada na zawsze pozostawiała na języku gorzki posmak. Do serca Astarte wdarł się więc niepokój, bo nie była pewna, czy piękno jej chabra i dalii nie okaże się przekleństwem.



Ale te dzieci były jej błogosławieństwem. Urodziły się już gotowe do panowania, piękne i doskonałe. Płatki ich kwiatów otworzyły się jednocześnie i dwa małe, skrzydlate ciała wzbiły się w przestworza. Dotykały swych dłoni tak, jakby przez cały okres dojrzewania w objęciach kwiatów tęskniły za swoją skórą. Jedno było jasne jak biel owczego mleka w święto Imbolc, skóra drugiego miała kolor ognia. Cały dwór łatwo je pokochał, a wieść o ogrodniku, która niosła się szeptami po całym królestwie, szybko stała się jedną z baśni, które zacierają się w pamięci.

Astarte nazwała bliźnięta Wyrd i Eshkur. Kochała je bardziej niż inne swoje dzieci. Los był już jednak spisany. Wiedziała, że rządy przejmie jej najstarsza córka, Ishtar.

Królową wciąż dręczyła czasem myśl o zdradzie, choć w błyszczących oczach swych ukochanych dzieci nie widziała jej cienia. Widziała w nich sny, zupełnie jakby całe niebo księżycowych nocy spłynęło w ciała bliźniąt.

Duchy znów przemówiły.

– Kończy się – powiedziały.

Astarte nie musiała pytać, co się kończyło. Nadszedł czas, by oddała władzę, a sama, po rządach, które nazwano potem panowaniem siedmiu tysięcy lat, odeszła do krainy wieczności.

Lecz teraz, gdy nie była już pewna, kto powinien po niej rządzić – Ishtar, jak podpowiadały duchy, czy też bliźnięta, jak zdawało się czasem szeptać jej serce – postanowiła oddać władzę temu, kto sam zdoła po nią sięgnąć. W podziemnej świątyni, gdzie najstarsi kapłani krainy ferów nieustannie uprawiali modły, zaczerpnęła krwi samej Matki Ziemi. Gorąca lava stygła pod palcami królowej, tworząc najciemniejsze zwierciadło o nieprzeniknionej czarnej tafli.

– Patrzę w nie pierwsza – wypowiedziała zaklęcie – i nikt inny się w nim nie przejrzy. Tylko królowa może zobaczyć w nim siebie.

Zakryła zwierciadło welonem snów.

– Jeśli się kończy, to niech się i zacznie.

Ziemia odpowiedziała drżeniem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

– Pytam na poważnie. – Ove patrzył na March tak, jakby chciał wydrążyć dziurę w jej czole. – Boisz się?

– Tak.

Odetchnął z ulgą.

– To bardzo dobrze. Bo jakbyś się nie bała, poszłabyś na pewną śmierć, a tak to zgon czeka cię może w jakichś pięćdziesięciu, góra sześćdziesięciu... trzech procentach.

– Skąd ta liczba? – zainteresował się Alogos.

– Numerologia – mruknął czarownik.

– March – odezwał się Callen – możemy pogadać?

Od początku przygotowań do tego, co mieli zamiar zrobić, siedział z kamienną twarzą, ledwo jednak zamknął się z dziewczyną w swoim pokoju, wszystkie emocje wypisały się na jego twarzy.

– To nie jest dobry pomysł – oznajmił.

– Jedyne, jaki mam – zauważyła.

Nim zdążył zaprotestować, zaczęła jeszcze raz tłumaczyć mu, dlaczego tak uważa.

– Na cmentarzu odkryłam, że ona boi się śmierci, a znam zakłęcie przywołania lęków, którego ona nie zna. To, którym przywołałam Isel.

– A jesteś pewna, że ona go nie zna?

– Dla Alogosa było nowe.

Pokazała jednorożcowi zakłęcie, nazwał je „typowo wiedźmim wymysłem”. Wyrd chyba się nie zniżyła do wykorzystywania ludzkiej magii.

– Właśnie *tym* możemy ją pokonać – ciągnęła March. – Czymś prostym i...

Callen pokręcił głową.

– Nie można pokonać Wyrd czymś prostym, tego jestem pewien. Chcesz wejść w umysł istoty, która do perfekcji opanowała mamienie umysłów innych i pokonać ją gustami...

– Nazywasz *gustami* to, co robiły siostry Malloway?

March uniosła brwi. Callen się zmieszał.

– Nie o to mi... Nie rozumiesz.

– Cleto i Irma już nieraz radziły sobie z ferami. Być może były jedynymi wiedźmami, którym kiedykolwiek się to udało. Czyim zaklęciem chcesz pokonać królową Aislingen, jeśli nie *ich* zaklęciem?

Callen otworzył usta, ale się nie odezwał. To, co chciał powiedzieć, i tak jakoś wybrzmiało w ciszy.

– Zastanawiasz się, dlaczego akurat ja mam tam iść, tak? – zgađła March.

Potaknął smętnie.

– A kto inny może to zrobić? Już kilka razy uszłam cało z walki z Wyrd. Nie zamknęła mnie na zawsze w więzieniu, nie omamiła, nie pokonała mnie ani w walce w Bibliotece Snów, ani gdy byliśmy tylko my dwie. Ani w świecie fizycznym, ani w astralu.

– March – prychnął chłopak. – Brzmisz tak, jakbyś uważała, że posiadaś jakąś niesamowitą magię i jesteś potężniejsza od niej.

W jego oczach widziała już nie tylko niepewność, ale i pobłażanie.

– Nie jestem pewna, czy mi się uda – powiedziała – ale w tym mam przewagę nad *tobą*. Bo ty jesteś pewien, że nie wyjdzie, a ja tego po prostu nie wiem. Skoro *nie wiem*, to znaczy, że mogę spróbować, prawda?

Spierali się nie tylko słowami. Choć March nie widziała ich aur, czuła całą sobą, że elektryzują się, napierając jedna na drugą – ale nie w złości, raczej w jakimś niezrozumiałym sporze, jakby żadne nie do końca chciało przyznać, o co toczy się gra.

– Martwię się o ciebie – powiedział Callen cicho. – Nie chcę, żeby coś ci się stało. Tu nie chodzi o Wyrd ani o Aislingen. Chodzi o coś więcej. O twoje życie.

March gorzko się zaśmiała.

– Jeśli chodzi o moje życie, to właśnie chodzi o mnie – powiedziała. – To, o co walczymy, jest ważniejsze ode mnie. Musimy pokonać Wyrd.

Pomyślała jednak, że tak naprawdę zawsze liczyła się tylko jedna, najmniejsza, najbardziej prywatna rzecz. Jej *rzeczą* było życie jej matki. Gdyby Emmie nie groziła śmierć, March pewnie na to wszystko by się nie zdecydowała.

– Jak ją pokonasz, jeśli stracisz życie, atakując w chwili, kiedy nie jesteś gotowa?

– Nigdy nie będę do końca gotowa. A czas się kończy.

Ruszyła do drzwi. Nie mógł jej przekonać.

– To pójdę z tobą. – Złapał ją za rękę, z ich złączonych dłoni uleciały ciepłe iskry. Nie przeraziły ich ani nie zdumiały. Były tylko widzialnym przejawem tego, co wisiało w powietrzu. – Znam się lepiej na astralu, no i...

– Ale sobie nie poradzisz – odparła March. – Będziesz mi zawadzał!

Zaśmiała się, ale oboje wiedzieli, że miała rację. Callen nie wyszedł cało z potyczek z ferami. Poza tym Wyrd zbyt szybko rozpoznawała już jego aurę, jego koszmary były broniami w jej ręku. March wciąż była dla królowej zagadką.

Spoglądając w oczy Callena, dziewczyna miała wrażenie, że widzi w nich to samo ametystowe niebo, które rozciągało się nad Aislingen, lśniły w nim gwiazdy odradzającego się wewnętrznego świata chłopaka. I był to świat silniejszy niż poprzedni, powstawał jak feniks z popiołów dzięki jego magii.

Na razie jednak ani Callen, ani świat jego gwiazd nie były dość silne. Trzeba było je wspomagać. Impuls podpowiedział March, jak to zrobić.

Pozwoliła światłu w oczach Callena przyciągnąć się do siebie. Rozchyliła wargi, by przyjąć tę energię. Gdy dotknęła jego ust, zadrżała od ciepła rodzącego się w jej brzuchu. W tej chwili nie było

gwałtowne ani niszczące, było dokładnie takie, jakie miało być. Czują, że tylko z Callenem może w pełni zapanować nad swoją magią. Potrzebowali siebie nawzajem.

Ale w tę drogę musiała pójść sama.

Nie odskoczyli od siebie, gdy Ove otworzył drzwi i wparował do środka. Zza jego pleców dobiegło westchnienie Alogosa.

– Gdyby Wyrd całowała się wtedy, kiedy nie trzeba – stwierdził jednorożec – już dawno ktoś wbiłby jej nóż w plecy.

March się zaśmiała.

– Wiesz, ja chyba obędę się bez noża.

– Obawiam się, moja droga, że będziesz musiała obyć się bez czegokolwiek – odparł Ove – a to bywa o wiele trudniejsze, niż sądzisz.



Pół godziny później w świątyni Cleto i Irmy March leżała w kręgu usypanym z soli, lawendy i oświetlonym ogniem wysokich świec. Ove zapieczętował go mieczem, jak kazały stare księgi czarnoksiężskie, a Alogos napełnił cztery strony świata magią znaną tylko jednorożcom. Ludzie nie mogli jej zobaczyć, jednak bez cienia wątpliwości dało się ją odczuć. Świątynia wręcz od niej pulsowała.

Callen siedział z zamkniętymi oczami u stóp March, Ove zajął miejsce przy jej głowie. Gdy wzniesli dłonie, przeszyły ją dreszcze. Zaklęcia płynące z ich ust przywoływały jej duszę. Umysł opuścił ciało i byłby się rozpułnął, gdyby nie powstrzymała go magia kręgu.

Dziewczyna zobaczyła swoje astralne ciało unoszące się nad fizycznym. Wciąż miało w sobie cechy, które mu ostatnio nadała. Od razu, gdy do niego wpłynęła, zmieniło się. March ze świata gwiazd stała się w stu procentach taka jak March ze świata ziemi. Tego właśnie chciała. Jeśli miała stawić czoło Wyrd, musiała to zrobić jako ona, bo być może nikt inny nie mógłby temu podołać.

– Pamiętasz, co robić. – Jakby z oddali płynął do niej głos Alogosa.
– Przeprowadzimy cię przez gwiazdne morze, ja przez cały czas będę trzymać twój złoty sznur. Gdy zobaczysz Wyrd, pożyczę twoje usta. Tylko się nie opieraj. Kiedy zaśnie, wchodzisz.

– *I na pewno będę wiedzieć, kiedy wejść?* – spytała Echem.

– Na pewno – odpowiedział jednorożec.

Potem zaczęli wypowiadać kolejne zaklęcie. To otworzyło wewnętrzne oczy dziewczyny na rozległe astralne morze. Po raz pierwszy opowiedział jej o nim Hypnos. Była tylko kroplą w niezmierzonej wodzie, a każde zdarzenie, każda istota, każda myśl współtworzyły ten świat.

Nad morzem rozciągało się astralne niebo. Światy krążyły po nim jak powietrzne statki. Niektóre opadały ku wodzie i tonęły w niej, inne dopiero się wyłaniały. Jeden świat jaśniał szczególnie mocno, rozjarzony błyskawicami i ametystową poświatą. Aislingen.

– Wędruj, senna duszo. – Słowa Alogosa wynurzały się z morskiej toni.

March wynurzyła się z wody i płynęła w powietrzu do Miasta Snów. Po drodze musiała uchylić zasłony magii, cienkie, jednak silne jak pajęczyny tkane przez żelazne pająki. Alogos wkładał w usta dziewczyny zaklęcia, by mogła odpieczętować magiczne portale. Zdumiała się, jak łatwo jej to przychodzi, zupełnie jakby ten świat należał do niej i witał ją jak dawno niewidzianego gościa.

Wreszcie zobaczyła Ametystowy Sen. Wpłynęła do pałacu i zaczęła szukać królowej. Wyrd siedziała samotnie na łóżku w swojej komnacie. Patrząc w jej puste oczy, można by pomyśleć, że sama wędrowała teraz astralnie. Jednak jej ciało drgnęło. Spojrzała w bok.

– Kto tu jest?

– Teraz – odezwał się Alogos.

March na moment straciła świadomość. Jej usta przemówiły za nią, a ametystowe oczy Wyrd otworzyły się szerzej, po czym upadła na ziemię jak martwa.

Coś wyłoniło się z jej serca, nad klatką piersiową zawisł skłębiony dym. Jej sny, mroczne i niebezpieczne.

March złapała oddech i zanurkowała. Wchodzenie w sny królowej przypominało lepką śmierć. Dziewczyna raz po raz traciła świadomość, która przyklejała się do myśli królowej, ciemne przestrzenie w głowie Wyrd zmieniały się w wilgotne korytarze. Władczyni walczyła, próbując pochwycić intruza, jednak wreszcie musiała się poddać.

Sny czaiły się w umyśle królowej – były wrogami gotowymi do ataku z przyczajenia. March czuła ich realną obecność, być może równie prawdziwą, jak gdyby miała do czynienia z namhajdami.

Z ciemności wyłonił się obraz. Samotna Wyrd otoczona mrokiem przylegającym do ciała pochylała się nad jaśniejącym kufrem. March przepłynęła wody jej umysłu i zbliżyła się do władczyni. Musiała być pewna, że ta jej nie wyczuwa. Wyrd całkowicie pochłonęło to, co zobaczyła w kufrze. Było tam jedynie lustro, czarne i cienkie. Popękana tafla przypominała zmienioną w lód wodę.

March rozumiała, że w tym lustrze kryje się jakaś tajemnica. Stanęła za plecami królowej, gdy ta spojrzała w ciemną taflę. Odbiła się w niej tylko jedna twarz, oblicze ferini – nie Wyrd, ale jakiejś innej, potężniejszej. Takiej, która zdawała się pochodzić z innego świata.

Władczyni położyła ręce na gładkiej tafli lustra. Jej dłonie zatonęły w nim jak we mgle.

Coś pękło. I nie było to szkło – był to cały świat.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Hypnos śnił coraz głębiej.

Oślonięte welonem snów i włożone w kryształowe ramy zwierciadło Astarte stało w pałacu. Królowa przechadzała się wokół niego. To było jedyne narzędzie, które mogło wskazać jej następczynię – surowe i niezdolne do pomyłki.

Astarte przywołała do siebie córki i syna.

Ishtar miała świetlistą skórę, nakrapianą blaskiem jasnych gwiazd, jej szyję zdobiły błyszczące klejnoty. W swojej magii i potędze dorównywała Astarte. Wszyscy uważali, że będzie godną następczynią.

Ale wiele się zmieniło od narodzin Wyrd i Eshkura.

Bliźnięta, teraz już dorosłe, z zaciekawieniem patrzyły na zakryte zwierciadło.

Eshkur wciąż był żywym, czystym ogniem, lecz zdołał zapanować nad swoją porażającą potęgą. Teraz przypominał rozżarzonego motyla, o skrzydłach, które drżały jak ciepłe płomienie. Jego włosy miały barwę popiołu, z głowy wyrastało jelenie poroże – znak władzy królewskiej.

Hypnos okrążył ojca. Więc tak wyglądał Wagnany Król... Był jedynym ferem, który nosił rogi. Był też najpiękniejszym skrzydlatym, jakiego księżę kiedykolwiek widział, i nie chodziło tylko o piękno zewnętrzne, ale też mamiącą siłę płynącą we krwi Eshkura.

Potem Hypnos spojrział na matkę. Wyrd jaśniała blaskiem zimowego księżyca, dumnego i chłodnego pośród granatowych nocy. Jej ruchy były węzowe, gdy w powolnym tańcu poruszała się wokół zwierciadła, jakby chciała je zaatakować i tak odkryć jego sekret.

Astarte się zaśmiała. Jej dzieci były gotowe stoczyć bój, ale to kraina ferów musiała wyjść z niego zwycięsko.

– Więc, matko – zaczęła najstarsza córka – dlaczego nas tu sprowadziłaś?

– By pokazać wam, jak duchy dokonają wyboru.

Wyrd i Eshkur rozchyłili usta w taki sam sposób, niewinnie, wręcz zabawnie. Młodzieńczą twarz Ishtar przeszył cień podejrzliwości.

– Więc chcesz wybierać między nami? – obruszyła się.

– Nie ja to zrobię, ale duchy – odparła spokojnie Astarte.

– Nie – syknęła najstarsza córka. – Dobrze wiesz, że duchy już wyb...

– Jeśli duchy już cię wybrały, z pewnością to ogłoszą. – Głos królowej rozbrzmiał w komnacie jak grom.

Astarte szybko jednak złagodniała.

– Wiecie, że nie wolno nam decydować samym – ciągnęła. – Duchy muszą ogłosić swoje wyroki tak, by nikt nie miał wątpliwości, że to z was, które wprowadzi Elphame w nową erę, będzie rządzić z ich nadania.

– W nową erę? – spytała Wyrd. – Więc wkraczamy w nią?

– Przez cały czas. Gwiazdy już wiele lat temu powiedziały mi, że drzwi zostały otwarte, a światło za nimi jaśnieje coraz silniej. Gdy przekroczymy próg, zamkną się za nami bezpowrotnie.

Ishtar posłała matce przenikliwe spojrzenie.

– Kiedy zaczęła się ta droga?

Astarte odwróciła twarz.

– Jakiś czas temu – oznajmiła.

Hypnos zwrócił znów uwagę na ojca. Choć dotąd sądził, że wcale nie chciał go znać, zobaczenie go wszystko zmieniło. Książę czuł, że gdyby wyciągnął dłoń, mógłby dotknąć ognistej skóry ojca, a on odwróciłby się i odpowiedział spojrzeniem na ciekawski wzrok syna. Hypnos zdał sobie sprawę, że tylko czekał, aż usłyszy głos ojca, jakby właśnie to miało zburzyć ostatnią barierę między nimi. Gdy

Wygnyany Król wreszcie się odezwał, jego słowa przypominały łagodny pomruk groźnego zwierzęcia.

– Z czego stworzone jest to lustro? – Wyciągnął smukły palec ku zasłonie snów. Zatrzymał dłoń, nim musnął materiał.

– Z krwi Matki Ziemi – odparła Astarte. – Z duszy, która płonie w sercu Jaaru. Z prawdy, której nie da się oszukać ani przeinaczyć.

Ostatnie słowa były ostrzeżeniem. Trójka dzieci władczyni skryła swoje myśli pod kamiennymi minami. Potem Ishtar czujnie spojrzała na Wyrd. Eshkur stanął ramię w ramię z bliźniaczką. Ich ciała otarły się, a aury złączyły w jedno.

Nadeszła pora na walkę.



Ishtar nie zwlekała. Nie miała zamiaru czekać, aż duchy obwieszczą swoje wyroki. Woląca pierwsza do nich przemówić. Kiedy dzień zgasł i po niebie rozlała się noc, najstarsza córka założyła na nagie ciało cienki płaszcz, utkany przez samą Eos, władczynię Księżyca. Cicho jak skrytobójca ruszyła podziemnymi korytarzami pałacu, by wkroczyć w królestwo cieni. Otwierała tajemne drzwi bez strachu, a blade duchy szepczące w oddali odsuwały się na dźwięk jej zaklętych szeptów.

Szła w głąb ziemi, gdzie kości umarłych ferów próchniały, zasilając magią śmierci krainę życia w górze. Księżniczka знаła te miejsca od dzieciństwa, gdy nocą wymykała się ze swoich komnat, by badać świat, o którym zawsze wiedziała, że stanie się jej królestwem. Tak musiało być. To zostało zapisane. Astarte była jednak zbyt zaślepią miłością do Wyrd i Eshkura, by o tym pamiętać.

Ishtar dotarła do podziemnego jeziora. W oddali płonęły pochodnie, na wodzie unosiły się pojedyncze łodzie i szkielety zmarłych, których wysłano na tamtą stronę przez rzekę.

Księżniczka gestem przywołała jedną z łodzi. Ledwo do niej wsiadła, łódź zaczęła sunąć po gładkiej tafli jak po szkłe. Najstarsza córka płynęła w stronę niekończącej się nocy. Gdzieś daleko dały się słyszeć pojękiwania potępionych duchów, które błąkały się w ramach kary za zbrodnie, o jakich w krainie na górze nawet nie wolno było wspominać.

Dobiła brzegu i postawiła bosą stopę na ziemi. W jej głębi płynęła ognista krew Jaaru.

Ishtar ruszyła przed siebie wzdłuż korzeni drzew wyrastających z sufitu. Pod jednym z nich siedziała młoda kapłanka, medytowała z zamkniętymi oczami i szeptała pod nosem ciche modlitwy. W ciemne włosy powtykane miała ferze kości, jej skrzydła były postrzępione od walki, którą musiała stoczyć niegdyś z własnym cieniem, oczy miała srebrne jak księżyc w pełni, a jej wiecznie młode ciało pokrywał proch ze stosów kremacyjnych.

– Czekałam na ciebie – powiedziała, nie otwierając oczu. – Przyszłaś, by poznać tajemnicę świętokradztwa.

– Świętokradztwa? – zdumiała się Ishtar.

– Chwili, gdy próbowano zabić twoje rodzeństwo, kiedy było jeszcze otulone czułymi płatkami kwiatów. Zbrodniarz zczekał, aż księżyc odwróci twarz od ziemi, by nie mieć świadków swego czynu.

– Ach, o tym mówisz – odparła księżniczka beznamiętnie. Zdała sobie sprawę, że gdyby ogrodnikowi się wtedy udało, teraz wszystko byłoby o wiele łatwiejsze.

Kapłanka wyciągnęła ku niej dłoń. Jej dotyk był chłodny jak oddech zmarłego.

– Zatem zapytajmy duchy o radę – powiedziała, drugą ręką sięgając po naczynienie wyciosane z białych kości. W środku znajdowała się czarna ciecz, którą kapłanka wypita jednym haustem. Potem szeptała słowa w języku z początku czasów.

Ishtar poczuła w powietrzu obecność odwiecznych. Przybywali na zawołanie kapłanki i niewidzialnymi dłońmi napierali na jej ciało. Ferinia drżała coraz gwałtowniej, aż nagle zastygła w spazmie jak

umierająca. Gdy znalazła się na granicy między krainami żywych i martwych, duchy wstąpiły w nią. Księżniczka nie patrzyła już na kapłankę, ale na przedwiecznych.

– Co chcesz wiedzieć, najstarsza córko królowej ferów? – spytały duchy.

– Powiedzcie mi, kto zostanie następcą tronu mojej matki.

Oczy kapłanki, wypełnione bladym światłem odwiecznych, spojrzały w górę. Potem ferini uniosła dłoń z trzema wyprostowanymi palcami.

– Trzy? – zdumiała się Ishtar. – Trzy osoby będą rządzić jednym królestwem?

– Trzy królestwa, troje władców – odparły duchy.

– Więc nasza kraina się podzieli?

– W swoim czasie wszystko zostanie podzielone, by kiedyś na nowo mogło stać się jednym. Oto nasze prawo.

Ziemia pod stopami Ishtar zadrżała i pękła. Ze szczeliny wypłynął strumień dymu, który rozgałęział się na trzy strony.

– Gdy wasz świat się podzieli, prawdziwą królową będzie tylko ta, która połączy rozdzielone części w jedną.

– Dlaczego się rozdzielimy?

Duchy milczały przez chwilę. Potem zaczęły opowiadać wieloma głosami.

– W dawnych czasach Matka Duchów, o której wy mówicie Ona Sama, podarowała swoim dzieciom magię. Najwięcej dostały stare duchy: władcy światów, żywiołów, słońca, księżycy i gwiazd. Wśród dzieci ziemi najhojniej obdarowano jednorożce i fery. Lecz w świat wkradła się zdrada i zbuntowane duchy zmieniły czyste istoty w namhajdy. Świat został podzielony.

Kapłanka odetchnęła swoim głosem, lecz nie wróciła do ciała, bo duchy przejęły je jeszcze głębiej.

– By zapobiec podziałowi, Matka Duchów z własnego oddechu powołała zastępy istot, które wy zwiecie ludźmi. Ona Sama podzieliła się z nimi duszą, ale namhajdy, uważając ich za słabych,

ciągną ich zawsze w stronę mroku. Walka między Świetlistymi a zdrajcą, naszym starym wrogiem, którego zwiemy Przeklętym, została przeniesiona do ludzkich serc.

Ishtar podążała za ruchem ust kapłanki tak, jakby nie istniało dla niej nic innego.

– Ludzie noszą w sobie światło i cień, krainę magii i krainę zdrady. To oni są kluczem do zachowania jedności światów. By się upewnić, że nic nie zostanie zerwana, Matka Duchów zstąpi na świat i będzie nauczać ludzi magii tak, by uczynić z nich czarownice, istoty z pogranicza zmierzchu i świtu. Ta córka, która będzie im błogosławić, zostanie prawdziwą królową.

– Zatem ja – postanowiła Ishtar. – A co z moim rodzeństwem? Czy wiecie, dlaczego ogrodnik chciał pozbawić życia Wyrd i Eshkura?

Usta kapłanki zastygły, lekko rozchylone.

– Przez pradawną moc, która wszystkim rządzi – powiedziały.

Znów zaczęła drżeć. Duchy opuszczały jej ciało jak w ucieczce. Oddychała gwałtownie, aż w końcu spojrzała na księżniczkę własnymi oczami.

– Co mówiły? – spytała.

– Tajemnice, zagadki – zbyła ją Ishtar. – Spróbuję utkać z nich nową przyszłość.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

March opadała wśród wirujących odłamków szkła. Rzeczywistość za czarnym zwierciadłem była inna, ale nie mniej prawdziwa od tej, którą znała. Czuła, że trafiła do przeszłości. Powietrze pachniało wiosną, ten świat wciąż był młody.

Zobaczyła Wyrd. Królowa siedziała na łożu w komnacie skąpanej w blasku księżyca i czekała na coś. Powoli poruszała skrzydłami, palcami muskała aksamitną pościel. Dziewczyna podeszła bliżej, by zajrzeć w jej oczy. Wiedziała, że władczyni jej nie czuje. Dla Wyrd w wizji była czymś, co dopiero miało się wydarzyć.

Rozległy się kroki, drzwi komnaty się uchyliły i do środka wszedł fer o skórze barwy płomieni. Na jego widok March zadrżała. Nigdy nie widziała *takiego* fera. Był wyjątkowo piękny, o męskim, choć jednocześnie delikatnym ciele, ze skrzydłami, z których sypał się świetlisty pył; z jego głowy wyrastało poroże jelenia.

Oczy fera wypełniały płomienie. Zgasły, gdy Wyrd musnęła jego ramię.

– Widziałeś ją? – spytała.

Potaknął.

– Co planuje?

– Zmusi duchy, żeby wskazały ją – odparł. – Oplaciła kapłankę podziemi.

Wyrd spojrzała w okno.

– Więc wezwwała odwiecznych... Nie będzie nam łatwo...

– Moglibyśmy wreszcie wykorzystać naszą moc – zaczął fer ostrożnie.

Siostra uciszyła go gestem.

– Póki matka żyje, nie wolno nam tego zrobić. Wiesz, co o nas mówią. Że jesteśmy przeklęci, zdolni zniszczyć całą naszą rasę.

Fer usiadł i oparł głowę o rękę. Drżał.

– Jak długo mam jeszcze wytrzymać? – spytał. – To mnie rozsadza. Czuję, jakbym nosił w sobie cały świat, który chce zostać stworzony. Moja dusza rozlewa się na całe niebo. Kto oprócz nas jest na tyle potężny, by rządzić?

– Będziemy zdolni rządzić tylko wtedy, kiedy uda nam się poskromić tę moc – upierała się Wyrd.

Fer wciąż siedział obok niej. March bała się do niego podejść. Wiedziała, czego może się spodziewać po Wyrd, ale on był dla niej zagadką. Otaczający go niewidzialny ogień parzył ją nawet teraz, choć dzieliły ją od niego przestrzeń i czas.

Wyrd nie bała się tego ognia. Położyła dłoń na płomienistym ramieniu fera i zaczęła pieścić je kolistym ruchem. Potem ujęła jego twarz i pocałowała go. Od magii tego pocałunku świat znów zaczął się rozpląwać. March miała wrażenie, że jej umysł topnieje, wciągnęło ją pulsujące serce władczyni.

Nagle zrozumiała więcej na temat Wyrd, niż mogłyby powiedzieć jej nawet najskrytsze słowa. Królowa Aislingen kochała i choć minęły lata, odkąd płomień tej miłości buchał tak gorąco, wciąż musiał się w niej tlić – inaczej unoszący się z niego dym nie nawiedzałby jej głowy.

March zatopiła wzrok w ciele fera. Dostrzegła na nim tajemnicze znaki. Wciągnęły ją głębiej w historię ferów zapisaną w jej własnej krwi. Popłynęła z rzeką, którą przed nią wytworzyły, i już wiedziała o rzeczach, które musiały przyjść do niej właśnie tak, poprzez tę krew.

Fer nazywał się Eshkur i był bratem Wyrd. Nie dlatego, że mieli wspólnych rodziców. Byli dziećmi królowej ferów, duchami, które matka ubierała w ciało nasion i wkładała do kwiatów. Byli jak brat i siostra dlatego, że kwiaty, z których powstali, splatały się ze sobą od chwili, gdy ich łodygi wychyliły cienkie głowy z ziemi.

Wyrd kochała Eshkura tak, jak kocha się słońce. Jego ramiona były ciepłem jasnych promieni, w jego sercu płonęło źródło nieskończonej magii i mocy. Jeśli ona była kwiatem, to on był blaskiem, który ją zasilął. Jeśli była lodowatą, podziemną rzeką, on był płomieniem, który tonął w niej i ją ogrzewał. Tej miłości nic nie mogło zniszczyć. Miała trwać zawsze.

Ledwo usta Wyrd odsunęły się od ust Eshkura, ferini powiedziała łagodnie:

– Chodźmy. Jeśli ma rzucić klątwę, zrobi to zaraz. Powstrzymajmy ją.

– Choćby za cenę jej życia – odparł Eshkur.

W kolejnej chwili March podążała za nimi przez bujny ogrod. Wokół panowała noc, wysokie i piękne kwiaty wypuszczały pachnący pył, który na tle księżyca błyszczał jak chmary świetlików.

Eshkur i Wyrd ukryli się za jednym z kwiatów. Stamtąd obserwowali ferinię o jaśniejącym ciele. Emanowała tak czystą magią, jakiej March nie spodziewała się nigdy zobaczyć u żadnego fera. Uniósła ręce nad ziemią, z jej dłoni lała się woda, która wytworzyła jasną kałużę u jej stóp. Ferini zamoczyła w niej stopy, rozprostowała ramiona i pszczele skrzydła, po czym zaczęła wypowiadać śpiewne zaklęcie. Jej ciało wydawało nęcący zapach. Wdychając go, March czuła się tak bezpiecznie, jakby opiekował się nią cały świat. Gdyby mogła, podążyłaby za tą ferinią i słuchała każdego jej rozkazu.

Ishtar. Co za słodkie imię...

– *Uważaj* – w jej myśli wdarł się ostry głos Alogosa.

Na moment zapomniała, że jest w wizji Wyrd.

– *Ishtar była królową ferów przed tysiącem lat.*

– *Ale ona mnie jakoś...*

– *Pociąga. To jest słowo, którego szukasz. To specyfika królowych... Matko, módlmy się, żebyś nie spotkała Astarte, bo jeszcze się zakochasz.*

– *Astarte to...*

– *Matka Wyrd i Ishtar, pierwsza królowa ferów.*

Księżniczka usiadła w wodzie, która wciąż lśniła u jej stóp, i zamknęła oczy. March zrozumiała, że chce się przenieść w świat astralny. Dla ferini to przejście trwało nie więcej niż ułamek sekundy. Wyrd i Eshkur podążyli za nią. Ogród zniknął, a March zawisła w przestrzeni kosmicznej zalewanej blaskami świata astralnego. Widziała wszystko takim, jakie było. Magia Ishtar wydawała się jeszcze potężniejsza niż wcześniej. Gdy klatka piersiowa księżniczki unosiła się i opadała, wraz z nią oddychało niebo.

Wyrd i Eshkur cicho zawiśli nad siostrą. Przyglądali się jej przez kilka chwil jak szykujące się do ataku drapieżniki.

Naraz niebo zagrzmiało. Przed Ishtar zapłonęła ściana ognia wznieconego przez Eshkura, za jej plecami pojawił się wodospad kryształowej wody wypływający z magii Wyrd. Energie bliźniąt uwięziły księżniczkę w potrzasku.

Ishtar otworzyła oczy. Płonął w nich gniew.

– Czego chcecie? – syknęła.

Rozłożyła ręce, gwiazdy nad jej głową zaczęły wirować, niebo rozpadało się, a jego odłamki lądowały w jej palcach.

– Zdrajczyń! – zawołała Wyrd. – Chciałaś nas przekląć?

– I to tutaj? – zadrwił Eshkur. – Zaraz się przekonasz, kto naprawdę rządzi gwiazdami.

Ishtar cisnęła kulą energii w siostrę. Wodospad zafalował, ale po chwili zaczął płynąć dalej z rykiem wściekłego potwora.

– Matka dowie się o twojej zdradzie – zagroził Eshkur. W jego płomieniach formowały się smocze łby, ogniste języki syczały w stronę Ishtar.

– Nie zdążycie jej powiedzieć – oznajmiła najstarsza córka ze spokojem.

Wystrzeliła w górę, planety tańczyły nad jej głową. Musnęła niebo palcami, wtarła we włosy kosmiczny blask.

– Zobaczmy, jak zgrani jesteście – zaśmiała się.

Gdy pstryknęła, ogień i woda ruszyły na siebie. Płomienie zmieniły się w potężnego feniksa o grzebieniu z setek słońc. Z wodospadu Wyrd uformował się smok z łuskami i syrenim ogonem. W jego oczach burzyły się ciemne otchłanie mórz.

March miała wrażenie, że patrzy na apokalipsę. Smoki wyglądały, jakby miały pożreć cały świat, przestrzeń to płonęła, to zalewała ją lodowata woda.

Eshkur i Wyrd przez pierwsze kilka chwil nie wiedzieli, co robić. Zdumiało ich to, że energie, którym sami dali życie, tak łatwo rzuciły się na siebie nawzajem. Wzajemna wrogość była dla nich czymś nowym. Wreszcie jednak przylgnęli do siebie i zaczęli się całować. Woda rozgrzała się, a ogień ochłodził. Smoki rzuciły się na siebie jeszcze raz, lecz już nie po to, by atakować, ale wchłonąć jeden drugiego.

Zniknęły.

Naraz gwiazdy zbladły, a planety zatrzymały się na orbitach, by obserwować zaciekłą walkę. Z daleka płynęły głosy duchów. Szepty wypełniły każdy atom.

A wreszcie pośród wszystkich tych głosów rozbrzmiał rozkaz:

– Nie!

Energie zgasły, magia się wycofała, planety ostrożnie ruszyły swoim rytmem, a uspokojone gwiazdy zajaśniały na nowo. Gniew niebios nie zniknął jednak, ale przeniósł się do jedynej istoty, która naprawdę mogła nim rządzić.

Całe ciało March wypełniła słodycz. Tego nie dało się z niczym porównać. Miała wrażenie, że sięgnęła po jakiś ukryty kwiat z początku czasów, którego zapach całkowicie nią zawładnął.

– *Mówiłem* – mruknął cichy głos.

– *Alogos?* – spytała rozkojarzona.

– *Przybyła Astarte. Spójrz powoli, bardzo powoli, w prawo.*

Istota, którą zobaczyła March, wyglądała jak sama kosmiczna noc ubrana w ciało przepięknej ferini. Królowa uniosła rękę, próbując powstrzymać swoje dzieci przed dalszą walką. Ale Ishtar, Wyrd

i Eshkur naraz poczuli, że to ich ostatnia szansa, by zaatakować. Cała trójka ponownie wzbudziła w sobie moc. Ich zaklęcia spotkały się w pół drogi i rozbłyły, zlepione w gorejącą kulę światła.

– Powiedziałam: nie – zagrzmiała Astarte. Pofrunęła w stronę kuli i zatopiła się w niej. Jej sylwetka była jak czarny punkt na tle słońca. Po chwili energia zaczęła się kurczyć, wchłaniana w ciało władczyni.

Czarną skórę Astarte przecięły jaśniejące żyły. Królowa walczyła z magią swoich dzieci we własnym wnętrzu. Już zdawało się, że wygrała, gdy nagle jej oczy znieruchomiały, z oklapniętych skrzydeł zleciał srebrny pył i władczyni runęła jak zgaszona gwiazda w bezdenną przestrzeń.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

March wyglądała, jakby przestała oddychać. Jej klatka piersiowa nie unosiła się, wcześniej zaciśnięte ręce były rozluźnione. Callen pochylał się nad nią z niepokojem.

– Co jest? – spytał.

– Żyje – odparł cicho Alogos, który z półprzymkniętymi oczami był jednocześnie tu i poruszał się po świecie astralnym wraz z dziewczyną. – Weszła w głębszy stan.

– Jak bardzo *głębszy*? – Ove zmarszczył czoło.

– Bada przeszłość, wróciła do czasów wojny ferów, jeszcze sprzed rozdzielenia światów. Nie przeszkadzajcie mi teraz.

Chłopak posłał spojrzenie czarownikowi.

– Możemy pogadać? – szepnął.

Jednorożec trwał w stanie medytacyjnym, nie zwracając na nich uwagi. Ove pokiwał głową i ruszył za Callenem.

– Nie ufam mu – oświadczył chłopak, ledwo weszli do jego pokoju.

– Ani ja.

– On robi to tylko dla siebie. Chce się zemścić na Wyrd i wykorzystuje March jako narzędzie. Co, jeśli ona zginie?

Callen przełknął to słowo jak gorzki eliksir. Zadziałało otrzeźwiająco. Póki tylko myślał, że March może umrzeć, nadal był to tylko lęk, ale wypowiedane słowa zyskiwały kształt. Na tym polegała magia.

Ove starał się nadać pogodniejszy wyraz swojej zmartwionej twarzy.

– No co ty... nie... – powiedział. – Przecież są razem. Alogos...

– Jak długo? – uciął Callen.

– Jak długo co?

– Dokąd on będzie ją wspierał? Jednorożec chce poznać sekrety Wyrd, żeby użyć ich przeciwko niej. Potrzebuje March do czasu, aż dowie się tego, czego mu potrzeba. Jeśli zostawi ją samą w umyśle Wyrd, nie będzie miała z nią żadnych szans.

Zbyt wiele myśli nawiedziło głowę Callena. Wyrzał przez okno na śnieg zalegający wszędzie wokół Domu Czarownic. Tonęli w białym chaosie, ale słońce stawało się coraz mocniejsze. Biel skrzyła się w jego promieniach. Patrząc na to, chłopak uświadomił sobie, że wszystko, na czym od samego początku mu zależało, straciło znaczenie. Ani krew, ani magiczne dziedzictwo, ani prawda o nim samym nie były wystarczająco ważne, żeby pchnąć go dalej w walce z Wyrd. Teraz, gdy March badała ciemny umysł władczyni, gdzie mogła zostać uwięziona już na zawsze, obchodziła go tylko ona.

– Kochasz ją? – Poczul na ramieniu ciepły dotyk Ovego.

– Tak – przyznał Callen.

– Chcesz ruszyć za nią?

Znów potaknął.

– No to ci pomogę – obiecał czarownik.



Przemknęli do pokoju Cleto. Emma spała cicho, gdy wyjmowali z szafy wiedźmy narzędzia.

– Będziesz potrzebował dodatkowej ochrony – mówił Ove. – Zwłaszcza teraz, kiedy twój świat astralny jest tak spustoszony. Weź też to – dodał, podając chłopakowi podkoszulek March, który dziewczyna zostawiła na fotelu. Pachniał właścicielką, więc nosił w sobie dość jej magii, by można się z nią połączyć. Callen sądził jednak, że wystarczy mu sama myśl o dziewczynie, aby znaleźć się blisko niej.

Kładł się w kręgu stworzonym przez Ovego z lękiem, co zastanie w swoim świecie astralnym. Kraina jego marzeń była zniszczona po

walce z Leilą. Nie wiedział, czy zdoła kiedykolwiek ją odbudować. Nie wiedział nawet, czy tego chciał. Jedyne, co wiedział, to to, że nie miał innego wyboru. Jeśli musiał poświęcić wszystkie marzenia, żeby ochronić March, był gotów to zrobić, bo gdyby zginęła, to i tak nie miałyby szans, by jeszcze o czymkolwiek marzyć.

– Zamknij oczy – polecił szeptem Ove. – Poddaj się moim słowom.

Mówiąc to, czarownik smarował jego usta gorzkim wywarem. To przyspieszało proces przejścia i rozluźniało chłopaka. Potem Ove wypowiedział zaklęcie, które oderwało Callena od ciała.

Chłopak gwałtownie zaczerpnął zimnego powietrza w świecie gwiazd. Jego ciało astralne leżało osłabione na jednym ze zniszczonych budynków. Wszędzie wokół panowała posępna aura, a gwiazdy na jego prywatnym niebie wyblakły.

Objął się ramionami i trząsł przez kilka chwil. Dopiero po krótkim odpoczynku wyciągnął ręce ku górze. Trudno było sięgać nieba w takim stanie. Teraz już wiedział, że wcześniej, za każdym razem, gdy tu przebywał, jego duszę rozgrzewała ciepła nadzieja na to, co może osiągnąć. Teraz jej zabrakło.

Gwiazdy migotały niewyraźnie. Ich światło marszczyło się niezdecydowanie.

– Dalej – szeptał, a jego słowa połyskiwały srebrzyście. – Chodźcie do mnie.

Rozprostowywał i zaciskał palce. Niebo wreszcie musiało go wysłuchać.

Magia zaczęła spływać powoli. Najpierw była jak blada mżawka, potem na ciało chłopaka gęściej spadały krople gwiazdowego deszczu. Chłonał je całym sobą, głód tej mocy był tak silny, że Callen padł na kolana i całkiem otworzył się na deszcz.

Zrozumiał, że nie on tu rządzi. To niebo miało władzę. On używał tej mocy dlatego, że działał w zgodzie z nim. Najczystsza magia oznaczała współdziałanie ze światem.

– Płynę z prądem – powiedział.

Niebo zaczęło wirować, a ogień w sercach gwiazd zapłonął mocniej. Pod palcami Callen wyczuł drżenie muzyki świata astralnego. Jego zniszczone miasto wśród gwiazd wygrywało pieśń. Zapomniał, że śpiewał ją, kiedy je tworzył. To była stara kołysanka, muzyka jego matki.

Światło wypełniło jego astralną powłokę od głowy aż po palce stóp. Znow był silny.

– March – szepnął. – Idę do ciebie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Hypnos miał wrażenie, że kończy się świat. Potężna królowa, matka ferów, opadała w czerń. Wraz z nią cała magia Elphame mogła zniknąć na zawsze. Fizyczne ciało Astarte poruszało się na jej łożu, lecz władczyni nie zdołała już zebrać myśli, by wrócić do niego nienaruszona.

Kto umiera w świecie astralnym, może umrzeć w fizycznym.

Eshkur, Wyrd i Ishtar pofrunęli za matką. I znów walczyli, tym razem o to, kto ją uratuje. Gwiazdy zdawały się płakać, z granatowego nieba nad krainą ferów runął deszcz. Astarte uderzyła o piramidę, a pałac zadrżał.

– Nie! – wrzasnęła Ishtar.

Kamień po kamieniu wielka piramida zaczęła się walić. Zewsząd zlatywały się fery, wśród pyłu i huku, w powietrzu niosły się jęki rozpacz. Niektórzy milczeli ze zgrozą, jakby już nigdy nie mieli wypowiedzieć ani słowa. Lśniący kurz wzbijał się ku gwiazdom i wędrował w górę jak dym z kadzidła ofiarnego.

A potem zapanowała cisza. Rozniosła się wokół niczym czarna otchłań i po kolei ogarniała całą krainę. Tej nocy magia w popłochu uciekała z Elphame, fery orientowały się, że tracą moc, ich wrogowie przebudzili się i już zmierzali do granic krainy. Ochronna aura, obejmująca królestwo, drżała.

Ishtar pierwsza rzuciła się ku gruzom. Odgarniała je gołymi rękoma. Wyrd i Eshkur pofrunęli po niej, inne fery brały z nich przykład. Skalne odłamki emanowały gorącą magią. Jednak Ishtar mimo bólu kopała dalej, zagrzewając wszystkich do tego samego. Świetliste motyle próbowały wyłapać magiczny kurz, przenosiły jego

fragmenty do kwiatów jak pyłek. Te otwierały się łapczywie, próbując zachować magię.

Nikt w zamku nie przeżył nocy upadku wielkiej królowej. Jej ciało leżało nietknięte w samym sercu zgliszczy. Zrozpaczona Ishtar wyniosła je na własnych rękach i pofrunęła z martwą matką ku księżycowi. Błagała Eos, by przywróciła Astarte życie.

– Ona żyje – oznajmiła władczyni Księżycy. – Nigdy nie umarła. Jest przecież jedną ze Świetlistych, a teraz wróci do domu.

Ale co to miało być za życie, skoro głos matki ferów miał dołączyć do mglistych istot z krainy wieczności? Nie, duchy nigdy nie mówiły dość wyraźnie. Fery potrzebowały królowej – żywej tu, w tym świecie, w krainie zielonych traw i błękitnego nieba.

Jeśli Świetliści nie mogli pomóc, Ishtar miała zamiar zwrócić się do siły im przeciwnej.

Pamiętała ogrodnika. Wspomnieniem przywołała jego obraz w umyśle i podążyła za nim. Wewnętrzny głos poprowadził ją do Puszczy Krzyków. Frunęła nad ciemnymi zaroślami z ciałem matki jak z najcenniejszym klejnotem. Niosła w sobie moc i nadzieję każdego fera. W dole namhajdy zawodziły złowieszczo – cieszyły się, że wielka królowa nie żyje. Cały świat umarł. Jego śmierć przeobraziła się w ziarno nowego. Już zasiano je w ziemi, wraz z gruzami królestwa ferów. Nowy świat mógł wzrosnąć jak kwiat, lecz ziarno było niezdecydowane. Każdy mógł nadać mu odcień. Namhajdy i Świetliści mieli równe szanse.

Ogrodnik z daleka widział księżniczkę. Jego ciemne oczy zajaśniały. Na widok ciała królowej zaczął szlochać, a gdy Ishtar położyła je na ziemi, wrzasnął z bólu, który rozerwał pieczętujące jego usta nici. Łzy obmywały jego brudną od ziemi twarz. Pochylił się nad Astarte, dygoczącą dłonią dotknął pięknego oblicza władczyni. W jego dotyku kryła się miłość.

– Więc znasz już odpowiedzi na swoje pytania? – wyjąkał. – Wiesz, dlaczego to zrobiłem?

– Nie rozumiem.

– Wiedziałem – wyjąkał. Z ran na jego ustach sączyła się krew. – Gwiazdy ostrzegły mnie, że do tego dojdzie. Chciałem ściąć ich kwiaty, bo mieli zabić Astarte, a ja... ja ją kochałem.

Ostrożnie muskał palcami ciało królowej, jakby bał się, że dotykiem zabije ją jeszcze raz.

– Mówili, że chciałem chronić świat – mówił z bólem. – Co za bzdury! Nie chodziło o żadne ery, żadne światy. Co mnie obchodzą jakieś światy? Walczyłem o coś większego. O miłość.

Ishtar patrzyła na niego jak na istotę należącą do świata, którego nie potrafiła pojąć.

– Kochałem twoją matkę od chwili, gdy zesłano nas z krainy wieczności tutaj, byśmy żyli w świecie kamienia. Astarte nie odwzajemniała moich uczuć, ale to mi nie przeszkadzało tak długo, jak mogłem być użyteczny, dbać o ogród i całe królestwo.

– Nie jesteś w stanie przywrócić jej życia choć na chwilę? – poprosiła Ishtar.

– To niemożliwe.

– Przecież ty znasz zaklęcia, które wykraczają poza życie i śmierć. Ciebie również skazano...

– Nie ma zaklęć, które oszukują śmierć! – warknął. – Długowieczność to nie nieśmiertelność. Mnie *przeklęto* wieczną tułaczką po ziemi. Tylko Astarte mogła mnie uwolnić od mojego gorzkiego losu. Stałoby się to, gdybym wyznał jej prawdę.

Z czułością skupił znów uwagę na królowej.

– Teraz ja i ona będziemy rozłączeni przez największe potęgi. Ona po śmierci będzie żyć tam, gdzie życie się nie kończy, ja zaś będę wiecznie martwy tu, gdzie nie nadchodzi śmierć.

Ishtar patrzyła na ciało matki. Nagle poczuła słodycz – nie królowej, ale samej krainy ferów. Elphame ją wołało. Cała jego magia frunęła w jej stronę. Wypełniła jej umysł, serce i ducha. Zmarła władczyni odezwała się na nowo, przyszła do córki, by uczynić ją następczynią. Tak, Ishtar wiedziała już, że jest królową.

Ale wszyscy inni też musieli to zrozumieć. Przyszła pora działania.

Księżniczka nie dała po sobie poznać, że poczuła tę niezwykłą moc. Ogrodnik cierpiał zbyt mocno, by to zauważyć.

– W takim razie – powiedziała – zrób coś, by jej śmierć nie poszła na marne.

Już sięgała po ciało, ale ogrodnik ją powstrzymał.

– Proszę, zostaw ją przy mnie jeszcze przez jakiś czas. Chcę złożyć należny hołd, odprawić rytuał, którego nikt poza mną już nie pamięta.

Nowa władczyni patrzyła na niego nieufnie. Smak krainy był jednak zbyt obezwładniający, by dłużej mu się opierać.

– Ile czasu potrzebujesz?

– Trzynastu dni.

– Dobrze. Wrócę tu wtedy. Jeśli nie znajdę jej ciała, przysięgam, że zrobię wszystko, by świat nigdy się nie skończył i żebyś ty wiecznie się po nim tułał. Bez pocieszenia, bez mojej matki, bez miłości.

Ogrodnik zaśmiał się gorzko.

– Nie rozumiesz, najstarsza córko – wyszeptał. – Miłości nigdy nie da się odebrać.



Potem zaczęła się prawdziwa wojna. Wyrd i Eshkur stanęli naprzeciwko swojej siostry. Nawzajem obwiniali siebie o śmierć Astarte. Gdy królowa matka nie mogła ich powstrzymać, ich czary trzęsły całym niebem. Błękit nad Elphame zamienił się w burzowy granat, raz krainę paliło wyniszczające słońce, pobudzone przez Eshkura, innym razem, za sprawą magii Ishtar, księżyc stawał się tak lodowato biały, że zdawało się, iż na zawsze zamrozi świat. Wyrd szturmowała świat astralny. Owijała sobie gwiazdy wokół palca, ciskała nimi jak kamieniami.

Fery musiały wybierać, komu służyć. Jednak to nie którakolwiek z walk okazała się decydująca. Prawdziwy chaos zapanował dopiero wtedy, gdy w krainie zjawiły się słabe, młode istoty poszukujące magii. Mężczyzna i kobieta, zmęczeni podróżą, której nie mogły im ułatwić skrzydła, stanęli przed królewskim rodzeństwem pośród gruzów pałacu.

– Ludzie? – Wyrd nie mogła być bardziej zdumiona na ich widok. – Czym są ludzie?

– To ich chce wywyższyć Matka Duchów – powiedziała Ishtar. – Nas poproszono, byśmy podzielili się z nimi swoją magią. To wielki zaszczyt i przywilej.

– Zaszczyt! – prychnęła Wyrd. – Przywilej!

– Widziałem już tych twoich ludzi! – Eshkur obrzucił kobietę i mężczyznę pogardliwym spojrzeniem. – Są głupszy od istot rozumnych i słabszy od zwierząt, gorsi nawet od namhajdów, w ich działaniach nie ma żadnego celu. Nie zależy im na magii, nie zasługują na nią. Jedyne, czego chcą, to po prostu przeżyć.

Ishtar się uśmiechnęła.

– I może pragnienie przeżycia jest teraz najcenniejsze. Matka Duchów chce, żeby magia przetrwała. Ludzie mają jej to zapewnić. Ale jeśli w to nie wierzysz, przekonajmy się.

Zwróciła się do ludzi:

– Czy potraficie dać nam dowód swojej potęgi?

Kobieta podała dłoń mężczyźnie. Ten kiwnął głową i oboje bez słowa zaczęli przemierzać ruiny pałacu. Wreszcie zatrzymali się i uklękli. Unieśli złączone ręce, tworząc krąg magiczny jedynie z własnych ciał. Eshkur, Wyrd i Ishtar ze zdumieniem przyglądali się, jak część popiołów unosi się w górę. Martwe odłamki ożywały, w powietrzu ulepił się z nich dobrze znany ferom kształt.

– Lustro matki – wyszeptała Wyrd.

Czarne zwierciadło opadło na ziemię przed nimi. Welon snów przyfrunął z wiatrem i szczelnie otulił je swoimi tajemnicami.

– Pora zobaczyć, komu przysługuje władza – oznajmiła Ishtar.

Lekko musnęła welon palcami. Sny odpłynęły, a w lustrze ukazało się oblicze Astarte. Rysy dawnej królowej powoli zmieniły się w twarz jej najstarszej córki.

– Nie! – rzuciła Wyrd.

Odepchnęła siostrę od lustra. Nie zobaczyła w nim jednak swojej twarzy.

– Możesz mieć ten świat – wycedziła. – Ale gwiazdy są moje!

Wściekła porwała welon i cisnęła go w stronę nieba.

– Poznaj naszą moc – rzucił Eshkur.

Sny rozpełzły się wokół jak węże. Otwierały paszcze i kąsały. Fery uciekały przed nimi w panice. Przestrzeń rozplynęła się, spowita aksamitną czernią, w której gwiazdy przypominały srebrzyste kropelki. Zaległa cisza, którą przerwał dopiero śmiech Wyrd.

– Rozumiesz już, dlaczego się nas tak bano? – spytała, spoglądając na zdumioną siostrę.

– Słodki sen – dodał Eshkur. – Tym darem szczególnie obdarzyła nas Matka Duchów.

– Odejdźcie – zagroziła Ishtar – bo inaczej obrócę przeciwko wam każdą istotę w Jaarze, od najmniejszego robaka po najpotężniejsze duchy!

– Nie martw się, siostro – rzuciła Wyrd. – Skoro nie możemy mieć twojego ziemskiego królestwa, dobrze. Ono przeminie, a ty wraz z nim, my zaś będziemy nadal rządzić w innym świecie.

– Bardziej magicznym od twojego. – Eshkur dumnie wypiął pierś. Na tle kosmicznej czerni jego ciało płonęło jak słońce. – Potężniejszym od twojego.

Z odległej części świata gwiazd dobiegł ryk. Dwa potężne smoki frunęły przez niebo – ognisty i wodny. Zderzyły się ze sobą i połączyły, tworząc jedną bestię o dwóch głowach.

– Paszcza tego smoka skrywa bezdenną studnię koszmarów – zastrzegła Wyrd. – Możemy spopielić wszystkie twoje plany, zatopić każde marzenie! Ciesz się więc, że nie na tym nam zależy.

Dwugłowy smok ruszył na Jaar. Jedną paszczą wygryzł część Elphame, drugą skierował ku Puszczy Krzyków, gdzie w popłochu uciekały przed nim namhajdy. Z dwoma strzępami magicznego świata ruszył ku rozległemu niebu i zniknął wśród gwiazd, zabierając na swym grzbiecie Wyrd i Eshkura, nowych władców w nowym świecie.

Potem zaległa cisza.

Ishtar przez chwilę patrzyła za rodzeństwem, aż wreszcie nocne niebo rozplynęło się jak mgła, a ona znów stała w swoim królestwie, na zielonej ziemi.

Uśmiechnęła się i otarła pot z czoła.

Była pełnia. Coś się skończyło, coś się zaczęło.



W Puszczy Krzyków ogrodnik wciąż rozpaczliwie szeptał do ukochanej królowej. Jednak nawet w krainie wieczności jej duch chował nieskończoną urazę i nie odpowiadał na jego słowa.

Zrób coś, by jej śmierć nie poszła na marne.

Najstarsza córka nie miała nawet pojęcia, co dla niego mogły znaczyć te słowa. Choć nie mógł przywrócić zmarłych do świata żywych, wiedział, że dusze były jak pajęczyny stworzone z wielu nici. Gdy Ishtar przyfrunęła do puszczy z ciałem matki, jedna z nici w jej pajęczynie wciąż jeszcze szklila się srebrzyście. Duch nie całkiem odszedł.

Ogrodnik nasmarował ciało królowej olejkami, wypowiedział zaklęcia. Nie przyznał się do tego Ishtar. Ceremonia pogrzebowa miała dokończyć dzieło. Astarte spoczęła w grobowcu głęboko pod ziemią, na której dawniej stał jej pałac. I wciąż tam leżała, nawet gdy nowe Elphame zdążyło już wyrosnąć daleko od tego miejsca, a fery zapomniały, gdzie dawniej znajdowała się ich kraina.

Lecz Astarte nie umarła. Dla ogrodnika tylko spała.

– I obudzisz się – wyszeptał, naznaczoną przez czas ręką gładząc jej włosy. – Gdy przyjdzie czas, powstaniesz na nowo.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Przed oczami Callena niebo powstawało jakby od nowa, powiększało się, gdy chłopak, wiedziony magią gwiazd, docierał do tego, co dotąd było przed nim zakryte. Zawsze wiedział, że kosmos jest rozległy, jednak nigdy wcześniej nie doznał tego tak głęboko. Gdy poddał się czarom wszechświata, poczuł się jak jego władca. Słońca płonęły niegasnącym ogniem, planety krążyły na orbitach podobnych do bransolet, okrążające je księżyce przypominały lśniące kryształki lodu.

Callen zakochiwał się w tym widoku, ale wiedział, że gdyby nie inna miłość, nie mógłby pokochać tego, co widział.

Kochasz ją?

Tak.

Te słowa wciąż krążyły mu w myślach. Jaśniały zielonkawo-różową powiata. Taki kolor miała miłość w świecie astralnym. Tak samo mieniła się energia uzdrawiająca. Bo żeby leczyć, trzeba kochać. Callen znał tę prawdę z książek o magii, ale teraz wchłonął ją całym swoim astralnym ciałem.

– Kocham March Sky! – Zaśmiał się sam do siebie.

Na początku to było zwykłe przyciąganie jej magii, wiedział o tym. Potrzebował jej jako czarownicy, rozumiał, że są do siebie podobni, bo była półferem jak on. Ale pokochał ją jako dziewczynę. Ta jej część, najmniej – a może właśnie najbardziej – magiczna, szczególnie go przyciągała. Jako wiedźma i ferinka March mogła nie kryć przed nim wielu tajemnic, jako dziewczyna sama w sobie była wielką zagadką.

Być może właśnie to, że już wiedział, że ją kocha, dodało mu sił. Inaczej nie sprostałby temu, co go czekało. Płynął w stronę Miasta

Snów. Ktoś inny mógłby poddać się ich nęcącej aurze, ale dla niego wszystkie były po prostu koszmarami. Przebijał się przez nie, w głowie wciąż mając March.

– Gdzie jesteś? – powtarzał. – Gdzie jesteś?

Krzyki, obrazy, strach – wszystko to nawiedzało jego wspomnienia, echa złudzeń, które zsyłały na niego fery, kiedy był zamknięty w Komnacie Więźniów. Ale nie bał się, wracał na własnych warunkach, silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej.

Do złudzeń dołączyły nagle inne odgłosy, tym razem prawdziwe. Callen odbierał je jakby całym ciałem. To był lęk kogoś innego, podskórna panika, przyciszone rozmowy, które stawały się coraz wyraźniejsze. Zatrzymały go. Powinien płynąć dalej, ale sądził, że ma tu coś ważnego do odkrycia.

Spojrzał na swoje ręce. Zgromadził w nich gwiazdny pył – bez najmniejszego wysiłku. Niebo nie było obojętne na to, co robił. Stało po jego stronie.

Nasmarował całe ciało tym pyłem, by stać się niewidzialny, po czym popłynął w stronę głosów. Prowadziły pod powierzchnię Aislingen. Zamiast w zielonej krainie o ametystowym niebie Callen znalazł się po drugiej stronie – tam, gdzie dno aislingeńskiej ziemi skuwały grube kamienie. Dno świata – tak nazywały to miejsce fery. Zdumiał się na widok zgromadzonych tam skrzydlatych. Część trzymała się z daleka, tworząc ochronny krąg, dwoje było blisko dolnej warstwy krainy i dyskutowało o czymś.

Callen podfrunął bliżej. W rozmawiających rozpoznał Leilę i Khonsu, fera o jasnofioletowej skórze i z czarnymi włosami ozdobionymi złotem. Był głównym namiestnikiem Wyrd.

– Gdzie królowa? – pytała wciąż Leila. Głos jej drżał z nerwów. – Dlaczego się nie budzi?

– Medycy przenieśli ją do Biblioteki Snów – odparł Khonsu.

– Dlaczego tam? – przeraziła się ferini. – Co, jeśli rozleją się na nią wszystkie koszmary?

– Sam wydałem ten rozkaz. To najbezpieczniejsze miejsce dla władczyni. Zauważ, księżniczko, że nie ma tam takich snów, których twoja matka nie utkałaby sama.

– Tymczasem ktoś zaatakował ją snami i nadal nie możemy jej dobudzić.

Callen zaryzykował i wszedł w krąg ferów. Nie rozpoznały jego obecności, więc zbliżył się jeszcze do Leili i Khonsu. Ich nerwowość była tak silna, że i on zaczął drżeć, zupełnie jakby jego ferza część w pełni rozumiała zagrożenie, które nad nimi zawisło.

– W Bibliotece Snów królowa ma dostęp do każdej broni, jakiej zapragnie – powiedział Khonsu. – Nim jednak poradzi sobie z zagrożeniem, to ty musisz chronić krainę.

– Chciałabym wiedzieć jak. – Leila zacisnęła usta. – Chciałabym wiedzieć, co to jest.

Callen spojrzał na miejsce, które wskazała. Odsunął się z przerażeniem. Pod rozległą ziemią Aislingen, w samym sercu dna świata, otwierała się czarna otchłań. Kotłowały się w niej skłębione, bezdenne wody. Wir był tak potężny, że zdawało się, jakby mógł wciągnąć w siebie wszystko wokół, gdyby nie to, że blokowała go srebrzysta obwódka – krąg silnych czarów.

Callen zapatrzył się w hipnotyczny ruch otchłani. Słyszał szum wody, ale nie tylko: gdy wsłuchiwał się porządnie, pozwalając chaosowi przemówić, z samego dna tej głębokiej studni dobiegał do niego ryk bólu i wściekłości. Po drugiej stronie świata znajdowała się jakaś bestia chcąca się uwolnić.

– Matka zostawiła nam zbyt wiele tajemnic – powiedziała Leila. – Już samo to, że nikt wcześniej nie wiedział o tym miejscu...

Pokręciła głową.

– Jak mam bronić krainy, skoro mi nie ufała i trzymała to w tajemnicy?

– Być może martwiła się o ciebie, księżniczko – odparł Khonsu bez przekonania. – Teraz już wiemy, że królowa przez cały ten czas musiała ochraniać Miasto Snów, sprawując pieczę nad tym... czymś.

Skrzywił się.

– Miejmy nadzieję, że szybko zwycięży wroga, by znów nad tym zapanować.

Callen czuł ulgę. Skoro Wyrd wciąż walczyła, a oni nawet nie wiedzieli z kim, to znaczyło, że March sobie radziła. Jeśli tak, wciąż mógł działać na własną rękę.

– Muszę się dowiedzieć, gdzie jest Hypnos – westchnęła Leila. – Zaczynam wierzyć, że o tym wiedział i że jego misja ma związek z tą sprawą.

– Próbowalaś się z nim kontaktować? – spytał Khonsu.

– Tak. Nic nie działa. Czary matki pilnują tajemnicy jego wyprawy.

– Czary twojej matki osłabły – zauważył namiestnik. – Być może powinnaś wysłać myśl do brata jeszcze raz?

Leila zamilkła na moment.

– Masz rację – powiedziała cicho. – Matka osłabła...

Te słowa wypowiedziała jeszcze ciszej, jak zakazane przekleństwo.

Callen spojrzał jeszcze raz na Aislingen. Wciąż pragnął dostać się do March. Ale czy tak naprawdę to było jego rolą? Nie, jego zadanie polegało na tym, by pomóc, gdziekolwiek był w stanie. I właśnie nadarzyła się okazja, by działać. Leila zamknęła oczy, skupiała się na bracie.

Szybka decyzja.

Callen nabrał w astralne płuca magii gwiazd. Obserwował głowę ferini. Gdy myśli Leili wypełzły z niej jak złociste wiązki światła, uczeplił się jednej z nich.

Hypnos.

Poddał się obrazom i wraz z myślą popłynął dalej, nie mając pojęcia dokąd, lecz wciąż ufając gwiazdom, że są po jego stronie.



Hypnos obudził się w całkowitej ciszy. Świat przed jego oczami był zamglony, odległy od tego, co oglądał w wizji. Książę nie wiedział już, co jest prawdą. Kim był on sam? Po tak długiej podróży ducha jego ciało przypominało więzienie. Wciąż nie mógł poruszyć nawet palcem. Pod plecami czuł zimną, kamienną płytę. Podziemny ołtarz, na którym leżał jak ofiara.

– To potrwa – usłyszał znajomy głos. – Dochodzenie do siebie.

Przemawiał do niego upiór. Ogrodnik.

– Pewnie się zastanawiasz, mój książę, co było dalej – mówił, odstawiając maści z pachnącymi ziołami. – Ale ta historia kończy się właśnie tutaj, na tobie. Trwała tak długo tylko po to, byś wreszcie mógł się stać jej ostatnim uczestnikiem.

Hypnos znów spróbował się poruszyć. Z jego ust dobyło się ciche rżenie.

– Och, nie obawiaj się – mówił dalej ogrodnik. – Twoja rola jest szczególnie zaszczytna. Dla potomka królewskiego rodu nie zostawiłbym ochłapów.

Stawiał na kamieniach słoje z maściami. Każde brzęknięcie wywoływało bolesne drżenie w ciele Hypnosa.

– Chcesz wiedzieć, jak zachowałem Astarte przy życiu? – spytał, pochylając się nad księciem. Jego trupią twarz oświetlały pomarańczowe pochodnie, nadając mu groteskowy wygląd. – Jak zapewne wiesz, dusze dzielą się na wiele części. Niektóre z nich zostają przy ciele przez pewien czas po śmierci. Zdołałem uchwycić cząstkę królowej, dzięki czemu fragment jej duszy ciągle istnieje w tym ciele. Nim w pełni ją przebudzimy, odpowiem na jeszcze jedno pytanie, którego nie możesz mi zadać.

Palce dłoni i stóp Hypnosa zaczęły mrowieć. Na razie mógł jednak poruszać zaledwie gałkami ocznymi, którymi z lękiem śledził upiora.

– Zastanawiasz się być może, dlaczego czekałem tak długo – ciągnął potwór. – To gwiazdy kazały mi czekać, aż pojawi się ktoś taki jak ty. Ktoś, kto będzie prawdziwym synem swojej matki i swojego ojca. Oni odebrali życie Astarte i to ich krew musi je

przywrócić. Dlaczego masz to być ty? Tu znowu trzeba by zapytać niebios. Ja tylko czytam znaki.

Wyciągnął palec ku górze.

– Są zapisane tam, wysoko nad nami. Mogłem zniszczyć ciało Astarte, uwolnić jej ducha do końca. Tak, wielokrotnie próbowałem to nawet zrobić, lecz moje serce mi na to nie pozwalało. Kocham ją nadal i chcę jej udowodnić, że robiłem wszystko dla jej dobra. Ale dość o tym. Pora na ceremonię. Drogi książę, spójrz na istotę, której oddasz cześć.

Położył ręce na szyi Hypnosa. Książę chciał wrzasnąć z bólu, gdy tamten przekręcił jego zdrętwiały kark w bok. A potem pragnął krzyczeć już tylko z przerażenia.

Ona tam była. Leżała tuż obok niego, ramię w ramię. Pierwsza królowa ferów. Jednak jej ciało nie było już piękne i aksamitnie czarne, lecz wyschłe i wyblakłe, cudowny zapach stał się zatechły, włosy posiwiały i przypominały kłębowisko cienkich robaków. Zęby Astarte układały się do straszego uśmiechu śmierci. Ale na jej głowie spoczywał cienki, biały welon, jakby przyszykowano ją nie do trumny, ale do ślubu, a ogrodnik był jedynym godnym jej panem młodym.

– *Pomocy* – wołał Echem Hypnos. – *Matko, pomóż mi.*

Ale gdy próbował skontaktować się z Wyrd, za każdym razem trafiał na nieprzenikalną zastonę.

– Więc nie jest to dla ciebie powód do dumy? – spytał ogrodnik drwiącym głosem. – Nie cieszysz się, że twoje ciało stanie się naczyniem dla jej ducha?

Zgrzybiałymi palcami dotknął twarzy królowej. Hypnos wciąż nie mógł się odwrócić od tego widoku.

– Tak, wiem. Myślisz o tym jak o śmierci. Ja żyłem już zbyt długo, by wiedzieć, że śmierć oznacza czasem życie o wiele większe od tego, które noszą w sobie te kukły... ludzie, fery, namhajdy... Ale ty jesteś zbyt młody, by rozumieć, jak wielki czeka cię zaszczyt. Nieważne. W końcu przekonasz się, że...

Z kamieni w grobowcu posypał się gruz. U sufitu zajaśniało światło. Rosło w oczach, aż poraziło ogrodnika i Hypnosa tak, jakby w podziemiach pojawiło się miniaturowe słońce.

– L-L-Leila? – zdołał wyrzucić, gdy w grobowcu zmaterializowała się jego siostra.

– Tu jesteś! – zawołała. – Więc matka...

Nagle zdrętwiała, porażona cienką, szmaragdową błyskawicą. Upadła na ziemię, u stóp zdezorientowanego ogrodnika, ten zaś szybko się wycofał. Za plecami Leili zamajaczyła kolejna sylwetka. Takie same błyskawice rozjaśniały jej dłonie, a wreszcie w ich świetle ukazała się męska twarz.

– T-ty? – Hypnos zdumiał się na widok Mallowaya.

– Wybacz, musiałem od razu rozprawić się z twoją siostrzyczką – powiedział chłopak. – Ale nie zabiłem jej. Chyba? Choć może powinienem?

Nie dostrzegł skrytego w cieniu ogrodnika. Zawiesił skrzącą się od magii dłoń nad Leilą. Na jego twarzy rysowała się pogarda. Hypnos próbował go ostrzec, powiedzieć, że to nie czas na walkę między ferami a ludźmi. Upiór cicho otworzył jeden ze słojów i posmarowawszy ręce maścią, rzucił się na chłopaka.

Zdumiony Callen padł na ziemię z rozłożonymi rękoma, szmaragdowa magia zgasła. Ogrodnik przyłożył jedną rękę do jego ust, ale chłopak zdołał go odepchnąć. Wydawał się silniejszy niż wcześniej. Gniew dodawał mu mocy.

Szamotali się zawzięcie jak dzikie bestie. Malloway, choć mniejszy, był zwinniejszy od ogrodnika. Na nowo rozpalił w dłoniach błyskawice. W ich blasku było coś więcej niż magia czarownic. Hypnosowi zdawało się, że to gwiazdna moc aislingeńskich ferów. Nigdy nie widział, by człowiek tak precyzyjnie używał tych czarów. Chłopak wyglądał, jakby przywoływał błyskawice wprost z aury otaczającej Miasto Snów i tylko wzmacniał je swoją szmaragdową magią.

– Nie, nie – jęczał ogrodnik, raz po raz rażony mocą. – Wszystko zniszczysz... wszystko... zniszczysz...

Z całą siłą odepchnięty w stronę ściany, potwór osunął się na ziemię. Rzucone przez niego czary osłabły, pozwalając Hypnosowi się wyswobodzić.

– Stracił przytomność – powiedział książę, ledwo panując nad własnymi ustami i z bólem podnosząc się z ołtarza. – Nie da się go zabić.

Callen spojrzał na niego z tą samą złością, z jaką patrzył na Leilę. Potem dostrzegł leżącą królową.

– Co tu się dzieje? Kim oni są?

Hypnos czuł, jak całe jego ciało wibruje, gdy krew zaczęła krążyć wraz z magią.

– To długa historia – odparł. – Masz czas jej słuchać?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

We wnętrzu Wyrd zapanowała pustka. March została otoczona przez ciemną mgłę, jakby duszę królowej otuliła nieprzenikalna zasłona.

Dziewczyna poczuła w astralnym ciele mroźne dźgnięcia – lęk. Powędrowała myślami w stronę Alogosa. Milczał. Nim o cokolwiek zdążyła zapytać, uciszył ją szeptem.

– Patrz. – Jego głos zabrzmiał jak wiatr.

W ciemności coś zaczęło błyszczeć. Z oddali frunęły ku sobie dwa smoki. Jeden w paszczy trzymał wyrwany fragment krainy ferów, zieloną ziemię, światło słońca zatrzymane jak w bursztynie, wielkie kwiaty, wokół których unosiły się spłoszone motyle. Drugi niósł ciemną ziemię puszczy, granat nocnego nieba, skowyt namhajdów. Smoki tańczyły wokół siebie, zaplatały się ogonami, aż wreszcie ich pyski się zetknęły. Z ich pocałunku powstał nowy świat. Część Elphame i część Puszczy Krzyków połączyły się w jedno, zespolone błyskawicami, które jaśniały wokół konturów krainy.

Galaktyki zaczęły wirować, czas napinał się jak rozciągana pajęczka sieć. Oddychał. Kurczył się i rozkurczał. A w nowym królestwie zapanowały nowe prawa. March płynęła w tamtą stronę. Blask wiszącego nad Aislingen słońca ogrzał jej skórę, słodycz kwiatów sprawiła, że na moment poczuła się przytulnie jak w domu, póki tej atmosfery nie zburzył ciężki głos Eshkura.

– Należy się nam wszelka magia – mówił władca do zebranych wokół niego ferów. – Wy, których nasza pokorna siostra wypędziła z Elphame, zabroniła wam sięgać po moce ukryte w cieniu, wiedzcie, że tutaj znajdziecie nowy, lepszy dom.

– I w spokoju będziecie mogli badać czary, które powierzyła nam Matka Duchów – dodała Wyrd, kładąc rękę na ramieniu ukochanego.
– Magia? To nasze dziedzictwo. Wieczna młodość? To nasza natura. Słodki sen? To siła, którą podbijemy cały świat.

Skoro Wyrd i Eshkur stracili niemal wszystko, teraz chcieli wszystko osiąść. Wbrew zasadom, które mówiły, że fery – tak silne magicznie – powinny unikać mrocznych czarów, władcy nowej krainy zachęcali poddanych, by zgłębiali każdą moc.

– Tylko to uczyni nas silnymi i w pełni świadomymi – powtarzali. – Nie wolno się nam bać własnego cienia.

Aislingen. Miasto Snów. Tak nazwano nową krainę, ponieważ powstała z marzeń Wyrd i Eshkura i z ich władzy nad nocnym światem gwiazd. Słodkie śnienie zamienili w koszmar i poprzysięgli nigdy nie dzielić się swoją magią z ludźmi.

March dalej oglądała tworzenie tego świata jakby przez wyrwę w czasie i przestrzeni – małe okienko wśród czerni. Słońce Aislingen wstawało i gasło, to ono okrążało krainę, nie odwrotnie. Za nim w wiecznej pogoni sunął księżyc.

W Aislingen pokój nie mógł długo panować. Im silniej w mroczną magię zagłębiali się Wyrd i Eshkur, tym ciemniejsze stawały się ich dusze. Na siebie nawzajem spoglądali z coraz większą nieufnością. Jak wielu mogło być władców w jednym królestwie? Ludzie, których nie chcieli oglądać, stawali się coraz silniejsi. Elphamskie fery pomagały im tworzyć własną, silną magię. Wszyscy mówili o powstawaniu nowego świata, który – choć wyłaniał się z Jaaru – był pozbawiony jego magii.

– Można będzie ją wykrzesać – stwierdził Eshkur – ale ludzie nigdy nie posiadą mocy równej naszej.

– Nie mieliby żadnej, gdyby Ishtar nie zgodziła się z nimi zbratać – odparła Wyrd. – Działa przeciwko Matce Duchów. Jeśli Ona Sama chciałaby, żeby ludzie posiadli magię, obdarzyłaby ich nią od początku.

– Tylko jedno zawsze mnie zastanawiało – odparł Eshkur po chwili milczenia. – To, o czym nigdy nie rozmawialiśmy. Jakim cudem przywrócili rozbite zwierciadło matki?

Dotąd oboje udawali, że nie pamiętają tej chwili. Wyrd zezłościła się, gdy jej brat do niej wrócił.

– Czary Ishtar! – prychnęła. – Bezwstydnie użyła tych szcurów, żeby omotać inne fery, głupie na tyle, żeby uwierzyć, że to Matka Duchów wskazała ją na swoją następczynię! Dlatego lustro pokazało jej twarz!

– A czyją spodziewałaś się zobaczyć? – Eshkur spokojnie uniósł wzrok na siostrę. – Własną?

Wyrd nie odpowiedziała. Oddaliła się szybko, mocniej napinając coraz cieńsze sieci, które łączyły ją z bratem. Oboje ciągnęli je w swoją stronę. Ich miłość stała się więzieniem, z którego oboje pragnęli się uwolnić. Dwa gwiazdne smoki, złączone ogonami, zaczęły się od siebie oddalać.

Niedługo po tej rozmowie w Aislingen zjawiała się Ishtar. Jej przybycie zdumiało obie krainy bardziej, niż mogłoby zadziwić pojednanie się światła z cieniem.

– Czyha na nas nowe niebezpieczeństwo – oznajmiła. – Musimy się pogodzić i uznać tylko jednego władcę, inaczej znów grozi nam rozłam.

Eshkur w ciszy rozważał te słowa. Wyrd okrążyła siostrę jak wąż, zebrała z jej aury obawy i lęki i utkała z nich własną prawdę.

– To nie nam grozi niebezpieczeństwo – powiedziała – ale tobie. Co takiego się stało, że od ciebie, wielkiej królowej matki, znów chcą odłączyć się fery? Dwanaście najznamienitszych rodów. Słyszałam o tym. Ponoć chcą się nazwać Tir-na-Nog.

Ishtar miała kamienną twarz.

– Przyjmiesz ich do siebie? – spytała.

– Jeśli poproszą.

Królowa Elphame się zaśmiała.

– Nigdy tego nie zrobią. Wyłonili już spośród swoich córek własną władczynię.

Wyrd wzruszyła ramionami.

– Więc? Duchy sprzyjają nam wszystkim po równo. Jak widzisz, mój świat ma się doskonale. Dlaczego więc nie miałyby zaopiekować się jeszcze jedną królową?

Eshkur drgnął na te słowa. Ishtar spojrzała na ametystowe niebo nad Miastem Snów.

– Skoro tak uważasz... – odparła. – Ale być może zechcesz poznać słowa, które niegdyś usłyszałam od kapłanki.

Nim Wyrd zdążyła krzyknąć, że nie, Eshkur oznajmił:

– Tak.

Ishtar zaśmiała się, widząc zdumienie siostry. Po raz pierwszy Wyrd i Eshkur poróżnili się w obecności kogoś innego. Spokojnie powiedziała to, co wyjawily jej przed śmiercią Astarte duchy:

– Prawdziwym władcą ferów będzie ten, który połączy to, co rozdzielone, w jedno. Cóż to może oznaczać? Zgadnijcie sami. Ale gdy już wpadniecie na rozwiązanie, moje *smocze bliźnięta*, powiedzcie mi, kto jest tego bliżej. Wy? Czy ja?

Zniknęła, nim zdolali odpowiedzieć. Wyrd zwróciła gniewne spojrzenie na brata.

– Po co ją pytałeś...

– *Mój świat* – powiedział, stając przeciwko niej otwarcie jak przeciw wrogowi. – Tak powiedziałaś. *Mój świat*.

– Och. – Wyrd się zmieszala. – Przecież wiesz, że nie chodziło mi...

– Nie chodziło? – Oczy króla zapłonęły ogniem. – Myślisz, że nie wiem, co myślisz? Podobnie jak wielu, sądzisz, że tylko ferini jest zdolna rządzić. Zapominasz jednak, że *ta* ferini – dotknął palcem jej piersi – rządzi tylko dlatego, że ma u swojego boku *tego* fera.

Przesunął palec ku własnej piersi. W powietrzu uniosła się mgiełka, która połączyła ich oboje.

Wyrd nagle pochwyciła brata jak cenny skarb i zamknęła go w swoich ramionach.

– Nie zapomniałam – odparła. – Oczywiście, że nie zapomniałam.

Nieważne, jak blisko były teraz obok siebie ich ciała, magia, która je łączyła, nie płonęła już równie mocno. Związane ogonami smoki grzmiały coraz głośniej, próbując wydostać się nawzajem ze swoich objęć.



Tej samej nocy Eshkur zdradził Wyrd. Nie z Ishtar, ale z ludźmi. Jego siostra szła po śladach jego stóp przez niebo tylko po to, by zobaczyć, jak zstępuje do ich świata. Przyglądał się im z zaciekawieniem jak dziecko mrówkom. Księżyc lśnił między jego rogami, a śnieg cicho opadał na ziemię. Wreszcie władca rozpostarł ramiona, podejmując decyzję, która nie mogła przyjść mu z łatwością. Wybrał jedną część krainy ludzi i objął ją swoimi ramionami. Roztoczył opiekuńczy czar na wszystkie strony tego miejsca.

Ishtar też to widziała. Zjawiała się za plecami brata, a on wyczuł jej obecność.

– Dwa światy w jedno? – spytał. – Tak mówiłaś?

Pokiwała głową.

– Jeśli do mnie dołączysz...

– Nie – odparł stanowczo. – Robię to dla siebie, by Matka Duchów wiedziała, że jestem gotów bronić jej ukochanych dzieci. Ale ten świat nie będzie *ich* światem. Będzie mój.

Opadł na ludzką ziemię. Uniósł nad nią dłoń tak, jakby chciał ją pogłaskać. Jego palce otoczyły zielone pnącza. W jednym z nich, muśniętym srebrną poświatą księżyca, otworzył się czerwony kwiat. Nietknięty śniegiem i mrozem, otworzył płatki i wypuścił ku ziemi malutkie ziarno.

– Niech to będzie mój podarek dla nich – powiedział Eshkur. – Wyrośnie z niego drzewo, które zawsze będzie dawać owoce, a w każdym z nich zapłonie cząstka mojej magii.

Gniew Wyrd wybuchł. Zaatakowała od razu. Smoki stanęły do wyniszczającej walki.

March nie chciała już tego oglądać. Wojna zaczęła jej powszednieć. Wciąż widziała tu tylko bitwę. Czy miała w niej uczestniczyć? Tylko tak dało się pokonać Aislingen? Wzniecając jeszcze większy pożar w samym sercu wiecznie płonącego ognia?

Kolory wizji zniknęły jak zgaszony zimnym podmuchem płomień. March zatonęła w ciemności. Oddech zamarł na jej astralnych ustach, powietrze zmieniło się w lód.

– *Alo...* – zaczęła.

Zakłęcie ostre jak brzytwa poraziło jej usta. Wyrwało magię z jej ciała, a ją samą rzuciło w pustkę. Próbowwała krzyczeć, ale nie mogła złapać tchu. Pędziła coraz szybciej w objęcia nocy. W górze zajaśniał jakiś punkt, ale nie było to światło Alogosa. Kontakt z jednorożcem się urwał. Nie wyczuwała go.

Musiała się zatrzymać. Sięgnęła rękoma przed siebie, próbując wychwycić magię. Moc tu była, jednak wymykała się jej.

Z góry dobiegł ją głos pełen pogardy.

– Ty złodziejko wspomnień. Kogo ośmielasz się atakować?

Jasny punkt się przybliżał. Wyrd frunęła za March, jej ciało rozjaśniały błyskawice.

Dziewczyna nie widziała dna otchłani, o które miała się rozbić. Świst powietrza zagłuszał jej myśli. Przywołała magię jeszcze raz, tym razem we własnym ciele. Przyprawiło ją to tylko o mdłości.

– Tu rządzą ja – wycedziła Wyrd, będąc już tak blisko, że March widziała jej jasną twarz. – To moja przeszłość, moje sny, moje pragnienia.

Wyciągnęła dłoń, sprawiając, że March zatrzymała się w locie. Ciemność zgęstniała, wokół załśniły małe, mgliste oczy.

– Skończysz tu, w mojej głowie, w najpilniej strzeżonej fortecy – ostrzegła Wyrd. – I nie, nie pozwolę ci umrzeć. Nie tak szybko.

Jej złość była zimna i doskonała jak magiczne narzędzie.

– Myślisz, że dużo już widziałaś? – Twarz Wyrd nie była już piękna, jej kości wyostrzyły się, usta przybrały barwę burzowej chmury, skóra stała się biała jak śnieg.

Królowa osaczała dziewczynę swoją mocą. March znalazła się w pułapce. Nie mogła się poruszyć, nawet myśli miała sparaliżowane.

– Nie wiesz, kim jestem – ciągnęła Wyrd – ale skoro poznałaś już część moich tajemnic, kolejne zdradzę ci na swoich zasadach. Otoczę cię jak pajęczycyca, będę powoli... bardzo powoli spijać twoją moc. Chciałam dać ci namiastkę magii, ale nie przyjąłeś jej, więc teraz będziesz muchą, której wstrętne ciało astralne zasili mojego ducha.

W jej dłoniach tworzyła się czysta magia. March usilnie próbowała przywołać własną. Na nic. Wreszcie zrobiła jedyne, co przyszło jej do głowy: skupiła całą uwagę na energii tańczącej w palcach królowej. Dokładnie w sekundzie, gdy ta wystrzeliła, by opleść jej ciało, March z wysiłkiem graniczącym z bólem splotła własne ręce – nie po to, by chronić się przed mocą Wyrd, lecz by ją przejąć.

Zamknęła oczy. Pod jej powiekami wybuchło jaskrawe światło, po skórze rozlał się żar. Miała wrażenie, że staje się wielka, a moc Wyrd drży w jej dłoniach jak słońce. Nie mogła utrzymać tej magii. Rzuciła ją z powrotem w kierunku królowej. Ta uskoczyła, uwalniając dziewczynę z czaru.

– Jak śmiesz?! – wściekły ryk Wyrd rozerwał przestrzeń. Czerń poszatkowały blade pęknięcia.

March nie opadała już jednak. Odnalazła równowagę i chwiejnie zaczęła unosić się w powietrzu.

– Czego tu szukasz?! – warknęła Wyrd. – Kim ty jesteś, March Sky?!

Znów wyciągnęła ręce, tym razem by przywołać dziewczynę do siebie. March czuła palącą aurę królowej, gdy była tak blisko, że przez chwilę tonęła w ametyście jej oczu. Wstrzymała oddech, gdy zetknęły się nosami. Zapach, zapach! Całe jej ciało wypełnił słodki zapach Wyrd.

Mój ferze, moje kochane dziecię. Sceny z ich dawnej walki odtwarzały się w głowie March jak w zapętłonym filmie. Do jej umysłu wpłynęło coś zimnego – mocne ręce Wyrd, które sięgały jej wspomnień.

– Kim... ty... jesteś?!

Królowa siłowała się z magią drzemiacą w astralnym ciele dziewczyny. March usłyszała znów jej słowa, tym razem spokojniejsze.

– Tak, zawsze wiedziałam, że jest w niej coś dziwnego, ale dlaczego nie mogę się do tego dostać?

Lodowate dłonie sięgały coraz głębiej i głębiej.

– Żaden człowiek nie ma takiej potęgi – mówiła dalej Wyrd. – Ale fery też nie. Zazwyczaj...

March otworzyła oczy. Spojrzenie Wyrd było teraz puste i dziewczyna zrozumiała, że słyszy myśli władczyni. Więc ciągle była w jej głowie, wciąż mogła coś zrobić. Zacisnęła wargi i położyła dłonie na policzkach Wyrd. Była w świecie gwiazd. Mogła wyobrazić sobie, cokolwiek zechciała. Przywołała w myślach ogień.

Królowa wrzasnęła z bólu, gdy z palców dziewczyny uniósł się dym. Smoliste odciski dłoni odbiły się na jej twarzy.

– Ty śmieciu! – wrzasnęła Wyrd, drżącą ręką dotykając skóry.

March zrozumiała, że atakując władczynię w ten sposób, pozbawiła się odwrotu. Musiała wreszcie zrobić to, po co tu przybyła. W rękach wciąż miała część aury królowej. Myślami popłynęła ku własnej magii. Moc w jej brzuchu była teraz słonecznym promieniem, który ogarnął ją całą.

Wyrd rozpostarła ręce. Przywoływała magię swojej krainy, błyskawice i ametystowe chmury płynęły ku niej z każdej strony

świata.

March potarła dłonie i zamknęła oczy. Sięgnęła nieba. Oczami wyobraźni widziała pył. Taki sam jak ten, który pozwolił jej zobaczyć martwą Isel. Obsypywała nim wszystko wokół, powtarzając przy tym słowa zaklęcia Cleto.

Gdy uniosła powieki, w jej otwartych dłoniach spoczywała gruba warstwa mieniącego się kurzu. Skierowała je ku Wyrd i dmuchnęła.

Królowa znieruchomiła. Błyskawice syknęły i zgasły. Wielkimi oczami Wyrd patrzyła na to, co formowało się tuż przed nią – a był to jej sobowtór, ale z zapadłymi policzkami i martwymi oczami.

– Nie, nie! – miotła się królowa.

– Boisz się tego, prawda? – spytała spokojnie March. – Nie chcesz umierać.

Wyrd zacisnęła zęby.

March nie mogła czekać ani chwili. Błyskawicznie wystrzeliła w stronę władczyni. Biegła do niej po ścieżce usłanej pyłem gwiazd, która z każdym krokiem sama tworzyła się pod jej stopami. Dziewczyna wpadła na Wyrd, przebiła się przez jej świadomość i znów była w jej wspomnieniach, w jej obawach, w jej koszmarach.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

– Nie ufam ci.

Pierwsze słowa Callena wywołały uśmiech na twarzy Hypnosa.

– March mówiła to samo.

– Dziwisz się?

Kąciki ust księcia opadły. Spojrzał na własne stopy, w których dopiero co odzyskał czucie. Całe jego ciało wciąż dochodziło do siebie, a wraz z siłą i magią napływały nowe myśli. To, czego doświadczył w tej podróży, odmieniło go. Nie wiedział jeszcze, w jaki sposób, tak wiele rzeczy musiał poukładać od początku. Gdyby tylko miał czas...

– Musimy go unieruchomić – powiedział. – Przydałby się sznur.

Malloway uniósł brwi.

– Skąd mam go wziąć? – prychnął.

– Jesteś tu w formie astralnej, czy się mylę? – spytał Hypnos.

– No tak, ale...

– Przywołaj go. – Książkę wzruszył ramionami, jakby była to najłatwiejsza rzecz w świecie.

– Nie potrafię. Niewielu ludzi umie materializować przedmioty.

– Jesteś ferem – zauważył Hypnos.

– Miło, że to przyznałeś – mruknął Callen – ale powiedzmy, że w tej dziedzinie jestem jednak bardziej czarownikiem. *Człowiekiem*, że się tak brzydko wyrażę.

Aislingeńskie fery potrafiły tkać z astralnej materii przedmioty, które objawiały się w świecie materialnym. W każdym razie Hypnos to potrafił, choć nie w tej chwili.

– Jestem jeszcze za słaby, a nie mamy czasu – powiedział, rozprostowując się. Jęknął, czując skurcz mięśni w plecach. – Może

gdybyśmy podzielili się mocą?

Rzucił Callenowi niepewne spojrzenie. Taka magia wymagałaby zaufania od nich obu.

– Być może proszę o zbyt wiele... – zaczął Hypnos.

– Zgadza się. – Chłopak pokiwał głową. – Po tym, co zrobiłeś, jak przez ciebie zginęła Iseł, jak przeniosłeś March prosto do swojej matki, żeby mogła ją zabić, prosisz o *wiele* za wiele.

– Gdyby to było takie proste – westchnął książę.

Znów myśli, znów pytania.

– Próbowałem pomóc March – zaczął. – W Bibliotece Snów to ja pomogłem jej zwyciężyć.

– Żeby zdobyć jej zaufanie. – Callen założył ręce na piersi.

– Nie o to mi chodziło – odparł zdumiony Hypnos. – Właściwie sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Uznałem, że po prostu... po prostu powinna mieć szansę. Zresztą od początku próbowałem jej pomóc.

Uświadamiał sobie to teraz bardziej niż dotąd. Wcześniej uciekał przed tą prawdą.

– Kiedy matka rzuciła na nią czar zapomnienia, warzyłem eliksir przy niej, żeby pomóc jej się zorientować, co się dzieje.

– Po co? – Malloway zmarszczył czoło. – Mam uwierzyć, że od początku miałaś jakiś szlachetny plan?

– Nie, chodziło mi raczej o... – Hypnos nie miał na to odpowiedzi.

– O biedną dziewczynę ze świata ludzi tak niesprawiedliwie potraktowaną przez twoją matkę? – zadrwił Callen.

Nawet te drwiny pomagały Hypnosowi zrozumieć.

– Chodziło o mnie.

– O ciebie? – Tym razem chłopak był autentycznie zdumiony.

– O mnie. Ty tego nie zrozumiesz, nie wiesz, jak to jest być księciem Aislingen. – Hypnos wbił spojrzenie w kamienną ścianę. Nie widział już łuny płonącej na niej pochodni, ale blask nieba nad Miastem Snów. – Ciągle czegoś się ode mnie oczekuje. Że będę służył krainie, że będę przykładowym synem, że to Aislingen będzie

na pierwszym miejscu, nigdy nie ja. Wyobraź sobie, że to tak, jakbyś walczył z całym światem.

Mina Callena stała się gorzka.

– Nie muszę sobie tego wyobrażać. Miałem przeciwko sobie fery, czarownice, całą Społeczność.

– Ale ty przynajmniej wiedziałeś, że dążysz do czegoś, czego pragniesz – upierał się Hypnos. – Czułeś, że racja jest po twojej stronie. Co miałeś do stracenia? Niewielki miałeś wybór, prawda, dziedzicu wiedźm?

Spojrzeniami rzucali sobie wyzwania.

– Chcesz się porównywać? – spytał Callen.

– Nie. Mówię tylko, że z tobą walczone siłą i magią, a mnie nęcono snami. Wmawiano mi, że wszystko robię dla większego dobra i nie wolno mi działać dla tego mniejszego, *mojego*. Wybór między złem a dobrem jest prostszy niż między dobrem a innym dobrem. Pogubiłem się, to wszystko.

– „Pogubiłem się, to wszystko” – przedrzeźnił go Callen. – Szkoda, że po drodze pogubiło się życie Isel Bini. Mała sprawa dla takiego fera jak ty, prawda?

– Nie chciałem jej zabić.

– Ale zabiłeś.

– Nie ja! – zawołał książę. Nie mógł znieść tego oskarżenia. – Nie ja! Nikogo nie zabiłem...

Callen spojrzał na ciało Astarte.

– W takim razie dziwne, że śmierć ciągle kroczy obok ciebie – uznał.

– On mówił tak samo – zauważył książę. – Ogrodnik.

– Ogrodnik?

– To część tej historii...

Chłopak westchnął.

– Dobrze, nie chcę teraz słuchać twoich opowieści – rzucił. – Nie dam się omamić. Zróbmy to, tylko szybko. Ściągnij te sznury ze świata astralnego. Ale jeśli mnie zaatakujesz, załatwię cię jeszcze

szybciej niż twoją siostrę. I całkowicie. Nie masz pojęcia, jaką mam teraz magię.

Hypnos zaśmiał się lekko pod nosem. *Nie wiesz, co mogę zobaczyć i wyczuć* – pomyślał. Gdy jednak ujął astralne ręce chłopaka – delikatnie, tak by obaj mogli się na siebie otworzyć – odczuł więcej, niż sam się spodziewał. Przede wszystkim poczuł go bardziej jako fera niż człowieka. Poczuł go jak swojego brata.

Nie tego uczono go w Aislingen. Ludzie mieli być słabsi, mniej istotni. Z ferami nie powinny łączyć ich żadne więzi. A jednak Callen Malloway był dla Hypnosa jak krewny – ich magie przenikały się nawzajem, zatapiały jedna w drugiej jak dwa harmonijne składniki jednego, potężnego eliksiru. Było inaczej, niż gdy badał aurę March. Chłopak okazał się silny w inny sposób. Naprawdę nosił w sobie magię niebios.

Callen drgnął.

– Nie przerywaj więzi, proszę – powiedział Hypnos spokojnie.

Zagłębiając się w aurę chłopaka, uważał, by nie wchodzić zbyt głęboko i nie nadwyrężyć jego chwilowego zaufania. Gdy wyczuł środek jego mocy – w czaszce – myślami okrążył to miejsce.

– Gotowy? – spytał.

– Tak.

– Wyobraź sobie sznury. Napętniaj obraz całą magią, jaką masz. Spróbuję je wydobyć.

Malloway dobrze znał świat astralny – to nie ulegało wątpliwości. Wizualizacja była szybka. Grube, długie sznury już po chwili zajaśniały nad jego głową. Hypnos wyciągnął po nie fizyczne ręce, próbując wyczuć je z zamkniętymi oczami.

– Napętniaj je dalej magią – poprosił. – Spraw, żeby były tak materialne, jak tylko potrafisz.

Ten czar wymagał od nich idealnego zgrania się, tymczasem umysł Callena wciąż wymykał się Hypnosowi. Wreszcie jednak księżę pochwycił sznury i wyrwał je wprost ze świata gwiazd. Czuł,

jak pod jego palcami przyodziejają się płaszczem materii. Z wysiłkiem rzucił nimi o ziemię i pochylił się, ciężko oddychając.

– To było... imponujące – przyznał Callen.

Hypnos oparł się dłońmi o kolana i zrobił jeszcze kilka głębszych wdechów.

– Zwiążmy ich.

– Oboje? – zdumiał się chłopak. – W sensie twoją siostrę też?

– Ją przede wszystkim – rzucił książkę i sam zaczął obwiązywać nadgarstki i kostki Leili. Szeptał przy tym zaklęcia wzmacniające sznury.

Ogrodnik zaczął lekko drżeć, kiedy razem krępowali jego ciało.

– On przecież nie oddycha – zauważył Callen.

– Ale żyje. Nie czujesz?

Hypnos był być może przewrażliwiony na tym punkcie, ale wyraźnie zdawało mu się, że cząstka zbłąkanej duszy tłucze się po piersiach upiora.

– Nie dotyczy go zwyczajna śmierć – powiedział. – Tutaj stało się coś dziwnego.

Kiedy książkę usiadł, na nowo zmęczony, w pełni doszło do niego, że wszystko, co się wydarzyło, było tajemnicze i niezwykle. Już rozumiał, że gdy wyruszył w drogę, dla całego Aislingen zaczęła się ścieżka, której końca nadal nie widział. Sądził jednak, że musi iść dalej.

– Więc skąd się tu wzięłeś? – spytał Callen. – I gdzie w zasadzie jesteśmy?

Książkę otworzył usta, by odpowiedzieć, ale każda riposta brzmiała dla niego równie niedorzecznie jak dla chłopaka.

– Grobowiec Astarte? – prychnął Malloway. – Żartujesz? I niby jak tu trafiłeś?

– On mnie przyprowadził. – Hypnos wskazał na wciąż nieprzytomnego ogrodnika.

– A kim on jest?

– Kimś, kto próbował zabić moich rodziców, zanim się urodzili.

– Okay – odparł Callen powoli.

– Matka wysłała mnie, żebym odnalazł swojego ojca, a zamiast tego trafiłem tutaj.

– Wygnanego Króla? Po co miałeś go szukać?

– Żeby go zabić.

Malloway rozchylił usta, jednak szybko się zreflektował.

– No, w zasadzie w królewskiej rodzinie to nic szczególnego, prawda?

Hypnos zaśmiał się gorzko.

– Ale wiesz co? – dodał Callen, opierając się o ścianę tuż obok niego. – Nie polecam szukać zaginionych rodziców. To czasem prowadzi do... nieciekawych odkryć.

Książę zapatrzył się na blask pochodni. Chciałby znaleźć taki ogień, który odśłoni każdą zagadkę i wskaże każdą drogę.

– Myślałem o tobie – powiedział, jeszcze bardziej zdumiewając chłopaka. – Teraz rozumiem, co czułeś, kiedy tak bardzo upierałeś się, żeby odnaleźć swoje dziedzictwo. Ja myślałem, że znam swoje, ale po tym, co zobaczyłem, zgubiłem drogę. Widziałem już swojego ojca, czułem jego aurę tak, jakby...

Uniósł rękę i zacisnął pięść.

– Jakbym mógł ją pochwycić, wydusić coś z niego. Myślałem, że nie będzie mi zależeć. Ale ta krew... to jest silniejsze. Czułem, że on jest częścią mnie albo ja częścią jego.

– Umiąłbyś go zabić?

– Nie. – Hypnos nie musiał się nawet nad tym zastanawiać. – Nie umiem chyba nikogo zabić. Problem w tym, że poprzysięgłem to zrobić i teraz już sam nie wiem.

– Tak czy inaczej – powiedział Callen, wstając – być może będziesz musiał to zrobić, bo inaczej on zabije ciebie. Poza tym nie przeceniałbym tej całej krwi. Też myślałem, że mi na niej zależy, a potem okazało się, że są ważniejsze rzeczy. Prawdziwa rodzina to ta, którą wybierasz sobie sam, a ta z *krwi* to czasem po prostu banda dupków.

Zaśmiał się.

– Na przykład wy – rzucił. – Fery. Ja na pewno bym sobie nie wybrał takiej rodzinki jak twoja, a jednak jestem w połowie ferem.

– Ale krew *jest* ważna – upierał się Hypnos. – Krew, rodzina, kraina matek i ojców. Poza tym nie poczułeś tego?

– Nie poczułem czego?

– Rzuciliśmy razem czar. Nie udałooby się nam to tak szybko, gdyby pokrewieństwo między ferami się nie liczyło. Jest w nas ta sama magia. Magia, która pochodzi z niej.

Obaj jednocześnie spojrzeli na królową, której wyschnięte ciało zapadało się w białej sukni jak w puchu. Wydawała się słaba, a jednak patrzenie na nią wywoływało rodzaj lęku połączonego z szacunkiem. Ferza krew nadal burzyła się na jej widok, jakby skórę muskała boska obecność.

– Pomożesz mi? – poprosił Hypnos, wyciągając rękę do Callena.

Chłopak się zawahał.

– Tylko bez sztuczek – zastrzegł, wreszcie podając księciu astralną dłoń. Hypnos bez trudu pochwycił gwiazdne palce.

– Spróbujmy się stąd wydostać – powiedział. – Możesz się przenieść?

Chłopak spróbował. Nie udało się.

– Tak jak myślałem – zmartwił się Hypnos. – W takim razie znów musimy połączyć siły. Co ty na to?

– Ja na to, że jak się nie ma wyboru, to robi się, co trzeba – odparł Callen, choć już łagodniejszym tonem.

Hypnos wyciągnął ręce. Astralne dłonie chłopaka nie były gorące jak serca gwiazd. Przypominały raczej chłód morza pod Mostem Śniących – kolejny znak, że Malloway należał do rasy ferów.

Ich magie splotły się ze sobą – coś bardzo ferzego z czymś bardzo ludzkim, tak jak w opowieściach, których świadkiem był Hypnos. Teraz już rozumiał, jak wielka siła kryła się za tym połączeniem.

Naraz obok nich coś się poruszyło. Ich magia wycofała się, robiąc miejsce czemuś większemu. Obaj całkiem otworzyli półprzymknięte

oczy i odwrócili głowy w stronę Astarte. Królowa poruszyła się. Najpierw tylko jej palce zacisnęły się jakby w pośmiertnych drgawkach. Ale nie o śmierć tu chodziło, lecz o życie – życie, które próbowała pochwycić wyschniętymi palcami.

Hypnos i Callen, porażeni widokiem, w pierwszej chwili tylko stali. Nozdrza Hypnosa wypełnił ten sam stęchły zapach, który czuł, leżąc obok królowej, teraz jednak był o wiele mocniejszy i zmieniony, jakby spomiędzy przegniłych płatków zaczął sączyć się świeży, miodowy nektar.

Callen pociągnął nosem. Czuł to, na pewno też to czuł!

To był jakiś niezwykły cud życia rodzącego się ze śmierci. Królowa matka ferów powoli wstała, jej chude ciało wyginało się jak gdyby w tańcu. Suknia zaśniła w blasku pochodni, a czarną, martwą twarz władczyni ożywiły ruchy zeschniętych warg i gałek ocznych białych jak mleko.

Astarte tańczyła. Poruszała się tak, jakby tym tańcem miała stworzyć świat, kłaniała się czterem kierunkom świata, rękoma przywoływała do siebie żywoły. Hypnos nie potrafił oderwać od niej wzroku. Chciał ruszyć w jej stronę, lecz Callen go powstrzymał.

Teraz nie mogli się już ukryć. Królowa spojrzała na nich i hipnotycznym wzrokiem znów zaczęła przyciągać ku sobie księcia.

– *Chodź.* – W jego głowie odezwał się jej głos, piękny jak cudowna pieśń. – *Chodź, moje dziecko. Dokończ rytuał.*

Ogrodnik jęknął i się poruszył.

– *Oddaj mi swoje ciało, napełnij je moim duchem...*

– Nie, co robisz? – Callen coraz gwałtowniej ciągnął Hypnosa za rękę.

Teraz przebudziła się też Leila.

– Rozwiążcie mnie! – warknęła. – Co... co się...

Jej głos po chwili stał się senny. Księżę o nic nie dbał. Jeśli głos Astarte miał być jednym, którego od tej chwili będzie słuchał, niech tak będzie. Jak kiedykolwiek miałyby pragnąć czegoś innego? W jego uszach gasły ciche słowa ogrodnika.

– O pani, moja pani... przebudziłaś się... Wreszcie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Wyrd była teraz taka słaba. Jak bezwładna kukielka opadała w ciemność własnej duszy. Chwytała się strzępów świadomości, byle tylko nie zapaść w sen, w którym znów będzie musiała odkrywać się przed wrogami.

Przeklęta March Sky. Co za ogień w niej płonął, że potrafiła stawić jej czoło i raz po raz zwyciężać?

To twarz tej dziewczyny prześladowała Wyrd, gdy obrazy oderwały się z dna jej wspomnień i wzbiły się w powietrze. Dłużej nie potrafiła z tym walczyć. Myśli zgasły, a ona znów była sobą – taką jak przed setkami lat. Unosiła się nad światem, przeszłość mieniła się blaskiem czystego kryształu. Można było oglądać ją jak obraz. Fragment, który widziała Wyrd, doskonale zapisał się w jej pamięci.

Stała na polu bitwy w świetle ludzi. Przegrała, lecz wojna wciąż się toczyła. Królowa wdychała powietrze pachnące jeszcze krwią i gniewem walczących. Obok niej stał jej najwierniejszy poddany, Khonsu.

– On zaatakuje z pięciu stron – powiedział. – Moce pentagramu są po jego stronie.

– Kapłanki z Jaaru, elphamskie fery, duchy przodków, niemagiczni i czarownice – wyliczała Wyrd, smakując gorycz każdego z tych słów, i w duchu obmyślała już plan zemsty na frakcjach.

– Ale jest ktoś, kogo nie udało mu się pozyskać – dodał Khonsu. – I jeśli to plemię stanie po twojej stronie, wygrasz o wiele więcej niż własne królestwo, pani. Za tymi istotami kroczy sama magia.

– Mówisz o jednorożcach? – spytała z niedowierzaniem. – Ich nigdy nie uda się nam pozyskać. Nie wtrąca się w tę wojnę.

– Och, pani. – Khonsu lekko się uśmiechnął. – Być może już zdecydowały.

Wskazał dłonią jasne niebo. Białe chmury przecięł blask silniejszy od promieni słońca, czyste złoto lejące się na ziemię.

Wyrd wstrzymała oddech. Właśnie tamtego dnia zobaczyła Alogosa po raz pierwszy. Cudowną istotę zstępującą prosto z niebios. Jednorożec w zmienionej postaci, wyglądający jak pozbawiony skrzydeł, wysoki fer. Jego długie włosy skrzyły się w świetle, które obejmowało całą jego sylwetkę. Gdy dotknął ziemi, uśmiechnął się do królowej.

– Brat księcia Kiriana? – spytała.

– Do usług. – Nie uklonił się.

– Słyszałam o tobie. – Zatopiła spojrzenie w jego ciepłej aurze.

– Co o mnie mówią w Aislingen? Że jestem zdrajcą, który wciąż próbuje przechytrzyć swojego brata?

Z jego ust nie zniknął kpiący uśmiech.

– Że jesteś mądry – odparła. – Że sięgasz po to, co ci się należy.

Wyrd wiedziała, że są do siebie podobni. Alogos żądał dla siebie władzy Kiriana tak, jak ona chciała władzy Ishtar.

– Wiesz, dlaczego twój brat wybrał sobie miejsce w świecie ludzi?

– spytał jednorożec.

– Żeby ze mną wygrać – rzuciła z zimnym gniewem. – Żeby stanąć po stronie Ishtar.

Alogos pokręcił głową.

– Jesteś mądra i piękna. – Musnął twarz królowej długimi, delikatnymi palcami. Chętnie otarła policzek o jego miękką skórę. Magia jednorożca ją pociągała. – Ale tej jednej rzeczy nie przemyślałaś dość dobrze.

– Jakiej rzeczy? – Cofnęła się.

– Pamiętasz przepowiednię? – odparł Alogos. – Twoja siostra ją zna, mój brat również. Mówi się, że teraz, gdy Jaar i świat ludzi zaczęły się rozdzielać, należy je połączyć, a ten, kto to zrobi, zostanie obdarzony szczególnym błogosławieństwem Matki Duchów.

- Sądziłam, że chodzi o Elphame, Aislingen i Tir-na-Nog...
- Nie, nie. Odkąd powstała trzecia kraina ferów, Tir-na-Nog, wielu już rozumie, że nie chodzi o połączenie waszych królestw, lecz o coś większego.
- Zatem połączenie światów...
- Jednorożec pokiwał głową.
- Eshkur zwrócił się ku ludziom po to, żeby zostać królem w ich świecie, a skoro ciągle jest królem w Aislingen...
- Przez twarz Wyrd przebiegł zimny dreszcz.
- Jeśli z tobą wygra, zostanie władcą obu światów – powiedział Alogos. – Musisz go powstrzymać, jeśli tylko wiesz jak.
- Ty to wiesz! – odparła. – Inaczej byś się tu nie pojawił.
- Alogos wyciągnął dłoń, jakby zapraszał ją do tańca.
- Pomóżmy sobie nawzajem – zaproponował.
- Wyrd uśmiechnęła się. Mogła jeszcze wygrać wojnę.



Królowa kochała Alogosa tak, jak kocha się księżyc. Gdy zasypiała w jego ramionach, wyszeptywał jej sekrety starych zaklęć jednorożców, jego magia, choć tak silna, że mogłaby zmieniać góry w pył, dla niej była delikatna i pieśczośliwa.

Alogos obiecał dostarczyć Wyrd broń, która może pochłonać jej wrogów. Nie powiedział, skąd ją weźmie ani czym ona jest. Kazał królowej jedynie doprowadzić do kolejnej, ostatniej już bitwy.

Eshkur był silny. Khonsu miał rację, mówiąc, że pentagram jest po jego stronie. Święty pentagram... To było zaklęcie stare jak świat, właściwie to za jego pomocą świat powstał, gdy Matka Duchów przywołała z samej siebie cztery żywioły i ich strażników w czterech kierunkach Jaaru, a potem napełniła przestrzeń swoim duchem. Tę ostatnią, najważniejszą rolę, Eshkur powierzył czarownicom.

– Mówi się o nich, że kroczą zawsze drogą środka – twierdził Khonsu. – To pół ludzie, pół magiczni, odprawiają rytuały o zachodzie słońca, podróżują z jednego świata do innego. Któż lepiej nadałby się do połączenia wielu rzeczy w jedną?

– Nie wiem, kto się do tego nadaje – odparła Wyrd. – Wiem, kto musi to zrobić. *My*.

– Twój brat zdradził naszą magię – ciągnął namiestnik. – Podglądałem go na sabatach, gdzie te czarownice oddają mu cześć. Pokazuje im zaklęcia, które im się nie należą. Wciąż rosną w siłę. Trzeba działać szybko.

Wyrd zacisnęła palce na różdżce, srebro omal nie pękło. Chciała, by wszystko zależało od niej. Teraz jednak musiała zdać się na kogoś innego, a to zawsze wprawiało ją w nerwowość.

– Ufasz mi? – spytał Alogos tuż przed bitwą, którą sama wywołała.

– Ufam. – Wypowiedziała to słowo z ociąganiem.

– W takim razie zacznij i czekaj.

Pierwsza stanęła do walki. Patrzyła na dowódców pięciu frakcji i brata – ona sama przeciwko im wszystkim. Jej wojskami kierowało siedmiu najlepszych dowódców, ale czuła, że w tej bitwie zawsze będzie osamotniona. Bo walczyła przede wszystkim dla samej siebie.

Mrugnęła, jej palec nieznacznie drgnął.

– Do walki! – zawołała.

Rogi Eshkura płonęły żywym ogniem, kiedy król poderwał się ku niebu. Błękit zalała pałaca czerwień, zdawało się, że w górze otworzyły się rany, z których płynęła gęsta krew.

W ferworze walki nie liczyło się nic poza przywoływaniem śmierci. Wyrd igrała z nią, robiąc uniki i wrzucając do śmiertelnego ognia swoich wrogów. Podobnie jak ta bitwa, całe jej życie było ciągłą ofiarą. Musiała zabijać, żeby żyć, zdradzać, by nie zostać zdradzoną. I kruszyć kolejnych władców, by zachować swoje królestwo. Nawet jeśli wśród tych władców był jej brat, jej ukochany.

Ale siły pentagramu były zbyt potężne. Żywioły wirowały w przestrzeni, a ziemia krainy ludzi wybijała rytm, który zagrzewał ich do walki. Eshkur po kolei stawał przeciwko każdemu z aislingeńskich dowódców. Wyrd traciła ich jednego po drugim, lecz nie dlatego, że ginęli. Jej brat przeciągał ich na swoją stronę. Być może bali się jego mocy, być może uznawali, że od teraz muszą służyć jemu. Za nimi ruszyło więcej aislingeńskich ferów.

– Zdrajcy! – Wyrd miotła w nich zaklęciami. – Zdrajcy!

Za największego zdrajcę już prawie uznała Alogosa, który nie zjawiał się mimo obietnicy. Królowa ostatkami sił siekła swoich wrogów, tworzyła zaklęcia, od których trzęsło się całe miasteczko. Potem nazwano je Finfolk.

Siły Wyrd wciąż malały. Gdy wreszcie zjawił się Alogos, na polu bitwy zostali tylko Khonsu i garstka jej najwierniejszych wojowników. Jednorożec płynął przez niebo tak, jak w dniu, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Wyciągnął dłoń ku Wyrd, która wzbiła się w powietrze.

– Gdzie byłeś?! – wrzasnęła.

Przyłożył palec do ust.

– Ta magia potrzebuje ciszy – powiedział.

W rękę trzymał przedmiot owinięty aksamitnym materiałem.

– Czujesz go? – spytał.

Położyła na nim dłoń. Nie potrafiła rozpoznać magii, którą emanował tajemniczy przedmiot. Nie doświadczyła jeszcze takiej mocy. Ręka królowej drżała, jakby spoczęła na czymś świętym.

– Ty decydujesz – powiedział Alogos. – Rozsuń materiał, a każdy tam w dole zginie. Ci, których będziesz chciała ochronić, przeżyją. Ba, nawet umarli wrócą do życia, jeśli tego zapragniesz.

– Ale co to jest? – dopytywała.

– Potęgą. – Aura jednorożca skrzyła się. – Sama czysta potęga.

Wyrd zmarszczyła czoło i spojrzała w dół. Eshkur przyglądał się jej ze zdumieniem. Jego oczy... To były też jej oczy, jakby ich spojrzenia odbijały się jedno w drugim. Po raz pierwszy tak głęboko zrozumiała, jak bardzo stanowili jedność.

– Królowo? – dobiegł ją zaskoczony głos Khonsu. Twarz namiestnika pokrywała ludzka krew. – Królowo?

Ach tak, była królową. Musiała zrobić to, co robią królowe.

Ty decydujesz...

Aura zakrytego przedmiotu opanowywała ją całą, rozjaśniała umysł. Kryły się tam prawdy, których Wyrd nie chciała oglądać. Ten przedmiot... Całe jej ciało go pożałowało, a jednocześnie pragnęła stracić go i więcej na niego nie patrzeć.

Rozchyliła materiał i poraziło ją światło. Próbowwała zamknąć oczy, lecz nawet gdy zacisnęła fizyczne powieki, jej dusza widziała jasno jak nigdy przedtem. Ledwo jednak położyła rękę na przedmiocie, otaczający go blask skurczył się i został przez niego wchłonięty. Wyrd zobaczyła jedynie czarny kamień, całkiem przypominający bryłkę węgla.

Zdumiona mina Alogosa mówiła sama za siebie.

– Nie udało się – jęknęła Wyrd. – To nie działa. Co mi dałeś?!

– Ja nie... Sądziłem...

Rzuciła kamień w dół. Eshkur pofrunął w jego stronę. Pochwycił czarną bryłkę, ale z krzykiem bólu wypuścił ją z rąk. Kamień zawisł w powietrzu, zaczął powoli obracać się wokół własnej osi, a świat naokoło niego przystanął.

Nagle rozległ się trzask i kamień pękł. Rozpadł się na pięć małych kawałków, które pofrunęły w stronę walczących. Ci przyglądali się im ze zdumieniem, aż wreszcie kilku z nich je pochwytiło. Wtedy czerń zaczęła zmieniać barwy, aż stała się kryształem jaśniejącym jak wcześniej.

Eshkur ułożył ręce, jakby próbował złapać w nie promienie słońca. Wzbił się ku niebu, a Wyrd pofrunęła mu na spotkanie. Nie słyszała już odgłosów walki. W uszach pulsowała jej krew, dusza milczała.

Patrzyli sobie w oczy. Żadne nie wiedziało, czy będą walczyć, czy obejmą się w miłosnym uścisku. Miłość i wojna połączyły się w powietrzu, w pustej przestrzeni między dłońmi króla i królowej Aislingen, którzy wyciągali ku sobie palce.

Smoki nie były już związane ogonami, lecz same rzuciły się na siebie. Ogień słońca i mroźna woda walczyły zaciekle. Król i królowa frunęli daleko poza świat, gdy wszystko inne stało się odległe i nieważne, liczyła się tylko ta wojna. Wiwaty pięciu frakcji były odległym pogłosem, który docierał z innej rzeczywistości.

– *Przegrałaś.* – W głowie Wyrd rozbrzmiał głos Eshkura. Jej ciało drżało od niego tak samo jak dawniej. Czuła, że duchy zgromadziły się wokół nich i patrzyły na królewską parę tak, jak gdyby stała się tamtego dnia sercem całego kosmosu.

Królowa zrozumiała, że Eshkur był jedynym. Był jej najniebezpieczniejszym kochankiem. W tej chwili nienawiść była dokładnie tym samym co miłość. W jednym lub w drugim Wyrd musiała się wreszcie spełnić.

– *Wygrałeś wojnę, ale nie o to chodziło* – odparła. – *Oboje chcieliśmy pokonać siebie nawzajem. A na to mam jeszcze szansę.*

Pociągnęła go w stronę Aislingen, do miasta, które miało być krainą ich snów. Użyła całej swojej mocy, nie mogła zostawić ani drobinki magii na później. Odepchnęła ognistego smoka w stronę swojego królestwa, na samo dno Miasta Snów.

Sparaliżowany Eshkur nie mógł się zatrzymać. Jego płonące ciało mogło zniszczyć Aislingen w zderzeniu z krainą, lecz nie doszło do tego, bo wtedy w dniu świata otworzyła się pusta przestrzeń. Ciemność wyciągnęła ramiona, by pochwycić króla. Z ostatnim krzykiem rozpaczy Eshkur wpadł w nią i zniknął.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Wszystko działo się chaotycznie. Hypnos, ogrodnik i Leila mówili niezrozumiałe rzeczy, a martwa królowa wciąż tańczyła jak na zwolnionym filmie, zaklinając przestrzeń. Jej otumaniający zapach roznosił się wokół. Astarte wskazywała palcem też na Callena, próbując przywołać go do siebie.

– Nie jestem twój – powtarzał, stopami zapierając się o ziemię, by nogi nie poprowadziły go ku królowej. Rękę Hypnosa wciąż trzymał w mocnym uścisku. Książę był zbyt słaby, żeby się opierać, ale bez przerwy próbował zmagać się z chłopakiem jak lunatyk kurczowo trzymający się sennej wizji.

– Pani... pani... czy mnie widzisz? – pytał płaczącym głosem ogrodnik, jednak Astarte nie zwróciła na niego uwagi. Mówiła coś w starożytnym języku. Za sprawą jej słów w czterech stronach grobowca coraz silniej jaśniały energie duchów żywiołów. Były inne niż te wzywane przez czarownice. Wydawały się czystsze.

Nagle energie żywiołów zaczęły krążyć wokół nich, tworząc poświatę magicznego kręgu.

– Zrób coś! – Callen szturchnął Leilę. Oczy ferini błędnie ścigały jednak senne wizje, majaczyła słodkim głosem.

Jeśli Astarte zamknie ich w kręgu opieczętowanym jej magią, będą skończeni.

Callen puścił Hypnosa. Nie mógł robić wszystkiego naraz. Teraz musiał walczyć.

Książę podążył ku władczyni. Położyła kościste ręce na jego ramionach, a on zatopił spojrzenie w jej trupiej twarzy. Oblicze Astarte zajaśniało, uśpiona magia królowej wracała.

– Stój! – ryknął Callen, na moment przerywając ten obłąkańczy taniec.

Duchy żywiołów zbladły, twarz Astarte drgnęła w zdumieniu.

– *Rzucasz mi wyzwanie?* – Jej głos odezwał się w chłopaku Echem. Nie płynął z oddali, królowa wyciągała słowa z jego serca, z cząstki samej siebie, którą zaszczepiła w każdym swoim dziecku.

Z trudem utrzymał równowagę, gdy poruszyły nim zaklęcia władczyni.

– Nie jestem ferem, nie jestem ferem – powtarzał.

Zapanował spokój. Callen zamknął oczy, a gdy je otworzył, królowa stała tuż przed nim. Zostawiła w spokoju Hypnosa, który, nadal zaklęty, patrzył na nią z boku, gdy skupiła całą uwagę na Callenie.

– *Nie jesteś ferem?* – Znow ten niezwykły głos. – *A więc czym jesteś?*

– Człowiekiem, człowiekiem – mówił pod nosem.

Nie mógł pokonać władczyni ferów jako fer. Tylko bycie człowiekiem mogło uchronić go przed jej czarem.

– *Ależ tak* – mówiła. – *Czuję cię w sobie. Czuję tysiące pokoleń ferów, każdego z was, który błąka się po szerokim świecie. Ja, matka was wszystkich, zamieszkuję w każdym moim dziecku.*

Callen nie patrzył w jej białe oczy. Dopiero dotyk elektryzującej aury królowej sprawił, że wreszcie uniósł na nią wzrok. Zobaczył miłość – miłość matki do dziecka, przewyciężającą barierę czasu i przestrzeni. Astarte chciała objąć go swoją opiekuńczą aurą, chronić, jak chroniła wszystkie fery. Ale chciała też czegoś więcej. Chciała jego duszy. Wiedział o tym tak, jakby jej pragnienia na moment stały się jego pragnieniami.

Ona nie rozumiała, że to złe. Dla niej takie nie było. Wchłonięcie chłopaka oznaczało przecież tylko jego powrót do domu, do matki.

Ale on miał inną matkę. Lunę.

– *Odejdź.* – Wreszcie zwrócił się wprost do władczyni. – *Nie jestem twój. On też nie będzie.*

Astarte stała w miejscu, lecz jej aura odpłynęła z duszy chłopaka. Ciche słowa wciąż tam jednak pobrzmiwały, teraz wyrażając zdumienie.

– *Nie* – powiedziała spokojnie.

Znów zatańczyła, lecz był to już inny taniec. Ruchy stały się bardziej zdecydowane, duchy żywiołów rozbłysły jeszcze potężniejszą magią.

Callen nie miał wyboru. Nie mógł pozwolić, by Astarte skradła duszę Hypnosa lub Leili. Nie wiedział, co by się stało, gdyby to zrobiła, ale zdawał sobie sprawę, że wtedy wszystko poszłoby już zbyt daleko. Wyciągnął przed siebie dłoń, przywołał moc gwiazd, a wraz z nią wizję kolczyka swojej matki.

Z kolczykiem przyszły inne obrazy. Sklep Selene emanujący tak bardzo ludzkimi czarami; Księżycowy Dom, gdzie jego babka zakłęta w obrazie Luny moc pokoleń czarownic; wreszcie to najbardziej bezpieczne miejsce, pachnące magią zakłęta w maślanych ciastkach i herbacie z mlekiem – Dom Wiedźm. Czuł, że wszystko to jest teraz po jego stronie.

– Wzywam Cleto i Irmę Malloway. – Jego usta wypowiedziały zakłęcie, które przyniosły mu gwiazdy. – Wzywam Lunę i Losnę Williams, wzywam wszystkie czarownice, których magia płynie w mojej duszy. Przybądźcie i stańcie u mego boku.

Były tu. Czuł je nie jako duchy, ale jako części samego siebie, które stały przy nim przez cały ten czas, od urodzenia, przez pobyt w więzieniu, aż do teraz, kiedy wreszcie zdołał zobaczyć je oczami duszy. Kolczyk Luny wylądował w jego dłoni – nie zaledwie kopia astralna, ale prawdziwe złoto, spiralna bogini wiecznie rozwijająca swoje nieskończone ciało. Wszystkie czarownice były teraz nią.

Skierował moc kolczyka na królową, przez co blask poraził jej oczy. Duchy żywiołów wsiąknęły w zimne ściany grobowca, a Astarte upadła.

Chciał ją podtrzymać, bo królowa matka nie zasługiwała na upadek. Rozłożył ręce, a jej ciało wzbiło się w powietrze.

– *Chroń mnie, dziecko* – poprosiła.

Leila jęczała, ogrodnik przeklinał Callena i próbował się do niego doczołgać, lecz więzy krępowwały każdy jego ruch. Hypnos padł na kolana na widok Astarte sunącej w powietrzu z powrotem na ołtarz. Callen położył ją tam spokojnie, widząc, jak w jej oczach gaśnie na krótko rozbudzone życie.

– Nie! – zawył ogrodnik. – To się nie uda! Nie pokonasz mocy, którą jej dałem!

Magia czarownic wciąż tu była. Callen widział bladą rękę – dłoń jego matki – wyciągniętą w jego stronę. Pochwycił ją, lecz nim to zrobił, drugą ręką złapał Hypnosa. Musiał go uratować, jakoś go przenieść, nawet jeśli sam był tu tylko w formie astralnej.

W kolejnej chwili, prowadzeni siłą czarownic, które stanęły u boku chłopaka, wpadli w tunel między światem gwiazd a materią. Hypnos wrzasnął rozdzierająco:

– Nie! To tak nie zadzia...

Jego krzyk się urwał. Ostatnie, co zobaczył Callen, to ciało fera zatapiające się w mroku, a sam poczuł pod plecami twardą podłogę.

Wrócił, ale bez Hypnosa.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Książę opadał w pustkę. W panice próbował się przenieść, ale nie mógł się skupić. W jego głowie wciąż rozbrzmiewały echa słów królowej, nozdrza wypełniało wspomnienie jej zapachu. Wreszcie szepty rozbrzmiały na nowo, utkały miękkie łoże, w którym książę spoczął, pochwycony opiekuńczymi ramionami władczyni.

Astarte nie umarła. Nie mogła umrzeć. Jej zaklęcia drgały tuż przy jego skórze.

Nie, nie. Ostatkiem sił walczył z jej czarami. Wkrótce jednak znów obezwładniła go swoją słodyczą i potem były już tylko słowa, słowa i słowa, coraz więcej tajemniczych zaklęć. Hypnos tonął w nich, dusił się w ich pięknie, ale jednocześnie były skrzydłami, które niosły go przez cały kosmos. Był jak pisklę pochwycone przez szpony matki.

Astarte wyłoniła się z pajęczyny zaklęć tuż przed nim – lśniąca, czarne ciało na tle siwych nici. Znów była piękna i młoda.

– *Żyjesz dzięki mnie* – powiedziała. – *Ja, która jestem jedną z pierwszych duchów, powstrzymałam niebo, by cię nie rozszarpało.*

Wyciągnęła ku niemu rękę. Dotknęła go. Jej skóra była delikatna, a w każdej części jej ciała tańczyły galaktyki.

– *Czy pozwolisz mojej potędze przebudzić się w swoim ciele?* – spytała. – *Byś mógł zachować swoje życie i wypełnić rolę, którą ci powierzono?*

– *Tak.* – Wiedział, co mówi. Teraz właśnie tego chciał. Tutaj nagle więcej zrozumiał.

Astarte złączyła obie dłonie z jego dłońmi. Trwali tak, jakby w tańcu. On był małą duszą, a ona całym światem, ale jedno nie mogło istnieć bez drugiego. Królowa i pszczoła, motyl i pachnący pyłek. Moc władczyni budziła się w nim, w jego kościach, w jego

sercu. Słońca powstawały i gasły gdzieś obok, cały świat wirował w harmonijnym tańcu.

– *Łączysz w sobie piękno ich obojga* – przemówiła znów. – *Tych, których muszę chronić. Mój chaber i moja dalia splotły się znów łodygami właśnie w tobie. Zaprowadzisz mnie do nich, otworzysz portal.*

Przeniosta go z powrotem do grobowca. Leila, wciąż związana, poruszyła się.

– Pani... moja słodka pani – wyjąkała w półśnie.

Ogrodnik zaśmiał się ciężkim, zimnym głosem.

– Nie da się zniszczyć moich zaklęć – powiedział. – Zbyt wielka moc je spaja.

Fizyczne ciało Astarte nadal spoczywało na ołtarzu. Jakim cudem dusza, która była wielka jak sam kosmos, mogła się w nim zmieścić? Królowa pozostawiła je takim. Teraz miała nowe naczynie.

Hypnos spojrział na swoje ręce. Jaśniały błękitem, gdy władczyni łączyła jego moc z własną. To samo działo się z Leilą. Książę upadł obok siostry.

– Dokończ swoje dzieło – rozkazała ogrodnikowi ustami ich obojga.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

– Obudziła się? – zdumiał się Ove. – Królowa Astarte?

Callen siedział na podłodze, oparty plecami o łóżko. Tępo spoglądał na ścianę.

– Tak – jęknął. – W dodatku kiedy próbowałem uratować Hypnosa...

– Próbowalesz go *uratować*? – Czarownik zmarszczył czoło.

Chłopak pokiwał głową. Ciągle pamiętał dotyk wyslizgującej się spod jego palców dłoni księcia.

Ove pochylił się nad nim.

– Pamiętasz, że on doprowadził do śmierci Iseł? – spytał. – Jak dla mnie wszystkie aislingeńskie fery powinny zniknąć z powierzchni ziemi. I March na pewno się ze mną zgodzi.

– Co z nią?

– Ganiałem z jednego pokoju do drugiego – westchnął Ove. – Żeby sprawdzać waszą dwójkę. No, w zasadzie trójkę. Alogos ciągle medytuje jak jakiś dalajlama, a ona... śni. Podobno ma wizje dotyczące tego, co się działo w przeszłości Wyrd, ale czasem wygląda, jakby walczyła. Udało ci się ją zobaczyć?

– Nie – odparł Callen.

Zacisnął usta. Nic nie poszło tak, jak powinno.

– Musimy uratować Hypnosa – stwierdził. – O ile to jeszcze możliwe...

– Uratować? *Ty* chcesz uratować *jego*? Bo...?

– On coś wie. Wyrd wysłała go z... misją. To ma związek z jego ojcem.

Ove przyglądał mu się uważnie, jakby nie był pewien, czy chłopak jest w pełni przytomny.

– A ta królowa... – powiedział. – Ona zaatakowała was *tańcem*?

– Wiem, że to brzmi głupio, ale tak było.

– I jak ją pokonałeś?

– To nie ja – odparł Callen. – To była... moja mama.

Ove zacisnął usta.

– Wiem, że powinienem być delikatny i tak dalej – zaczął – ale...

Czy ty dobrze się czujesz? Twoja mama nie...

– Nie żyje – rzucił Callen. – Właśnie o to chodzi. Wezwałem ją, wezwałem moce wszystkich czarownic, których część mam w sobie, i... to się stało.

Jeszcze raz wrócił myślami do tamtej sceny. Co z tego, że wydarzyła się przed chwilą? Już sam wątpił, że to stało się naprawdę. Ta moc... nigdy jeszcze takiej nie czuł. No i był w astralu, a tam wszystko wydaje się snem.

Ale reszta tych rzeczy nie działała się w świecie astralnym. Zresztą ani Hypnos, ani tamten upiór, ani Astarte nie znajdowali się w ciałach astralnych. Byli materialni, wiedział to.

– To ten kolczyk – powiedział nagle.

– Kolczyk... – zaczął powoli Ove.

– Mojej matki! Pojawił się w mojej ręce, a przecież jest częścią broni, której użyto przeciwko ferom. Dlatego pomógł mi w walce z królową!

Zerwał się z ziemi.

– Jeśli March nadal walczy z Wyrd, już wiemy, co trzeba zrobić!

Pobiegł do pokoju, gdzie leżała dziewczyna. Wpadł tam tak gwałtownie, że unoszący się w powietrzu Alogos natychmiast wylądował na ziemi.

– Co ty wyprawiasz?! – warknął. – Ona walczy!

– Dajcie mi wszystkie, dalej! – zawołał Callen. – Potrzebujemy wszystkich!

Nie czekał, aż jednorożec lub Ove go zrozumieją. Sięgnął po ciemne odłamki broni, leżące na biurku March. Wraz z kolczykiem swojej matki umieścił je w dłoniach dziewczyny. Ta marszczyła czoło

i jęczała coś cicho, bo najwyraźniej zmagala się z Wyrd. Kiedy broń dotknęła jej skóry, Callen miał wrażenie, że wszystko wpadło na właściwe miejsce. Twarz March złagodniała, jej aura stała się mocniejsza.

Patrzył na nią z oczekiwaniem. Wreszcie spłynęła na niego ulga, której nawet nie potrafił sobie wyobrazić.

Otworzyła oczy. Spokojnie, bez zdumienia. Była znów cała i bezpieczna.

– No nie – mruknęła. – A już prawie ją miałam.



– Czyli walczyłaś z Wyrd i znowu wyszłaś z tego cało. – Ove cmoknął z uznaniem. – Jesteś albo bardzo tajemnicza, albo bardzo niebezpieczna.

Kolejny raz siedzieli w salonie. Ogień w kominku trzaskał, a nad stołem fruwały dzbanek i filiżanki. Dziwnie było pić herbatę po tym wszystkim, co się wydarzyło, ale właśnie tego było im trzeba.

– Głównie siedziałam w jej wizjach – powiedziała March. – Przez większość czasu była nieświadoma, ale kiedy się budziła, wściekała się. Po ostatniej wizji, tej, w której zobaczyłam, jak uwięziła Eshkura, stała się naprawdę... słaba.

March wypita ciepłą herbatę jednym haustem. Spędziła poza ciałem może dwie godziny, ale czuła, jakby trwało to tysiące lat – dokładnie tyle, ile zobaczyła w wizjach. Musiała na nowo nauczyć się własnego ciała, a ciepły napój jej w tym pomagał.

Ze wszystkiego, co zobaczyła, to nie same wydarzenia najbardziej ją poruszyły. Mówiła o nich, jakby odczytywała je z kartki. Dopiero to, co zobaczyła na koniec, naprawdę nie mogło jej wyjść z głowy. To nie był obraz z przeszłości, ale widok Wyrd tuż po tym, jak w jej pamięci zajaśniały na nowo wspomnienia ostatniej walki z Eshkurem. Po nim dusza królowej zatoneła w mroku.

Dotychczas March sądziła, że dobrze rozumie Wyrd. Doświadczyła jej nienawiści, jej gniewu, jej podstępnej piękna i trującej słodyczy. Nie sądziła jednak, że władczyni mogła kochać. A przecież kochała. I Eshkura, i Alogosa. Tego pierwszego wciąż nosiła w sercu. Zobaczenie jej takiej sprawiło, że March poczuła z nią bliskość – Wyrd była dokładnie taka sama jak ludzie. Zagubiona w świecie, w którym magia nie mogła rozwiązać każdego problemu.

– Więc – zaczęła znów – po ostatniej wizji zaatakowałam ją, ale potem zaczęła mnie przyciągać jakaś energia.

– Magia broni przeciwko ferom – powiedział Callen. – Włożyłem ci ją w rękę, żeby cię przywołać.

– Może gdybyś dał mi kilka chwil więcej...

– Wątpię. Jeśli odkryłaś jej czułe punkty, na pewno stała się tym bardziej niebezpieczna. Mamy coraz mniej czasu.

– Za to też coraz więcej odpowiedzi – stwierdził Alogos, który unosił się nad fotelem i ze znużeniem patrzył na ich małe herbaciane przyjęcie. – Dotarłaś do rzeczy, o których ja nie wiedziałem. Wszystko może się przydać.

– Czyli – Ove zaczął podsumowywać – przepowiednia, którą znała Ishtar, głosiła, że prawdziwym władcą zostanie ten, który połączy światy. Eshkur uznał, że zrobi to pierwszy, tym samym zdradzając Wyrd. Wyrd próbowała go zabić i...

– Nie próbowała – zaprotestowała March, omal nie rozlewając herbaty, którą na nowo nalał jej czajnik. – Absolutnie nie.

– Ale przecież walczyli... – zaczął powoli Callen.

– Nie na śmierć. Ona by tego nie zrobiła, jestem pewna, bo...

Urwała. Jak miała to powiedzieć, żeby zrozumieli? Chyba nie byli w stanie tego pojąć.

– Bo był dla niej ważny – powiedziała.

Alogos prychnął.

– Nie zabiła go, bo nie może tego zrobić. Złożyli przysięgę, która sprawia, że jedno nigdy nie unicestwi drugiego. To dlatego, że nadali sobie nawzajem swoje tajemne imiona.

Na widok utkwionych w nim spojrzeń dodał:

– Wiem o tym, bo mi powiedziała.

– Ciekaw jestem, o czym jeszcze nam nie mówisz? – Callen przymrużył oczy.

March spokojnie odłożyła filiżankę.

– Na przykład tego, że sam dostarczyłeś jej broń do pokonania frakcji? Tylko że broń zadziałała odwrotnie.

Jednorożec wzruszył ramionami.

– Gdybym chciał zachować to w tajemnicy, to nie pomógłbym ci się dostać do jej głowy, prawda? – odparł. – I uprzedzając kolejne pytania: nie, nie wstydzę się tego. Już mówiłem: wtedy, tak samo jak teraz, działałem dla siebie. Jeśli mi trochę głupio, to tylko dlatego, że postąpiłem pochopnie. Powinienem był wcześniej sprawdzić, co to za przedmiot.

– A co to było? – zaciekawiał się Ove.

– Nadal nie wiem. I przestańcie się na mnie tak gapić. Nie miewam wyrzutów sumienia.

– Użyłeś czegoś, o czym nawet nie miałeś pojęcia? – spytał Callen z niedowierzaniem.

– Miałem *pojęcie*. Wiedziałem, że mój brat ukrywa niezwykle przedmiot. To musiało być coś świętego. Gdyby ten przedmiot posiadały mroczne siły, nie zadziałałyby, ale Wyrd nie należy do *mrocznych* sił. Nie przypuszczałem, że broń obróci się przeciwko nam. Kiedy Wyrd jej dotknęła, moc osłabła. Przedmiot zaczął działać w zgodzie z własną wolą. Widocznie to, co nim sterowało, uznało, że chce wspomagać ludzi, i tyle.

– To był xerion – powiedziała March.

– Już o tym rozmawialiśmy – odparł cicho Ove.

– A ja będę się upierać.

– Ale dlaczego xerion? – spytał Callen.

– Nie umiem powiedzieć. W wizji go nie dotknęłam, ale pamiętam, co poczuła Wyrd. To było tak... tak jakby... Nie wiem, jak to określić. Wydawało mi się, że wszystko jakoś się rozjaśniło, stało

prawdziwsze. Kiedy trzymałam xerion w ręku, czułam się dokładnie tak samo jak ona wtedy.

– Gdyby tylko istniał kryształ alchemików – westchnął Ove.

– Typowi ludzie – prychnął Alogos. – Wydaje wam się, że skoro nie potraficie czegoś osiągnąć w magii, to nie da się tego zrobić. Jednorożce...

– A ty? – przerwał mu czarownik. – Też dotykałeś tego przedmiotu. I co poczułeś? Kryształ alchemików? Twój brat ma coś takiego?

– Mój brat ma różne cuda, o których się wam nie śniło – odparł Alogos. – Ale ja nie dotknąłem tego przedmiotu, był osłonięty. Wykradłem go i, szczerze mówiąc, podejrzewam, że to wszystko zaplanowała Ishtar.

– Ishtar? – zdumiał się Callen.

– Była częstym gościem Kiriana. Podśluchiwałem ich, wiedziałem, gdzie ukryli potężną broń, o której rozmawiali. Potem doszedłem do wniosku, że *pozwolili* mi się o tym dowiedzieć, a ja dałem się nabrać. Zaplanowali to tak, żeby Wyrd sądziła, że wygra.

– A Eshkur? – spytała March. – On też o tym nie wiedział. Dlaczego?

– A dlaczego miał wiedzieć? Przecież nie chciał współpracować z Elphame. Ishtar pozbyła się jednego i drugiego. Właśnie po całej tej sprawie Wyrd odebrano możliwość oglądania złotych sznurów.

– A co stało się z wami? – chciała wiedzieć March. – Wyrd była na ciebie naprawdę wściekła.

Alogos się zaśmiał.

– Ale nadal mnie potrzebowała. Byłem jedną z niewielu magicznych istot, które chciały mieć z nią coś wspólnego. Po tym, jak broń się podzieliła, jej fragment trafił z powrotem do mojego brata.

– I potem znów dałeś go Wyrd? – upewnił się Callen.

– Tak. Żeby mogła go zbadać.

– Ale nie doszła do tego, czym jest ta broń – uznała March. – Gdyby to wiedziała, chyba umiałabym wyciągnąć prawdę z jej

odczuć.

– Kiedy Wyrd stwierdziła, że nie jesteś jej dłużej potrzebny? – Ove spojrział na Alogosa z zaciekawieniem.

– Dopiero kiedy przegrałem z Kirianem – odparł jednorożec. – Uznała, że nie może sobie pozwolić na kolejne walki z władcami Jaaru. Naprawdę, dalej to już nie magia, ale zwykła polityka.

March zerknęła na płomienie w kominku. Kojarzyły jej się z Eshkurem. Ogień, którym płonął tamten fer, był inny niż wszystko, co znała, i wszystko, czego nauczyła się o ferach.

– Czy myślicie, że Eshkur jest jedyną osobą zdolną ją pokonać? – spytała Alogosa.

– On albo ty – odparł.

– Ale przecież nie możemy go przywołać – zauważył Ove, zszokowany pomysłem. – Jeśli ma tak potężną moc, jak mówicie, razem z Wyrd mogliby zniszczyć więcej niż tylko jedną krainę. Poza tym Społeczność by nas za to zabiła.

March zmrużyła oczy, wciąż patrząc w ogień. Wypalał jej myśli, torował ścieżkę do odpowiedzi.

– Sama zbyt długo z nią walczę – zaczęła ostrożnie. – To przypomina jakąś grę. Raz ona wykonuje ruch, raz my. Tym razem chyba przesadziłam, byłam zbyt... zادیorna. Myślę, że kiedy ona znów zaatakuje, użyje każdej mocy, jaką ma. Ja nie jestem dość silna, a Eshkur...

Oczami wyobraźni znów widziała Wyrd kruszejącą niemal jak gliniana figurka.

– On jest jej słabym punktem – powiedziała. – Tak. Musimy go przyzwać, jeśli to tylko możliwe.

– Nawet sama królowa wszystkich ferów by tego nie zrobiła – prychnął Alogos.

Callen się wzdrygnął.

– Coś nie tak? – spytała March.

– N-nie... – Wymienił spojrzenia z Ovem.

– Chodzi o Hypnosa – oświadczył czarownik.

– Hypnosa? A co on ma z tym wspólnego? – zdumiała się March.
Chłopak skarcił czarownika wzrokiem i opowiedział jej o spotkaniu z księciem.

– Ruszyłeś za mną? – westchnęła March. – Przecież ci mówiłam...

– Nie mogłem dać ci zginąć. Gdybym się nie przeniósł, nie wpadłbym na to, że kolczyk mamy może ci pomóc w astralu, a ty dalej walczyłabyś z Wyrd, o ile ciągle byś żyła.

March utkwiała wzrok w jego jaśniejących szmaragdem oczach. Nie chciała mówić tego na głos, ale w rzeczywistości cieszyła się, że po nią poszedł. Tak po prostu. Dobrze było to wiedzieć.

– *Dziękuję* – pomyślała, a myśl popłynęła do Callena, który ją pochwycił.

– *Nie ma za co.*

Alogos opadł na fotel.

– Dobra, ruszajcie się – powiedział. – Jeśli na pewno chcecie rozbudzić Eshkura i igrać z siłą, która może w sekundę spopielić wam tyłki, wszystko wskazuje na to, że właśnie nadszedł najlepszy czas.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Śnieg przestał padać. Teraz skrzył się, pokryty cienką warstwą lodu, pod zimnym, granatowym niebem. Finfolk było spokojne. March, Ove, Callen i Alogos stali w parku, w samym sercu miasteczka, w ciszy wpatrując się w najbardziej tajemnicze drzewo, jakie kiedykolwiek tu rośło.

Było w Finfolk od zawsze. March wiedziała o nim. Opisano je na liście niezwykłych rzeczy i miejsc, o której wspominała jej czasem Isel. Budziło zainteresowanie przyjezdnych, ale mieszkańcy stracili nim zainteresowanie – jak zakłęci, stali się obojętni na wszystko, co magiczne. Nie dało się wyjaśnić jego pochodzenia, odgadnąć gatunku (wiedziano tylko, że to *dziwna odmiana jabłoni*) ani wytłumaczyć, dlaczego nigdy nie rodziło owoców, więc lepiej było się tym nie zajmować.

Alogos podszedł do drzewa, jakby chciał je przytulić. Spod jego rozpostartych dłoni wypłynęła energia, która osiadła na konarze jak złoty pył. March, Callen i Ove ze zdumieniem patrzyli, jak poruszone nią gałęzie po raz pierwszy być może od setek lat zaczynają tak obficie rodzić owoce.

– Nie patrzcie tak, to nic wielkiego – powiedział jednorożec, gdy skończył. – Fery nie mają już nad nim kontroli, więc mogłem przyspieszyć wzrost owoców. Musicie je zjeść, żeby połączyć się z siłą Eshkura.

March przyjrzała się owocom. Były płomieniście pomarańczowe, przypominały trochę kaki, ale o wyrazistszym kolorze.

– Nie otrują nas? – spytała. – Czy ktoś w ogóle je jadł?

– Oczywiście – odparł Alogos. – Dawniej czarownice robiły to chętnie, kiedy jeszcze Wagnany Król chodził między nimi. Potem

fery przeklęły drzewo, ale od czasu do czasu coś tu jednak wyrosło. Nie da się całkiem okiełznać magii ferzego władcy. Te owoce zwiększają moc magiczną. Kiedy Eshkur zniknął, ludzie też ich próbowali, jeśli tylko się im udało, ale nie rozumieli, co działo się z ich ciałami. Ponoć z czasem zaczęto mieć po nich okropne wizje, więc zabroniono ich spożycia.

Wokół drzewa rozciągnięto taśmę i zawieszono tabliczkę z napisem UWAGA! OWOCE MOGĄ BYĆ TOKSYCZNE.

– Okropne wizje? – zaśmiał się Callen. – Nam to chyba niestraszne.

– To zjedzmy je i po sprawie. – Ove wyciągnął rękę po owoc.

– Ty nie – powstrzymał go Alogos. – Wiedzmy zamieszkujące Finfolek jadły te owoce, kiedy, bardzo rzadko, udało się sprawić, że wyrósł jeden czy dwa. Czarownice miały specjalne błogosławieństwo Eshkura. Nie wiemy, jak to podziała na ciebie.

– Och, chyba nie umrę od halucynacji, prawda?

– Nie chodzi o twoją śmierć. Obawiam się raczej, że mógłbyś pokrzyżować nasze plany, gdybyś w wizjach zrobił coś nie tak. Niech oni je zjedzą.

Jednorożec wskazał na Callena i March.

– Ale dlaczego? – upierał się Ove. – Być może im też zaszkodzi...

– Oni są w połowie aislingeńskimi ferami. Mają w sobie magię Eshkura. Ona ich ochroni.

– Oby – mruknęła March, dotykając owocu. To było dziwne uczucie, jakby w środku zimy musnęła kawałek ciepłego lata.

Spojrzała na Callena.

– Czujesz to samo?

Pokiwał głową.

Decyzja była krótka, ale chyba najtrudniejsza, jaką dotąd musieli podjąć.

– Zjemy te owoce i co? – spytał Callen.

– Tego do końca nie wiadomo – odparł Alogos. – Od wielu lat nikt ich nie spożywał.

– Chcesz powiedzieć, że jakoś połączymy się z Wygnanym Królem – drążył Callen. – Ale jak go obudzimy?

– I co będzie potem? – dodała March.

– Co będzie potem? – zaśmiał się jednorożec. – Tego nie możemy przewidzieć. Zjedzenie owoców otworzy was na jego głos, to wszystko. Jeśli pozwolicie mu przemówić i dacie się poprowadzić, przywiedzie was do siebie. Tak sądzę...

Na chwilę zamilkł, po czym dodał śmiertelnie poważnym głosem:

– Znam go słabiej niż Wyrd, ale wiem, że są tacy sami. Tak długo, jak będzie was potrzebował, nie zrobi wam krzywdy. Dopiero gdy zyska tyle mocy, że staniecie się zbędni, przestaniecie go obchodzić. Zróbcie zatem wszystko, by był od was zależny.

– Łatwo powiedzieć – prychnął Callen.

– Być może również łatwo zrobić – uznał Ove. – Gdybyście użyli jego tajemnego imienia, poszłoby łatwiej.

– Nie znamy go – zauważyła March.

– Ale znasz imię Wyrd.

– Przysięgałam...

– Że nie użyjesz go więcej przeciwko *niej*, ale tym razem wykorzystasz je tylko jako groźbę.

– Jest w tym pewna logika – przyznał Alogos. – Jeśli Eshkur dowie się, że poznałaś jej imię, może uwierzyć, że znasz też jego imię. Jak mówiłem, to ona mu je nadała.

Callen potaknął.

– Jeśli będzie uważał, że w każdej chwili możesz go zaatakować i zmusić do czegokolwiek, spełni każdy twój rozkaz.

March wciągnęła mroźne powietrze tak głęboko, że aż zaboląły ją płuca.

– Na co my się znowu porywamy? – zaśmiała się.

A potem jej myśli nawiedziła twarz mamy. Emma spała teraz spokojnie. Elik sir działał cuda. Na razie.

– Jutro zacznie się Imbolc – powiedział Alogos. – Czeka nas teraz ostatnia noc ciemności. Od kolejnego wschodu słońca nic już nie

powstrzyma światła. Sky, postaraj się, żeby było po twojej stronie.

Nie odpowiedziała. Miała wrażenie, że każde słowo będzie brzmiało jak pożegnanie.

Zerwała owoc, a jego ciepło stopiło mroźną aurę otaczającą jej dłoń. Już poprzez skórę czuła słodki miąższ, świeży, dojrzały zapach odgonił zimowy chłód.

Zamknęła oczy. Przez kilka chwil nie istniało nic innego, tylko ona i okrągły, ciepły kształt wpasowujący się w jej palce tak, jakby stworzono go właśnie po to, by mogła go dotknąć – ona, córka ferów i ludzi.

Słyszała bicie swojego serca, gdy zatopiła zęby w owocu. Pulsujący rytm zaczął opadać. Coraz ciszej i coraz wolniej. *Tam, tam... tam.*

Tam.

Koniec.

I nagle jakaś gwiazda, gdzieś daleko w kosmosie, pękła na pół. Ze środka wylała się gorąca lawa, nektar, który spływał wprost do gardła March. Jej umysł uniósł się wysoko ku czarnemu niebu Finfolk, a każdy mięsień w jej ciele napinał się od magii. Wreszcie płomienista moc zaczęła tańczyć w brzuchu dziewczyny.

Usłyszała szept. Podążał w jej stronę z daleka. Nie rozumiała tych słów, ale miała wrażenie, że ją otulają jak czułe zaklęcia.

– *Callen?* – Jej głos popłynął swobodnie. Nie otwierała oczu, bała się, że utraci wtedy wizję.

Chłopak nie odpowiedział. Zamiast tego oplótł palce wokół jej dłoni, dzięki czemu poczuła się bezpieczniej.

– *Słyszysz ten głos?* – spytała. – *To on nas woła?*

– *Wygnany Król* – odparł Callen. – *Musimy się mu poddać.*

Słodycz owocu pulsowała w ich ciałach astralnych, w duszach.

March ścisnęła dłoń chłopaka mocniej i dała się ponieść szeptom. Opadali na dno wszechświata, robiło się coraz zimniej. Kosmiczna wichura zaczęła trząść planetami, lodowate kropelki wody na wylot przecinały gwiazdne ciała March i Callena.

Gwałtownie otworzyła oczy, gdy usłyszała ryk. Potężny jak niekończące się grzmoty, dobiegał zewsząd.

– Co to jest?! – wrzasnął Callen.

March ledwo go usłyszała. Wokół nich wirowała woda, zupełnie jakby znaleźli się w samym sercu huraganu. Potężne ściany skłębionego, czarnego morza otoczyły ich szczelnym pierścieniem, nieustanna kaskada tysięcy huczących wodospadów zagłuszała ich Echo. Ściskali się wciąż za ręce, naiwnie wierząc, że bliskość może ich uchronić przed tą potęgą.

March uświadomiła sobie, że to nie sama woda grzmiąca w ten sposób. Pod jej wciąż marszczącą się taflą przebiegał jakiś kształt. Najpierw przypominał świetlisty łańcuch, potem niegasnący płomień uwięziony w lodowatym morzu. To był smok – ognisty smok Eshkura, którego poznała w wizjach.

Nagle złapała się za brzuch. Coś ścisnęło jej wnętrzności. Padła na kolana.

– Co się dzieje?! – Callen pochylał się nad nią i krzyczał prawie do jej ucha.

Nie mogła odpowiedzieć. Ból był zbyt silny, smoczy płomień krążył w jej ciele tak samo jak wokół niej. Bliskość, którą z nim czuła, była ciągłym cierpieniem.

Krzyczała. Całym ciałem uwalniała swoją magię. Wreszcie dotarła do tajemniczy rany, którą nosiła od dzieciństwa. Miejsce jej mocy było miejscem jej słabości, musiała cierpieć, by ją wyzwolić.

Ryczący smok jej nie ranił. Dzielił się z nią tylko swoim cierpieniem. W tej chwili zrozumiała, że zna go od zawsze – tak jak zna się własne ciało. I wiedziała już, że to on, opuszczony w dalekim kosmosie, przez cały ten czas napełniał ją magią, która pozwalała jej dotrwać aż do tego momentu.

– *Pomóż mi* – zwrócił się do niej. – *Pomóż mi tak, jak ja pomagałem tobie.*

Dłonie Callena zatapiały się w jej aurze. Chciał ją uzdrowić, ale nie mogła przyjąć do siebie żadnej energii poza tą, która przenikała ją aż

po szpik astralnych kości.

Wiedziała, co musi zrobić dla Eshkura. Z wysiłkiem, który niemal rozsadzał ją w proch, podniosła się i rozłożyła ręce.

– Co robisz?! – Głos Callena był tylko urywanym dźwiękiem w nieprzerwanym huraganie.

Smok uzdrawiał jej ranę, a ona musiała uzdrowić jego. Promienie ze słońca w jej brzuchu wystrzeliwały do niego i wędrowały ku jego sercu.

Gwałtowny taniec Eshkura ustał, gdy smok pobierał energię łagodzącą jego nieprzerwany ból.

Wokół zaczęło cichnąć. Gniew i cierpienie smoka ustały, woda zamarła w oczekiwaniu, pokryta cienkim, delikatnym lodem. Potem dało się słyszeć pęknięcie.

– Uwaga! – Callen zasłonił March i oboje skulili się, gdy z góry zaczęły spadać na nich odłamki lodu. W powietrzu zamieniały się jednak w miękki śnieg, cały ocean topniał w oczach, tworząc wokół białą polanę.

Chłopak zwrócił zdumioną twarz ku niebu, na którym odległe słońce tworzyło bladą poświatę.

– Koszmary? – Zadrzał. – Uwięzili nas w koszmarach?

– To nie złudzenie – odparła March, prostując się. Już nic jej nie bolało. – To znaczy, nie wydaje mi się...

Śnieg mienił się w delikatnym świetle. Wszędzie, gdzie dało się sięgnąć wzrokiem, widać było tylko biel, biel, biel. Totalna, biała pustka.

– Już go nie słyszę – powiedział Callen. Jego astralne ciało oplatała szmaragdowa otoczka.

March dotknęła brzucha i skupiła uwagę.

– A ja tak – powiedziała.

To nie był głos, raczej samo poczucie obecności Eshkura – w ciele i umyśle. Jej skóra aż drżała na myśl o tym, że Wygnany Król gdzieś tu jest. Wciąż wzywał ją do siebie.

– Chodźmy – powiedziała.

Przypominało to trochę uczucie, gdy przyciągała ją ku sobie Wyrd. Tym razem jednak było delikatniej. March szła przed siebie pewnym krokiem, śnieg trzeszczał pod jej stopami. Callen wciąż się rozglądał. Śnieg ciągle sypał się z nieba, przysłaniając widok. Robiło się zimniej. Wreszcie podniosła się mgła, a w niej odezwał się cichy oddech, ostatnie tchnienia oceanu, który więził Wygnanego Króla. Nawet kiedy mgła zgęstniała na tyle, że nie dało się zobaczyć w niej własnych dłoni, March nie zwalniała kroku. Jej brzuch spokojnie pulsował słoneczną magią.

– Mówi do ciebie? – spytał Callen.

– Nie. On po prostu tu jest.

Gdy to powiedziała, mgłę przecięły blade promienie, cienkie łańcuszki złota. Szatkowały ją, aż wreszcie całkiem się rozproszyła, ukazując ich oczom ciemną sylwetkę.

March drgnęła. Callen jęknął. Wygnany Król siedział wśród śniegu ze skrzyżowanymi nogami, z dłońmi położonymi na kolanach. Plecy miał wyprostowane, splątane poroże wyrastało z jego głowy jak korona, której nikt nie mógł zedrzeć. Był na tyle daleko, że jego ciało przypominało wyłącznie cień, a jednak bijąca od niego potęga wydawała się niezaprzeczalna.

Szli w jego kierunku coraz ostrożniej. Nie dawał po sobie poznać, że ich wyczuł. Z każdym ich krokiem widzieli go wyraźniej. Jego płomienista skóra nie straciła blasku. Pokrywały ją ciemne tatuaże. Muskularne ramiona Eshkura unosiły się i opadały, gdy oddychał powoli.

March i Callen stanęli tuż przed nim. Magia płynąca z jego pięknego ciała była tak potężna, że długo byli nią sparaliżowani.

– *Myślisz, że nas widzi?* – spytał Callen Echem cichszym od szeptu. – *Że w ogóle nas czuje?*

Wtedy Wygnany Król otworzył oczy. Zapłonęły w nich serca najgorętszych gwiazd.

– Widzę – odparł głębokim głosem. – Czuję.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

March i Callen się cofnęli, a grunt pod ich stopami zadrżał. Wciąż niepewnie wpatrywali się w Wygnanego Króla. Jego spojrzenie było łagodne, ale pełne siły i dumy. Nie wiedzieli, czy patrzył na nich, czy w dal. Ogień płonący w jego oczach był chaosem płomieni i mroku.

Czekali. Callen muskał March już samymi opuszkami palców, jego aura pulsowała.

Eshkur powoli przejechał językiem po wargach. Na nowo odnajdywał swoje ciało, zdawało się, że go kosztuje. Jeśli tak było, jego smak musiał mu się podobać, bo król uśmiechnął się sam do siebie.

– Wreszcie – przemówił.

Powoli poruszył szyją. Każdy jego ruch był przemyślany, nawet drżenie palców. Ogień zwężił się w jego źrenicach, gdy władca skierował spojrzenie na March.

– Długo do mnie szłaś – powiedział. – Ale to jeszcze nie kres twojej drogi.

Nie wiedziała już, czy czuje strach, czy coś innego – coś, czego nie potrafiła nazwać. W wizjach Eshkur pociągał ją swoją magią, teraz, całkiem prawdziwy, był jeszcze bardziej nęcący i niezwykły.

Wstał. Jego cień wypalił się na śniegu.

March wreszcie odważyła się odezwać.

– Przychodzimy, żeby... żebyś... – wyjąkała.

– Pomógl nam w walce z Wyrd – dokończył za nią Callen. – Twoją siostrą.

Eshkur skinął głową.

– Moją siostrą – odparł krótko.

– Chcemy, żebyś ją pokonał – dodała March. – Nieważne, w jaki sposób. Zagroza nam, a wiemy, że poza tobą nikt nie jest w stanie się z nią równać.

– Nikt poza mną – odpowiedział Wagnany Król tak, że trudno było odgadnąć, czy potwierdza te słowa, czy się nad nimi zastanawia.

Przez dłuższy czas trwał w milczeniu. Wreszcie spytał:

– Co potem?

Callen i March wymienili spojrzenia.

– Wiem, czego oczekujecie – dodał Eshkur kamiennym tonem. – Wiem, jak pokonać moją siostrę. Wiem wiele rzeczy, zatem...

Uniósł palec. Płatki śniegu oblepiły mu dłoń i zaczęły topnieć, po czym spłynęły po jego ręce koślawymi strugami.

– Zatem skoro tyle wiem – ciągnął – to pociągają mnie te rzeczy, które są dla mnie jeszcze zagadką. Pytam więc: co potem? Co, jeśli wam pomogę? A co, jeśli tego nie zrobię?

March przełknęła ślinę.

– Ostrzegamy cię, że...

Król przerwał jej gromkim śmiechem. Śmiał się długo i prawdziwie. Śnieg wirował, niesiony jego głosem.

March przyłgnęła ramieniem do Callena. Teraz się bała.

– Wy mnie ostrzegacie? – spytał Eshkur, wciąż rozbawiony.

Dziewczyna czekała z zaciśniętymi ustami. Gdy skończył, szeptem wypowiedziała tajemne imię Wyrd. Eshkur skrzywił się na dźwięk imienia, nie był jednak zdumiony.

– Pozwólcie, że wyjaśnię ci, skąd się tu wzięłaś, March Sky – powiedział. – Jesteś tu tylko dlatego, że tego chciałem. Słyszałaś smoka, prawda? Czowałaś to, co przekazał ci swoim rykiem, swoją magią? Ja też. Bo ten smok to moja dusza. Wiesz, że towarzyszyła ci, odkąd wkroczyłaś na ścieżkę czarownic, wiesz też, że była przy tobie od samego początku.

Patrzył na nią, blaskiem swojego ognia uwydatniając każdą jej myśl i słabość.

– Myślisz, że nie wiem, jak pokonałaś moją siostrę? Byłem przy tym. Przy każdym twoim ruchu. Jak inaczej mogłabyś poznać jej imię, jeśli nie przeze mnie, gdy wyszeptalem ci je w snach?

– To nieprawda – zaczęła. – Poznałam je...

– Dzięki Milczeniu, potworowi mojej siostry, wiem. Ale chyba nie sądzisz, że Wyrd stworzyła go sama? Milczenie znało nie tylko jej imię, ale też moje... którego nie znasz.

Wytrącił jej z ręki jedyną broń.

– I nie poznasz – dodał – jeśli na to nie zasłużysz. A zasłużysz, stając po mojej stronie i wykonując plan do końca, tak jak sobie tego zażyczę.

Potem spojrzął na Callena, by zbadać jego moc.

– Ty jesteś upartym ferem – powiedział. – To dobrze. Nie planowałem, żebyś tu przyszedł, ale nie przeszkadzasz mi, skoro mogę prosić cię, abys stanął u mojego boku.

Pokiwał głową. Znów się zaśmiał, patrząc na nich ze zwycięską miną.

– Przychodźcie tu, żeby prosić mnie o wypełnienie waszego planu. Ale wasz plan jest tylko najbardziej misterną częścią mojego.

Jego klatka piersiowa uniosła się, gdy wciągał mroźne powietrze. Gdy je wypuścił, zrobiło się cieplej.

– Czekałem tak długo...

Wyciągnął rękę w ich stronę. March od razu chciała ją pochwycić, jakby jakaś częśćka niej zadziałała instynktownie. Powstrzymała się jednak. Callen też pozostał niechętny.

– Wynagrodzę was. Przewidziałem dla was rolę wykraczającą daleko poza cokolwiek, co mogliście sobie wyobrazić. Fery... *ferianie*... tak was nazywają. Fery i ludzie w jednym, na należnym im miejscu, o które przecież walczyłeś, prawda, Callenie Isinbirze Mallowayu?

Chłopak nie odpowiedział, tylko nieufnie wpatrywał się we władcę.

– Nie przeszkadzają mi ludzie – zapewnił Eshkur. – Z czasem nauczyłem się ich kochać. Niektórych z nich. Od początku

pokładałem w ich rasie nadzieję i proszę, pół ludzkie, pół ferze istoty przyszły wreszcie, by mnie wyzwolić. Ale dość już o tym. Skoro mamy zacząć, zacznijmy.

Rozprostował rękę, jakby wydawał rozkaz niewidzialnej sile. Powietrze zatrzeszczało, śnieg zamieniał się w deszcz, aż wreszcie ustał. Pod stopami March i Callena zaczęły tworzyć się kałuże. Dziewczyna przeraziła się, że ocean odżyje i zatona w nim, ale woda była płytka, pod nią widniała ciemna gleba.

A potem narodziła się wiosna. Była w powietrzu, choć jeszcze nie dało się jej zobaczyć. Zapach zielonych, wilgotnych pędów unoszących małe główki, słodczych kwiatów, które jeszcze nie powstały ze świeżych pąków, wypełnił całą przestrzeń.

Twarz Eshkura miała błogi wyraz. Król unosił teraz obie ręce, dyrygując zmianami w naturze.

Ziemia zadrżała. Ziarna wypuszczały rozległe korzenie. Grunt pękał, kiedy rośliny wystrzeliwały z niego i wznosiły się ku niebu. Callen odskoczył, gdy tuż pod jego stopami pojawiły się gałązki. Zdumiona March obracała się wolno wokół własnej osi. Młode drzewa w mgnieniu oka rozpościerały gałęzie, a w kolejnej chwili ich pnie były grube i potężne. Słońce zajaśniało ognistym złotem, wraz z jego promieniami nad tworzonym przez Eshkura światem rozlał się soczysty błękit.

Zima była tylko wspomnieniem o dawnym koszmarze. Wiosna też zgasła. Przyszło lato. Wokół March i Callena rozkwitł las – rozległy i pradawny, przeniesiony tu wprost z serca Wygnanego Króla.

– Żaden człowiek nie stąpał po tej dziewiczej puszczy – oznajmił Eshkur. Jego głos brzmiał łagodnie jak śpiew ptaków. – Wy pierwsi widzicie moją krainę.

– Gdzie... gdzie my właściwie jesteśmy? – spytał Callen. Na jego włosach usiadł błękitny motyl.

– Nie poznajesz tego miejsca? – Król udał zdumionego. – Przecież ciągle do niego dążyłeś.

Chłopak otworzył szeroko oczy.

– To Aislingen – powiedział. – Dno świata. My...

Zgubił słowa.

– Aislingen? – odparła March. – Więc nie jesteśmy w świecie astralnym?

– Miasto Snów zawsze znajdowało się na pograniczu – oznajmił Eshkur. – Na pograniczu gwiazd i kamienia. Przeniosłem tu wasze ciała, delikatnie i spokojnie.

March dotknęła swoich rąk. Jej skóra była fizyczna, stopy naprawdę dotykały materialnej ziemi.

– Dno świata – wydusił Callen. – Trafiliśmy w wir, który odkryli Leila i Khonsu!

Król potaknął.

– Studnia koszmarów – powiedział. – Dawno temu moja siostra uwięziła tu moją moc, tuż pod głęboką ziemią naszej krainy. Wydrążony w niej tunel to studnia bez dna. Przenika Aislingen na wylot. Jeden otwór znajduje się w *górze*, gdzie rządzi moja siostra, a drugi, ten, który próbowała przed wszystkimi ukryć i do którego sama obawiała się zbliżyć, widziałeś zapewne ty, chłopcze.

– Tak, to było...

– Straszne? – Głos Eshkura pozostawał całkiem spokojny. – Z pewnością. To serce koszmarów. Dręczyła mnie nimi, ale doskonale wiedziała, że moje koszmary są jej koszmarami. Dlatego nie mogła pozwolić się im uwolnić. Bała się, że gdy zaleją świat, nie będzie już odwrotu i...

Król uśmiechnął się do ptaka, który osiadł na gałęzi obok niego.

– I miała rację – dokończył. – Zapomniała, że jedyna różnica między światem w *górze* a jego dnem zależy od tego, gdzie się znajdujesz. Wyrd żyła w świecie słońca, a ja w ciągłej nocy. Ale to ja noszę w sobie moc słońca. I skoro już przywołałem je tutaj, pora zamienić dzień i noc miejscami.

– Nie – dobiegł ich głos spomiędzy drzew. Jednocześnie odwrócili głowy.

March zobaczyła Hypnosa, ale miała wrażenie, że wcale nie patrzy na niego. Jej żołądek uniósł się w okolice serca. W jej brzuchu znów wybuchła magia, tak jakby jej wewnętrzne słońce pękło i rozlało po całym ciele słodycz krainy ferów.

Sylwetka księcia migotała. Zapach, który wokół siebie roztaczał, był znajomy.

– Więc jesteś – powiedział Eshkur. – Przyszedłeś dokończyć swoją misję?

Brązowa skóra księcia zdawała się jaśnieć.

– To nie on – szepnęła March. – To nie on.

– Co ty mówisz? – zdumiał się Callen.

– Coś w nim jest. Coś... innego.

Hypnos stanął naprzeciwko ojca. Usta księcia poruszyły się nieznacznie, lecz March usłyszała, co powiedział.

– Mój ferze. Moje piękne dziecię.

To nie był jego głos. To Astarte przez niego przemawiała.

Ale czar jej piękna przysł, gdy naraz z piersi Hypnosa dobył się wrzask. Ciało księcia opanowały drgawki. Zdawało się, że pod jego skórą porusza się moc próbująca go rozerwać. Jedną rękę wyciągał przed siebie, drugą zaciskał na jej przegubie, próbując powstrzymać cios. Zapierał się nogami. Jego oczy nabrzmiały, z trudem łapał powietrze.

Eshkur cofnął się, zdumiony.

– Hypnos? – March ostrożnie podeszła do księcia. Jego oczy próbowały coś jej powiedzieć, ale nie miał kontroli nad ciałem.

Nagle ryknął jeszcze głośniej i rzucił się na Eshkura. Magia ich ciał wybuchła, zalewając przestrzeń ogniem słońca i gwałtownym wodospadem. Aurami Wygnanego Króla i Wyrd.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Hypnos nie chciał atakować ojca. Sprzeczne rozkazy targały jego ciałem. Widział matkę na rozległej polanie, przy studni, którą mu pokazała, nim wyruszył w tę podróż.

– *Musisz zniszczyć swojego ojca* – mówiła Wyrd.

– *Chroń moje dziecię!* – wołała skryta w jego duszy Astarte.

Wszystkie żyły w jego ciele parzyły, krew zamieniła się w ogień. Rozczapierał palce tak bardzo, że pękała mu skóra. Walczył z ojcem i z samym sobą. Z pragnieniem, żeby go zabić. Z pragnieniem, żeby go poznać.

Nie wiedział, co robi. Obrazy migwały mu przed oczami. Ktoś uderzył go w plecy, magia siekła jego skórę. Nieważne, jak była potężna, z łatwością ją z siebie strząsał.

Nie istniało dla niego nic oprócz płonących oczu Wygnanego Króla. Twarz władcy stężała, gdy zrozumiał, że syn ma dość magii, by go pokonać.

Hypnos nie mógł się cofnąć. Inaczej sam by zginął. Złożył obietnicę. Wcześniej sądził, że decyzja była po jego stronie, że zawsze mógł zdradzić matkę i wybrać śmierć. Teraz jednak każdy najmniejszy fragment jego ciała buntował się przeciwko możliwości śmierci, buchająca wola życia panicznie walczyła o przetrwanie. Nie mógł umrzeć. Kraina go potrzebowała, on sam chciał żyć.

– *Zniszcz go!* – Wyrd przemawiała jakby do jego ucha. Jej magia szarpała jego kończynami. Kto walczył? On czy matka?

Wygnany Król to rozumiał. Kiedy ścisnął szyję syna, w oczach Hypnosa z pewnością nie zobaczył niczego poza ametystowym blaskiem Aislingen.

– Widzisz? – Usta księcia przemówiły głosem Wyrd. – Nic nie mogło cię zabić, jedynie magia z twojej magii. A ja ją przechowywałam. Stworzyłam setki dzieci, by mieć armię, która cię zmiążdży.

Eshkur patrzył na niego zdumiony. Poluzował ucisk, a do głowy Hypnosa znów dostały się inne głosy. Żaden jednak nie był na tyle silny, by wyzwolić go spod czarów matki.

– Myślałeś, że będzie rządził ten, który połączy świat ludzi z Jaarem? – Słowa wciąż cisnęły się na usta księcia. Jego ciało brutalnie atakowało ojca, a myśli ledwo skupiały się na tym, co przekazywała Wyrd. – Ale mnie nie obchodził świat ludzi ani Jaar. Wiedziałaś o tym od początku. Obchodziło mnie tylko to, co mogłam mieć, nie puste mrzonki o władzy nad światem. Dla mnie dwa światy to ty i ja. A zostanę tylko ja.

Eshkur odepchnął Hypnosa tylko po to, by księżę, zmuszony magią matki, rzucił się na niego jeszcze raz.

– Wiesz już, czym są dwie moce? – spytała Wyrd, każąc Hypnosowi zacisnąć dłonie na szyi ojca. – To ja i ty. Dwa smoki ciągle związane ogonami. Połączyłam nasze magie w jedno ciało. W jego ciało.

Nie! – chciał wołać księżę. Więc urodził się tylko po to, by ostatecznie zabić własnego ojca?

Z ciała Hypnosa sączył się ametystowy blask. To Wyrd tworzyła wokół niego i Eshkura ochronny kokon, by nikt nie mógł wtrącić się do ich bitwy.

– Potrzebowałam syna – mówiła dalej. – Bo zgodnie z prawdą, której nigdy nie chciałeś zaakceptować, to ferinie, nie fery, rządzą naszymi krainami.

– Syn nie mógłby ci zagrozić – wycedził król, z całych sił przewracając księcia na plecy i trzymając jego ręce. – Dlaczego więc dawno temu wybrałaś córkę?

Hypnos drgnął, gdy udzieliło mu się zdumienie matki.

– Myślisz, że nie wiedziałem? – Eshkur wykorzystał przewagę i jeszcze mocniej zacisnął palce na przegubach syna, paraliżując go magią. – Odkryłem twój plan łączenia naszych mocy, gdy wysłałaś swoją córkę... *naszą* córkę do Finfolk.

Obrazy wtoczyły się do głowy księcia. Zobaczył ferinię przywiązaną do kamiennego ołtarza, ludzie gromadzili się wokół niej. Zabili ją, złożyli w ofierze bestii mieszkającej w finfolkskim lesie.

– To ja obudziłem w nich potwora – powiedział król. – Ludzie z Finfolk nigdy nie zapomnieli o mojej magii, iskra mojej mocy zawsze była obecna w ich duszach. Sądysz, że mogłabyś zamknąć mnie w więzieniu tak, bym nie potrafił się z niego wyzwolić? Nie bądź głupia, Wyrd! Dobrze znasz moją moc, bo to twoja moc.

Uśmiechnął się.

– *Umysł* – powiedział. – Podróżowałem do Finfolk w umyśle. To dzięki mnie potomkowie pięciu frakcji przypominali sobie o wszystkich wydarzeniach, w snach i wizjach. Nieświadomie ryli tę pamięć na swoich budynkach i w rzeźbach. Wreszcie to ja wywołałem bestię, by zniszczyć twój plan. Sądziłaś, że sama ją stworzyłaś, ale to ja miałem nad nią kontrolę! W jaju, z którego się narodziła, zaklęte było twoje imię, ale *twoje* imię i *moje* imię są ze sobą połączone, więc od początku mogłem wykorzystywać bestię.

– Ty... – Wyrd osłabła. – Ty zabiłeś... *naszą* córkę.

– Cóż – odparł chłodno Eshkur – na to wygląda. Nie wiedziałem wtedy, kim była. Wiedziałem tyle, że miałaś plan, by wysłać ją do świata ludzi i uczynić z niej królową Finfolk, połączyć dwa światy, kiedy mnie się to nie udało. Dopiero potem zrozumiałem, że ona nosiła w sobie też moją magię. Potwór wchłonął ją, ale jej nie zniszczył. Jej imię, które skazałaś na zapomnienie po swojej porażce, jest teraz jego imieniem, wzmocnionym i potężniejszym.

Wyrd spróbowała poruszyć rękoma Hypnosa, ale wciąż była zbyt słaba.

– Ale potem obmyśliłaś inny plan – ciągnął władca. – Zamiast córki wysłałaś syna. Bo córka mogłaby pozbawić cię władzy, a syn, jak

sądzisz, nie...

– Syn rządziłby u mego boku – przyznała Wyrd. – Prawowity król obok prawowitej królowej. Miałyby w sobie twoją magię, której mi brakowało. W jego ciele połączyłyby się światy, już na zawsze. I tak będzie.

Całą magią, jaką miała, zmusiła Hypnosa do walki. Książę mechanicznie poruszał rękoma, kopał, zaciskał pięści. Fizycznymi oczami nadal widział płomienie aury ojca i słońce nad jego zieloną krainą, w jego duszę wlewała się jednak czarna woda.

– *Matko* – zdołał wydusić Echem. – *Jestem tylko twoim narzędziem?*

– *Uczynię cię królem Aislingen* – odparła. – *Czego więcej można chcieć? Całego świata?! Czego byś chciał?*

Poczuł, jak przez jego serce ciągnie się rysa. Wyrd stworzyła go, żeby spełnił jej ambicję, żeby zemścił się na Wygnanym Królu, żeby objął po niej tron. Ale nie z jedyne go powodu, dla którego każda królowa ferów powinna tworzyć swoje dzieci. Nie z jedyne go powodu, dla którego Matka Duchów stworzyła świat.

Już nie wiedział, co robią jego ręce. Być może dalej atakowały, być może nie. Jego oczy patrzyły w pustkę, a myśli tonęły w mroku.

– *Czego można chcieć?* – spytał słabo. – *Być może twojej miłości...*

Odpuścił. Wybrał śmierć.

Ktoś pochwycił go, gdy z prędkością światła opadał na dno otchłani głębszej niż studnia koszmarów. Jasne oczy Astarte błysnęły w ciemności.

– *Nie, moje dziecko* – przemówiła królowa. – *Nie pozwolę ci umrzeć. Są moce silniejsze od tej, której przysięgałeś.*

Pochwyciła go i przeprowadziła z powrotem przez ciemność. Gwałtownie otworzył usta, wyswobodzony z wpływu Wyrd. Oddychał głęboko i szybko.

March i Callen stali jak wryci, Eshkur badał go przenikliwie. Książę wręcz czuł, jak jego usta wibrują od słów, które powinien

wypowiedzieć. Patrzyli na siebie jednak w milczeniu, aż wreszcie Wygnany Król odwrócił się ku niebu i powiedział:

– Ona już wie. Szykuje wojska. Zwołajmy nasze.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Emma Sky się obudziła – z jednego i drugiego snu. Pierwszy, krótki i płytki, spłynął z jej oczu i z ciała. Drugi, dłuższy od setek zimowych nocy, stopił w jej umyśle łańcuchy, którymi związała ją wiele lat temu Wyrd.

Emma powoli opuściła łóżko i otworzyła okno. Stała na parapecie i z rozpostartymi rękoma zwróciła się do gwiazd. Na ciemnym niebie zajaśniały blade punkciki, które wraz ze śniegiem opadały na dłonie kobiety, rozlewając się po nich srebrnym blaskiem.

Wiele sobie przypomniła. Wróciła do niej każda tajemnica, którą Wyrd wydarła z niej dawno temu, nim zamknęła jej umysł w szaleństwie splątanych myśli. Wrócił również ten najważniejszy sekret, którego władczyni Aislingen jeszcze nie poznała.

Emma zrobiła krok naprzód i skoczyła, ale tylko jej ciało upadło. Ona na niewidzialnych skrzydłach wzleciała ku niebu. Chwilę zajęło jej trafienie z powrotem na ścieżkę wśród gwiazd. Tak długo nią nie chadzała...

Uśmiechnęła się do siebie, kiedy odnalazła znajomy rytm. Po chwili pędziła już przed siebie, gwiazdny pył wzbijał się pod jej stopami jak kurz. Sięgnęła po magię. Otuliła nią swoje astralne ciało, by je odmłodzić, potem stworzyła dla siebie wysokie buty i ciemny, luźny kombinezon, wygodny i pachnący przygodą.

Dobrze było znów tu być. Znów być taką, jaką była wtedy, gdy po raz pierwszy poznała czary.

Teraz wszystko sobie przypominała. Wróciła myślami do przeszłości, by opowiedzieć sobie tę historię od nowa.

A potem dopisać zakończenie.



– Kim jesteś i co tu robisz?

Męski głos odbił się od ciemnych ścian. Błękitny blask kręgu oślepił jej oczy, gdy magicznie zerwano z nich przepaskę. Krąg był zaklęty, musiała mówić w nim jedynie prawdę i choć próbowała walczyć z własnymi ustami, i tak rzuciła:

– Emma Sky.

– Nielegalna wiedźma – rozbrzmiał kolejny, kobiecy głos.

Rozległy się kroki i do kręgu wkroczyła czarnoskóra czarownica w błyszczącej sukni. Amara Kalu, najważniejsza osobistość brytyjskiej Rady Wiedźm. Patrzyła na związaną Emmę łagodnym wzrokiem, uśmiechała się, jakby w rzeczywistości ceniła sobie jej buntowniczą naturę. Machnęła ręką, a w powietrzu pofrunęło ku niej krzesło. Stało naprzeciwko więźniarki.

– Zdajesz sobie sprawę, że od dwustu lat prawo nakazuje rejestrować każdą czarownicę? – spytała, siadając.

– Prawo jest niesprawiedliwe – odparła Emma.

Był rok 1922. Społeczność praktykowała w głębokiej konspiracji – w Wielkiej Brytanii wciąż obowiązywały prawa antymagiczne, mimo że prawie nikt już nie wierzył w czary.

Ale Emma wierzyła, bo zobaczyła je na własne oczy. Odwiedzała wtedy Ffolk. Jako początkująca dziennikarka przygotowywała artykuł o szkockich miasteczkach idealnych na wakacje. Jak zwykle szukała czegoś, od czego mogłaby zacząć, a tamto drzewo samo zdawało się ją przyciągać.

– Rzadko rodzi owoce, zupełnie jakby coś je przeklęto – powiedziała jej jakaś kobieta. – Na nas nie robi już wrażenia, ale może kogoś zainteresuje.

Emma szkicowała je do późnego wieczora, gdy zza pnia wyszła najdziwniejsza istota, jaką kiedykolwiek widziała. Fer, piękny, o blad różowej skórze, złękniiony jej obecnością. Zamarła, otówek

wypadł jej z ręki. Przez chwilę patrzyli na siebie, a potem istota zniknęła i więcej się nie pojawiła.

To krótkie spotkanie odmieniło jej życie. Zaczęła szukać, zadawać pytania, pisać. Zwiedziła całą okolicę, zbierając niezwykle opowieści, które mieszkańcy Finfolk przekazywali sobie od dawna. Tak jak się spodziewała, artykuły nie zostały dobrze przyjęte. Nie mogła znaleźć zatrudnienia w żadnym poważnym piśmie. Ale w końcu znaleźli się tacy, którzy jej uwierzyli.

Odkąd zaczęła pisać, dostawała listy od ludzi doświadczających podobnych zdarzeń. Większość była wymysłem szaleńców lub kłamców, jednak niektóre wiadomości brzmiały tak, jakby ktoś, kto je wysyłał, wyciągał odczucia wprost z głowy Emmy i dokładnie opisywał to, czego doświadczyła sama.

Tak odkryła niewielki krąg czarownic praktykujących w Londynie. Wprowadziły ją do świata magii, ale zastrzegły, że to, co robią, to nic w porównaniu z magią wielkich wiedźm.

– Istnieją potężniejsze czarownice – mówiły. – Pochodzą ze starych magicznych rodów, wędrują pomiędzy światami, ale nie utrzymują kontaktu z nami, bo nie urodziliśmy się tacy jak one.

– Boją się – uznała Emma.

– Tak, to strach, nie nienawiść, powstrzymuje te czarownice przed ujawnieniem się. Boją się tego, co niemagiczni mogliby im zrobić, gdyby odkryli ich istnienie, a większość ludzi nie jest jeszcze gotowa na magię. Ale te czarownice są wszędzie, tutaj, gdzieś obok. Jeśli chcesz je znaleźć, być może powinnaś wrócić do źródła.

Tak zrobiła. Zamieszkała w Finfolk i codziennie przychodziła pod drzewo. Czasami spotykała tam kobietę o siwych włosach rozwiewanych przez wiatr. Spoglądała na młodą dziennikarkę, siedząc na schludnej ławce w parku, gdzie rosło drzewo. Jednak za każdym razem, gdy Emma zbierała się już w sobie, by do niej podejść, kobieta zrywała się i odchodziła.

Lecz któreś jesiennej nocy, kiedy Emma opierała się o drzewo, niemal błagając skrzydlatą istotę, by znów się pojawiła, usłyszała za

plecami głos:

– Dlaczego po prostu go nie zjesz?

Kobieta stała za nią i przyglądała się jednemu pomarańczowemu owocowi, który wyrósł na drzewie.

– Kim pani jest? – spytała Emma.

– Kimś, kto pyta cię, dlaczego nie zjesz tego owocu. Wydajesz się głodna.

– Głodna? – Emma uniosła brwi. – To nie...

– Twój duch jest głodny. Po prostu zjedz.

Rozpadało się. Kobieta zarzuciła kaptur i oddaliła się szybkim krokiem, nie zważając na nawoływania. Emma nie biegła za nią. Czowała, że i tak nie mogłaby wydusić z nieznajomej ani jednego słowa, którego ta nie chciałaby powiedzieć.

Wzięła owoc ze sobą, do małego mieszkania, i zjadła go.

Co to była za niezwykła podróż! Emma nie opuściła łóżka, ale słodki sok zabrał ją do świata, którego nigdy jeszcze nie widziała. Słońce płonęło tam mocniej, lato nigdy nie gasło, a chóry skrzydlatych istot wyśpiewywały zaklęcia. To była magia, najprawdziwsza i jedyna. Za każdym razem, wspominając ją, na nowo znajdowała się w tamtym świecie. Teraz wyprowadził ją stamtąd głos Amary Kalu.

– Więc mówisz, że to niesprawiedliwe, że nie ujawniamy się przed poszukującymi magii. Nie rozumiesz jednak, że nielegalna magia może wyrządzić naszemu światu szkody. Wolimy nie ułatwiać wam drogi, lecz uważnie badamy to, co się dzieje. Po to, by od czasu do czasu odkryć kogoś niezwykłego, jak ciebie.

– Ja mam być niezwykła? – Emma rozluźniła dłonie, którymi dotąd próbowała szarpać niewidzialne więzy.

– Po co innego byśmy cię tu ściągali? – zaśmiała się Kalu. – Widzimy, że masz potencjał, który można wykorzystać.

Sięgnęła po kosmyk jej włosów. Bez zadawania Emmie bólu wyrwała kilka z nich. Otoczone błękitną poświatą, wiły się w powietrzu nad palcami przewodniczącej Rady.

– Jeśli chcesz, żebyśmy dali ci moc, ty musisz dać nam coś od siebie – przemówiła znowu. – Długo mówiłaś zbyt wiele rzeczy. Teraz będziesz milczeć i być może wypełnisz tajne zadanie, które nikomu dotąd się nie powiodło.

Kalu spojrzała w bok, na kogoś, kogo Emma nie mogła dostrzec.

– Elimasie – powiedziała. – Sprowadź Acherona.

– Acherona? – Emma znów się poruszyła. – Kto to jest?

Oczy przewodniczącej błysnęły.

– Fer.

Kalu rozwiązała ją i rozproszyła błękitny krąg.

Emma drżała na myśl, że znów zobaczy którąś z tych niezwykłych istot. Całe jej poszukiwania magii zmierzały do tego momentu. Wreszcie się zjawił. W wejściu do komnaty, w której się znajdowali, uniosła się mgła, a on wyszedł z niej jak anioł.

Był piękny, jeszcze bardziej niezwykły od fera, którego widziała kiedyś. Może dlatego wydał jej się prawdziwszy? Miał oliwkową skórę, ciało mężczyzny, a skrzydła ważki. Nosił srebrną zbroję ozdobioną wizerunkiem smoka. Emma wdychała jego magię, gdy ciemne oczy fera przyciągały ją do niego. Podeszła bliżej, bo chciała go dotknąć. Zmrużył oczy, wyrażając zgodę. Jej palce musnęły jego delikatny policzek, zatoneły w jego magii.

– Nazywam się Acheron – powiedział. – Jeśli nadal pragniesz poznać prawdę o mojej rasie, wyjawię ci nasze tajemnice.

Potem przez wiele dni i wiele nocy, które tak bardzo pragnęła wydłużyć, opowiadał jej o świecie, którego nie знаła, a który istniał przed jej własnym. Kraina ludzi wyłaniała się z niego jak dziecko z łona matki. Rzeczywistość magiczna była starsza, szersza, potężniejsza. Prawdziwsza – przynajmniej dla Emmy.

Acheron palcami pocierał powietrze, przywołując w nim obrazy. Przed oczami Emmy ukazywały się rozległe krainy ferów, jednorożców, niebiańskich istot, o których nigdy dotąd nie słyszała. Poznawała ich historię, magię, filozofię. Zakochała się w tym świecie tak samo jak w ferze. A on pokochał ją. Wiedzieli to od pierwszej

chwili, gdy się zobaczyli – to też była magia, nie zwiwna i tajemnicza, ale zakorzeniona w ziemi, praktyczna. Magia miłości była tą, która rodziła wszystkie inne.

Jednak nie wyznali sobie uczucia do momentu, gdy Acheron stał się gotowy, aby opowiedzieć jej własną historię.

– Służę Wygnanemu Królowi – powiedział, gdy skończył mówić o Aislingen. – Tysiąc lat temu mój pan został uwięziony w miejscu, do którego nie ma dostępu nikt poza Wyrd. Jego imię skazano na zapomnienie i póki nie uda się na nowo go odkryć, nie będzie mógł wrócić na świat.

– Więc to ta tajna misja, w której mam wam pomóc? – spytała Emma.

– Tak. Widzisz, Społeczność nie chce pozwolić, by Wyrd rosła w siłę. Czarownice dobrze wiedzą, że należy zapewnić sobie bezpiecznik, coś, co w razie gdyby stała się zbyt mocna, mogłoby utrzymać jej magię w ryzach. Tylko mój pan może to zapewnić.

– Ale jego nie ma. Skoro jest uwięziony...

– Kontaktuje się z nami. Jego umysł podróżuje między światami, a ja, jako jeden z jego dowódców, noszę na sobie jego znamię.

Ściągnął zbroję, by pokazać jej tatuaż, uskrzydłonego węża, przemierzającego labirynt.

– Nazywamy go Smokiem – powiedział. – Zapomnieliśmy jego imię, ale pamiętamy, jaką dysponował mocą. Przydomek pozwolił mu zachować osobowość, a jego dusza musi wreszcie się wyzwolić.

Emma dotknęła jego skóry.

– Jak wąż na twoim tatuażu wydostający się z labiryntu – powiedziała. – Co się stanie, gdy Wygnany Król zostanie przebudzony?

Acheron uśmiechnął się, lecz w jego oczach czaił się smutek.

– Czyjś świat się skończy – powiedział – a czyjś zacznie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Eshkur złożył opuszki palców, tworząc z własnych dłoni instrument. Przyłożył je do ust i zadał w niewidzialny róg. March nie słyszała jego muzyki, ale powietrze drgnęło, poruszone delikatnym rozkazem. Na sekundę cisza stała się dogłębna, jakby przywołano ją z samego początku czasów. Potem liście zaczęły się poruszać – najpierw cicho i nieśmiało, po chwili coraz gwałtowniej. Wiatry z czterech stron świata sunęły ku sobie i zaczęły tańczyć.

March i Callen trzymali się blisko siebie. Chłopak podał rękę Hypnosowi.

– Cieszę się, że żyjesz! – zawołał, przekrzykując wiatr. – Tak jakby.

– Tak jakby żyję? – odparł książkę, podnosząc się. – Królowa mnie uratowała, ale nie wiem, na jak długo.

– Chodziło mi bardziej o to, że *tak jakby* się cieszę, ale nieważne! – krzyknął Callen.

– Czy możecie mi powiedzieć, o czym wy... – zaczęła March, lecz wkrótce nie dało się już rozmawiać. Gałęzie drzew trzeszczały, niebo zaszło burzowymi chmurami. Błyskawice cięły je żywym ogniem. Eshkur śmiał się, lekką ręką rządząc powietrznym tornadem.

March zamarła.

– Co to jest? – wyszeptała, gdy wśród chmur pojawiły się ogniste punkty. Frunęły ku ziemi jak komety. Odruchowo skuliła się, choć nic nie mogło jej ochronić przed ciosem. Jednak gdy ogniste punkty się zbliżyły, zdała sobie sprawę, że to chmury ferów i czarownic. Te pierwsze frunęły na skrzydłach lub niesione przez potężne ważki i motyle, drugie sunęły na miotłach.

– Wojska Eshkura! – zawołał Hypnos. – Acheron powiedział mi, że przez wszystkie te lata słudzy Wygnanego Króla w tajemnicy

powoływali armię.

– Acheron?! – March krzyknęła niemal do ucha księcia.

Hypnos odpowiedział coś, ale nie usłyszała go, bo w górze rozległy się wiwaty, a Eshkur śmiał się coraz bardziej. Czarownice opadały na ziemię, z rąk ferów buchały barwne energie.

– Tak długo! – Ktoś padł do stóp Eshkura. – Tak długo czekaliśmy!

– Potężny Smoku! Ukaż nam swoją magię! – prosił ktoś inny.

– Już niedługo. – Wiatr na moment ucichł, by Eshkur mógł przemówić. – Obiecuję, że walka będzie krótka. Tym razem mamy potężniejszą broń. Nim powiem wam, czym ona jest, proszę, byście jeszcze raz okazali mi swoje przywiązanie.

Chodził między nimi i spoglądał na ich twarze jak na dawno niewidzianych przyjaciół.

– Moi generałowie przekazywali wam wiedzę, przygotowywali do walki przez wiele lat. Teraz przyszedł czas, by wykorzystać magię, której nauczali was w ukryciu. Dziś wreszcie pokażemy się światu.

Jego poplecznicy zagrzmieni, wysoko unosząc ręce i athame.

– Nie proszę o ofiarę z waszej krwi – mówił dalej Eshkur. – Choć jeśli będzie potrzebna, sam nie zawaham się jej złożyć. Chcę, by walka przebiegła szybko, lecz nim wykorzystam ostateczną broń, musicie atakować wojska Wyrd, Przeklętej Królowej. Tak będą ją od teraz nazywać.

W jego oczach zapłonęła nienawiść.

– Pora wreszcie odzyskać świat, który się nam należy! – zawołał. – Moja siostra rządziła przez tysiące lat, dziś ujrzyście jej kres.

Skierował palce ku niebu, sprawiając, że burzowe chmury zaczęły wirować. Zebrały się w jednym miejscu. Przeszyła je długa błyskawica, wypalając w górze rozległą dziurę. Kosmiczna wyrwa wciągała całą magię świata stworzonego przez Eshkura.

Król pierwszy zerwał się do lotu w stronę niebios.

– *March Sky* – przemówił do niej Echem. – *Ty obok mnie.*

Porwała ją jego magia. Dziewczyna krzyknęła, a potem płuca gwałtownie wypełniło jej powietrze. Wszystko wirowało, a Callen

i Hypnos byli gdzieś daleko za nią. Tysiące ferów i wiedźm z nieustannym świstem sunęły za swoim władcą. Tajemnicze dudnienie trzęsło ciałem March – przestrzeń zdawała się przeobrażać, każda cząstka Aislingen transformowała się poprzez moc Eshkura. Naprawdę zamieniał noc z dniem.

Przepełnili przez kosmiczną pustkę jak przez przełęcz. Eshkur ryknął smoczym głosem, a potem zapanował chaos. March zorientowała się, że wylądowali przy Ametystowym Śnie, dopiero wtedy, gdy zaczęły uderzać w nią zaklęcia. Setki kolorowych energii frunęło ku niej jak strzały. Tylko ochrona Eshkura utrzymała ją przy życiu. Król wytworzył rozległą barierę, za którą schronił swoje wojska.

Ale Wyrd była równie silna co jej brat. Zniszczenie bariery mogło jej zająć sekundy. Na razie stała wściekła przed ochronną bańką, jej sylwetka rozmywała się jakby za taflą wody, a jej wojska otoczyły popieczników Wygnanego Króla.

– *Callen! Callen!* – wołała rozpaczliwie March.

Chłopak przedarł się do niej między czarownicami, którzy unosili athame nie jak broń magiczną, ale jakby szykowali się na rzeź.

– Oni tu są! – zawołał chłopak. – Wszyscy!

– Jacy wszyscy?! – Pochwyciła go za ramiona. Jego wielkie oczy błędziły, mówił z trudem. Łatwiej przesłał Echo:

– *Przedstawiciele pięciu frakcji. Widziałem ich w locie. Część to była... to były te żywe trupy z cmentarza...*

– Więc to koniec – powiedziała March. W przeciwieństwie do chłopaka jej trudniej było skupić myśli niż słowa. – Faktycznie dziś to wszystko się skończy!

Usłyszała dźwięk, jakby pękła skorupa. Ochronna bańka Eshkura zaczęła niszczyć. Wojska Wyrd i Wygnanego Króla zagrzmiały, a potem magia eksplodowała.

Callen i March złapali się za ręce. Ich aury zaiskrzyły. Dziewczyna miała wrażenie, że jej aura splata się z aurą chłopaka. Nie kontrolowała tego, zupełnie jakby moc poniosła ich sama. Zaklęcia,

których jeszcze nie znali, drżały w nich, gdy biegli wśród rozszalałych walczących.

Ostrza athame zatapiały się w błyszczących kulach energii, zakłęcia rozpryskiwały się, parząc skórę. Raz March chroniła Callena, raz on ją. To nie była ich wojna. Liczyło się tylko to, by zabić Wyrd. A potem, być może, również Eshkura.

Callen syknął z bólu i zatrzymał się. March zawołała coś przerażona. Przez ułamek sekundy myślała, że ostrze ugodziło go w brzuch. Ale nie, to jego ręka krwawiła.

– Szybko, ochroń nas! – zawołał, trzymając się za ramię.

Zaczerpnęła swojej magii. Energia popłynęła gładko, tworząc wokół nich złocistą kopułę. Aislingeński fer uderzył w nią i wrzasnął oparzony.

– Uleczę cię – wyjąkała March, patrząc na głęboką ranę chłopaka.

– Tylko powiedz jak.

– Sam muszę to zrobić – odparł. – Daj mi trochę czasu.

Wciąż zasilala ich ochronę. Mimo zamieszania jej energia przepływała bez zakłóceń. Callen przesuwiał zdrową rękę nad swoją raną. Zasklepił ją.

– Już dobrze? – spytała March. – W takim razie...

Ktoś rozproszył kopułę. Z powrotem znaleźli się w sercu bitwy. Nad ich głowami zawisł długi miecz jakiejś ferini. March uniosła rękę, gdy naraz ferini wrzasnęła i odfrunęła, płonąc jak kartka papieru.

Ale to nie magia dziewczyny ją poraziła.

March spojrzała za siebie, skąd buchnął płomień.

– *Nie dziękuj* – odezwał się do niej Echem Eshkur. – *Przyjdzie na to czas.*

Kolejnego ataku nie zdołał jednak powstrzymać. Nagle obraz przed jej oczami zapłonął, ogłosił ją huk, ból odebrał zmysły. Zapadła ciemność.



Callen stracił świadomość. Gdy wróciła, wszystko było pogrążone w mroku. Wybuch magii przeszurał jego ciałem po ziemi. Jeszcze nim chłopak zaczął na nowo widzieć, poczuł w ustach smak krwi. Sądził, że umiera, ale to byłoby zbyt łatwe. Zamachał nogami, kiedy ktoś uniósł go za kołnierz w powietrze. Frunął coraz szybciej i szybciej, odgłosy walki cichły.

– Mogę w każdej chwili cię zrzucić jak śmiecia! – usłyszał lodowaty głos.

To go otrzeźwiło. Wrócił wzrok, serce biło jak szalone, a fer o prześwitującej fioletowej skórze patrzył na niego z obrzydzeniem. Wiatr rozwiewał jego czarne włosy.

– Khonsu – wydusił Callen.

– To twoja wina – wycedził namiestnik przez zaciśnięte zęby. – To wszystko, co dzieje się w dole... Widzisz to? *Widzisz?* Ty stoisz za każdą śmiercią, która się tam wydarzy. Sprowadziłeś do nas March Sky, wprowadziłeś w niepokój naszą królową...

– Mam gdzieś waszą królową! – rzucił Callen.

Khonsu zmrużył oczy, dłoń, którą ścisnął kołnierz chłopaka, zadrżała.

– Giń – wycedził i puścił go.

To nie Callen spadał. To cały świat zdawał się wirować wokół niego, gdy pędził na spotkanie ziemi. Początkowa panika zamieniła się w euforię. Po raz pierwszy w swoim fizycznym ciele stał się jak fer. Był w przestworzach. Nie mógł lecieć, ale...

Ale tak, *mógł* lecieć!

Pozwolił swojej duszy rozwinąć skrzydła. Niebieskie niebo stało się czarne, zapłonęły gorące oblicza gwiazd. Pochwyił ich pył i z całych sił ścisnął swój magiczny sznur, sprawiając, że jego materialne ciało zawisło w powietrzu, utrzymywane przez to astralne.

Astralny Callen zamachał nowymi skrzydłami i zwrócił się do Khonsu, na którego twarzy zamarło zdumienie.

– Zdziwiony? – spytał Malloway. – To patrz na to.

Z powrotem wniknął ciałem astralnym w fizyczne. Poczł przeraźliwy ból, ale to była tylko chwila cierpienia w porównaniu z pięknem, którego mógł doświadczyć. Skóra na jego plecach pęła, szkarłatne krople krwi opadły ku zielonej krainie w dole.

Jego krzyk bólu zmienił się w krzyk wolności, gdy wzbił się na cielesnych skrzydłach w stronę Khonsu. Raz jeszcze zgromadził w rękach gwiazdny pył i zaatakował.

Khonsu zapłonął gniewem. To dodało mu mocy. Nim Callen zdołał porazić go zaklęciem, rzucił się na chłopaka. Frunęli jak dwa motyle, zaciekle walczące na życie i śmierć. Barwne i piękne czary wybuchały wokół.

Callen znów poczuł ból. Ostrze fera przecięło skórę na jego ramieniu.

– Ty śmieciu, ty ludzki śmieciu – powtarzał Khonsu.

Chłopak pochwycił jego rękę i szarpał się z nim, by wyrwać mu athame. Wreszcie przystawił ostrze do gardła fera. Ze stali posypały się szmaragdowe iskry, a magia otoczyła szyję Khonsu. Zaczął się dusić; im bardziej próbował ściągnąć z siebie szmaragdowe sznury, tym bardziej zaciskały się na jego ciele.

Callen już sądził, że wygrał, gdy w ich stronę zaczęły nadciągać kolejne fery. Ich magia wyzwoliła Khonsu. Namiestnik pochwycił go i teraz opadali, walcząc jeszcze w locie, w końcu znaleźli się na ziemi. Khonsu próbował zadać ostatni cios, lecz jego uniesiona dłoń zastygła, a zaklęcia rozwiały się spod palców.

Callen rozchylił usta, widząc za plecami Khonsu swojego ojca. Zatapiał ostrze w ciele namiestnika. Ten wierzgał, próbując złapać dech, aż wreszcie z jego ust pociekła strużka krwi i padł na ziemię. Isinbir odwrócił go kopniakiem.

– Zawsze miałem ochotę to zrobić – powiedział.

– Tato...

To słowo nigdy nie pasowało do Isinbira tak bardzo jak teraz. Pomógł synowi wstać.

- Pora, żebym coś zrobił – powiedział, poklepując go po plecach. – Dla ciebie i dla Luny. Jestem winien przysługę całemu światu.
- Przysługę? – zdumiał się Callen.
- Zabić Wyrd, jak najszybciej.



Krzyki zmusiły March do otwarcia oczu. Pochwyliła głosy jak cienkie liny, które pozwoliły jej zachować świadomość. Ziemia drżała, powietrze wypełniał zapach krwi.

Eshkur. Znów to on ją uratował. Walczył obok z tłumnie atakującymi go ferami i raz po raz zerkał w jej stronę. Wytworzył nad dziewczyną ognistą kopułę ochronną, taką samą, jaką wcześniej stworzyła ona.

March podniosła się. Najmniejszy ruch był niesamowitym wysiłkiem.

– *Callen?* – wysłała cichą myśl. – *Callen!*

Jej świadomość przedzierała się przez aury i energie walczących. Obrazy migwały jej przed oczami, wiele scen nałożonych jedna na drugą. Chłopak nie odpowiadał, ale wyczuła go. Przekonanie graniczące z pewnością mówiło jej, że żył. Teraz musiała zrobić wszystko, by zachować go przy tym życiu – jego i samą siebie.

Ochrona Eshkura słabła. Jeszcze chwila... sekundy...

Na krótko zamknęła oczy. Wiedziała, że gdy uniesie powieki, będą musiały pozostać otwarte aż do końca.

Odetchnęła. Słońce w jej brzuchu zaśniło i objęło blaskiem jej aurę. Fer z olbrzymim toporem przefrunął nad jej głową, niszcząc resztki ochrony.

– March Sky! – rzucił wróg. – Co królowa da mi za twoją głowę?

Dziewczyna odkaszlnęła.

– Nie wiem – odparła. – Ode mnie możesz dostać co najwyżej kopa w dupę.

Fer rzucił się na nią. Jego topór ciął powietrze tak szybko, że srebrne ostrze mieniło się w jej oczach. Schyliła głowę i kopniakiem podcięła nogi wroga. Fer padł na ziemię, a ona ścisnęła jego kostkę, sprawiając, że zapłonął złotym ogniem.

Satysfakcja March była krótka. Wrzask fera ściągnął w ich stronę innych skrzydlatych. Nienawiść w ich oczach niszczyła piękno ich barwnych ciał. Przez chwilę dziewczyna czuła się tak jak wtedy, gdy młode fery zaatakowały ją po raz pierwszy, tuż po tym, jak przybyła tu ze świata ludzi. Przypomniła sobie, jakie to uczucie być ofiarą.

Przypomniła sobie Billy'ego Hopkinsa, chłopaka, który prześladował ją w szkole.

Ale musiała ostatecznie uwolnić się od bycia ofiarą.

Uśmiechnęła się, rzucając im wyzwanie, i w obu dłoniach rozpała wysokie płomienie. Tylko niezachwiana pewność siebie mogła sprawić, że spalą ich, a nie ją.

Cisnęła kule ognia, a one się rozszerzyły. Zmienione w płonące pierścienie, zmiotły część atakujących. Inni się zawahali, zaś u boku March stanęły nieznajome czarownice.

– Nie bój się, dziecko – powiedziała któraś. – Jesteśmy obok.

March mocniej wbiła stopy w ziemię. *Dziecko*. Gdyby tylko wiedziały, kim była!

Chętnie rzuciła się do dalszej walki. Nie czekała na wrogów, sama biegła w ich stronę. Grunt pod jej nogami był pewny. Każdym krokiem wybijała w ziemię rytm, zapewniała świat, że jest gotowa na cokolwiek, co miało się zdarzyć.

Ale po chwili podłoże zaczęło się osuwać. Miała wrażenie, że biegnie w próżni, tak jak wtedy, gdy walczyła z Wyrd w świecie astralnym.

Usłyszała śmiech władczyni.

– Chodź do mnie, moja mała myszko – powiedziała królowa. – Skończymy to, jak trzeba, tylko my dwie.

March patrzyła wokół, ale nie umiała zlokalizować władczyni. Dopiero gdy jej stopy oderwały się od gruntu, zdała sobie sprawę, że

Wyrd unosi się nad nią.

Dziewczyna wrzasnęła. Czuła, jakby coś wyszarpywało jej ciało z brzucha, gdy królowa ciągnęła ją w swoją stronę.

– Za późno, jak zwykle za późno, March – powiedziała. – Wyprzedzam cię o krok, zawsze tak było.

Dziewczyna wykrzesła znów magię, jednak płomień był zbyt wąty, a ból zbyt silny.

– Weszłaś w moje wspomnienia – powiedziała Wyrd. – Próboweś rozbudzić we mnie lęk. Tak jakbyś sądziła, że możesz się naprawdę dowiedzieć, co mnie przeraża.

Śmiała się szczerze.

– Myślisz, że...

Wyrd urwała z krzykiem, gdy olbrzymi ptak przeleciał nad jej głową. Wypuściła March, która z bólu wiła się po ziemi, próbując opanować straszliwe uczucie w brzuchu. Władczyni z kimś walczyła.

Dziewczyna wreszcie uniosła wzrok. Królową atakowały czarownice. W niektórych rozpoznała byłe ofiary Komnaty Więźniów.

– Koszmary! – zawołał chudy mężczyzna z długą brodą. – Teraz spróbuj je nastać!

Z różdżki, którą wymachiwał przed oczami Wyrd, sypały się iskry. Blade zjawy z finfolskiego cmentarza wspomagały go, tworząc wokół królowej krąg, którego mroźna aura dźgała też March.

Ale jak długo zjawy mogły powstrzymać władczynię? Tylko ona mogła ją zabić. Ona lub Eshkur.

– *Przybądź tu!* – zawołała do władcy. – *Pomóż nam!*

Nie wierzyła, że to zadziała, ale Wagnany Król usłyszał. Frunął przez błękitne niebo jak piorun kulisty. Gdy stanął przed swoją siostrą, duchy pierzchnęły, porażone jego ciepłem, a byli więźniowie oddali mu pole walki.

Kiedy Wyrd i Eshkur byli znów blisko siebie, świat zdawał się kurczyć.

– Wróciłeś – rzuciła królowa.

– Od zawsze szykowałam się na ten dzień – odparł.

Krążyli jak w tańcu. W każdej chwili mogli połączyć dłonie, by zmierzyć się w walce lub rozpocząć wspólną grę.

– Powiedz – mruknął król – czułaś tylko strach na myśl, że wrócę, czy pragnęłaś tego tak samo, jak się tego bałaś?

Wyrd zaśmiała się.

– Ani tego nie pragnęłam, ani się nie bałam. Szanuję wyroki losu. To, co uwięzione, musi się uwolnić, czasami po to, by ponownie wrócić do swojego więzienia.

Spod ich bosych stóp tryskały iskry magii, siły ognia i wody. March miała wrażenie, że znów słyszy ryk smoków, które stworzyli w świecie gwiazd. Przez chwilę rozmawiali w języku ferów. Dziewczyna nie musiała wiedzieć, co mówią, bo bez słów rozumiała to głębiej. Chodziło o miłość i o nienawiść.

– Ta dziewczyna – przemówiła znów Wyrd tak, żeby March mogła ją zrozumieć. Spojrzenie, którym ją obrzuciła, lepiło się od wzgardy.
– Ty coś o niej wiesz.

Eshkur zaśmiał się cicho.

– Wiesz, dlaczego mogła stawić mi czoło – mówiła dalej królowa. – Sam pewnie tchnąłeś w nią jakąś moc. Ty dałeś jej magię, której nie mogła mieć.

Wygnyany Król kiwał głową.

– Ukochana. – Jego głos zabrzmiał dźwięcznie, jak gdyby naprawdę wyznawał Wyrd miłość. – Niczym nie musiałem jej obdarzać. Wystarczyło, że dałem jej życie.

Wyrd przystanęła. Ich ustawiczny taniec się zakończył.

– Życie? – prychnęła.

– Życie – powtórzył łagodnie Wygnany Król. – Magia pojawiła się wraz z nim, a każdego dnia od jej narodzin mój duch wspierał tę dziewczynę we wszystkich działaniach.

Zbliżył się do Wyrd. March tak usilnie wbijała w nich wzrok, że obraz za nimi rozmazywał się w jej oczach. Jej serce biło gwałtownie, aż nagle zdało jej się, że stanęło.

– Moja droga siostró – powiedział król, dotykając włosów Wyrd – czy nie dbasz o wszystkie swoje dzieci? Zatem chyba rozumiesz, że ja – spojrzał na March – muszę dbać o własną córkę.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Oknem w pokoju Emmy trząsał mroźny wiatr. Zastony podrygiwały, a pod sufitem wirował śnieg. Zimno było tak przenikliwe, że resztkę wody w szklance zaczęła zamarzać, gdy do środka wpadł Ove. Był spanikowany. Uśpione ciała March i Callena, nad którymi czuwał wraz z Alogosem, nagle zniknęły, przeniesione mocą, której nie byli w stanie się przeciwstawić.

– Sprawdzę tylko, czy... – wysapał. – Gdzie ona jest?! – wrzasnął. Alogos wszedł za nim.

– Gdzie jest Emma?! – zawołał Ove.

– Zostawiliście ją, żeby spała – zauważył jednorożec. – Widocznie wasz eliksir przestał działać.

– Nie, nie, nie. – Roztrzęsiony czarownik podszedł do okna. – To coś innego. Eshkur, to pewnie on ją porwał, tak samo jak March i Callena. Święta Matko, musimy...

Zamilkł. Nie potrafił nawet krzyknąć.

Alogos ruszył ku oknu. Ove zaciskał ręce na parapecie, potem zerwał się i gwałtownie wybiegł z pokoju.

Matka March leżała w śniegu, w rozpiętej piżamie, z rękoma i nogami ułożonymi tak, jakby chciała biec. Jednorożec przez chwilę ze spokojem kontemplował jej pozę. Gdy wreszcie ruszył na dół, przerażony czarownik wpadł z powrotem do domu z wiedźmą na rękach.

– Zrób coś, nie gap się tak na mnie! – zawołał, kładąc ją na ziemi.

– Trzeba ją ogrzać.

– Żyje – odparł Alogos. – Nic jej nie będzie.

Ove machnął ręką w stronę kominka. Ogień trzasnął i drewno od razu zajęło się wysokimi płomieniami.

– Skąd możesz to wiedzieć? – rzucił czarownik w stronę Alogosa.
– Skąd ty...

– Nie wyczuwasz tego w aurze? – spytał jednorożec. – Zresztą upadła w śnieg, więc miała miękkie lądowanie.

Czarownik rozmasowywał kruche, pomarszczone ciało Emmy. Ułożył jej siwe włosy, jakby to było teraz ważne. Alogos prychnął.

– Ta kobieta potrzebuje naszej pomocy – warknął Ove. – Nie widzisz, że...

– To potężna *wiedźma*, nie zwykła kobieta. – Jednorożec się zniecierpliwił. – Czy wy, ludzie, nawet magiczni, jesteście tacy ślepi?

Stanął przy leżącej czarownicy. W jego wysokich butach odbił się ogień z kominka.

– Cała jej aura skrzy się od tej samej mocy, którą mają March i Callen, wszystkie fery – powiedział. – Widziałem to od samego początku. Sądziłem, że to wiecie, skoro rozumieliscie, że była czarownicą.

Ove uniósł na niego zdumione spojrzenie.

– Czarownicą, tak – wyjąkał po chwili. – Ale normalną. Chyba nie chcesz powiedzieć, że jest ferianką!

– Nie. To na pewno nie. Widać jednak, że fery podzieliły się z nią mocą albo że ją wykradła.

– Nieważne – mruknął Ove. – To naprawdę nie jest teraz ważne.

Nucił pod nosem zakłęcie. Próbował przywołać wewnętrzny ogień Emmy, żeby pobudził jej ciało do samoleczenia. To nie było łatwe. Płomień jej życia tlił się w środku, silny, ale niepasujący do tego słabego ciała.

– Zostaw ją – odezwał się ktoś miękko.

Ove i Alogos skierowali spojrzenia na portal stały, gdzie stała Amara Kalu w ciemnej szacie z symbolem Rady Czarownic. Tuż po niej teleportował się Brevda.

– Zostaw – powtórzyła wiedźma. – Niech śpi.

Pochyliła się nad Emmą i przejechała dłonią przed jej nosem. Kobieta odetchnęła głęboko, ale się nie obudziła.

– Musi przypomnieć sobie o misji, którą jej kiedyś powierzyliśmy.

Kalu wyprostowała się i powiodła wzrokiem w stronę Alogosa. Nie odezwali się do siebie, jednak ich miny nie pozostawiały wątpliwości co do tego, że woleliby się nawzajem nie oglądać.

– Wy... powierzyliście jej misję? – wykrztusił Ove. – Kiedy?

Brevda włożył ręce w kieszenie eleganckiego płaszcza.

– Zaprosisz nas do swojej świątyni? – spytał. – To, co powiemy, jest przeznaczone tylko dla uszu wtajemniczonych finfolskich czarownic... i innych wrogów Wyrd – dodał jakby z przymusu w stronę Alogosa. – I niech duchy sióstr Malloway chronią nas, by nikt inny tego nie usłyszał.



– Że niby co? – Ove patrzył na Kalu i Brevdę tak, jakby sądził, że z niego żartowali. – March jest córką...

– Eshkura – odparł Brevda z całkowitym spokojem i się uśmiechnął. – Dobrze móc wypowiadać jego imię, odkąd March Sky je nam przypomniła.

Siedzieli w świątyni w kręgu ochronnym. Zapalili świece na ołtarzu i w czterech stronach świata, a Ove raz jeszcze wypowiedział wszystkie zaklęcia ochronne, jakich używały dawniej siostry Malloway. Emma leżała na środku, by mogli mieć na nią oko, a reszta patrzyła nawzajem na swoje twarze tonące w ruchu światła i cienia.

Alogos prychnął.

– Przecież to nie ma najmniejszego sensu. On nie mógłby... Nie było możliwości, żeby... Wyrd musiałaby go odwiedzić, bo...

Zamilkł. Myśli wydawały się kłębić nad jego głową.

– Jego esencja... – wyszeptał.

– Co? – spytał Ove. – Jaka esencja?

Kalu westchnęła, jakby nie po raz pierwszy opowiadała komuś tę historię.

– Wyrd nie mogła pozbyć się Eshkura tak po prostu. Ich związek gwarantował przetrwanie Aislingen, a większość jego mieszkańców zrodziła się z ich połączonych mocy. Jako królowa, Wyrd, nawet po wygnaniu brata tworzyła kolejne królewskie dzieci, napędzając je energią krainy, ale też jego magią.

– Nie w każde sączyła tyle samo siły Eshkura – uzupełnił Brevda.
– Robiła to ostrożnie. W którymś momencie postanowiła stworzyć córkę, która będzie mogła wypełnić przepowiednię o połączeniu światów. Jej treść już znacie, skoro, jak mówicie, March Sky usłyszała ją w wizji. Tamta ferini... nikt nie pamięta jej imienia, bo po jej śmierci Wyrd zatarła po niej wszelki ślad... łączyła w sobie moce matki i ojca po równo.

– Eshkur o tym nie wiedział – przejęła opowieść Kalu – ale wyczuł, że ktoś próbuje go zaatakować. Dlatego sprawił, że ludzie zabili tamtą ferinię, złożyli ją w ofierze duchowi finfolskiego lasu. Plan Wyrd się nie powiódł, a co gorsza, Eshkur go odkrył i postanowił wykorzystać po swojemu.

– Z lekką modyfikacją – zaśmiał się Brevda. – Zamiast wykorzystywać magię Wyrd, postanowił połączyć swoją energię z energią człowieka, tym samym jednocząc dwa światy.

Ove z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Ale to przecież godzi w całą ich ideologię – upierał się. – Aislingeńskie fery nie wyobrażały sobie łączenia się z ludźmi. Nawet jeśli Eshkur podzielił się z nimi swoją magią, to mam uwierzyć, że chciał mieć dziecko z *człowiekiem*?

– Nie on sam – zapewniła Kalu. – Był uwięziony. Chodziło o jego esencję.

– Czyli magię, którą wykorzystywała Wyrd – wtrącił Alogos. – Myślałem, że tylko ona miała do niej dostęp.

– Nie tylko – oznajmił Brevda. – Gdy Wygnany Król kazał złożyć siedmiu swoim generałom przysięgę, że zawsze będą mu wierni,

podzielił się z nimi swoją krwią.

– Ale jak to: krew... – zaczął znów Ove. – To niby... o czym wy w ogóle mówicie?

– O tym – odpowiedział za Brevdę i Kalu Alogos – że March nie jest *rodzoną* córką Wygnanego Króla, ale tą prawdziwszą. Jest magią z jego magii. Pytanie, jak to odkryliście? – zwrócił się do przedstawicieli Rady.

– Wiedzieliśmy od początku – odparła Kalu. – Jesteśmy urzędnikami Społeczności, mamy swoje sposoby odkrywania magicznych sekretów. Problem w tym, że za każdym razem, gdy wpadaliśmy na trop, od razu ginął, a my magicznie zapominaliśmy o sprawie. To właśnie odkrycie prawdy było naszą sekretną misją.

– Sedno tego wszystkiego kryło się w imieniu Eshkura – dodał Brevda. – Nie w tym tajemnym, ale oficjalnym, bo właśnie z tego oficjalnego Wyrd zrobiła klucz tajemnicy, żeby nas zmylić. Dlatego gdy się czegoś dowiadaliśmy, cała wiedza wyparowywała z naszej pamięci. Cały nasz wysiłek spełzał na szukaniu tajemnego imienia Wygnanego Króla, a ostatecznie okazało się, że wystarczyło poznać to najzwyczajniejsze. Kiedy March Sky je usłyszała, wróciła do nas zapomniana wiedza.

– I nie tylko do nas – powiedziała Kalu. – Właśnie w tej chwili siły całej Społeczności szturmują Aislingen. March Sky odważyła się sięgnąć po kolejną tajemnicę Wyrd. Poprowadziła nas wszystkich. Ma szansę stać się jedną z największych czarownic w dziejach i to od jej wyboru wszystko będzie zależeć.

– Od jej wyboru... – powtórzył cicho Ove.

Zmarszczył czoło. Cienkie płomienie świec się wydłużyły.

– Ale... – zaczął znowu. – Skoro Wyrd chciała, by jej córka została nową władczynią, a Eshkur powtórzył jej plan, to znaczy, że March...

– Może stać się nową władczynią Aislingen. – Kalu wypowiedziała za niego słowa, których się bał.

ROZDZIAŁ PIĘDZIESIĄTY TRZECI

March patrzyła na Wyrd i Eshkura, ale nie widziała ich. Świat rozsypał się na kawałki, wszystko, co wiedziała, wszystko, co już rozumiała, zmieniło się. Elementy mieszały się ze sobą w chaosie.

To nieprawda, nieprawda – powtarzał uporczywy głos w jej głowie. Coś działo się obok niej, ale w jej uszach narastał szum. Słyszała słowa Wygnanego Króla, każde przychodziło do niej ostro jak promienie słońca w jasny dzień, a jednak stała całkiem bezradnie, nie czując już własnego ciała.

Nagle Eshkur spojrział na March inaczej niż dotąd. Przeszył ją swoim ogniem.

– Rozumiesz już, skąd twoja siła? – zapytał.

Nie była w stanie odpowiedzieć.

– Cała twoja magia pochodzi ode mnie – powiedział.

– Kłamiesz! – warknęła Wyrd.

March chciała zawołać to samo, jednak zdawało jej się, że magiczna nić zaszyła jej usta.

– Nie ośmieliłbyś się! – zawołała królowa. – Ten wyrzutek?! – Wskazała na March. – To coś miałoby być jak my?!

– Idealna, żeby cię zabić, prawda? – zaśmiał się Eshkur. – A jej matka, moja wierna czarownica, spełniała moje rozkazy nawet po tym, jak ją przeklęłaś. W domu znienawidzonych przez ciebie sióstr Malloway to ona we śnie wyciągnęła figurki, które Cleto przygotowała przeciwko swoim wrogom. Również przeciwko tobie, droga siostrze, dzięki skrawkowi twojej magii, którą ode mnie dostała. Szkoda tylko, March – spojrział znów na dziewczynę – że nie zabrałaś ze sobą podobizny mojej siostry.

Wciąż się śmiał, a March coraz bardziej zapadała się w sobie. Tym właśnie była: wyrzutkiem. Ten fer, ten, który nazwał się jej ojcem, zaplanował jej narodziny jako część swojej zemsty. Była niczym więcej jak narzędziem. Narzędziem zmuszonym przez tyle lat żyć wśród ludzi, do których nie należała. A potem wkroczyła w ten świat...

Wszystko, w co wierzyła, okazało się kłamstwem. To nie Callen ją tu sprowadził. Szła po śladach stóp, które wyrysował dla niej Wagnany Król. Wodził ją za nos, pchnął w stronę Aislingen, a za każdym razem przeżyła dlatego, że chronił ją jego moc, nic więcej.

Mówił to wszystko Wyrd, a ona rzucała dziewczynie gniewne spojrzenia. Gdyby teraz zaatakowała, March już by się nie broniła. Chciała zginąć, bo jej życie nie miało sensu, skoro scenariusz napisał za nią ktoś inny.

Zatkała uszy, zamknęła serce. Tak dawno nie płakała, a teraz do oczu cisnęły się jej łzy. Biegła przed siebie, walczący byli migawkami w nic nieznaczącym filmie. Była bezbronna, gotowa umrzeć, a oni jak na złość akurat teraz zdawali się jej nie zauważać.

Poczuła ciepło, pochwyciły ją silne męskie ręce.

– March! March! – Głos dobiegał jak przez tafłę wody.

Uniosła wzrok. Czyjaś twarz najpierw rozmywała się przed jej oczami, potem rozpoznała w niej Ovego. Rzuciła się w jego ramiona. Ścisnęła go jak nigdy, na moment stał się jedynym oparciem w całym tym szalonym świecie.

– Nie żebym miał coś przeciwko – powiedział – ale to nie moment...

Nad ich głowami błyskały różnokolorowe energie, zaklęcia napierały na siebie i syczącymi iskrami gasły na ziemi.

– Nie wiesz, co się stało! – zdołała wyjąkać March. – Nie rozumiesz...

I kiedy myślała, że nie czeka jej już nic gorszego, świat zatrzęsł się jeszcze bardziej. Tuż za Ovem stanęła jej matka. Młoda i silna, emanująca ognistą magią.

– Co... nie... – Dziewczyna sądziła, że postradała zmysły.

Emma Sky zbliżyła się do niej, ale March się cofnęła.

– Kochanie – przemówiła matka. Nieustanny jazgot walczących był lepszy niż ten głos.

– Ty wiedziałaś! – Dziewczyna wystrzeliła palcem w stronę matki.

– Zgodziłaś się na wszystko! Ty mnie na to skazałaś!

Tak, pamiętała każde słowo Eshkura. Powiedział wyraźnie, że wiedźma dobrowolnie przystała na jego plan. Nie obchodziło jej, dlaczego matka tak nagle odmłodziła. To musiała być kolejna podła magiczna sztuczka. Może nawet celowo udawała starą i otępiałą, może i to było zaplanowane.

– Nie, kochanie. To nie tak. Zapomniałam o...

Ale March nie chciała jej słuchać. Była teraz tak wściekła. Emma Sky odzyskała pamięć – plan się powiódł – ale przecież nie była tym, na kogo czekała jej córka.

March znów zaczęła biec. Nie była już bezsilna. Całą swoją moc przekuwała w oręż i ciskała płomieniami z rąk, rozganiając fery. Była gotowa zniszczyć całe Aislingen i tak, jak zaplanowała, zabić Wyrd. A potem Eshkura. Bez względu na to, kim był.

Albo właśnie dlatego.



Cały świat nasłuchiwał. Bitwa w Mieście Snów płynęła ku gwiazdom gwałtownymi nutami. Jaar wiedział. Fery z obcych krain wciąż dołączały do walki, wiedzione rozkazami swoich królowych. Każda władczyni rozumiała też, że stało się coś jeszcze – czuły, jakby ktoś zabrał im kawałek mocy, musiały dzielić się nią z kimś starszym i potężniejszym.

W ciemnym grobowcu, głęboko w ziemi poranionej rozpadem dawnego pałacu, ogrodnik trzęsącymi się rękoma kończył swoje czary. Miał ciało, naczynie, w którym mógł zamieszkać duch.

– Przebudź się, ukochana. – Złożył na ustach nowego ciała pocałunek. Znak miłości powołującej do życia.

Oczy ferini o różowym ciele się otworzyły. Zamieszkały w nich duch nadał im mroczniejszy odcień. Oddychała w nich teraz głęboka, płodna noc. Astarte uniosła nową, młodą dłoń.

– Prowadź mnie.

Duchy z całego świata odwracały twarze, gdy ogrodnik wiódł swoją królową przez magiczny tunel. W uszach Astarte coraz głośniejsze wybrzmiewała bitewna pieśń kruszejących czaszek i okrzyków bólu, przerywanych śmiercią. Królowa matka nie bała się tej wojny. Była potęgą każdego fera, który w niej uczestniczył. To było jak gra. Gdy do niej dołączyła, widziała czyste piękno. Zieleń, błękit i złoto cudownego Miasta Snów. Na srebrzystych skrzydłach opadała ku temu światu, wojna otwierała się przed jej sercem. W rękach dzierżyła błyskawice, zapalały się i gasły. Ci, którzy zobaczyli ją najpierw, uciekali w popłochu. Z daleka dostrzegła swoje ukochane dzieci i to na nich skupiła uwagę.

Eshkur i Wyrd wyczuli ją, jeszcze nim się im ukazała. Towarzyszące królowi i królowej fery jęknęły, po czym zapadła cisza. Walczyli już tylko ci, którzy nie rozpoznali magii pierwszej władczyni.

– Matko. – Wyrd pochylila głowę.

Eshkur uklęknął. Astarte mogła wyglądać inaczej, ale nie mieli wątpliwości, na kogo patrzą.

– Kwiaty, które były splecione, wciąż próbują się oddzielić – przemówiła. – Jest wam pisana śmierć, jeśli nie przestaniecie ze sobą walczyć.

Królowa miękko stąpała po trawie. Dotknęła ich głów, przekazując im błogosławieństwo.

– Zabiliście mnie – powiedziała.

Wyrd i Eshkur się złękli, ale Astarte skwitowała to śmiechem.

– Byliście tylko narzędziem – dodała. – Moja śmierć została zapisana, nie dało się jej uniknąć. Mój ogrodnik – spojrzała na upiora, który stał za nią – nie dał mi jednak odejść do końca.

– Ogrodnik! – zagrzemiał Eshkur. – Ten, który próbował nas zabić!

– Czyż niesłusznie? – spytała Astarte.

– Matko! – zawołała Wyrd.

Stara władczyni otaksowała ją przenikliwym wzrokiem.

– Patrząc na to, jak kończy się wasze królestwo, zastanawiam się, czy wasza przedwczesna śmierć nie sprawiłaby mi mniej bólu – powiedziała. – Ale nie... to los. Nie rządzymy nim. Jedyne, co nam wolno, to go wypełnić.

Wśród tłumu gromadzącego się wokół tej sceny mignęła istota o ciemnej skórze. Ledwo Astarte rozpoznała w niej księcia Hypnosa, jej myśli wycofały się, jakby wciągnięte w kosmiczną dziurę. Nie była na to przygotowana. Nienawiść przejęła nad nią kontrolę, echo ferini, której ciało przejęła, odezwało się wzmocnione.

– Ty! – zawołała. – Zdrajco!

Astarte przestała kontrolować to ciało. Ferini nadal miała jednak jej moc, gdy zerwała się do lotu i gwałtownie pochwyciła swojego brata.

– Leila! – krzyknął Hypnos. – Co ty...

– Żyję! – zawołała jego siostra. – Jestem tu! Zostawiłeś mnie na śmierć, a ja żyję!

Szarpał się. Nie chciał z nią walczyć. Słaby głos Astarte nakazywał się jej powstrzymać, ale ona nie musiała słuchać. Miała dość magii, by ją zagłuszyć.

Książę najpierw przyjmował ciosy, aż wreszcie zaczął się bronić. Astarte przebywała teraz w ich obojgu. Czuła wszystko to, co oni. Zazdrość Leili kazała jej zniszczyć brata. To nie on miał być władcą Aislingen, bo właśnie ona przygotowywała się do tej roli.

Hypnos przypominał sobie każdą walkę, którą musiał stoczyć, nim się tu znalazł. Pamiętał, że miał coś udowodnić. Sobie, matce, siostrze.

Coś wstrząsnęło jego ciałem. Drżał od obcych wspomnień – od wspomnień Leili. Widział, jak nachylała się do ucha jednego z ferów, którzy podążyli z nim w drogę. A potem następnego. Opłacała ich, by donosili jej o postępach misji.

– Więc to prawda, że właśnie ty próbowałaś mnie zabić! – Wściekły wyprostował rękę w jej stronę. – Acheron mnie nie oszukał! Na jej ustach zagościł zimny uśmiech.

– Ta misja nie należała do ciebie – odparła. – To ja powinnam była ją wypełnić. Ale dzięki temu, że matka mnie na nią nie wysłała, miałam więcej czasu, by poznać jej plany. Wiedziałam, że chciała uczynić cię władcą zamiast mnie.

Wzdrygnęła się z nienawiścią.

– I wiem o kilku innych sprawach, ale te, braciszku, zostawię jeszcze przez chwilę dla siebie.

Z jej palców ulatywały błyskawice. Hypnos gasił je mocą wody. Jego siostra była niemal jak Eshkur, on – jak Wyrd.

– Już za późno! – krzyknęła Leila. – Teraz mam w sobie moc pierwszej władczyni. Będę lepsza od ciebie, od matki, od wszystkich, którzy byli przede mną!

– Leilo, nie! – Wyrd wleciała pomiędzy nich, lecz wtedy jej córka zaatakowała jeszcze silniej. – Ona cię pochłonie! Moc Astarte...

– Przestań kłamać! – wrzasnęła Leila. – Ta ziemia *gnije* od twoich kłamstw, ty zdradliwa suko! Niech cię pochłonie piekło! Obyś wiecznie płonęła, ty plugawa córko namhajdów! *Jego* chciałaś uczynić królem?! *Jemu* powierzyłaś misję?! Teraz zabiję was wszystkich.

Wyrd zmrużyła oczy. W jej dłoniach gromadziła się energia Miasta Snów. Nad Ametystowy Sen uniosły się skłębione chmury magii, moc wypływała ze świątyni Prastarego Węża. Ale gdy królowa próbowała skierować tę siłę przeciwko córce, duch Aislingen odmawiał jej posłuszeństwa. Rozumiała dlaczego.

– Szybko, musisz dokończyć swoje zadanie – zwróciła się do Hypnosa. – Zabij March Sky, teraz. Póki tu jest, kraina nie będzie bezpieczna.

Poczuła jego opór jak niewidzialną ścianę. Spojrzała na niego, z ogromnym wysiłkiem nadal wzbudzając moc, żeby stworzyć barierę przed napierającą na nich Leilą.

– Dalej – rozkazała mu.

Hypnos zaciskał usta.

Głowę Wyrd ogarnęły gorączkowe myśli. Nie, nie mógł jej zdradzić. Tylko nie on. Jeśli zdradzi, wszystko będzie stracone.

– Przysięgałeś mi! – zagrzmiała.

– Nie. – Kręcił głową. – Dość już widziałem. To błąd. Popelniasz błąd.

– Nie ucz mnie prowadzić wojen! – wrzasnęła. – Miałeś zniszczyć dziewczynę! Ją i swojego ojca!

– Musisz mnie zwolnić z tej obietnicy – odparł.

Jego oczy się szklily. Przez krótki moment Wyrd i Hypnos patrzyli tylko na siebie. Jej odpowiedź oznaczała teraz wszystko: jego życie i śmierć. Gdyby zwolniła go z obietnicy, byłby wolny.

Musiała wybierać: syn lub królestwo. To, co jeszcze dało się z niego uratować.

Ale przecież była władczynią i wybór zdawał się oczywisty.

– Nie uwolnię cię. – Odwróciła twarz.

Hypnos zaczął walczyć sam ze sobą. Stracił dech. Jeszcze miał szansę. Mógł w każdej chwili pofrunąć w stronę Sky i z nią walczyć.

Astarte szamotała się w ciele Leili. Księżę też należał do niej. Ona dała mu życie, Wyrd nie mogła go odebrać, ale królowa matka już raz go uratowała, a teraz była osłabiona.

Z ust Leili wydarł się krzyk pierwszej królowej. Serce księcia stanęło, aura wokół jego ciała zbladła, ze skrzydeł zsywał się pył.

Hypnos, który kochał przestworza, po raz pierwszy i ostatni w życiu stracił możliwość lotu, ziemia przyciągnęła go i ofiarowała mu śmierć.



Cienie migały przed oczami March. Rozpraszały się, gdy w oczach ich właścicieli, porażonych jej zaklęciami, gasło życie. Zabicie

pierwszego wroga było trudne, zabicie kolejnych przychodziło łatwiej. Z każdym aislingeńskim ferem niszczyła część mocy Wyrd. Szukała królowej wzrokiem, próbowała przywołać ją Echem. Ta nie słuchała, czaiła się gdzieś.

– Astarte! – zawołała jakaś czarownica. – Ponoć to ona!

– Tak mówią wszystkie fery! – odpowiedział ktoś.

March się rozglądała. Nie wyczuła królowej matki. Gdyby się zjawiała, zapewne jej zapach byłby obezwładniający jak zawsze.

March znów dała się ponieść walce, jej żyły płonęły od wewnętrznego ognia. Rozumiała, dlaczego z taką łatwością pokonuje fery. Jej moc była przecież mocą Eshkura. Brzydziła się tego, ale na razie tylko to pomagało jej przetrwać. Zataczała ogniste kręgi, które utrzymywały wrogów na odległość, a swoim małym scyzorykiem wysyłała czary, na jakie dotąd nie potrafiła się zdobyć. Cięła precyzyjnie, w szale, by ich wszystkich zniszczyć, ale też z rozważą, jakby każdy ruch dyktował jej spokojny, wewnętrzny głos.

Nie zorientowała się, kiedy Leila stanęła za jej plecami. Nie poczuła zapachu ferini. Zmroził ją dopiero jej śmiech.

– Ty! – March odskoczyła.

– Złośnica – zadrwiła Leila. – Pokochałaś zabijanie. Gdybyś robiła to w bardziej wyrafinowany sposób, może zabawiłybyśmy się razem.

Inne fery zastygły, ostrożnie przyglądając się księżniczce. Leila ruchem ręki powstrzymała je przed atakiem, a sama ścisnęła ognistą obręcz ochronną March, sprawiając, że płomienie zgasły.

Dziewczyna szeroko otworzyła oczy.

– Jak...

– Zdumiona? – spytała Leila. – Sądziłaś, że każdy aislingeński fer ugnie się pod magią twojego ojca?

Bezszelestnie zmierzała w stronę March, która teraz miała już tylko scyzoryk. Skierowała ostrze na twarz ferini.

– Dwa razy pokonałam cię, nawet nie wiedząc, że mam jego moc – odpowiedziała. – Uważaj, żeby trzeci nie był ostatni.

Aislingeńskie fery otoczyły je kręgiem. Czujnie je obserwowały, ale wciąż nie zanosiło się na to, by miały atakować.

Leila zamachała skrzydłami. Dziewczyna zdała sobie sprawę, że nabrały ciemniejszego koloru, z czarnych plamek spoglądała czysta noc. Podobnie oczy ferini były mroczniejsze, głębsze.

March się cofnęła.

– Zatem rozumiesz? – Leila uniosła czoło. – Czujesz jej zapach? Cóż, woni Astarte nie można pomylić z żadną inną. Tak pachnie sama prawda.

Zmrużyła oczy i zbliżyła się jeszcze do dziewczyny.

– A teraz ja mam w sobie jej duszę. Powiedz mi, co może zrobić ludzka dziewczyna, nawet z siłą wielkiego króla ferów, skoro jego matka, potężniejsza od niego o magię całego wszechświata, odnalazła właściwe dla siebie miejsce właśnie we mnie?

Nagle z tłumu wyszła jakaś ohydna istota. Wyglądała jak zwłoki od dawna gnijące w grobie, do których nagle wrócił duch. Wysoki mężczyzna o zwęglonym ciele, ze spróchniałymi kośćmi wystającymi z ran na rękach. Spojrzenie jego przeżółkłych oczu padło na Leilę.

– To świętokradztwo, księżniczko – powiedział. – Królowa nie będzie twą niewolnicą. Uwolnij jej zmysły, póki możesz.

Leila machnęła ręką, sprawiając, że upadł.

– *Ja* jestem nową Astarte, głupcze!

Rzuciła się na March. W jednej chwili dziewczyna oddychała swobodnie, w kolejnej smukłe palce zaciskały się na jej szyi z taką mocą, jakby chciały nie ją udusić, ale złamać jej kark. Scyzoryk wypadł jej z ręki.

Potwór podniósł się z ziemi, a spod jego palców wyływała biała magiczna mgła. Pachniała starym światem.

Naraz zgromadzone wokół fery zaczęły padać, pogrążone w śnie.

– Ostrzegalem cię, księżniczko!

Upiór wykrzykiwał zaklęcia, które wstrząsały ferinią. Gdy puściła March, dziewczyna złapała oddech i zaczęła szukać scyzoryka. Nie

znalazła go. Znow musiała w pełni zdać się na magię swojego wnętrza.

Twarz Leili zmieniała się, raz po raz ciemniała, stając się jak Astarte, potem na nowo różowiała. Królowa matka i księżniczka walczyły w jednym ciele. Potwór unosił ręce, pochwytyjąc coś w powietrzu. Potem zbliżył się ku March, która opierając się łokciami o ziemię, wytworzyła wokół siebie krąg ochronny.

– Nie bój się, królowa chce cię pobłogosławić – powiedział upiór.

March odsuwała się od niego. Ogień Eshkura go nie przerażał. Upiór przeniknął ręką płomienie i rzucił u stóp March cztery szerniałe kawałki.

– B-broń... – wyjąkała.

Szybko sięgnęła po małe odłamki i mocno je ścisnęła. Zamrowiła ją skóra, a gdy spomiędzy palców wystrzeliło światło, zdumiona otworzyła dłoń.

Kawałki poruszały się, lgnęły do siebie. Wreszcie się połączyły, brakowało im tylko jednego, w którego miejscu widniała niewielka wyrwa na cudownej powłoce kryształu.

Xerion. March się nie zdumiała, bo przecież wiedziała to od początku. Piękno kamienia wciąż jednak wprawiało ją w osłupienie. Płomienie jej ochronnego kręgu uniosły się wysoko, a walka za nimi była odległa. Blask kryształu alchemików – tylko to było prawdą. Leila zniknęła, już jej nie było.

March na nowo zamknęła skarb w dłoniach i zaczęła się rozglądać. Pozwoliła płomieniom opaść. Gdy miała w ręku tę broń, nic nie mogło jej dotknąć. Zaklęcia i ciosy odbijały się od jej aury. Wśród walczących widziała teraz więcej postaci. Fery i czarownice byli pogrążeni w bitwie, a pomiędzy nimi przemykały jakieś mgliste kształty. Wśród nich March dostrzegła znajomą twarz. W jej sercu rozlało się ciepło większe od ognia Eshkura.

– Ise! – Podbiegła do niej.

Jej przyjaciółka rozłożyła ręce. March tym razem nie przeniknęła przez jej ciało. Płakała, pokazując jej kryształ.

– Mam go! Znowu go mam!

Isel patrzyła na xerion z równym zachwytem co ona.

– Skończmy to – powiedziała. – Teraz, kiedy mogę już zaczerpnąć jego mocy, niech pomoże nie tylko mnie. Razem spróbujemy zaprowadzić porządek w tej zasranej krainie. – Zaśmiała się, a potem spojrzała na March wielkimi oczami. – *Razem*, ty i ja, materia i duch. Połączmy siły i zmiećmy ją.

March pokiwała głową i pozwoliła Isel objąć swoje dłonie własnymi. Potem delikatnie położyła xerion na jej duchowej ręce. Przestrzeń zatoneła w blasku kamienia jak w białej mgłę.

– Nie wierzę, że to wreszcie koniec! – March padła na kolana. – Wreszcie spokój!

Isel gładziła ją po włosach.

– Tak, kochanie, to koniec – powtarzała, a mgła się rozwiewała. – To już koniec.

Palce przyjaciółki muskały jej skórę.

Ale to nie były palce jej przyjaciółki. Były długie, z lśniącymi paznokciami.

March uniosła wzrok i zdrętwiała ze strachu.

Leila nie przestawała głaskać jej z czułością.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY CZWARTY

Nie, nie. March nie była w stanie nawet się odsunąć. Zamarła, patrząc wprost na znienawidzoną, piękną twarz.

Ferini uśmiechała się z satysfakcją.

– Tak, wszystko się skończyło – wycedziła. Teraz jedną ręką ścisnęła xerion, drugą ramię dziewczyny, nie pozwalając jej się wyswobodzić. – Matka nie miała pojęcia, że wiem o broni. A ty nie miałaś pojęcia, że pożyczyłam sobie ciało twojej przyjaciółki, by ją dostać.

Jej chciwy wzrok zatonął znów w kryształach.

– Musiałaś mi go dobrowolnie dać, z czystym sercem, z miłością – powiedziała. – Dzięki temu nie utracił swojej magii i teraz należy do mnie. Widzisz, matko?! – zawołała do Wyrd, która opadła na ziemię obok nich. – Poznałam sekret tej broni lepiej od ciebie!

Królowa zacisnęła pięści. Eshkur stanął po drugiej stronie. Jego ciało otaczały płomienie.

Leila puściła March. Ta zaczęła znów panicznie szukać swojego scyzoryka, ale było już za późno. Różowa ferini poderwała się w powietrze, blask kryształu objął całą jej sylwetkę. Po jej skrzydłach tańczyły promienie słońca.

Walczący ucichli z głowami skierowanymi ku niebu.

– March, co się stało? – Callen zjawił się obok. Był poobijany, delikatnie oparł dłonie o jej ramiona. Dostrzegła, że miał skrzydła. To musiało się jej wydawać. Jawa mieszała się ze snem.

– Ten... duch... – próbowała coś powiedzieć.

Oczy wszystkich kierowały się w jej stronę. Kalu i Brevda stali pomiędzy czarownicami. Widziała na ich twarzach żywe przerażenie. To ona była nadzieją Społeczności na to, że uda się pokonać Miasto

Snów, a teraz stała tutaj, mała i bezradna, w świecie, którego ciągle w pełni nie знаła, w który wpełniono ją bez jej woli. A oni patrzyli, spodziewając się po niej następnego kroku.

Leila wciąż unosiła się nad tłumem. Wyraźnie nie wiedziała jeszcze, co zrobić z xerionem, zdawało się, że na razie nie dostrzegała niczego poza nim.

Wiele czarownic zaczęło się przenosić, jednak fery pozostawały na polu walki. Z ich tłumu wyszły dwie postacie. Choć milczały, zwróciły uwagę March nie tylko swoim pięknem, ale też niezwykłą magią. To były królowe. Jedna miała włosy o kolorze kłosów zboża wyciągających się w słońcu, jej blad różową skórę pokrywały tatuaże. Druga była ciemna jak noc, przypominała Astarte. Obie patrzyły na Wyrd i Eshkura. March rozumiała, że rozmawiali Echem. Wpatrywała się w nich, nie potrafiąc odwrócić wzroku, wreszcie i oni spojrzeli na nią. Drgnęła tak, jakby te spojrzenia mogły jej dotknąć.

Wyrd wyciągnęła rękę.

– Nie, co robicie?! – wrzasnął Callen, kiedy March wzleciała w powietrze. Chciał pofrunąć za nią, ale ferzy wojownicy zablokowali przejście.

Dziewczyna nie opierała się magii Wyrd. Wylądowała na ziemi w otoczeniu czterech ferzych władców. Słyszała pulsowanie ich serc, ich aury rozciągały się daleko poza pole bitwy, a ona znalazła się w samym ich środku. Szumiało jej w uszach, gdy dwie królowe, które widziała po raz pierwszy, pochyliły się nad nią. Ta o jasnej skórze zajrzała jej w oczy.

– Jestem Fione ыл Maas – powiedziała – władczyni Tir-na-Nog.

– A ja Ereshkigal – rozbrzmiał głos przy ramieniu dziewczyny. – Pani Elphame.

March przeniosła wzrok z jednej na drugą.

– Nie nienawidzimy ludzi – zapewniły unisono, odczytując jej obawy.

Ale dla niej każdy fer był taki sam. Wzdrygnęła się przed ich magią.

– To twoja magia. – Fione ỳl Maas położyła rękę na jej sercu. – Nie mamy wiele czasu. Musimy zrobić wszystko, byś mogła jej użyć.

Nad ich głowami blask w dłoniach Leili jaśniał coraz mocniej.

– W takim razie wypowiedzmy przysięgę od razu! – rzucił Eshkur.

– Na co czekamy?

– Tego właśnie byś chciał! – warknęła Wyrd. – Od początku do tego dążyłeś.

– Dość! – Królowa Tir-na-Nog wyprostowała się. – Wasz świat właśnie się kończy, wszystko, co stworzyliście, może zostać pochłonięte przez tę moc, a wy nadal myślicie tylko o sobie?

– Co ty możesz o tym wiedzieć? – Wyrd obrzuciła ją wzrokiem. – Nawet nie płynie w tobie królewska krew.

Fione stanęła z nią oko w oko.

– Wydarłam tę krew z żył poprzedniej władczyni – wycodziła. – Mam w tym doświadczenie. Przekonamy się?

– Nie rozumiecie. – Wyrd zaczęła protestować. – On to zaplanował. Skąd mam wiedzieć, że nie wciągnął w te plany też Leili? Jeśli dziewczyna dostanie moc...

– Czyżbyś miała inny wybór? – spytała Ereshkigal. – Ty byłaś jedyną, która protestowała przeciwko Matce Duchów. Ty jedna trzymałaś się swojej nienawiści do ludzi, nawet kiedy Eshkur postanowił ich wspomóc.

– Zrobił to tylko dla siebie! – zawołała Wyrd.

– My też jesteśmy tu dla siebie! – odparła Fione. – Możemy zabrać swoje wojska, wrócić do Jaaru i stamtąd zniszczyć twoją krainę, a wtedy wszystkich was pochłonie jeden wielki koszmar.

– O czym wy mówicie? – spytała March.

Fione spojrzała na nią.

– Matka Duchów powierzyła ci wielkie zadanie. W twoim ciele spotyka się to, czego pragnęła Ona Sama: fer i człowiek. Możesz wreszcie wybawić ten świat z jego nienawiści, dziewczyno. Pytanie, czy tego chcesz.

W March znów wzniecał się ogień.

– A dlaczego miałabym chcieć? – spytała, wstając. – Dla niej?! – Wskazała na Wyrd. – Dla niego?

Eshkur poruszył się niespokojnie.

– Być może dla piękna wszystkich snów Aislingen? – spytała Fione.

– Dla świata byłoby o wiele lepiej, gdyby te sny zniknęły – wycedziła March. – Na zawsze.

– Obawiamy się, że teraz, kiedy broń znalazła się w rękach Leili, zniknąć może więcej niż jedna kraina – oznajmiła Ereshkigal. – Księżniczka ma nie tylko narzędzie do walki, którego nie potrafi jeszcze wykorzystać, ale też przejęła władzę nad duchem Astarte. Z jej mocą nie może równać się żadne z nas.

– Ale wszyscy razem, owszem – dodała Fione. – Moce matki są rozbite pomiędzy jej dzieci, a teraz, March Sky, stoisz pomiędzy wszystkimi żyjącymi władcami ferzych krain. Jeśli pozwolisz nam się namaścić...

– Mam się pozwolić namaścić *wam*? Przecież to nie jest moja magia, nie mam do niej prawa.

– Do swojej magii masz wyłączne prawo – odparła Fione.

– A za tym prawem idzie obowiązek – powiedziała ostrzej Ereshkigal. – Przyjmij naszą moc, pozwól, by pokierowała tobą magia królowych. Walcz o siebie i o tych, których kochasz.

Przed oczami March stanęli Callen, Ove i matka. Zobaczyła Irmę i Cleto. Gdyby teraz się poddała, podjęłaby decyzję za nich wszystkich.

– Dobrze – powiedziała. – Róbcie, co macie robić.

Fione i Ereshkigal posłały spojrzenie Wyrd. Ta zmrużyła oczy, ale już nie protestowała.

– Usiądź – poleciła dziewczynie królowa Tir-na-Nog. – Poczuj ziemię. To twoja ziemia.

Jednak gdy March dotknęła gruntu, wcale nie miała wrażenia, że ta kraina należy do niej. Trzy królowe i jej ferzy ojciec przyklękli obok

niej. Zamknęła oczy, gdy położyli na niej ciepłe dłonie. Tylko dotyk Wyrd był inny – zimny i drżący – aury pozostałych były ciepłe.

Wszyscy zaczęli mrużyć coś pod nosem. Brzmiało to jak zaklęcie i March czuła całą sobą, że to pierwszy raz, gdy słyszał je świat, że dotąd te słowa były zamknięte w szczelnym więzieniu.

Potem przestrzeń zaczęła śpiewać. Magia przybywała z najodleglejszych części wszechświata, gwiazdy otwierały ogniste serca, by ją wysłać, pod palcami królowych i króla pulsowała moc wszystkich ferów. Serce March uderzało jak bęben, przygrywając słowom zaklęcia. W jej ciele mieszkała dokładnie taka sama siła, którą oni sączyli w nią poprzez swoje dłonie, a teraz, gdy zasilali dziewczynę, ta siła otwierała się jak pęk długo uśpionego kwiatu.

I naraz March się rozplynęła. Magia w niej i magia poza nią były tym samym, cały świat zamknął się w jej ciele. W ustach miała słodki nektar ferzych krain. Tak wiele teraz wiedziała i większość z tych rzeczy nie dotyczyła jej samej. Nie była już March, nosiła w sobie wszystko, była jak świat płynący przez ocean czasu.

Potem ta wizja zaczęła się zawężać. March stała się Ereshkigal, Fione, Wyrd i Eshkurem. Ich ciała padły bez świadomości obok niej, a ich astralne dusze wpełzły w nią, gdzie mogły się ze sobą mieszać. Walczyły, tak, ale jednocześnie pasowały do siebie idealnie jak elementy jednego ducha.

March była ferem. Bardziej ferem niż człowiekiem.

Chwilowy ból, zapach krwi, a potem znów słodycz. Miała skrzydła. Na tych skrzydłach wzbiła się w przestworza, jej ciało było lekkie jak piórko, ziemia nic nie znaczyła, nie mogła jej więzić, bo niebo stało się jej królestwem.

Napełniona magią każdej krainy ferów, pędziła w stronę Leili. Ta, którą kiedyś była – March, dziewczyna szukająca sposobu, by odnaleźć się w tym niezrozumianym, pomieszanym świecie – tylko to obserwowała. Dziwiła się temu, ale czym było zdziwienie? Prawdziwa, uśpiona dotąd March Sky – *złoto, które lśniło*, jej dusza – doskonale wiedziała, co robi.

Leila była wysoko, jej sylwetka zmieniła się w ciemną plamkę na tle wielkiego słońca. Powoli odwróciła wzrok od xerionu.

– Och, więc cię przysłali – zaśmiała się. – Na to czekałam. Chcę udowodnić wszystkim tam w dole, że mogę cię zniszczyć. Muszą to zobaczyć. A potem użyję tej broni, skoro jest już moja. Najpierw jednak wyrwę z ciebie prawdę o tym, jak to zrobić.

March, nie tracąc czasu na rozmowy, oddała swoje ciało magii.

Jej moc eksplodowała. Tym razem naprawdę. Tak, jak zawsze się tego obawiała, ale zamiast rozsadzić ją od środka, pokryła jej ciało złocistą poświatą. Ręce dziewczyny same uniosły się w stronę ferini. Z dołu zaczął wzlatywać ku niej jej scyzoryk. Ledwo musnęła go palcem, a zajaśniały wyryte na nim znaki. To, co wcześniej brała za swoje dziecięce bazgroły, a o czym później dowiedziała się, że znaczyło *Tuathatir: córka plemienia*, teraz wreszcie nabrało sensu.

Córka plemienia.

Tym była. Córką ferów.

I ich królową. Przynajmniej teraz.

Przyłożyła ostrze scyzoryka do brzucha, zaczerpując więcej mocy.

To nie była walka, ale szal. Rzuciły się na siebie, wiedzione pierwotnymi siłami. March raz po raz traciła i odzyskiwała świadomość, opadała ku ziemi i wzbijała się znów w przestworza. Z jej rąk wystrzeliwała potężna magia, która zniszczyłaby ją w innych okolicznościach. Tutaj jednak wszystko było na swoim miejscu.

Leila zaciskała usta, odpierając jej ataki. Krzykiem wzburzała powietrze, March opierała się jego podmuchom, blokując je niewidzialną tarczą.

Ale Leila wykorzystywała moc Astarte. Królowa matka krzyczała w niej, wciąż próbując się wyzwolić. Zniewalając ją, ferini zamknęła w sobie całe odwieczne królestwo ferów, które teraz dążyło do tego, by jej ciało pękło jak zużyta skorupa.

March przywoływała do siebie wszystko to, co wcześniej odrzuciła – kochała każdą cząstkę magii, której dawniej chciała się wyrzec.

Była we właściwym miejscu, właśnie w tej chwili, nieważne, co działo się wcześniej i co zdarzy się później. Wyciągnęła rękę po xerion.

Kamień prawie wyslizgnął się z rąk Leili, lecz ta chciwie go złapała. Jaśniał teraz mocniej niż słońce, oślepił niebo. Chciał wyswobodzić się z rąk ferini, Ignął do March.

– Dałaś mi go dobrowolnie! – warknęła księżniczka. – Nie zdołasz go zabrać!

– Niech zdecyduje sam! – zawołała March.

Ferini siłowała się z xerionem coraz gwałtowniej. Jęknęła, gdy kryształ błysnął, parząc jej palce, i zaczął płynąć w stronę March. Zatrzymał się jednak w połowie drogi między księżniczką a dziewczyną. Magia słońca wciąż tańczyła po jego powłoce, aż nagle z niebem stało się coś dziwnego.

Słońce jakby przygasło, błękit zamieniał się w biel, przenikliwy mróz wypełnił powietrze. Tylko ognista moc Eshkura ogrzewała ciało March.

Blask ustał, zrobiło się ciemno, lecz w tej głębokiej nocy wyraźnie odznaczał się jeden niewielki punkt – kryształ alchemików. A potem zgasł i stał się czarniejszy od nocy.

March usłyszała krzyk – dochodził z jej pamięci. Oczami wyobraźni zobaczyła finfolski las i kroczącą przez niego bestię. Potwór wznosił pysk ku niebu i ryczał. Sklepienie twardniało, zamieniając się w twardą skorupę, jak ziemia. A ta naraz pękła, wypuszczając ze swojego wnętrza różowe promienie, podobne do wody zabarwionej krwią. To było jak zaćmienie słońca, ale słońce nie zostało zakryte. Ono zatopiło się w ziemi, a potem z powrotem wyłoniło się z niej jak z brzucha matki.

– Imbolc – wyszeptała March.

Słońce wracało na ziemię. W chwili, gdy siły ciemności i światła miały zetrzeć się po raz ostatni, przyszedł czas wyboru. Dla kogo miała zadziałać broń?

Róż zamieniał się w złoto, pierwszy promień popłynął do xerionu jak strzała, a kamień zaczął zmieniać kolory. Znow stał się biały,

potem, jakby nasycony mocą słońca – złocisty, a wreszcie, gdy niebo stało się czerwone jak o poranku, przybrał rubinowy kolor. Wyraźniej dało się zobaczyć wyrwę spowodowaną brakującym fragmentem.

March poczuła ukłucie, delikatne, w samym brzuchu. Xerion zaczął ją przyciągać. Leila patrzyła na to zszokowana, ale nie mogła się ruszyć, zupełnie jakby kamień roztaczał wokół siebie aurę ochronną. Zapraszał tylko dziewczynę.

Gdy March była obok, kryształ spoczął na jej brzuchu. Wyciągał stamtąd magię – coś, co zawsze należało do niego. Potem uniósł się tak, by mogła na niego spojrzeć. Był cały. Pięta, brakująca część, znajdowała się nie w Domu Wiedźm, ale w ciele dziewczyny.

Leila wrzasnęła. Jej ciało zaczęło zmieniać kształty. Wewnętrzna walka stała się tak widoczna, jakby ferini miała rozerwać się na pół. Już przegrała. Astarte przejmowała ją na nowo. Osłabiona Leila była niczym w porównaniu z nią. Ostatnim wysiłkiem opuściła swoje umierające ciało. March widziała, jak jej duch znika za horyzontem, jakby uciekał przed światłem, po czym pożarła go noc.

Różowa dłoń pustego ciała ferini zmieniła się w czarną. Królowa matka wyciągnęła rękę w stronę March.

– Moje dziecko – powiedziała. – Dziękuję. Ochroniłaś mój świat i pozwoliłaś, bym mogła dokończyć to, co zaczęłam dawno temu.

Złożyła skrzydła i rozpostarła ręce. Błady uśmiech zagościł na jej twarzy, a potem rzuciła się w przestrzeń.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Astarte opadała jak martwa ćma. Tak jak wtedy, gdy poraziły ją zaklęcia jej własnych dzieci. Magia wirowała szaleńczo, żywioły wstrzymywały swoje moce, czekając na to, co się wydarzy. Jej śmierć znów mogła być końcem czegoś więcej niż tylko jej chwilowo odzyskanego życia.

Ogrodnik uniósł dłonie. Pomógł królowej delikatnie spocząć na ziemi, jej pierś jeszcze unosiła się i opadała. Przyklęknął obok niej, jej głowa spoczęła na jego rękach. Załkał cicho.

Inni patrzyli na tę scenę, ale ogrodnik i Astarte zdawali się ich nie dostrzegać. Było tak, jakby czas nigdy nie ruszył, a oni znów znaleźli się w ogrodach królowej z początku czasów.

– Kocham cię – wyszeptał ogrodnik. – To zawsze chciałem ci powiedzieć. Oto moja tajemnica. Oto, dlaczego to zrobiłem.

Oczy Astarte kierowały się ku niebu, jednak jej dłoń spoczęła na policzku upiora.

– Ja... – Musnęła go. – Ciebie nie kochałam... nigdy... Ale teraz wreszcie jesteś wolny.

Potwór nie zdumiał się. Wszystko, co zrobił, zrobił z miłości do niej i dla tej miłości kroczył przez tyle lat po świecie, nie mogąc nigdy oddać się w ramiona śmierci. Jedyne, czego nie rozumiał, to to, dlaczego nigdy nie zapragnął odpocząć, skoro od zawsze wiedział, że ona nie kochała jego.

– Co robisz? – spytała Ereshkigal, podchodząc do niego. Fione, Eshkur i Wyrd też otoczyli ciało królowej matki.

Ogrodnik zbył ich ruchem ręki. Dla niego byli jedynie kwiatami, które wyrosły w ferzycach ogrodach. Palcami pochwytывał gasnącą aurę Astarte i wyciągnął z niej ostatnią nić życia. Duch był wolny.

Potem upiór spokojnie położył głowę władczyni na ziemi. Spojrzał w stronę dziewczyny, która opadła za plecami Eshkura i Wyrd. Przesztorza obdarzyły ją skrzydłami, ale stare duchy dały jej o wiele większy podarek – możliwość dotknięcia czegoś, czego większość istot nigdy nawet nie zobaczy. Trzymała w dłoniach kamień, który jaśniał rubinowym blaskiem. Ogrodnik miał pewność co do tego, że wiedziała, czym był ten przedmiot, lepiej od wszystkich, którzy wlepiali w nią ciekawskie spojrzenia.

– Za jego pomocą możesz dokonać wielu cudów – oznajmił, patrząc na nią. – Możesz przemieniać to, co brudne i stare, w czyste i nowe. Możesz przemienić duszę chciwą w szlachetną. Możesz też przywrócić życie tam, gdzie jeszcze nie zostało całkiem odebrane. Wolno ci wybrać tylko jeden cel. Potem kamień przestanie ci służyć.

Pokiwała głową.

– Ty też go miałeś, prawda? – spytała.

Upiór się zaśmiał.

– Stworzyłem go jako pierwszy. Przynajmniej w tym świecie, a jak być może wiesz, w szerokim kosmosie światów jest więcej niż gwiazd. Ale owszem, tutaj ja jestem Pierwszym Alchemikiem.

– Co ty wybrałeś? – Dziewczyna patrzyła na niego przenikliwie.

– Ja? – odparł.

Spojrzał tylko na ciało królowej, nad którą wciąż pochylali się ferzy władcy. Potem odwrócił się i odszedł, by wreszcie umrzeć.



March nie bała się już upiora. Patrzyła na niego tak, jakby go znała. W chwili, gdy dotknęła xerionu, znała zresztą wszystko, odpowiedzi na każde pytanie ujawniły się przed jej duszą, a ona sama była pełna – tak pełna najprawdziwszej istoty samej siebie, jak tylko było to możliwe.

I była nie tylko tym, nie tylko sobą. Gdy wreszcie usłyszała głos własnej duszy, stała się każdą istotą w całym świecie. Każda myśl, każdy człowiek, każdy fer, najmniejszy robak w głębokiej ziemi i najwyższy spośród tych, których nazywano tu Świetlistymi, był nią. A wszystko to było idealne. Zdumiała się, bo w obrazie całego świata – wszystkich światów, które istniały – nie było najmniejszej rysy, tak jakby najdrobniejszy ruch każdej cząsteczki był zaplanowany.

Ale świat się nie rozpląwał. Przeciwnie, stał się jeszcze bardziej rzeczywisty. Gdy ogrodnik zniknął, March uświadomiła sobie, że Callen trzyma dłoń na jej ramieniu. Wszędzie rozpoznałaby ten ciepły dotyk. Odwróciła się w jego stronę i go objęła. Bliskość jego ciała i ducha była teraz wszystkim. I tak, *naprawdę* miał skrzydła, tak samo jak ona. To nie było przekleństwo, ale dar.

Ich usta znów się spotkały. Już jej nie obchodziło, że to nie był dobry czas na miłość. Każdy był dobry. Miłość ją zresztą uratowała. Uratowała cały ten świat.

Wreszcie Ove podszedł do nich. Emma niepewnie trzymała się z boku.

– Nie żebym chciał wam przeszkadzać czy coś, ale nasi starzy znajomi żyją – czarownik wskazał na Eshkura i Wyrda rozmawiających cicho z Fioną i Ereshkigal – i to chyba znaczy, że coś nam tak jakby nie poszło...

– Już nam nie zagrażają – odparła March. – Broń jest moja. Mogą się dogadać między sobą, mogą się nawzajem pozabijać. Nic mnie to nie obchodzi.

– No ale Aislingen nadal istnieje i wypadaloby, żeby miało władzę, a z tego, co wiemy, ty mogłabyś przejąć tę rolę.

– Co? – Callen wytrzeszczył oczy.

– *Mogłabyś* – dodał szybko Ove – gdyby nie to, że Wyrd i Eshkur zakatrupiliby cię wtedy gołymi rękoma, już bez zaklęć. No i Społeczność musiałaby na to przystać, a polityka, jak wiadomo, nie jest szczególnie magiczną sprawą, nawet u czarownic.

– Ale dlaczego March miałyby zostać władczynią krainy ferów? – dopytywał Callen.

– Długo by opowiadać – odparł czarownik. – Najważniejsza rzecz jest taka, że March ma w sobie moc Eshkura i wiedźm.

– Nie wiem, tylko ludzi – poprawiła go. – Po prostu ludzi. Chodzi o to, że jestem córką ferów i ludzi. Tam, w górze, czułam się bardziej córką skrzydlatych.

– Trudno się dziwić – mruknął Ove. – *Latałaś*. I to nie jest normalne, skoro już tak sobie szczerze gadamy.

– Ale tutaj – ciągnęła March – na ziemi, czuję się bardziej córką ludzi. Z tego płynie taka sama moc i taka sama magia.

– A razem łączą się, dając ci moc godną królowej – dodał czarownik.

– Nie chcę tej mocy – powiedziała. – Jest ktoś, kto może lepiej ją wykorzystać.

Zdawało się, że to sam xerion prowadził ją w stronę Hypnosa. To musiało oznaczać, że podjęła słuszną decyzję. Starła się nie patrzeć pod nogi, na martwe ciała, które omijała odruchowo. Chciałaby uzdrowić wszystkich. Gdyby tylko mogła!

Callen i Ove zdumieni szli za nią.

– Co właściwie chcesz zrobić? – spytał chłopak.

– To nie ja mogę to zrobić, tylko magia xerionu.

Uklękła przy księciu. Oczy Hypnosa już zgasły, ale w jego aurze jeszcze tliła się cienka nić życia, która wiła się jak dym z kadzidła.

– Nie można mu już... – zaczął Callen.

– Można – powiedział pewnym głosem March. – Jego dusza jeszcze całkiem nie odeszła.

– A skąd ty to wiesz? – zdumiał się Ove.

– Widzę to, przynajmniej póki mam przy sobie kryształ.

Pewnym ruchem ujęła rękę księcia i umieściła w niej xerion. Potem patrzyła w oczekiwaniu, aż czerwony blask objął jego sylwetkę. Płuca poruszyły się gwałtownie, Hypnos kaszlnął. Nić życia mocniej rozbłysła w jego piersi. Naraz szeroko otworzył oczy, a xerion zbladł.

March wiedziała, że wykorzystała jego magię i że zrobiła to w słusznym celu.

– Ta kraina potrzebuje kogoś mądrzejszego, kto będzie jej przewodził – powiedziała, podając księciu rękę. – Wstań.

Potrzebował czasu, by zrozumieć, o co jej chodzi. Jednak kiedy zmieszany wreszcie się podniósł, Callen wspomógł go swoją uzdrawiającą energią. Cała ich trójka, dotąd tak nieufna wobec siebie, zyskała nową szansę.

– Po tym, co zrobiłem... – zaczął Hypnos. – Uratowałeś mi życie...

– A ty moje – przypomniała mu. – Gdybyś tego wtedy nie zrobił, nie zdołałabym uratować cię teraz. No wiesz, jedno wydarzenie wpływa na inne, efekt motyla i takie tam.

W tej chwili właśnie tym była dla niej magia. Wzajemnym wpływaniem na siebie wszystkich istot i spraw, czymś, czym można było się dzielić jak ogniem – nigdy tego nie tracąc.

– Ale ty... – zaczął znów Hypnos, kiedy March wyjaśniła, co zaszło. – Przecież z tego by wynikało, że mogłabyś ubiegać się o władzę.

– Ja? – odparła. – Teraz? Po tym wszystkim, co się stało? Nie. Moje życie jest tam, w świecie ludzi, nie tutaj. A poza tym...

Powiodła wzrokiem po pięknej krainie ferów. Miasto Snów było cudem i mogło stać się czymś lepszym i wspanialszym. Ale to nie ona chciała je tworzyć.

Zaśmiała się.

– Wybacz, ale mam zamiar wreszcie wrócić do bycia normalną.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Było jeszcze wiele rzeczy, które musieli zrobić. Kalu i Brevda poprosili, by March i jej matka przeniosły się z nimi do siedziby Rady.

– Wy nie – powiedziała przewodnicząca, kiedy Ove i Callen ruszyli za nimi. – To sprawa dotycząca tylko ich.

– Kochanie... – Emma znów próbowała przemówić do córki.

March pokręciła głową. Tak, chciała porozmawiać z matką, była gotowa poznać prawdę i wybaczyć jej kłamstwo, ale jeszcze nie teraz. Wszystko działo się zbyt szybko, czekała na chwilę spokoju, aż wreszcie będzie mogła usiąść i mieć to wszystko za sobą.

Wciąż trzymała wyblakły już xerion, gdy Brevda pochwycił jej wolną dłoń. Aislingen rozplynęło się w kolorowej mgle, barwy wsiąknęły w mrok, kiedy wylądowali w zimnej, ciemnej komnacie.

– Znowu – wyszeptała Emma.

Pomieszczenie przypominało celę, kamienne ściany były nagie, blade światło rozchodziło się u sufitu. Kroki Amary Kalu rozbrzmiały głośno, kiedy stanęła naprzeciwko Emmy.

– Pamiętasz – powiedziała. – Jak mogłabyś zapomnieć?

– To było tu... – Kobieta zerknęła na pustą ścianę tak, jakby coś tam widziała.

– Co tu było? – zapytała March.

Matka powoli odwróciła się w jej stronę. Jej oczy były wielkie i lśniące, takie jak podczas wielu ich rozmów, które stoczyły przed ucieczką dziewczyny z domu. Emma wydawała się przestraszona.

– Chcesz jej to powiedzieć? – spytał Brevda. – Możemy pomóc.

Emma zbyła go gestem.

– March – spytała – czy pozwolisz mi pokazać ci prawdę? Nie powiedz o niej, ale pokazać ci wszystko tak, jak było?

– Dobrze, w takim razie mi to pokaż – przystała wreszcie.

Matka złapała ją za ramiona. Jej magia wpływała w March, a gdy ta całkiem się jej poddała, czas zaczął się cofać. Była ciągle w tym samym pomieszczeniu, kolejni ludzie pojawiali się i znikali jak na przyspieszonym filmie. Gdy przestrzeń się zatrzymała, Emma nie ścisnęła jej ramion córki, ale stała obok, zwrócona do niej plecami.

– Mamo?

Nie słyszała.

March okrążyła ją tak, by spojrzeć jej w oczy. Matka była młodsza i nieświadoma jej obecności.

– Chcesz zobaczyć jego moc? – rozległ się męski głos.

March drgnęła, gdy z ciemności wyłonił się fer. Już go widziała. W jednej z pierwszych wizji to właśnie on stał obok Emmy. Sądziła, że był jej ojcem, ale to nie był Eshkur. Miał oliwkową skórę, łagodne spojrzenie. Nad jego otwartą dłonią unosił się płonący klejnot, brakujący fragment xerionu.

Emma patrzyła na odłamek zafascynowana.

– Więc to jest jego magia...

– Czujesz? – Fer pozwolił jej ogrzać dłonie czarami Wygnanego Króla.

Pokiwała głową. Ogień łagodnie otulił blaskiem jej palce.

– Nie parzy. Jest... przyjemne.

– Ale potężne – zastrzegł fer. – Mój pan zaklął swą moc w tym przedmiocie po bitwie z Wyrd. Otrzymał go od finfolskich czarownic. One też wypełniły go mocą. Zgodnie z ich przepowiednią pewnego dnia pojawi się ktoś, kto stanie naprzeciwko Wyrd i ją zwycięży.

– Acheronie – powiedziała Emma. – Jeśli ta moc zamieszka w naszym dziecku, dziewczynka będzie błogosławiona niezwykłą potęgą. Będzie w stanie nagiąć cały świat astralny do swojej woli.

– Będzie to też niebezpieczne, ale być może nie mamy innego wyboru.

Emma położyła dłonie na brzuchu, który nie był jeszcze wyraźnie zarysowany. Zastanawiała się.

– Wtedy ona zostanie jego córką – zaczęła. – Córką Smoka.

Fer ujął jej dłonie.

– Magicznie i duchowo tak, ale nadal będzie dzieckiem, które powstało jedynie z naszej miłości.

Emma wciąż się namyślała.

– Nie mówiłam ci o tym, nie wydawało mi się to ważne... Ale gdy mieszkałam w Ffolk, spotykałam czasem czarownicę.

– Lorelei Malloway – odparł fer.

– Wiesz, jak się nazywała? – zdumiała się Emma.

Acheron potaknął.

– To przywódczyni grupy ffolkskich wiedźm. Nazywają ich Kowenem Bestii. Mallowayowie dbali o to, by przepowiednia czarownic się spełniła. Najstarszy potomek ich rodu w każdym pokoleniu uważnie badał znaki. Widocznie dla niej ty byłaś znakiem.

Pocałował ukochaną w czoło.

– Dając jej tę magię, piszemy dla niej niezwykłą przyszłość – stwierdziła Emma raczej ze smutkiem. – A bez mocy Wygnanego Króla może nie mieć żadnej przyszłości. Zróbmy to więc.

Acheron wypuścił odłamek z ręki. Ten zawisł nad ziemią. Potem fer przytulił kobietę, a ich ciała zaśniły potęgą Smoka.

Emma drgnęła. March nie widziała, co stało się dalej, bo wizja się zmieniła. Teraz jej matka była już w zaawansowanej ciąży. Wraz z ukochanym stała w aislingeńskim lesie – w sercu największego zagrożenia. Wokół nich drzewa kładły się złowieszczymi cieniami.

– Musimy stąd odejść. Natychmiast – powiedziała Emma.

– Nie stworzę portalu – odparł przerażony Acheron. – Wytropią naszą magię.

– W takim razie skorzystajmy z pomocy...

Wszędzie zaczęły pojawiać się fery. Acheron pochwycił Emmę za rękę i zaczęli uciekać. Ścisnęła go tak mocno, jakby trzymała się całego świata, ale musiała puścić, gdy czerwona energia wybuchła w jej brzuchu. Ból był zbyt duży.

– Uciekaj, ludzka dziewczyno! – zawołał głos, który March знаła. Głos Eshkura.

Przed Emmą powstał ognisty portal. Fery dopadły Acherona.

– Uciekaj!

– Bez ciebie nie...

Ale ognisty portal wciągnął ją w miejsce, gdzie czas urwał się i zapętał. Zapomniała, co się stało, zapomniała, co miało się wydarzyć. Długo była tylko ona, samotna ze swoimi myślami. I tylko od czasu do czasu pojawiała się obecność kogoś, kto ją tropił. W końcu portal otworzył się na nowo. W miejscu *pomiędzy* pojawiła się Wyrd.

Na jej widok Emma zaczęła rodzić. Towarzyszące królowej akuszerki pomogły jej, ale Wyrd nie przyszła po to, by zapewnić kobiecie opiekę.

– Rodzisz niezwykle dziecko – powiedziała, jeszcze nim Emma skończyła krzyczeć od porodowych bólów. – Długo cię szukałam i zastanawiam się, dlaczego ten ferianin ma być tak potężny. Nadal tego nie rozumiem, więc muszę się zabezpieczyć.

Potem Emma usłyszała wyrok, którego treść March też już знаła.

– Pozwolimy ci urodzić, ale wyślemy cię z powrotem do twojego świata. – Słowa rozbrzmiały echem w pamięci matki i córki. – Wiedz, że o wszystkim zapomnisz. Nigdy nie pozwolimy ci ponownie odwiedzić Aislingen. Na zawsze stracisz dostęp do magii.

Ostatnie słowa Wyrd zgasły wraz z wizją. March znalazła się znów tu i teraz.

Emma płakała.

– Rozumiesz? – spytała. – Wiesz, dlaczego musiałam to zrobić?

March głaskała jej ramię.

– Dzieci ferów i ludzi nie zawsze rodzą się zdrowe – łkała. – Nie zawsze w ogóle przeżywają poród. Ja miałam wizje. Wizje, w których moje jedyne dziecko umiera. A tak bardzo kochałam twojego ojca... I on kochał mnie. Nie mogliśmy pozwolić, by coś ci się stało. W tym niebezpiecznym świecie, gdzie naszą miłość mogło

zniszczyć jedno zaklęcie, musieliśmy mieć kogoś, kto będzie dowodem na to, że ta miłość istniała, że mogła się wydarzyć.

Emma kręciła głową.

– Napelnienie cię energią Eshkura było jedynym wyjściem. On szukał wiedźmy, która urodzi dziecko z jego magii. To musiało być dziecko magii i miłości. Ja i Acheron daliśmy ci całą miłość, jaką mieliśmy, a on ofiarował ci swoją moc. Dlatego nazwał cię swoją córką. Jesteś nią, ale nie do końca.

– Nie do końca... – powtórzyła March. – Jestem twoją córką, twoją i tamtego fera... Acherona. Co się z nim stało?

Dziewczyna uniosła spojrzenie na przewodniczących, którzy stali spokojnie obok.

– Acheron ukrył swoją tożsamość – odparł Brevda. – Schwymano go tylko na moment. Wymknął się i założył na twarz maskę, której nikt poza nim nie mógł ściągnąć. Służył jako nasz agent w wojskach Wyrd. Niestety teraz...

Zawiesił głos. Emma zacisnęła usta i pokiwała głową.

– Oddał tej sprawie życie – powiedziała. – Miał to zrobić, chciał tego. Byłam na to gotowa...

– Królowa próbowała poznać prawdę o jego związku z twoją matką – powiedziała po chwili Kalu. – Emmę i Acherona chroniły potężne zaklęcia. Wyrd zawsze wiedziała o każdym dziecku zrodzonym z człowieka i aislingeńskiego fera, ale prawdy o tobie nie potrafiła odkryć. Jej podejrzliwość wreszcie doprowadziła ją do Emmy.

– Zapewne wołałaby cię zabić – Brevda spojrzał na kobietę – ale nie mogła tego zrobić, bo Społeczność nie zezwalała na mordy. Jedyne, co mogła, to uwięzić cię w koszmarach. I to się jej udało, do pewnego stopnia.

Emma pokiwała głową.

– Żyłam w koszmarze. Zapomniałam, kim jestem. Wyrd zaszczerpiła we mnie *wiedzę*, że cię adoptowałam. Że byłaś dzieckiem z trudnej rodziny, którego ja sama nigdy nie potrafiłam

zrozumieć. Chciała, żebym męczyła się z tą decyzją, żebym jej żałowała. Żebym cię znienawidziła.

Znów zaczęła szlochać.

– Sądziła, zresztą słusznie, że miłość zasili twoją moc – oznajmił Brevda. – Miała nadzieję, że nigdy jej nie zagroisz, bo nigdy nie dowiesz się, kim jesteś. Tak zresztą miało się stać. Dla nas, dla Społeczności, to też było wygodniejsze.

March nie skomentowała tych słów. Nieważne, jak bardzo brzydziła się tą polityką, zapewne taka decyzja była wtedy najlepsza.

– Ale los chciał inaczej – powiedziała Kalu – a czarownice ostatecznie muszą zdać się na wyższe siły, inaczej nie byłyby czarownicami.

Emma załzawionymi oczami spojrzała na córkę.

– Czy mi wybaczysz? – spytała. – Że cię naznaczyłam? Że kazałam ci żyć, choć nie wiem, czy to życie spełniło twoje oczekiwania?

– Mamo. – March otarła łzy z jej policzków. – Życie nie musi spełniać oczekiwań. Kiedy dotknęłam kryształu, zrozumiałam, że po prostu jest, jakie jest. Jest też darem. Rozumiem, że chciałaś mnie ratować, i nie mogę cię za to winić. A teraz... uratowałaś więcej niż tylko mnie.

Przytuliła ją. Nie pamiętała, kiedy zrobiła to po raz ostatni. Równie dobrze ten mógł być pierwszym i najlepszym. Na razie, bo kolejne będą jeszcze lepsze.

– Co do kryształu – zaczął Brevda – jest jeszcze jedna sprawa.

March spojrzała na nich.

– Poszukiwaliśmy tajemnicy Wyrd – dodał przewodniczący. – To dziwne, że sama nie odkryła, co miała w rękach, ale Leila domyśliła się prawdy. W każdym razie ani dla jednej, ani dla drugiej kryształy alchemików nie mógł zadziałać, jeśli nie zdobyły go poprzez czyste działania.

– Czyli takie, które dyktuje dusza – dodała Kalu. – Kryształ alchemików transformuje się do ostatniej, rubinowej formy, tylko jeśli

tworząca go osoba działa nie tak, jak każe jej własne ego, ale zaczyna słuchać głosu duszy.

– Małe i wyższe Ja... – March przypomniała sobie o naukach, które już знаła. Wyższe Ja mówiło głosem duszy.

– Lorelei Malloway, babka Irmy, pierwsza próbowała stworzyć xerion – powiedziała Emma. – Wiem o tym, bo to moc jej magii przywiodła ją do mnie jeszcze na długo, nim zaszłam w ciążę. Musiała przeczuwać, że ty kiedyś dokończysz to, co jej się nie udało.

Sama myśl o tym, że babka sióstr Malloway miałyby wiedzieć o jej narodzinach na długo przed nimi, była dla March nieprawdopodobna. Akceptowała ją jednak jako kolejny przejaw niezwykłości magii.

– To wszystko było zaplanowane – przejęła opowieść Kalu. – Nie wiedzieliśmy jednak o tym, bo imię Eshkura było pieczęcią chroniącą wiedzę na ten temat. Teraz wiemy wszystko. Na początku xerion dostał na przechowanie Kirian, władca jednorożców. Alogos wykradł go, a potem, gdy kamień się rozpadł, do planu przystąpiło pięć frakcji.

– Czarownice oczyściły swoją część z niszczącej magii i oddały ją Kirianowi – powiedział Brevda. – Alogos zdołał znów go wykraść, ale to, co oddał Wyrd, było już tylko pustą powłoką. Za pierwszym razem, kiedy miałaś kryształ w rękach, widziałaś go w formie astralnej, gdzie pozostawał całością. Zareagował na tę swoją cząstkę, którą nosiłaś w sobie, duchową cząstkę ostatniego fragmentu, którą zaszczepił w tobie Eshkur.

– Więc Wyrd nie mogła jej wykorzystać... – zaczęła March.

– Tak jak mówię – odparł Brevda – ona miała tylko powłokę, duch tej cząstki mieszkał w tobie. Kirian ofiarował go Cleto Malloway, a ty, jako *duchowa* siostra ich dwóch, przejęłaś ten fragment i nosiłaś go... w sobie, w swoim umyśle.

– Stąd twoje *problemy* – zaśmiała się Emma. – Pamiętasz, że kryształ alchemików wypala wszystko, co negatywne? On emanował w twoim umyśle, wzmacniał emocje, na początku te złe. Jego magia

oddziaływała na całą ciebie, dlatego działały się różne... rzeczy, których nie mogłaś zrozumieć, które sprawiały ból twojej duszy.

– Ponadto – dodała Kalu – mieszkała w tobie magia Eshkura. Wygląda na to, że to właśnie dzięki tej magii odkryłaś tajemne imię Wyrd, dlatego że jest w tobie zapisane to należące do Wygnanego Króla, nawet jeśli nie znasz go świadomie. Tak silna moc, niekoniecznie *pozytywna*, o czym świadczy choćby twój duchowy związek z finfolską bestią, musiała odbijać się na twoim życiu.

– Przeszłaś szybki okres magicznego dojrzewania – uznał Brevda. – To może bolesne, ale dobre dla wiedzy. Zresztą uzdrowiłaś samą siebie, gdy doprowadziłaś proces alchemiczny do końca, i to po raz drugi, bo przecież sama wspominałaś nam, że w twojej wizji już wcześniej przybrał ostateczną, rubinową formę.

– Wreszcie kryształ trafił do ciebie również w formie fizycznej. – Kalu utkwiała w niej spojrzenie. – Ale teraz, gdy go wykorzystałaś, stracił dla ciebie moc...

Zawiesiła głos. Brevda odchrząknął i powiedział:

– Chcemy cię prosić, byś zostawiła go tutaj, w siedzibie Rady. Będzie chroniony, ty będziesz bezpieczna i wreszcie odzyskasz swoje normalne życie.

March spojrzała na kamień. Jeśli już nie miał dla niej świecić, to nieważne. Nie potrzebowała tego. Niech jego magia przyda się komuś w słusznej sprawie.

– Dobrze – powiedziała, umieszczając xerion w dłoni Kalu. – To teraz wasz problem – zaśmiała się.

Zmrużyła oczy i spojrzała przed siebie.

– Ciekawe, co będzie teraz z Wyrd i Eshkurem... – powiedziała.



Król i królowa Aislingen stali na skraju swojego świata. Patrzyli w kosmos, gdzie odległe gwiazdy błyszcząły, zapraszając ich do

najdalszej podróży, do odkrycia innych krain i losów.

Wyrd wiedziała, że to koniec.

– Jedno z nas powinno było umrzeć – powiedziała. – To śmieszne, że oboje żyjemy.

Wszechświat już się nimi nie interesował. Byli zwykłym pyłem.

– Zatem zginąć musimy razem. – Eshkur był odwrócony do siostry tyłem. Mogłaby pchnąć go i zniszczyć. Nie broniłby się, nie rozłożyłby skrzydeł.

– Decyduję sama – odparła Wyrd, stawiając stopy na krawędzi. – Wybieram śmierć.

– Niech więc ta śmierć ma jakiś sens. – Eshkur spojrział wreszcie na nią, w jego oczach zatańczyły płomienie. Ona poczuła, jak w niej wzbiera woda.

Nie skoczyła. Położyła się na niebie, jakby szykowałą się do snu i zaczęła opadać.

Eshkur rzucił się za nią.

Magia kosmosu zamieniła ich ciała w lśniący proch. Wyzwoliła dusze, dwa smoki, które znów naparły na siebie. Nienawiść zrodzona z miłości zamieniła się z powrotem w miłość. Smoki splotły się ciałami i jak jedna istota zaczęły okrążać swoją krainę. Teraz dusze królowej i króla wiedziały lepiej i więcej. Połączoną magią zaczęły leczyć to, co zniszczyły. Ich świat miał wiele ran, które trzeba było zasklepić. Wypełniali je swoimi błogostawieństwami, aż całkiem stracili moc, a potem odfrunęli razem w ciemny kosmos i zgaśli wśród gwiazd.



March, Callen, Emma, Ove i Isinbir stanęli przed Domem Wiedźm. Wszystko wydawało się inne. Wszystko wydawało się takie samo. March sądziła, że czarny kot zaraz wyłoni się zza bramy i powie coś

wrednego. Od nowa wprowadzi ją do świata magii, ponownie będzie trzeba przejść wydeptaną ścieżkę.

Zaklęcia sióstr Malloway pachniały miodem i cynamonem, w oknach płonęły świece, które przygotowali na święto Imbolc.

– Nie zapaliliśmy ich – zdumiał się Callen.

– One to zrobiły – odparł Ove.

March poczuła na ramieniu dotyk matki, za którym tęskniła od zawsze. Emma wreszcie mogła w pełni ją dotknąć – taką, jaka była. Bez iluzji, bez poplątanych wspomnień. I co odkryła? Że w głębi serca March zawsze pozostawała taka sama, że prawdy o niej nie mogło przyćmić żadne kłamstwo, bo *cel jest złotem, które lśni*. A ona wcale nie musiała nigdzie wyruszać po żaden cel. Ona sama była celem.

– *Znajdę go* – wyszeptała. – Znalazłam go.

– *A potem wrócę* – dodał Callen, obejmując ją. Z jego oczu lały się łzy. – Wróciliśmy.

Więc zatoczyli krąg. Stanęli przed punktem wyjścia, lecz całkiem zmienionym od czasu, gdy go opuszczali. Trzymając się jedno drugiego, razem przekroczyli próg Domu Czarownic.

Śnieg topniał.

Koszmar dobiegł końca.

EPILOG

Dwa miesiące później

March wrzuciła do parującego wywaru szczyptę skrzącego się pyłu. Z kociołka buchnęły złote iskry i w całej świątyni zapachniało tymiankiem, cynamonem i miodem.

– Ciastka może mi nie wychodzą, ale eliksir, proszę bardzo – zaśmiała się.

– W końcu jesteś urodzoną wiedźmą. – Callen odgarnął włosy z jej czoła i cmoknął ją w usta.

Zanurzyli w kotle szklane fiołki, stuknęli się nimi i wypili. Znajome ciepło rozlało się po ich ciałach. Opadli na miękkie poduszki, rozłożone na podłodze. Ich ciała astralne, silne i jaśniejące magią, poruszyły się, gotowe do podróży.

Przez ostatnie tygodnie ciągle rzucali ten czar. Pozwalał im wyjść z ciał bez dodatkowych przygotowań umysłu, a jego słodka aura sprawiała, że ścieżka wśród gwiazd wiodła tylko w najcudowniejsze miejsca. Potrzebowali właśnie tego. Musieli oddychać pięknem i spokojem nieba, napełniać się jego muzyką. Ona leczyła ich rany.

– *Chodźmy.* – Echo Callena musnęło duszę March szmaragdowym blaskiem.

Potaknęła, czując drżenie na myśl o kolejnej podróży.

Za oknami świątyni błysnęły gwiazdy, rozsiane w fioletowo-złotej, nieskończonej przestrzeni. W tym wszystkim wciąż była tajemnica, wciąż było coś, co sprawiało, że ugiwały się pod nimi kolana. Ale ta tajemnica nie była już niebezpieczna. Zapraszała ich i otulała, obiecywała, że pewnego dnia posiadą każdą jej cząstkę. W końcu była zapisana w ich sercach i to ona tworzyła wzory na ich

skrzydłach, które od czasu bitwy w Aislingen, choć zniknęły z ich ciał materialnych, w tych astralnych wciąż były silne i piękne.

Ze świątyni sióstr Malloway zostało jedynie unoszące się w kosmosie okno. March i Callen stanęli w nim i ruszyli przed siebie. Nie musieli nawet machać skrzydłami, kosmos sam pochwycił ich ciała i niósł, dokądkolwiek zapragnęli. Słońca pulsowały letnim ciepłem, tańczące wokół nich planety rozsypywały kolorowy pył, nieskończenie wytyczając magiczne kręgi.

I March wreszcie widziała swój złoty sznur. Był silny, jaśniał czystym światłem. Znikał gdzieś daleko pod nią, by jak po linie mogła wrócić dzięki niemu do ciała. Ale niezbyt szybko.

– Chcę cię dokądś zaprowadzić – powiedziała. Jej słowa lśniły jak płatki słonecznika na słońcu.

Callen uniósł brwi. Zwykle to on oprowadzał ją po niebie.

– No to lećmy – odparł.

Jej serce przyspieszyło. Nie wiedziała, co zastanie na miejscu. Praca nad tym wszystkim zajęła jej tak dużo czasu...

Mijali szybko przemykające światy. March kroczyła do tego, który stał się jej pierwszym domem w rozległym niebie. Wreszcie jej stopy opadły na dach wysokiego budynku.

Callen zatrzymał się. W jego oczach jak w lustrze odbił się obraz tego, co widział – pomnożony do nieskończoności, jakby jego dusza nie mogła nasycić się tym widokiem.

– To mój... to moje...

– Twoje miasto – powiedziała cicho March.

Czekała. Czuła, że go to zachwyciło, wzruszyło, ale chciała to usłyszeć od niego. Callen nie był jednak w stanie wykrztusić kolejnego słowa.

– J-jak? – wyjąkał wreszcie.

Wyciągnęła przed siebie rękę. Zmaterializowała się w niej książka. Na jej widok oczy chłopaka zrobiły się jeszcze większe.

– Długo jej szukałam – powiedziała March. – Powiedziałeś, że twoja mama czytała ci z niej bajki. To ta sama, prawda?

Callen potaknął. Po jego policzku popłynęła lśniąca łza.

– Chciałam odbudować twój świat – ciągnęła March. – Kopiowałam to, co zobaczyłam w książce, wracałam tu każdej nocy, żeby tworzyć to cegła po cegle. No, astralny pyłek po astralnym pyłku.

Zachichotała, lecz szybko spoważniała.

– Najpierw było trudno, ale potem jakoś wpadłam w rytm. Zanurzyłam się w tym obrazie, a on... tak jakby...

– Popłynął? – podpowiedział Callen.

– Właśnie tak. Zdawało mi się, że za obrazkami z książki jest coś więcej, jakby żyły własnym życiem. No i miasto zaczęło tworzyć się samo.

Callen rozejrzał się po swoim odbudowanym świecie. Wszystko było takie, jak w najlepszych czasach, gdy jego astralny dom był kryjówką. Albo nie – było lepsze, bo teraz nie musiał się kryć. Teraz dom był po prostu domem. *Pachniał* domem, pachniał mamą i pachniał March – lokatorką, która przyszła tu w konkretnym czasie, choć każdy zakątek tego świata czekał na nią od samego początku.

– Wiesz... – zaczął Callen. Coś dławiło go w gardle. Pochwycił obie ręce March i położył je sobie na sercu. – Oto rozwiązanie zagadki. Dlatego obrazy ożyły. Zaczepnęłaś je nie z książki, ale stąd.

Jej palce drżały od ciepła jego ciała, serce Callena wybijało ten sam rytm, który tworzyła muzyka gwiazd. Tym samym ciepłem i rytmem pulsowały jego usta.

W tej chwili nic innego już nie istniało. Wszechświat skurczył się i był tylko w ciele chłopaka. Obejmując go, March obejmowała cały świat. Nigdy nie całowali się tak dobrze jak tutaj, zupełnie jakby gwiazdy delikatnie prowadziły każdy ich ruch, nauczały ich o magii, dzięki której to wszystko mogło zaistnieć. Ten świat, te planety, te ciała, te usta. Ta chwila.

I nieważne, na jakie nowe sposoby wszystko miało jeszcze wybuchnąć, rozproszyć się, i w jakie nowe formy na nowo się

połączyć, ten pocałunek trwał nieskończenie długo.

– *Miłość* – pomyślała March.

Bez względu na to, jak górnolotnie brzmiało to słowo, to ono było odpowiedzią, było imieniem magii, która powołała świat do istnienia. I March czuła tylko to: miłość do gwiazd, do wonnych zaklęć, do Callena, wreszcie do samej siebie. Takiej, jaką była. Nie miała już potrzeby, by używać magii do zmiany siebie. Tę najważniejszą pracę już wykonała – w duszy, nie w ciele.

Była taka, jaka powinna być, i taką mogła kochać siebie. Taką mogła kochać innych.

Przytuleni, siedzieli na dachu budynku, w świetle gwiazd zdolni zajrzeć w każde miejsce, które chcieli zobaczyć. Śmiali się z Ovego. Ostatnio na nowo zajął się alchemią, choć już w całkiem legalny sposób – był kustoszem w muzeum alchemicznym dla czarownic i tylko po godzinach kombinował przy przedmiotach, od których powinien raczej trzymać się z dala.

– Gdyby Irma go widziała... – Callen pokręcił głową.

– Coś czuję, że widzi – odparła March – i pewnie jak będzie trzeba, to da mu po łapach.

Potem obserwowali Emmę. Próbowwała prześledzić każdy krok Acherona, który postawił po tym, jak się rozstali. Chciała zebrać każdą cząstkę jego aury, jaką mogła zdobyć.

– Czy to całkiem zdrowe? – zastanawiał się Callen. – Może powinniśmy jej to odradzić?

March przygryzła wargę.

– Myślałam o tym – odparła – ale nie. Ona jest w tym trochę taka jak ty.

– Jak ja? – Chłopak uniósł na nią zdumione spojrzenie.

– Wiesz... Szuka swojej przeszłości. Wierzę, że kiedy to zrobi, ruszy dalej. Musi się uzdrowić. I zrobi to, na pewno.

Jeździła palcami po jego dłoni, znacząc znaki, które dobrze już rozumiała.

Tuatathir.

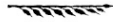
Córka plemienia.

Córka Smoka.

Gdzieś daleko płynął świat, samotna wyspa wśród gwiazdnego morza, migocząca magią snów. Nie był wrogi. Burza w nim ustała, teraz emanował czystą, zapraszającą magią. Z nowym królem i z nowym ludem, który od nowa uczył się magii i ludzi. Na razie nie mieli jednak zamiaru tam zaglądać i nie byli pewni, czy kiedykolwiek zechcą tam wrócić.

Tu, gdzie byli teraz, było dobrze.

Najlepiej.



Tej nocy March wypła eliksir jeszcze raz. Sama. Chciała powędrować wśród gwiazd z samą sobą i dla samej siebie. Nim wyszła z ciała, zobaczyła przy swoim łóżku Irmę i Cleto Malloway, dwa anioły stróże, które pilnowały jej od początku.

– Wszystko już dobrze? – zapytała.

Wiedziała, że tak jest, ale chyba potrzebowała tego zapewnienia.

– Wszystko już dobrze – odparła Cleto, uśmiechając się.

A Irma musnęła jej policzek, otulając ją delikatnym, ochronnym zaklęciem.

– Teraz możesz śnić.

KONIEC

NA KONIEC

March przeszła długą drogę, a wy przeszliście ją razem z nią. Podobnie ja spędziłem długi czas w podróży z bohaterami tej serii. Każdy z nich był dla mnie zagadką i odkrywałem ich stopniowo, choć sądzę, że mają jeszcze wiele tajemnic, kryjących się gdzieś pomiędzy słowami – poza wszystkim tym, co można opisać.

Czasami ta wspólna podróż była magiczna i zachęcająca, czasami trudna, bo cel się oddalał, choć zawsze lśnił gdzieś na końcu drogi. Cieszę się, że historia kończy się w miejscu, w którym tak naprawdę może się rozgałęzić. Nie dlatego, że będę pisać o March dalej, ale dlatego, że opowieść może pisać się dalej sama dla siebie.

Kiedy siadałem do pracy nad tym tomem, w jego ostatniej wersji, miałem już o wiele więcej doświadczenia pisarskiego niż na początku, dlatego każda kolejna część „Krwii Ferów” jest inna i – mam nadzieję – lepsza. To zasługa kilku osób. Przede wszystkim na książkę miały wpływ rady moich redaktorek – Mileny i Karoliny. Milena pierwsza uwierzyła w March, mówiąc, że właśnie na takie buntownicze, nieidealne bohaterki przyjdzie jeszcze czas. Karolina ogarnęła nie tylko poprawki językowe, ale też matematykę: daty urodzin, chronologię, bo – jak wiecie – nie jest to w tej serii takie proste!

Podziękowania należą się też Łukaszowi, który przejął rolę redaktora prowadzącego serii, i Anecie, która wprawdzie nie pracowała ze mną nad „Krwia Ferów”, a mimo to wykorzystałem wiele jej wskazówek otrzymanych przy okazji pisania *Spookademii*, mojej serii dla młodszych.

Dziękuję też wszystkim osobom z ekipy We need YA, które miały wkład w „Krew Ferów” oraz FecitStudio za serię pięknych okładek;

wreszcie również osobom odpowiedzialnym za korektę i skład oraz wszystkim, dzięki którym książka mogła trafić w Wasze ręce.

Specjalne podziękowania ślę do wszystkich Czytelniczek i Czytelników, którzy dopytywali, kiedy będą mogli przeczytać ostatni tom. To dodawało mi ciągłej chęci do pisania.

Obyśmy wszyscy, podobnie jak March, odkryli w sobie magię, poskromili wewnętrzną bestię i sięgnęli po *złoto, które lśni*.

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY
ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY
EPILOG
NA KONIEC